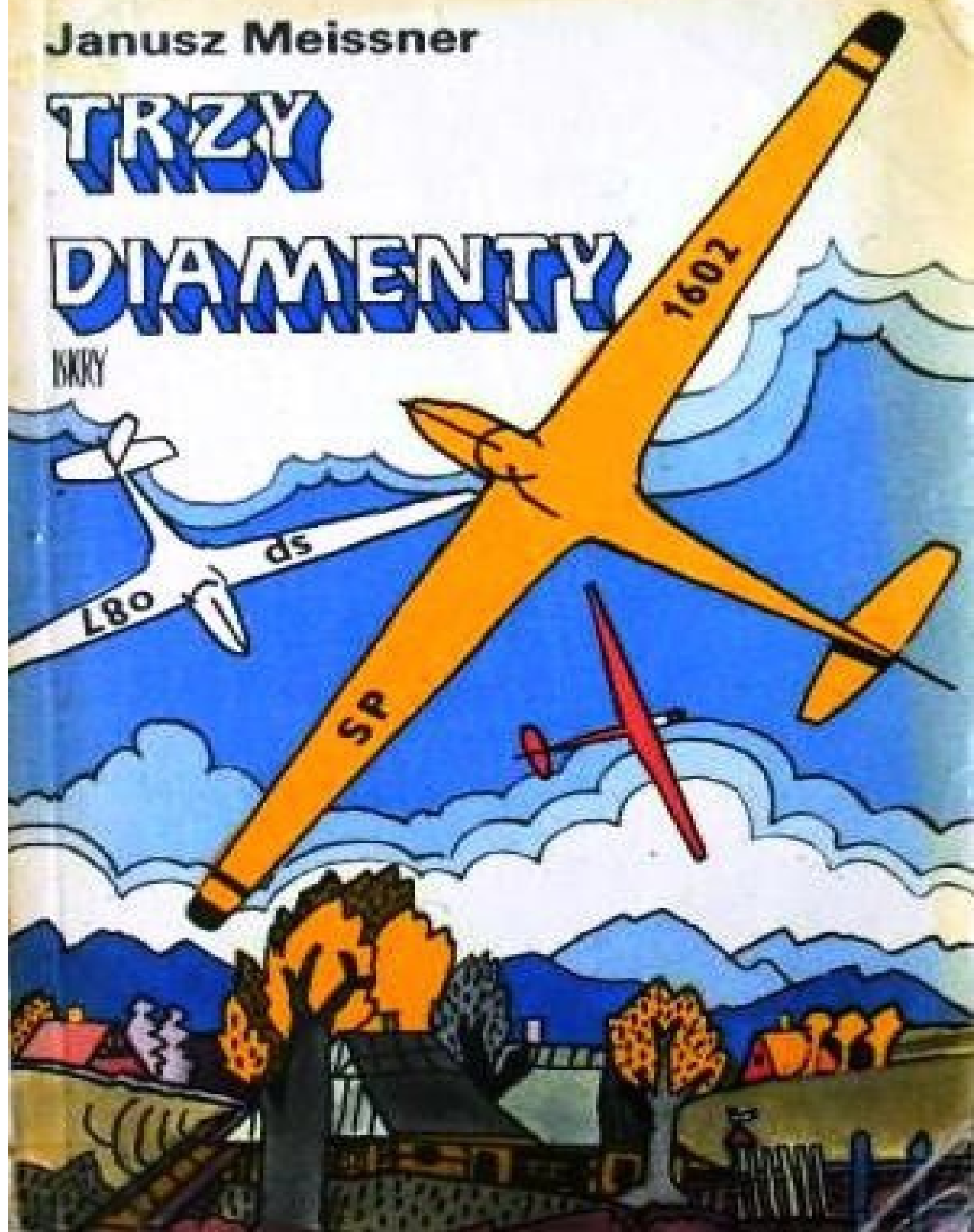


Janusz Meissner

TRZY

DIAMMENTY

WARY



## TRZY DIAMENTY

### Rozdział pierwszy

#### Żurawie nad Polichna

Śmiało! Nic bój się, nic ci nie grozi — powiedział Szary do Żurawia \*. Mówił półgłosem wiedząc doskonale, że co najmniej w promieniu kilometra nie ma nikogo, kto by go mógł usłyszeć, a jednak mimo woli obejrzał się.

Potem łagodnie, lecz stanowczo skontrował stery, a gdy szybowiec posłusznie podniósł się z zakrętu, wyrównał. Gorący prąd, który go przenikał od chwili startu, osłabł i ustalił się teraz na niższym poziomie. Dotychczas wszystko odbywało się normalnie, bez niespodzianek, tak jak wówczas, gdy za drugim sterem siedział instruktor Grzymek: wyciągarka nie zatrzymała się nagle, nie zerwała się linka, odłączenie nastąpiło bez żadnych trudności, we właściwej chwili, a on sam, Bolesław Szary, nie popełnił żadnej omyłki. Szybowiec ruszył, nabrał pędu, gładko oddzielił się od ziemi, stromo wspiął się wzwyż. Na wysokości dwustu metrów Szary pocisnął ster, a gdy maska zeszła nieco pod horyzont, energicznie szarpnął wyzwalacz zaczepu.

Stwierdziwszy, że linka opadła w dół, doznał przelotnej ulgi: oto był już w powietrzu, wysoko nad lotniskiem.

Miał jeszcze pół minuty do wykonania pierwszego zakrętu.

Pierwszego w życiu zakrętu, nad którego przebiegiem nie czuwał z bliska instruktor.

Z zapartym tchem czekał, aż skraj lotniska podejdzie pod skrzydło. Pamiętał, powtarzał sobie w kółko, co ma teraz zrobić: spojrzenie w lewo w dół, w lewo w bok, w lewo w górę, spojrzenie na prawo, wybór punktu orientacyjnego do wyjścia na prostą.

Droga zarośnięta trawą, a za nią dwa czerwone pudła wyciągarek zbliżały się z wolna. Przestrzeń pomiędzy przednią krawędzią skrzydła a tą drogą zwężała się nieustannie, aż wąski, ostry klin lasu, ów punkt orientacyjny, znalazł się wreszcie na przedłużeniu lewej lotki.

Szary zwiększył prędkość, pochylił szybowiec, zaczął

zakręcać. Horyzont przesuwał się przed osłoną, romboidalne pola zmieniały kształty, stawały się prostokątami, szosa odłożyła się w prawo jak ramię olbrzymiego kieratu, pęd szumiał łagodnie dokoła owiewki.

Szary czekał, ze wzrokiem utkwionym na wprost. Zdawało mu się, że jeśli choć na sekundę odwróci spojrzenie, jeśli pozwoli sobie chociażby mrugnąć powiekami, zgubi się w przestrzeni, straci właściwą chwilę, nie zdoła na czas wyprowadzić szybowca.

Lecz wąski, ciemny język lasu podpływał wolno z lewej strony, wyraźny i niezawodny, jak zwykle. Nie można go było przeoczyć: wrzynał się w jasnozielone pola jak dziób

potężnego statku w gładką powierzchnię morza. Gdy szybowiec podniósł się z wirażu, las był dokładnie wprost przed nim.

Tylko lak dalej — pomyślał Szary.

Obejrzał się na start. Jakiś Żuraw podchodził do lądowania; inny leżał przy chorągiewce, wsparty na skrzydle, w pozie pełnej cierpliwego oczekiwania.

Nic nadzwyczajnego się tam nie działo. Nic nie zdradzało jakiegoś szczególnego napięcia czy choćby podniecenia w obliczu pierwszego samodzielnego lotu Bolesława Szarego.

To tylko ja się tak przejmuję — pomyślał.

Od razu się uspokoił. Wróciła mu pewność siebie. Odnalazł

grupę domków, nad którą zamierzał wykonać drugi zakręt, rozejrzał się, położył szybowiec na skrzydło, ściągnął ster, zacieśniając łuk, wyprowadził. Czuł, że nad nim panuje, że wiraż wychodzi mu tak, jak był pomyślany, może nawet płynniej, lepiej!

Umiem! — ucieszył się.

Dopiero teraz naprawdę w to uwierzył. Dotychczas zawsze miał pewne wątpliwości: przy drugim sterze siedział Grzymek; czy mu nie pomagał? Czy nie poprawiał ruchów drążka? Nie wykończył za niego manewrów?

Nie. To ja sam — pomyślał. — Grzymek tylko mnie asekurował.

Poczuł się szczęśliwy: umiał już latać! Nawet czekające go pierwsze lądowanie wydało mu się zadaniem łatwym; był pewien, że usiądzie gładko, tuż przed linią startu.

Sprawdził wysokość i raz po raz spoglądał przed siebie na lewo w skos, obliczając, gdzie powinien wykonać trzeci zakręt.

Miał na to dość czasu. Spokojnie, bez pośpiechu oceniał

odległości i szybkość opadania. Porównał swoje spostrzeżenia z wariometrem \* i wysokościomierzem, upewnił się, że ma rację: gdy mijał znaki lądowania wyłożone na lotnisku, strzałka wysokościomierza wskazywała prawie dokładnie sto dwadzieścia metrów.

Tak samo, jak podczas lotu kontrolnego — pomyślał z zadowoleniem.

Lądowanie po owym locie kontrolnym, odbytych przed godziną z kierownikiem wyszkolenia, Koźbiarem, wypadło cokolwiek za daleko w przód, już na linii startu. Mimo to Koźbiar skinął głową:

— Nieźle — oświadczył. — Można było trochę wcześniej otworzyć hamulce albo o kilka metrów niżej wykonać trzeci zakręt. Jasne?

Szary powiedział, że jasne, ale bynajmniej nie spodziewał się wówczas, że sam potrafi wylądować choćby w przybliżeniu tak dobrze.

Teraz jednak postanowił poprawić tamten drobny błąd.

Wiedział już, gdzie powinien wypaść trzeci zakręt: za lasem ciągnącym się wzdłuż lotniska, pomiędzy małym jeziorkiem a starą, zrujnowaną cegielnią bez komina.

Lecz gdy się tam znalazł, miał jeszcze osiemdziesiąt metrów.

Za wysoko — pomyślał.

Minął cegielnię i dopiero wtedy położył szybowiec na skrzydło. Gdy go wyprowadził, dostrzegł na wprost przed sobą Żurawia, który już zniżał się do lądowania, a nieco dalej samolot CSS-13 \* w ostrym wirażu.

Skąd się tam wzięły? Dotychczas nie zauważył ich wcale; na starcie nie było samolotów, a dwa szybowce? Trzy szybowce!

Dwa stały na linii startu. Ten lądujący był trzeci!

Aha — domyślił się. — CSS przyholował skądś nowego Żurawia. Zaraz oba wylądują. Powinienem usiąść na prawo od nich.

Zmierzył wzrokiem przestrzeń, potem spojrzął na wysokościomierz.

Czterdzieści metrów! Za mało, żeby zakręcić poza nimi! Co robić? Co robić?

Nagle poczuł się samotny, zdany na własną decyzję.

Na szybką, natychmiastową decyzję, od której wszystko zależy.

Lądować w ślad za nimi? A jeśli zatrzymają się tuż u skraju lotniska, podczas gdy dobieg jego szybowca okaże się za długi?...

Jeżeli nie zdoła wyhamować na czas?... Nie! Raczej w lewo od nich; wprost na chorągiewkę, za którą leżą dwa Żurawie. W

ostateczności można je ominąć skręcając jeszcze trochę bardziej na lewo. Ale wysokość jest niewielka. Z pewnością nie dociągnie nawet do połowy drogi pomiędzy skrajem lotniska a grupą startową. Więc zakręt! Już!

Wykonał go nieco nerwowo, wyprowadził cokolwiek za wcześnie, otworzył na chwilę hamulce, poprawił kierunek i utkwiał

wzrok na wprost, gdzie poprzez oszkloną maskę kabiny widać było zbliżającą się grupę startową, ściągarkę, płachty ułożone w kształcie litery T \*, chorągiewkę zatkniętą w ziemię, dwa Żurawie spoczywające obok siebie i nieruchome postacie ludzkie zwrócone ku niemu.

Zauważył, że punkt wyrównania wypada zaraz za skrajem lotniska i nie przesuwają się względem maski szybowca. Wyląduję bez przelotu — odetchnął z ulgą. Ziemia szła ku niemu, płynęła coraz szybciej, coraz bliższa w zaostrej perspektywie.

Płaskie, dwuwymiarowe przedmioty, budynki, hangary, ściągarka, wózek startowy, które z góry wyglądają jak wycięte z papieru, teraz nabierały nowych kształtów, stawały się bryłami. Las po lewej stronie zdawał się wyrastać coraz wyżej, wraz z horyzontem jakby unoszonym przez olbrzymią niewidzialną dźwignię.

Na wysokości dwóch metrów Szary ostrożnie zwiększył kąt natarcia. Ziemia przestała się zbliżać, sunęła teraz z jednostajną prędkością, zielona, gładka jak szeroki dywan nawijany na olbrzymi walec gdzieś z tyłu za ogonem szybowca, aż po chwili zaczęła zwalniać i unosić się — rzekłbyś: nabiera tchu w piersi.

Ściągać — pomyślał Szary. — Wolno, spokojnie ściągać.

Drażek poddawał się łagodnie, lekko, coraz lżej. Lada chwila rozlegnie się sypki szelest płozy muskającej trawę; wtedy trzeba ściągnąć ster do końca. Wtem zaszło coś niesłychanego: świat wywinął kozła!

Szary poczuł gwałtowne szarpnięcie, horyzont potoczył się przed nim z prawa na lewo, grupa startowa nagłym susem uskoczyła w bok i znikła pod skośnie wzniesionym skrzydłem, po czym wszystko raptownie stanęło w miejscu, jakby w okamgnieniu kula ziemiska i wraz z nią wszelki ruch zostały zatrzymane przez jakiś zdumiewający kataklizm.

Szary tak był tym wstrząśnięty, że przez chwilę siedział

oślepiały, nie mogąc się zdobyć na jakikolwiek wysiłek fizyczny, bodaj na spojrzenie w innym kierunku. Dopiero gdy w polu jego widzenia pojawiła się znajoma postać kierowcy samochodu sanitarnego, oprzytomniał nieco i otworzywszy osłonę kabiny rozejrzał się dokoła. Wtedy zobaczył, i nagle zrozumiał, co się stało.

Szybowiec leżał pochylony w przód, z zadartym ogonem, wsparty na prawym skrzydle, którego koniec, postrzępiony i zwichrowany, dotykał sanitarki. Kierowca stał obok z miną zatroskaną i patrzył na Szarego kiwając głową. Od strony grupy startowej biegli uczniowie, a za nimi podążał instruktor, Piotr Grzymek, z pochyloną głową, kołysząc się na swych pałakowatych nogach.

— Ładnieś to, bracie, urządził — powiedział kierowca. — Dobrze jeszcze, żeś wozu nie rozharatał, Ślepa ofiara, psiakrew!

Grzymek, przez kilka pokoleń swych uczniów przezwany Pigułą, miał o wiele więcej do powiedzenia na ten temat. Szary wysłuchał długiego kazania, które całkowicie go zdruzgotało. Nie ulegało wątpliwości, że jest szkodnikiem zasługującym na najsurowszą karę, że jego skrucha nie ma już teraz żadnego znaczenia, że z jego winy cała grupa uczniów Piguły najprawdopodobniej nie ukończy kursu, że okrył ich wstydem, że niczego się nie nauczył, że nadaje się raczej na pomywaczkę niż na pilota, że była to nie kończąca się litania, przerywana tylko od czasu do czasu dygresjami o przepisach startowych, które przecież wkładano Szaremu łopataą do głowy w ciągu paru tygodni i które powinien był umieć na pamięć i na wy-rywki.

Droga ze startu do hangaru była długa: musieli ciągnąć szybowiec dokoła lotniska, poza wyciągarkami, żeby nie przeszkadzać w lotach pozostałych dwóch grup. Ale podczas owego powolnego marszu, który przypominał pochód pogrzebowy, Piguła nie wyczerpał jeszcze tematu; pod hangarem zarządził zbiórkę i zapowiedział, że wobec tego, co zaszło, jutro zacznie od początku wykładu i repetycje, „zwłaszcza z przepisów dotyczących startów i lądowań, bo, jak widać, już o nich zdążyli zapomnieć”.

— Możecie za to podziękować Szaremu — dodał zgryźliwie.

Po tym oświadczeniu zapanowało długie milczenie, aż w końcu ktoś zapytał, co zrobić z szybowcem, czy go zahangarować na zwykłym miejscu?

— Nie — odrzekł gniewnie instruktor. — Zaczekacie na kierownika technicznego. On wam powie.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając ich w niepewności i przygnębieniu.

Szary milczał, patrząc w ziemię. Nie śmiał podnieść oczu, aby nie spotkać spojrzeń pięciu kolegów, spojrzeń, jak przypuszczał, pełnych wyrzutu i słusznego gniewu. Nie próbował

nawet tłumaczyć, jak się to stało, że nie zauważył

sanitarki, że zapomniał spojrzeć na prawo podczas lądowania.

Zagapił się na grupę, to było jasne; zawsze ilekroć lądował z Pigułą w pasie przyziemienia \*, patrzył na lewo w skos, tak jak tego instruktor żądał. Ale tym razem ów pas nie był wolny...

Nie warto o tym wspominać — pomyślał. — Piguła powiedziała by, że to nie jest usprawiedliwienie. Wyleją mnie tak czy owak — westchnął w duchu.

Poczuł wielki żal do Piguły, do kolegów, którzy półgłosem omawiali tę sprawę między sobą, do pilota, który mu wszedł w drogę ze swoim Żurawiem, do całego świata. Litował się nad swoim losem, powstrzymując łzy, które dławiły go w gardle.

Jeszcze tego brakuje, żeby się tu rozbeczał!

Energicznie wytarł nos i odetchnął głęboko. Obejrzał się.

Licho wie, kiedy nadejdzie kierownik techniczny, jak długo wypadnie czekać?

Spojrzał wreszcie po kolegach; czuł, że nie zniesie dłużej tego milczenia, jakie zaległo między nim a tą piątką.

Starszy grupy, Maciek Trel, przywołał go ruchem głowy.

—Nie martw się, Bolek. Mogło być gorzej.

—Niewiele gorzej, ale zawsze... — mruknął Chudoba zwany Chudym. — Piguła użył sobie jak nigdy.

— Bo on instruktor — orzekł Polek Dytyński. — Musi.

—Dlaczego musi? — spytał Chudy.

—Musi, bo on instruktor — wyjaśnił Dytyński. — Jakby nie był instruktorem, toby nie musiał. A że on instruktor, więc musi. Takie jego prawo.

—Nie wygłupiaj się, Gruszka — powiedział Trel. — A ty nie spuszczaaj nosa — zwrócił się do Szarego. — Piguła trochę przesadza, jak zawsze. Dźwigar jest nie uszkodzony.

Wymienią parę żeberek, okleją płótnem i nasz Żuraw jutro będzie latał.

Szary spojrział na niego z wdzięcznością. Ciężar, który przygniatał mu serce, stracił nieco na wadze; grupa nie miała do niego żalu; nie czynili mu wyrzutów, ba, jeszcze go pocieszali.

Wzruszyło go to.

—Wolałbym sam rękę złamać — westchnął.

—Odradzam — oświadczył Gruszka.

—Co robisz? — zainteresował się Chudy.

—Odradzam Szaremu złamanie ręki — wypowiedział się Gruszka obszerniej. — On by wołał, a ja uważam, że stanowczo nie warto. Rozumiesz?

Chudy wzruszył ramionami.

—Bzdury! — mruknął zniecierpliwiony.

—Idzie Sitarski — powiedział ktoś półgłosem.

Wszyscy spojrzeli w stronę warsztatów, skąd nadchodził

starszy majster Sitarski, kierownik techniczny, wraz z mechanikiem, Szczerbą. Szedł, utykając lekko na prawą nogę i wiosłując ramionami, jak zwykle, gdy był czymś podniecony.

—Gdzie ten rozbity Żuraw? — wykrzykiwał już z daleka. —Który to z was tak go urządził? Co?

—To ja — powiedział Szary. — Zawadziłem skrzydłem o sanitarkę i...

—Aha, o sanitarkę, synu, zawadziłeś! A gdzie miałeś oczy?

Co? Skrzydłem, powiada. A Żuraw rozbity, co? Gdzie on jest?

—Tutaj, szefie — powiedział Trel. — Nie taki znów rozbity.

Tylko sam koniec skrzydła.

Sitarski nałożył okulary i zabrał się do szczegółowych oględzin uszkodzenia.

—

My pomożemy przy naprawie — zaryzykował Trel.

Starszy majster spojrział na niego sponad szkieł, pochylając głowę.

— Wy pomożecie! — wykrzyknął odgarniając ramionami coś, czego żaden śmiertelnik nie mógł dostrzec. — Wy, co? No, to świetnie! Może jeszcze potem napiszecie protokół, że na tym Żurawiu można latać, co? Topy już i komisja techniczna nie była potrzebna!

— To i komisja będzie? — zapytał Chudy.

Sitarski spojrział na niego przez ramię.

— A jak byś ty chciał, synu, co? Komisja, naturalnie; a odprawa instruktorów jeszcze dzisiaj. Tak, tak — pokiwał

głową, przenosząc wzrok na Szarego, — OPK, synu, OPK!

Chudy i tym razem nie wytrzymał; jego ciekawość domagała się nieustannych wyjaśnień.

— Przepraszam, szefie, co to jest OPK?

Kierownik techniczny mrugnął porozumiewawczo na Szcherbę; zdawał się oczekiwać tego pytania.

— Onufry, pakuj kufry — odrzekł i roześmiał się z tego omszałego od starości dowcipu, który od kilku lat pokutował w szkole. — Tak to się skończy dla ciebie, synu — zwrócił się do Szarego. — Ale przed tym zdemontujcie to skrzydło. Tu podtrzymać — wskazał — a tu zdjąć zabezpieczenie, wykręcić nakrętki i wybić sworznie.



Szary nie poszedł na kolację. Czuł, że nie mógłby nic przełknąć.

Przewidywania Sitarskiego co do konsekwencji tego fatalnego lądowania, ów pełen gorzkiej drwiny skrót OPK, utkwiły mu w świadomości jak kłująca drzazga.

Trzeba się będzie pożegnać z lataniem — myślał. — Trzeba będzie wrócić do domu z niczym, z powodu krótkiej chwili nieuwagi...

Wydało mu się to niesprawiedliwe i okrutne. Nie miał

przecież doświadczenia; chciał jak najlepiej, a jego błąd nie wynikał ani z niedbalstwa, ani z nieznamomości przepisów startowych, które rzeczywiście umiał na pamięć. Zapomniał tylko o tej przeklętej sanitarce..;

Czy nie dbał o sprzęt? Czy Żuraw ze znakami SP-4297 nie był najtroskliwiej pielęgnowanym szybowcem w szkole i czy on, Bolesław Szary, nie przyczynił się do jego olśniewającego wyglądu bardziej nawet niż pozostali koledzy z grupy Grzymka?

Wspominał teraz wszystko, co mógłby przytoczyć na swoją obronę w obliczu rady instruktorów, która miała zdecydować o jego losie.

Pamiętał ów dzień, nazajutrz po przybyciu do szkoły szybowcowej w Polichnie Wielkiej, kiedy podzielono ich na grupy, po ośmiu w każdej, i kiedy Maciek Trel wszedł do sypialni z listem, który mu wręczył kierownik administracyjny, Dudziak.

Ten list wydał mu się wówczas niezwykle, a sam pomysł napisania go miał w sobie coś romantycznego.

Trel odczytał go na głos.

„Uczniowie trzeciej grupy instruktora Piotra Grzymka do uczniów tejże grupy na następnym kursie.

Piszemy do was, żeby was zawiadomić, że nasza grupa, szkolona przez instruktora Grzymka, zajęła pierwsze miejsce we współzawodnictwie szkolnym, tak pod względem nauki teoretycznej, jak praktycznego wyszkolenia w pilotażu. Do osiągnięcia tych wyników dopomógł nam instruktor Grzymek. Jest on dobrym instruktorem i powinniście to ocenić, tak samo jak my.

Chcielibyśmy, żeby i wasza grupa zajęła pierwsze miejsce, a to tylko od was zależy. Tego wam życzymy po koleżeńsku. Nasz szybowiec SP-1297 zostawiamy wam w lepszym stanie, niż otrzymaliśmy go sami. Ale chcielibyśmy, żebyście go zostawili swoim następcom w stanie jeszcze lepszym, jeżeli to możliwe.

Kto z was nie ma prawdziwego zamiłowania do szybownictwa, niech najlepiej od razu się wycofa, bo szkoda pieniędzy i trudu na szkolenie takich, co tu przyszli tylko dla przepędzenia czasu. Szanujcie naszego instruktora! Szanujcie Żurawia SP-1297 i dbajcie o

niego!

Szczerliwego lądowania!

Uczniowie II kursu III grupy Szkoły Szybowcowej w Polichnie Wielkiej".

Tak, to był istotnie dobry list. „Mobilizujący”, jak się wyraził

Trel, który lubił takie zwroty i określenia zaczerpnięte z gazet, Trel miał zresztą rację; list przyczynił się do szybkiego zbliżenia między nimi, do solidarności całej grupy. Tego samego dnia postanowili, że i podczas trzeciego kursu grupa Grzymka zajmie pierwsze miejsce.

Szary bardzo się przejął tym postanowieniem. To on sprawdzał i uzgadniał notatki z wykładów, a potem przepisywał je na czysto w specjalnym zeszycie. Pilnował, żeby każdy z kolegów nauczył się tego na pamięć i sam ich kolejno egzaminował. On również wystarał się o jakiś nadzwyczajny płyn do czyszczenia politurowanych mebli i za pomocą tego środka osiągnął niebывały połysk kadłuba i skrzydeł Żurawia SP-1297. On wreszcie zdołał

nakłonić Gruszkę do przygotowania i zredagowania pierwszej gazetki ściiennej, która zyskała sobie uznanie całego kursu i nawet przychylnie uwagi instruktorów.

W ciągu paru tygodni stało się widoczne, że trzecia grupa znów przoduje w wyszkoleniu i porządku, podobnie jak to było podczas ubiegłego kursu.

Tylko Piguła zdawał się tego nie dostrzegać, a w każdym razie nie dawał poznać swoim uczniom, że jest z nich szczególnie zadowolony. W najlepszym razie milczał; częściej jednak powtarzał, że to czy owo mogło być wykonane sprawniej lub dokładniej. \*

Oni zaś wyłazili ze skóry, żeby sprostać tym wymaganiom, lecz w końcu zaczęli się zniechęcać. Piguła doprawdy bywał

czasami nieznośny, jeśli cokolwiek się im nie powiodło. Potrafił z byle powodu prawić kazania, wytykając im rzekome niedbalstwo i lekceważenie, gdy w rzeczywistości chodziło raczej o jakieś drobne przeoczenie lub tylko nie dość szybką orientację wynikającą po prostu z braku wprawy, której nie zdołali jeszcze nabyć podczas początkowego okresu szkolenia.

Tak na przykład zdarzyło się, że któregoś dnia, wkrótce po rozpoczęciu lotów na dwusterze, Gruszka, wsiadłszy do kabiny szybowca, nie mógł w żaden sposób uregulować odległości pedałów sterowych, bo „coś się zacięło”.

— Nie „coś”, tylko mechanizm regulacyjny — poprawił go Piguła. — Nie wiecie nawet, jak się to nazywa — dodał karcąco.

Gruszka spojrział na niego swymi niewinnymi oczyma z takim wyrazem, z jakim raniona sarenka spogląda na myśliwego, po czym omal nie zemdłał: korbka, którą szarpnął w górę, została mu w ręku...

— No tak! — powiedział Piguła. — To się u was nazywa „dbałość o sprzęt”. Dziś

urwaliście korbkę, jutro połamiecie stery, a za tydzień w ogóle nie będzie na czym latać. Wynoś się z kabiny, Dytyński!

Gruszka zaczął się wynosić, ale tak był przejęty swoim przestępstwem, że zawadził obcasem o krawędź burty i runął jak długi do stóp instruktora, co wywołało mimowolny wybuch śmiechu pozostałych.

Tylko Grzymek się nie śmiał; przeciwnie, zgorszyła go ta wesołość w obliczu dopiero co powstałego uszkodzenia szybowca.

Dał wyraz temu uczuciu w dłuższym przemówieniu, z którego jasno wynikało, że dalsze szkolenie całej grupy nie miałoby żadnego sensu oraz że właściwie już teraz Żuraw SP-1297 nadaje się tylko na złom. Wreszcie wysłał ich po mechanika, „i to biegiem!”, do hangaru.

Wprawdzie Szczerba przybywszy na start natychmiast odkrył, że korbka nie została urwana, lecz tylko wypadła z niej zawlecarka, co dało się naprawić w ciągu trzydziestu sekund, niemniej jednak Gruszka tego dnia nie latał wcale, a w ciągu kilku następnych dni wysłuchał jeszcze wielu niepocholebnych uwag na temat swych kwalifikacji lotniczych, które zdaniem Piguły równały się zeru.

Wspominając ten drobny wypadek, Szary powtarzał sobie, że nie ma żadnych szans. Jego sprawa była przegrana. Pokazał, co umie...

Wyobrażał sobie powrót do Zakopanego, do domu. Widział

już ironiczną minę wuja Adolfa i słyszał jego cierpkie słowa skierowane do matki: „Mówiłem ci od razu: niech się weźmie do jakiejś uczciwej, nie bardzo skomplikowanej pracy. Niech mu się nie przewraca w głowie!”

Myśl o wuju Adolfie była szczególnie przykra. Szary bardzo go nie lubił; czasem wydawało mu się, że po prostu go nienawidzi.

Dawniej, przed dwoma laty, a nawet przed rokiem, ilekroć spotykał wzrok tego człowieka, pochmurniał i spuszczał głowę, zaciskając pięści, przygotowany na jakąś drwiącą uwagę, którą przyjmował w milczeniu i pozostawiał bez odpowiedzi. Adolf Jennert ironicznie błyskał szklami okularów, zdejmował je ze swego małego haczykowatego noska, przecierał irchową skórką i potrząsając głową zwracał się do ciotki Agnieszki: „A to koński łeb! On nie rozumie, co się do niego mówi. To do niego nie dociera, moja kochana”. Ciotka Agnieszka, Agnes, jak ją mąż nazywał, uśmiechała się swoimi wąskimi wargami, po czym oboje spoglądali na matkę Szarego, która oblewała się gorącym rumień-

cem.

Często się na tym kończyło. Czasem jednak wuj Adolf wysyłał Bolka z pokoju, aby w przystępie troski o wychowanie dzieci Marii Szarej udzielić jej swych cennych rad i wskazówek pedagogicznych. Ewa podsłuchiwała wtedy pod drzwiami i później zdawała bratu relację z tych rozmów, on zaś marszczył

brwi i zaciskał szczęki. „Ja im jeszcze pokażę” mówił z tłumioną pasją. Potem z niepokojem zaglądał do matki; czy bardzo jej dokuczili? Starał się ją pocieszyć: za rok zda maturę i wreszcie zacznie pracować. Wuj Adolf nie będzie się czepiał.

Ten rok minął ubiegłej jesieni i Szary istotnie zaczął pracować w spółdzielczej wytwórni narciarskiej, lecz na razie zarabiał

niewiele. Nie mogło być mowy o tym, żeby to wystarczyło na utrzymanie ich trojga; podstawę tego utrzymania zapewniała nadal praca matki w księgarni; praca, którą otrzymała za wstawiennictwem i przy poparciu Adolfa Jennerta, męża swej stryjecznej siostry, Agnieszki.

Lecz ów ostatni rok przyniósł z sobą także inne nadzieje i zmiany w życiu Szarego. Przede wszystkim w zimie, podczas zawodów narciarskich, Bolek zdobył dla swego zrzeszenia sportowego bardzo zaszczytne miejsce. Jego nazwisko po raz pierwszy ukazało się w sprawozdaniach kilku dzienników, a korespondent „Sportu” wróżył mu wielką przyszłość.

Ten niezwykły sukces przyczynił się z kolei do spełnienia marzeń Szarego o lataniu: przyjęto go do aeroklubu w Nowym Targu, a z początkiem lata wysłano na kurs szybowcowy do Polichny Wielkiej. Wprawdzie zarząd spółdzielni narciarskiej nie był zachwycony takim obrotem sprawy, ale władze sportowe postawiły na swoim. Szary otrzymał płatny urlop i zapewnienie, że nadal będzie mógł z takich urlopów korzystać, jeśli zajdzie potrzeba.

Wreszcie, co dla Bolka było największą niespodzianką, w szkole szybowcowej znalazła się między innymi Halina Doboszówna.

Znali się od kilku lat, od czasu, gdy razem chodzili do szkoły w Zakopanem. Tylko że wtedy Szary nie zwracał najmniejszej uwagi na tę rozbrykaną kozę. Dopiero gdy magister Dobosz przeniósł się z rodziną do Nowego Targu, a później został

sekretarzem Powiatowej Rady Narodowej, Bolek pewnego dnia doznał olśnienia ujrzawszy Halę na scenie teatru amatorskiego.

Była to „miłość od pierwszego wejrzenia”, bardzo zresztą dziecinna i nieśmiała. Szary nie zdobył się na wyjawienie swych uczuć i za nic w świecie nie przyznałby się nikomu, jaki to magnes przyciągnął go do spraw teatralnych, którymi nagle zaczął się interesować tak żywo. Bywał natomiast na wszystkich przedstawieniach, a kierownictwo zespołu miało z niego wiele pociechy, bo jakkolwiek nie wykazywał najmniejszego talentu dramatycznego, to jednak znał się doskonale na budowie dekoracji, a także podejmował się każdej „czarnej roboty”, do której zwykle brakło wykonawców.

Co się tyczy ładnej Haliny, to wprawdzie od czasu do czasu raczyła go dostrzegać, ale długo kazała mu czekać na pierwszy uśmiech, jakim został obdarzony za jakąś drobną przysługę.

Prawdopodobnie ów okres zupełnej obojętności z jej strony miał

wykazać Bolkowi, jak lekkomyślnie postępował dawniej, lekceważąc jej osobę między piątą a siódmą klasą szkoły podstawowej w Zakopanem. Teraz, gdy ukończyła liceum, a zwłaszcza gdy zabłysła w roli Klary w „Zemście”, nie on jeden do niej wzdychał.

Ujrzawszy ją w Polichnie, był tak zdumiony i zarazem wzruszony, że ledwie zdołał się z nią przywitać. Skąd się tu wzięła?

Oświadczyła mu, dość lakonicznie i wyniośle, że od dawna interesuje się lotnictwem. Była nawet na kursie spadochronowym.

Teraz zamierza zostać pilotką.

— A teatr? — spytał.

Lekko wyduła wargi.

—r Och, znudził mi się ten cały teatr — powiedziała niechętnie. — I Nowy Targ także. Myślę, że tu będzie ciekawiej.

Szary gorąco poparł te przewidywania. Wyraził nadzieję, że oboje znajdą się w jednej grupie, co zostało przyjęte przychylnie.

Halina czuła się tego pierwszego dnia osamotniona; nikt się nią nie zajmował i nie zwracał na nią szczególnej uwagi; towarzystwo Bolka w tych okolicznościach dodało jej pewności siebie.

Prócz niej na kurs przydzielono jeszcze tylko jedną kan-dydatkę, Barbarę Lachównę, lecz ta rezolutna, wygadana dziewczyna wydała się Halinie pospolita i zbyt obcesowa.

A w ogóle jakoś inaczej wyobrażała sobie szkołę szybowcową; pierwsze wrażenie sprawiło jej zawód, rozczarowało ją trochę.

Ten początkowy nastrój szybko minął. Lachówna okazała się znacznie miłsza, niż można było przypuszczać, koleczy z grupy IV uprzejmi i nawet rycerscy, a instruktor, Marek Rysiewicz, niezwykle przystojny i wyrozumiały. Toteż Halina wcale nie żałowała, że los zrządził inaczej, niż Bolek tego sobie życzył i że każde z nich znalazło się w innej grupie uczniów.

Szary pomyślał, że teraz znów ją straci z oczu, jeżeli skreślą go z kursu, lecz ta myśl nie zaważyła już wiele na jego przygnębieniu. Tamta sprawa, sprawa latania, była przecież o wiele ważniejsza niż chwilowe rozstanie z Halą.

Wieczór był ciepły i cichy. Pachniały bzy wychylające się zza płotów wzdłuż drogi, którą Szary wracał od strony wysokiego wzgórza, dokąd zawędrował samotnie, aby tam podumać nad swym losem. Z oświetlonego wnętrza sklepiku, tuż u bramy prowadzącej na dziedziniec szkolny, słychać było głosy i śmiechy.

Chłopi z Polichny pili piwo z butelek, przekomarzali się z dziewczynami i żartowali z Dudziakową, która krzątała się za ladą. Jej mąż, Kazimierz Dudziak, kierownik administracyjny szkoły szybowcowej, rozmawiał z kierowcą samochodu ciężarowego, trzymając na ręku dwuletnią dziewczynkę o dużych ciemnych oczach i jasnych włosach.

Szary wiedział, że to jest córeczka Dudziaków. Wiedział

także, iż Dudziak niegdyś służył w lotnictwie wojskowym, a jego żona, Palryńówna, ukończyła przed kilku laty kurs szybowcowy w Polichnie i zapowiadała się na bardzo dobrą pilotkę. W owym czasie Dudziak objął obecne swoje stanowisko i tu poznał

młodziutką Józję. W krótkce się pobrali, a po ślubie Józia nie miała już czasu na latanie: pochłonęły ją zajęcia gospodarskie, potem sklep i wreszcie wychowywanie dziecka.

Dudziak także bardzo się zmienił w ciągu czterech lat swego małżeństwa. Gdy mianowano go kierownikiem administracyjnym poniemieckiego ośrodka lotniczego, który przejęła Liga, zastał tu zniszczone budynki, popsute instalacje i walące się hangary. Od razu jednak stwierdził, że wszystko to można uratować i naprawić sposobem gospodarczym, przy stosunkowo niewielkich kosztach.

Z zapałem zabrał się do roboty, lecz ten jego zapał napotykał

coraz to nowe przeszkody: najpierw brak kredytów, później przewlekłe formalności dokumentacyjne i wreszcie zupełne zahamowanie rozpoczętych remontów, związane ze zmianami organizacyjnymi naczelnych władz lotniczych, jakie dokonywały się tymczasem w Warszawie. Zdołał wprowadzić jako tako przygotować ośrodek szkolny na przyjęcie pierwszego kursu, ale była to prowizorka daleka od jego planów i zamierzeń.

Dudziak wysilał się jeszcze przez następny rok, aby przecież doprowadzić wszystko do końca. Ale jego zabiegi nie odnosiły skutku: projekty i kosztorysy tonęły w szufladach referentów, a gdy sam pojechał do zarządu głównego, aby te sprawy wypchnąć z bocznych torów, polecono mu sporządzić, z udziałem kilku specjalistów, nową dokumentację. Owa dokumentacja pochłonęła nieomal tyle, ile żądał na remonty gospodarcze; dalszych kredytów nie przyznano..:

Wtedy machnął ręką na całą tę sprawę. Miał tego dość.

Ostatecznie pomieszczenia dla uczniów i instruktorów były wystarczające, wodociągi i kanalizacja działały jako tako, sieć elektryczna została naprawiona staraniem władz powiatowych i można było jakoś wytrzymać.

Zajął się sklepem Samopomocy Chłopskiej, ogrodem warzywnym i służbowymi sprawami bieżącymi. Miał zresztą teraz rodzinę, o którą się musiał troszczyć.

Szary nie orientował się w tym wszystkim; nie podejrzewał

nawet, jakie koleje przechodziła walka kierownika administracyjnego o urządzenie szkoły w Polichnie Wielkiej. Nie zastanawiał się nad stanem urządzeń i nie krytykował braków, podobnie zresztą, jak nie uświadamiał sobie błędów i zaniedbań w organizacji wyszkolenia, a to z tej prostej przyczyny, że nie miał

dotychczas żadnych porównań, które mogłyby mu posłużyć przy ocenie.

Wykłady teoretyczne, raczej pogadanki z zakresu aero-dynamiki, meteorologii, budowy szybowców, aeronawigacji, terenoznawstwa, odbywały się tylko sporadycznie. Instruktorzy prowadzili je w sposób nudny, ograniczając się zresztą do kilku najprostszych

zasad, o których sami coś niecoś wiedzieli. Gorliwsi spośród nich posługiwali się podręcznikami lub starymi skryptami, zadając uczniom swoich grup „odtąd dotąd” i wypożyczając im owe podręczniki do „nauki własnej”! Tylko Grzymek i Rysiewicz przeprowadzali od czasu do czasu repetycje, i to głównie z własnej inicjatywy, ponieważ kierownik wykszolenia, Koźbiar, niewiele się tym interesował.

Inna sprawa, że kandydaci na pilotów powinni mieć za sobą wykłady teoretyczne i nawet egzaminy na kursach urządzanych w aeroklubach i kołach Ligi. W zasadzie takie przygotowanie było warunkiem przyjęcia do szkoły szybowcowej. Ale w praktyce okazywało się zwykle, że co najmniej połowa przybyłych nie ma o tych podstawowych gałęziach wiedzy lotniczej najślabszego pojęcia.

To szczególnie gniewało Koźbiara. Najchętniej odesłałby „tę zgraję osłów” z powrotem do domu, lecz nie mógł tego uczynić ze względu na brak innych kandydatów, poza tym zaś, ponieważ komendant szkoły, porucznik Bachler, stanowczo się temu opierał, nie chcąc zadzierać z protektorami poszczególnych „osłów”.

Niemniej jednak podczas pierwszej eliminacji, jeszcze przed rozpoczęciem lotów, Koźbiar bez litości skreślał najślabiej przygotowanych, pozostawiając tylko ustalony kontyngent, z którego później odpadali mniej zdolni.

Sam był pilotem z zamiłowania, a droga do osiągnięcia tego celu nie ułożyła mu się łatwo. Porównując ją z obecnymi udogodnieniami zżymał się na tych, których trzeba było namawiać i zachęcać do latania, jak to wynikało ze sprawozdań „terenu”

dostarczającego uczniów.

Szary nie lubił Koźbiara. Ta niechęć powstała zaraz pierwszego dnia jego pobytu w Polichnie, właściwie bez wyraźnego powodu, na podstawie dość powierzchownego wrażenia czy też domysłu, który jednak okazał się przypadkowo trafny.

Kierownik wykszolenia zjawił się owego dnia przed dwuszeregiem uczniów, aby ich powitać, podzielić na grupy i odczytać im regulamin szkolny. Wyglądał na lat dwadzieścia, choć ukończył już dwadzieścia sześć. Miał rudokasztanowate sztywne włosy, drobną, pokrytą piegami twarz i ciemne oczy o chmurnym, podejrzliwym wyrazie. Był małomówny i nieco szorstki w obejściu. Wywołując z listy kolejne nazwiska przybyłych na kurs, spoglądał na nich spode łba, a gdy doszedł w tej czynności do Haliny i Barbary, przyjrzał się każdej z nich uważniej i potrząsnąwszy głową, nieznacznie wzruszył

ramionami, jakby wyrażając potępienie dla decyzji okręgowych zarządów Ligi Lotniczej, które ponosiły winę przyjęcia obu dziewcząt.

Ten odruch i pogardliwy uśmieszek cienkich warg nie uszły uwagi Szarego. Mimo woli przyszedł mu na myśl podobny uśmiech wuja Adolfa, jakkolwiek Koźbiar nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał okazałego, ciężkiego Jennerta.

Wkrótce potem, mniej więcej w tydzień po rozpoczęciu lotów, rozeszły się pogłoski o drugiej eliminacji uczestników kursu, której ofiarą między innymi miały rzekomo paść obie dziewczyny. Wprawdzie ta wiadomość okazała się przedwczesna, ale z pewnych

napomknięć Piguły, któremu ubyło przy tym dwóch najslabszych uczniów, można się było domyślić, że niewiele do lego brakowało i tylko głos Rysiewicza uratował na pewien czas Barbarę i Halinę przed skreśleniem.

„Ale one i tak nie skończą tej szkoły — prorokowali pesymiści. — Koźbiar podobno od trzech lat nie wypuścił żadnej pilotki; Rysiewicz ich nie wybroni”.

Szary pomyślał teraz, że jego z pewnością nikt nie będzie bronił, a najmniej Piguła.

Piguła właśnie go mijał, kołysząc się na swych pałakowatych nogach. Szedł razem z Rysiewiczem w stronę komendy, gdzie przez oświetlone okna widać było postaci kilku innych instruktorów i wysoką sylwetkę porucznika Bachlera.

Szary usunął się w cień, pod rozłożyste krzewy bżów. Nie zauważyli go. Usłyszał głos Rysiewicza: —Co się będziesz tym przejmował! I tak zostanie ci jeszcze pięciu. Koźbiar z nim latał na próbę?

—Latał — mruknął Piguła. — I co z tego?

—To, że on go wypuścił. To znaczy...

—To nic nie znaczy — przerwał mu Piguła. — Nie znasz Koźbiara?

— Ba! — odrzekł Rysiewicz. — Moje dziewczyny też odpadną. Już mi powiedział.

Weszli obaj do ciemnego przedsionka, po czym Szary dostrzegł jeszcze przez okno, jak wszyscy z wyjątkiem kierownika wyszkolenia zasiedli dokoła długiego stołu. Koźbiar stał przez chwilę patrząc na nich spode łba, z taką miną jakby ich podejrzewał o jakiś spisek; potem sięgnął do kieszeni, wyjął duży czerwony notes ściśnięty gumową opaską, otworzył go, odwrócił

dwie czy trzy kartki i zaczął mówić.

Wyrzucał z siebie krótkie zdania, ze wzrokiem wbitym w blat stołu, jakby wyłącznie temu prostemu sprzętowi powierzał

swoje nieodwołalne, głęboko przeanalizowane wnioski; urywał

nagle, odwracał stronę, odfajkował ołówkiem j mówił znowu.

Wreszcie zamknął notatnik, naciągnął opaskę i trzasnąwszy nią w czerwoną okładkę z wyrazem nieugiętej stanowczości, usiadł na swoim miejscu.

Szary pomyślał, że w tym małym czerwonym zeszycie zapisano już wiele wyroków i że prawdopodobnie znalazł się tam także wyrok na niego i na Halinę. Nie słyszał ani słowa z tego, co Koźbiar powiedział, bo okna były zamknięte i nie przenikały spoza nich żadne głosy, ale od chwili, w której przypadkiem podsłuchał strzęp rozmowy Rysiewicza z Grzymkiem, nie miał już żadnej nadziei.

Wiem w oddali, od strony wysokiego masztu sterczącego pośrodku kolistego trawnika, rozległ się przeciągły gwizdek na zbiórkę do apelu wieczornego, a zaraz potem zmieszane okrzyki i śmiechy zmąciły ciszę. Szary odetchnął głęboko i ruszył w tamtym kierunku.



Gdy Koźbiar skończył mówić, posługując się swym notatnikiem, w izbie odpraw instruktorskich zaległo głębokie milczenie.

Argumenty kierownika wyszkolenia zdawały się celne, nie do odparcia.

Już przed paru tygodniami proponował skreślenie kilku uczniów, którzy teraz, w okresie lotów kontrolnych przed pierwszym samodzielnym startem, okazali się do niczego. A jednak trzeba było aż dwóch tygodni, aby instruktorzy sami się o tym przekonali!...

— Czy to nie jest strata czasu i środków materialnych udzielanych przez państwo? — pytał. — Czy taki Jaś, który tu przyszedł głównie dlatego, że i Józio wpadł na ten pomysł, zasługuje na tyle starań i wysiłków, skoro w gruncie rzeczy wcale mu tak bardzo nie zależy na lataniu? I czy nie czas z tym skończyć?

Wszyscy musieli przyznać mu słuszność. Ale gdy padły nazwiska tych, którzy jego zdaniem nie zasługiwali na dalsze szkolenie, Grzymek poruszył się, jakby chciał zaprotestować, a Rysiewicz poczerwieniał i rzucił Koźbiarowi wyzywające spojrzenie. Mimo to obaj milczeli nadal czekając jeden na drugiego, ponieważ żaden nie chciał pierwszy się odezwać.

Bachler od razu to zauważył i jakkolwiek zwykle starał się unikać dyskusji, które jego zdaniem były zupełnie zbyteczne, tym razem uczynił wyjątek.

— No? — powiedział tonem zachęty. — Zdaje się, że instruktorzy mają w tej sprawie odmienne zdanie. Proszę się , wypowiedzieć, kolego Rysiewicz.

Rysiewicz musnął go przelotnym spojrzeniem, przegar-  
nął palcami włosy i utkwiał wzrok w twarzy Koźbiara.

—Według mnie te dziewczyny powinny się szkolić dalej —odrzekł. — Zwłaszcza Doboszówna...

—Bo ładniejsza — wtrącił ktoś szeptem, a inni roześmieli się głośno.

—Proszę o spokój — odezwał się Bachler, choć sam uśmiechał się także.

—Zwłaszcza Doboszówna — powtórzył Rysiewicz marszcząc brwi. — Nie dlatego że ładniejsza, tylko dlatego, że ma kurs spadochronowy...

—Nie ukończony — przeciął Koźbiar.

Rysiewicz o tym nie wiedział; trochę go to zmieszało.

—Ja bym był za dalszym szkoleniem — powtórzył. — Jeszcze kilka lotów na dwusterze \* i Doboszównę będzie można wypuścić.

—No? Co wy na to? — spytał Bachler zwracając się do Koźbiara.

Kierownik wyszkolenia lekko wzruszył ramionami.

— Według mnie szkolenie dziewcząt w ogóle nie ma sensu — odrzekł niechętnie. — Na sto wyszkolonych trenuje zaledwie kilka, i to najwyżej przez dwa, trzy lata. Potem wychodzą za mąż i na tym się kończy. Te dwie... No, byłby już czas, żeby zaczęły latać samodzielnie. Więc może jutro polecę z nimi na próbę i zobaczymy. A co do Szarego — spojrzał na Grzymka — też są jakieś wątpliwości?

— Nie ma żadnych. To mój najlepszy uczeń! — wypalił

Piguła.-

Koźbiar skrzywił się ironicznie.

—No, no..; Najlepszy uczeń najlepszej grupy. Co będzie, jak zaczną latać słabsi?

—Lataliście z nim na próbę — odrzekł Grzymek. — Sami wiecie: ma talent.

—Może i ma, tylko my nie mamy dla niego dość sprzętu.

Rozbił Żurawia po prostu dlatego, że nic go nie obchodzą przepisy startowe. Powinien być za to ukarany. ; Grzymek zaciął zęby i milczał, podczas gdy Koźbiar mówił

dalej, rozwodząc się nad brakiem poczucia odpowiedzialności wśród uczniów, a także wśród niektórych instruktorów. „Wszystko przychodzi im zbyt łatwo. Dlatego nie umieją ocenić ani naszej pracy, ani wkładów, jakie czyni państwo, aby ich wyszkolić. Nie dbają o sprzęt, lekceważą dyscyplinę, nie obchodzi ich nic poza przyjemnym spędzeniem czasu na kursie. A wy chcecie tolerować taki stosunek do szybownictwa! Trzeba z tym raz skończyć”.

Ale Grzymek nie ustępował. Potrafił wiercić dziurę w brzuchu nie tylko swoim uczniom, a Koźbiar wiedział, że go nie przegada. Wysłuchawszy po raz trzeci opisu sytuacji, w jakiej Szary powziął błędną decyzję lądowania w lewo od niespodzianie przybyłego zespołu, oświadczył, że gotów jest odstąpić od swego wniosku, jeśli Grzymek weźmie na siebie odpowiedzialność za wszelkie dalsze uszkodzenia sprzętu spowodowane przez tego „utalentowanego” ucznia. Zgadzał się, że Szary w powietrzu daje sobie radę, ale obstawał przy tym, że jest roztargniony i nie dość szybko się orientuje.

Uczyniwszy to ustępstwo przeszedł do innych spraw bieżących, a w szczególności do omówienia programu na najbliższy tydzień.

Odprawa wlokła się powoli, nudnie. Kierownik wyszkolenia powtarzał rzeczy dawno już ustalone i wypróbowane, które znali na pamięć.

Oficjalny program i tym razem okazał się zbyt obszerny, należało go skrócić, podobnie jak na wielu poprzednich turnusach.

Grzymek wiedział, że przyczyną tych ustawicznych skrótów jest marnowanie czasu w pierwszych dniach kursu, kiedy nie lata się, bo nie ułożono zawczasu podziału lotniska między poszczególne grupy lub właśnie wypadł jakiś nieprzewidziany remont silników przy wyciągarkach czy też Koźbiar nie zdążył

przyholować potrzebnych szybowców i dopiero teraz wyprawił się po nie.

Grzymek nie zdradzał się oczywiście z tym swoim sądem.

Jego osobiste stosunki z kierownikiem wykształcenia i tak nie były najlepsze. Wolał z nim nie zadzierać. Siedział, słuchał i notował nie zabierając głosu.

Wreszcie odprawa się skończyła.

Grzymek i Rysiewicz znów wyszli razem.

— No, wygrałeś — powiedział Rysiewicz. — Ale jak ten Szary znów co sknoci...

— Ja mu sknocę! — odrzekł Grzymek tonem pogróżki.

Rysiewicz pomyślał, że Piguła musi być bardzo pewien swego ucznia. Sam bynajmniej nie był przeświadczony o zdolnościach Doboszówny, o którą mu głównie chodziło.

Podobała mu się; rzeczywiście była bardzo ładna. Ten wzgląd odegrał niepoślednią rolę w jego opinii, a także w usilnych staraniach o jej wykształcenie. Powłóczył spojrzenia jej ciemnych, „aksamitnych” oczu trochę mu nawet zawróciły w głowie.

Wydawało mu się, że jest niezwykle inteligentna i czytana.

Podziwiał jej zamiłowania artystyczne. Gdy recytowała jakieś wiersze albo fragmenty swoich ról teatralnych, zwracając się jak gdyby do niego, ciepłe, miłe uczucie rozlewało mu się wokół serca. Oczywiście starał się tego nie okazywać przy innych, zwłaszcza przy uczniach. Lecz czasem spotykał drwiące spojrzenia tej drugiej, Barbary, i wtedy uświadamiał sobie, że niedostatecznie panuje nad sobą.

Zauważył, że chłopcy odnoszą się do Barbary Lachów-ny znacznie przychylniej niż do ładnej Haliny. Trochę go to drażniło.

Barbara była drobna, szczupła — właściwie dość niepozorna.

Miała ciemne włosy, bezpretensjonalnie gładko uczesane i ukryte pod jaskrawą chustką, którą wiązała ciasno dokoła głowy. Nie barwiła brwi i nie używała ani szminki, ani różu, może dlatego, że wystarczała jej ciemna opalenizna i śniada, gładka cera twarzy rozjaśnionej dwojgiem niebieskich oczu.

Z pewnością nie była efektowna. W drelichowym kom-binezonie przypominała raczej chłopca niż dziewczynę. Prze-kornego chłopca o wesołym, kpiarskim usposobieniu. Zapewne można ją było lubić, ale nie budziła żadnych uczuć o bardziej tkliwym zabarwieniu.

Natomiast Halina była „kobieca”. Rysiewicz podziwiał jej wdzięk, wyobrażał ją sobie na scenie albo w stylowej sukni tańczącą z nim na jakimś balu.

To by do niej bardzo pasowało — myślał. — Te głupie szczeniaki naturalnie wolą Lachównę, bo jest do nich podobna.

Halina ma w sobie coś, co ich onieśmiela; imponuje im.

Mylił się pod tym względem, a w każdym razie przeceniał

wrażenie, jakie Halina robiła na chłopcach. Dytyński z grupy Grzymka wyraził to bardziej obrazowo: „Ogórek z konfiturami —powiedział o niej kiedyś. — Chłodna i słodka — wyjaśnił jeszcze na użytek Chudego, który już miał na ustach pytanie w tej sprawie.

— Może to nawet ładnie wygląda, ale na co dzień do jedzenia się nie nadaje. Osobiście rezygnuję”.

Byli jednak również tacy, którzy nie rezygnowali. Do tych należał przed innymi Szary.

Rysiewicz spotkał go ubiegłej zimy w Zakopanem, na owych zawodach narciarskich, w których Szary wysunął się na jedno z pierwszych miejsc w kombinacji alpejskiej. Mieli jednakową punktację za slalom, lecz podczas zjazdu, w najtrudniejszym miejscu trasy, na stromym zboczu między stacją kolejki na Myślenickich Turniach a Doliną Kasprową, Szary poleciał w dół

jak wichur ły przybył do mety prawie o pół minuty wcześniej, zdobywając najlepszy czas dnia. Było to piękne zwycięstwo, a towarzyszył mu rozgłos godny zazdrości.

Mimo to, gdy Szary znalazł się na kursie szybowcowym, Rysiewicz z początku nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie go już widział. Dopiero kiedy spostrzegł pewną jego zażyłość z Haliną i zapytał ją wprost, skąd się znają, z pamięci wyłoniło się tamto zimowe spotkanie.

Hala wyrażała się o tej starej przyjaźni powściągliwie i Marek wyciągnął stąd wniosek, że dawny jego współzawodnik nie miałby wielu szans w konkurencji o serce dziewczyny. Czyż zresztą którykolwiek z tych szczeniaków mógł wchodzić w rachubę jako jego rywal?

Marek wiedział, że jest przystojny, i uważał się przy tym za bardzo szykownego młodzieńca. Dziewczęta przepadały za jego towarzystwem; niektóre po prostu narzucały mu się ze swoją sympatią, choć nie zawsze o nią zabiegał. Wszelkie porównania z milczącym, nieco ponurym i nieśmiałym chłopakiem, jakim Szary wydawał się Rysiewiczowi, musiały wypaść na korzyść tego ostatniego.

Niestety, nazajutrz wszystko to mogło się skończyć, jeśli Koźbiar uzna, że Doboszówna nie robi dostatecznych postępów w opanowaniu najprostszych elementów pilotażu. Prawdopodobnie tak się właśnie stanie — pomyślał. — Skreśli dziewczynę i koniec.

Nie łudził się wcale co do jej zdolności, ale wiedział, że potrafiłby nauczyć ją latać, gdyby kierownik wyszkolenia zostawił

mu trochę więcej czasu. Zdarzało się, że Koźbiar milcząco zgadzał

się na takie odchylenia; tylko nie wówczas, gdy chodziło o dziewczęta.

Przyczyna jego niechęci do szkolenia dziewcząt była w Polichnie tajemnicą publiczną. Wszyscy wiedzieli, że to właśnie Koźbiar uczył latać Józję Patrynowną, w której kochał się bez wzajemności, i że Józia wkrótce potem wyszła za Dudziaka.

Od tego czasu upłynęło już parę lat, Dudziakowa z młodo-dziutkiej uroczej dziewczyny przeobraziła się w żonę i matkę, trochę się zaniedbała i trochę zawiodła, zrezygnowała z latania i przygasła wśród monotonnych zajęć, plotek i nudy w tym niewielkim światku,

jaki ją otaczał.

Koźbiar przebolewał swój osobisty zawód uczuciowy, ale nie mógł się pogodzić z rozczarowaniem, jakie mu sprawiła porzucając latanie. Była zdolna; miała talent; mogła odrzucić jego, Koźbiara, ale wyrzec się szybownictwa?

Latanie bowiem było dla Koźbiara sprawą najważniejszą w życiu. Gdyby nie mógł latać, czułby się niczym.

Niewiele brakowało, żeby go ten zły los spotkał. W roku 1946, gdy miał lat siedemnaście i wszelkie dane, że wreszcie dostanie się na kurs szybowcowy, o czym nie tylko marzył, ale do czego uparcie dążył niemal od dzieciństwa, dowiedział się podczas wstępnych badań lotniczo-lekarskich, że jest daltonistą \* i nie może zostać lotnikiem.

Nie chciał się z tym pogodzić. Wrócił do swego aeroklubu w Krakowie i zaczął szukać sposobów pokonania tej nowej przeszkody. Obszedł wszystkich okulistów, uciekał się do znachorów, próbował sam nauczyć się rozróżniać barwę zieloną od czerwonej, a gdy wszystko to zawiodło, postanowił

przekonać lekarzy, iż daltonizm nie utrudni mu latania, przynajmniej w dzień, kiedy nie używa się kolorowych świateł

pozycyjnych na skrzydłach.

Zarząd Ligi popierał te jego starania ze względu na bezsporne zasługi, jakie Koźbiar położył przy organizacji sportu lotniczego w ogóle, a Krakowskiego Aeroklubu w szczególności, poświęcając tym zajęciom cały swój czas. Można go było spotkać co dnia na lotnisku i co wieczór w lokalu klubowym. Pomagał

przy myciu i przetaczaniu samolotów, starał się o części wymienne, urządzał magazyn, prowadził korespondencję i statystykę, brał udział w zebraniach, jeździł na konferencje, gdzie wyklócał się o przydział sprzętu i kredyty, wykladał na kursach, odwiedzał koła lotnicze, sędziował na zawodach modeli latających, słowem był aktywistą i pracował za dziesięć, nie tracąc z oczu właściwego celu tych poczynań: wyjednanie przydziału na kurs pilotażu.

Wszystkie te jego zabiegi rozbijały się jednak o wyraźne, niewzruszone przepisy. Powtórne badania lotniczo--lekarskie skończyły się znów wynikiem niepomyślnym.

Wtedy uparł się, że nie wyjdzie z gabinetu okulisty, póki mu nie pozwolą latać, choćby tylko w dzień i tylko na szybowcach.

Ale wyproszono go za drzwi, więc usiadł w korytarzu i czekał.

Godziny wlokły się jedna za drugą, czas badań minął, lekarze opuścili budynek, a on został. Woźny nie mógł sobie z nim poradzić i w końcu zamknął go na noc w pustym gmachu.

Nazajutrz dyrektor Centrum \* zastał go siedzącego pod drzwiami. Wysłuchał jego historii, porozumiał się z zarządem Ligi Lotniczej, zwołał konsylium, Wreszcie sprawa oparła się o ministerstwo.

W wyniku całej tej epopei Koźbiar otrzymał przydział na kurs szybowcowy, przydział z licznymi zastrzeżeniami mającymi uchronić jego oraz cenny sprzęt przed niebezpieczeństwem pomyłek, których przyczyną mogłaby się stać wada wzroku.

Nie okazał się wybitnie zdolnym uczniem. Latał przeciętnie, ale wystarczająco na swoje potrzeby. Po roku miał już trzecią kategorię, spełnione dwa warunki do srebrnej odznaki szybowcowej \* i ukończony kurs podstawowego pilotażu na samolocie CSS-13. Na tym jednak skończyły się jego możliwości.

Dwukrotnie odpadł w eliminacjach do zawodów krajowych i zdoławszy jeszcze tylko zdobyć odpowiednią licencję, został

zawodowym instruktorem szybowcowym, a później kierownikiem wyszkolenia w Polichnie.

Nie pasjonowała go bynajmniej sprawa szkolenia młodych pilotów, lecz to stanowisko dawało mu dość okazji do latania także dla własnej przyjemności. Z biegiem czasu coraz mniej starań i pracy poświęcał właściwym swoim obowiązkom; popadł

w rutynę; poza lataniem robił tylko to i tylko tyle, ile musiał.

Ubiegał się natomiast o wszelkie przeloty, a przede wszystkim zawładnął niemal całkowicie transportem \ szybowców dla szkoły. Latał po nie do Bielska i do Poznania, holował je z wytwórni i warsztatów naprawczych, nie dopuszczając nikogo innego do tych podróży, które odbywał, ilekroć tylko nadarzała się po temu sposobność.

Porucznik Bachler, komendant szkoły, ulegał mu we wszystkim, głównie z wrodzonego lenistwa i zamiłowania do „świętego spokoju”. Traktował swój przydział jako rodzaj urlopu wypoczynkowego, uważając, że machina szkolna działa zupełnie sprawnie i nie wymaga szczególnej opieki. Bywał na niektórych odprawach, podpisywał służbowe papiery, wysłuchiwał

sprawozdań kierowników, technicznego i administracyjnego, przyjmował raporty, a gdy zachodziła potrzeba jakiejś rozstrzygającej decyzji, odwlekał ją w nieskończoność, aby wreszcie postąpić tak, jak doradzał Koźbiar.

W tym stanie rzeczy szkoła w Polichnie bynajmniej nie należała do najlepszych.

Rysiewicz wiedział o tym doskonale i niejednokrotnie powtarzał, że więcej się tu dzieje na papierze niż w rzeczywistości.

—Gdyby nie my — powiedział do Grzymka — w ogóle wszystko by stanęło. Nie wyszedłby stąd ani jeden pilot z trzecią kategorią.

—Przesada — mruknął Piguła.

Nie zamierzał wdawać się w dyskusję z Rysiewiczem.

Uważał to za całkowicie jałowe. Zresztą do pewnego stopnia podzielał jego zdanie, tylko bardziej bezstronnie przypisywał

zasługę pewnych pozytywnych osiągnięć całemu zespołowi.

—Kadra jest niezła — dodał. — Wcale niezła. Mechanicy, Sitarski, nawet Dudziak...

—Dudziak? Ten sklepikarz? — wykrzyknął Rysiewicz. —Może i Koźbiał także?

Piguła nie podjął wyzwania; milczał. Wiedział, że Marek gotów jest krytykować wszystko i wszystkich, ale tylko w rozmowach prywatnych i to jedynie wobec niego. Sam zresztą przestał „wychylać się” na odprawach; czynił to dawniej, ale „dostał parę razy po łbie”, jak to określał, i dał spokój. Zdobywał

się czasem jeszcze na obronę tego lub owego ze swych zdolniejszych uczniów, jeśli im groziło niesłuszne skreślenie z kursu, tak jak to było dzisiaj z Szarym.

Bysiewicz pod tym względem zachowywał ostrożność; nie chciał zadzierać z Koźbiarem, a zresztą mało go to wszystko obchodziło, ponieważ pracę instruktora uważał za dopust boży, a pobyt w Polichnie za etap przejściowy, który należało cierpliwie przetrwać, nie psując sobie opinii.

O tę opinię Rysiewicz dbał nade wszystko, od niej bowiem, jak sądził, zależało powodzenie jego dalszych planów życiowych.

Był młodym, niedawno wyszkolonym pilotem, niewątpliwie zdolnym i ambitnym. Marzył o rekordach i o sławie; nie zadowalała go praca dla chleba, choćby w tym zawodzie, który sobie obrał z upodobania. Musiał się wybić, zabłysnąć!

Aby to osiągnąć, przeanalizował i wytknął sobie pewną zasadniczą drogę i sposób postępowania, których konsekwentnie usiłował się trzymać, bacząc zarazem, by nie pominąć żadnej sposobności zwrócenia na siebie uwagi i nie popełnić żadnego błędu; Ten jego plan miał decydować o każdym posunięciu, niemal o każdym kroku; reszta się nie liczyła. Tak przynajmniej to sobie wyobrażał, do tego dążył.

Lecz ponieważ zasady obarczone są zwykle wyjątkami, i on także ulegał nieraz własnym sprzecznym popędom, uczuciom i tłumionym wybuchom temperamentu. Nie były to zresztą wybuchy podobne do wybuchów wulkanu i nie miały następstw katastroficznych. Przypominały raczej niewielkie eksplozje, na ogół nieszkodliwe, po których ślady zacierały się bardzo prędko.

Powodem owych drobnych odchyłeń były przeważnie sercowe sprawy Marka, sprawy niezbyt poważne, ale za to dość częste i bardzo zmienne. Jedna z takich spraw, trwalsza od innych, zaczęła się wraz z przybyciem Haliny Dobo-szówny na kurs szybowcowy w Polichnie Wielkiej.

Rozsiawszy się z Grzymkiem u wejścia do brzydkiego piętrowego budynku, w którym mieszkali żonaci, Rysiewicz skręcił w wąską alejkę, raczej ścieżkę, między wybujałymi krzakami bzów i jaśminów, która biegła dalej wzdłuż zruj-nowanego basenu pływackiego i łączyła się z inną, wiodącą do mieszkań kawalerów. Te ostatnie mieściły się w tak zwanym „kurniku”, długim parterowym baraku z pruskiego muru, z odpadającym tynkiem i dachem z papy. Były tam pojedyncze pokoje poprzedzielane wspólnymi umywalniami o popsutych kranach! popękanych lub rozbitych miskach, a także ustępami nie nadającymi się przeważnie do użytku z powodu zatłoczonych przewodów kanalizacyjnych;

Rysiewicz mieszkał obok kierownika technicznego szkoły.

Dzięki ich zgodnym wysiłkom przyległe ubikacje zostały wyremontowane, po czym drzwi wejściowe zaopatrzono w potężny zamek, broniący przystępu mniej dbałym o czystość i higienę sąsiadom.

Ten budujący przykład nie podziałał zresztą na pozostałych lokatorów -kurnika", którego wygląd stawał się coraz bardziej niechlujny i opuszczony. Dudziak na wszelkie zażalenia w tej sprawie wrzusał ramionami. Gdy przydzielał mieszkania, kanalizacja i wodociągi działały. Kto je popsuł, niech naprawi.-

-Zobaczcie, jak jest u Sitarskiego i Rysiewicza" dodawał; Rysiewicz po krótkim wahaniu minął w ciemności ów -kurnik" i wyostał się na główną drogę, na wprost komendy szkoły, skąd niedawno wyszedł wraz z Pigułą. Teraz było tu już zupełnie pusto. Światła w oknach pogasły i tylko z pobliskiej wartowni u bramy wjazdowej sączyły się wątle smugi blasku od żarówki umieszczonej pod samym sufitem.

Dalej na lewo, cofnięty w głąb i zasłonięty grupą drzew, stał

jeszcze jeden budynek parterowy przylegający do kuchni. Mieściły się tam pokoje gościnne przeznaczone na noclegi dla przyjezdnych. Jeden z takich pokoi zajmowały dziewczęta, Halina i Barbara;

Zapewne już spały: okno zasłonięte kolorowym kretonem było uchylone, ale ciemne. Rysiewicz przeszedł się pod nim tam i z powrotem, przystanął w cieniu ozdobnego klonu i nasłuchiwał

przez chwilę. Żaden szmer nie mącił wieczornej ciszy.

Spi — upewnił się w myśli.

Miał już zawrócić i odejść, gdy lekko skrzypnęły drzwi.

Halina wysunęła się na zewnątrz i stanęła w progu.

—To pan? — spytała szeptem.

—Ja — odrzekł Marek.; — Myślałem, że już obie za-snęłyście.-

—Barbara śpi jak suseł — powiedziała Halina. — A ja..; Może usiądziemy tu na ławce?

Dotknęła jego ręki, jakby przypadkiem, on zaś zatrzymał jej palce w dłoni, siadając obok;

Zaczął mówić z pewnym roztargnieniem. Tak, to poszło dość łatwo. To jest... nie zapadła jeszcze żadna decyzja.

—Jutro Koźbiar poleci z panią na lot kontrolny — dodał.

—Koźbiar — powtórzyła. — To znaczy..: —To właściwie nie ma wielkiego znaczenia — powiedział

bez przekonania. — Tylko trzymać się dzielnie, panno Halino,'



Nie patrzyła na niego. Z wolna wysunęła dłoń z jego ręki; —Ja z nim wcale nie polecę — oświadczyła stanowczo.

—Jak to nic poleci pani? — zdumiał się. — Przecież Koźbiar.

—Bo to nie ma sensu — przerwała. — Juk mnie mają skreślić, to wolę sama i już. Wcale mi znów tak bardzo nie zależy na lataniu, żebym miała znosić ironiczne uwagi Koźbiara. Nie, to nie!

Rysiewicz był zaskoczony tym nagłym zwrotem.

—Przecież dotychczas zależało pani — powiedział niepewnie.

—A teraz nie!

—Cóż się takiego stało?

—Och, śmieszny pan jest, panie Marku. Nic się nie stało. Nie mam ochoty wojować z Koźbiarem, a tym bardziej starać się o jego względy. Jadę jutro do domu.

— I nie będzie pani żal odjeżdżać?

—Nie ma tak bardzo czego żałować.

—Ani też kogo... Prawda?

Pochwycił jej spojrzenie spod spuszczonej rzęs.'

—No, może by się taki znalazł — powiedziała cicho. — A czy on też będzie żałował, że wyjadę?

—Bardzo!

—To się tak tylko mówi, a potem się zapomina. Pan miał ze mną same kłopoty..;

Rysiewicz odrzekł, że kłopoty zaczną się dopiero teraz, i to dlatego, że nie będzie mógł zapomnieć. Starał się nadać temu zdaniu ton bardzo stanowczy i zarazem liryczny, ponieważ jednak Halina kręciła głową z niedowierzaniem, postanowił ją o tym przekonać i właśnie szukał odpowiednich argumentów, może nawet nie tylko słownych, gdy dostrzegł, że perkalowa zasłona w oknie lekko zafalowała. Obudziło to jego czujność.

—Czy Lachowna na pewno śpi? — zapytał szeptem.

—Śpi — odrzekła Hala, skłaniając głowę na jego ramię.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Wtem spoza uchylonego okna odezwały się wysokie, brzęczące tony sentymentalnej melodii wygrywanej na grzebieniu: „Usta milczą, dusza śpiewa...”

— A niech to! — rzucił Marek przez zęby, zrywając się na równe nogi.

Jednocześnie melodia urwała się na krótkim parsknięciu, perkalowa zasłona poruszyła się gwałtownie, jęknęły sprężyny łóżka i głucha cisza zapadła znowu, jakby zaczajona w oczekiwaniu na jakiś kataklizm,

Rysiewicz stał jeszcze przez chwilę, wstrzymując oddech, wpatrzony w to okno, zaskoczony i niepomiernie zmieszany. Nie wiedział, jak się ma zachować: wzruszyć pogardliwie ramionami czy roześmiać się jak z wesołego żartu? Obejrzał się na Halinę i dopiero teraz spostrzegł, że już jej nie ma na ławce, — Dobranoc, panie Marku — usłyszał szept w ciemności.

Spojrzał ku drzwiom i zdołał jeszcze zobaczyć jej postać znikającą w ciemnej sieni.

Proszę wykonać zakręt w prawo o 180° — powiedział Koźbiar.

Barbara skinęła głową. Obejrzała się w prawo, zwiększyła prędkość, położyła szybowiec na skrzydło, a gdy horyzont ruszył i zaczął się toczyć nad maską, wyrównała stery i lekko ściągnęła drążek.

— Dość! — rzucił Koźbiar. — Wyprowadzić.

Zrobiła to bez pośpiechu, płynnie, jakby od niechcienia.

— Jeszcze nie ma 180° — zauważyła na głos; — Nie szkodzi — mruknął. — Proszę podejść do lądowania i wylądować. Wiecie, gdzie jest wasza grupa?

— Tam — wskazała bez wahania na prawo w skos.

— No więc! W którą stronę zakręcicie?

Barbara spojrzała na wysokościomierz; miała jeszcze sto pięćdziesiąt metrów.

— W lewo — powiedziała;

— A dlaczego nie w prawo?

— Bo jesteśmy blisko lotniska. Kierunek krążenia jest w lewo, więc moglibyśmy zderzyć się z kimś w powietrzu.

— No właśnie, właśnie! — potwierdził gderliwie. — A poza tym mamy za dużą wysokość, więc trzeba ją wytracić. To chyba nietrudno zauważyć!

— Wcale nietrudno — zgodziła się Barbara. — Ja też to od razu zauważyłam.

Ten jej spokój i pewność siebie irytowały Koźbiara. Zdawało mu się, że dziewczyna po prostu go lekceważy.

Wyobraża sobie, że już wszystko umie — pomyślał.

Najchętniej skreśliłby ją z kursu bez żadnych lotów kontrolnych. Czuł, że teraz sprawiłoby mu to nawet pewne zadowolenie, gdyby tylko zdołał się przekonać, że Lachów-na lata słabo, że nie nadąża za normalnym trybem wyszkolenia. Ale, jak dotychczas, nie popełniła żadnego zasadniczego błędu. Koźbiar nie mógł znaleźć powodu, dla którego nie miałyby zacząć latać samodzielnie, z wyjątkiem tego jednego, że była dziewczyną. Lecz ten powód, niestety, wystarczyłby tylko jemu samemu; nie czynił

zadość przepisom; nie można było udowodnić, że jest i w tym wypadku równie istotny, jak w tylu innych...

Barbara już wyprowadziła szybowiec z zakrętu wchodząc na prostą, równoległą do zawietrznej strony lotniska. Na lewo, daleko w dole tkwiła grupa startowa z łagodnie powiewającą chorągiewką. Jakiś Żuraw podtrzymywany za skrzydło przez jednego z uczniów ruszył naprzód pociągnięty linką wyciągarki, sunął chwilę po niskiej trawie, nabrał

pędu, oddzielił się od ziemi, zaczął się wznosić stromo, jak latawiec na tęgim wietrze. Po chwili pilot wyrównał i odczepił się; Samodzielny — pomyślał Koźbiar. — To będzie ktoś z grupy Grzymka.

Zmierzy! wzrokiem odległość, porównał wysokość. Tak, można było lądować przed nim, ale już! Natychmiast, żeby mu nie przeszkodzić.

W tej samej chwili, uprzedzając jego komendę, Barbara zaczęła skręcać w lewo. Zanim jeszcze ukończyła ten manewr, otworzył hamulce.

Szybowiec podniósł się z wirażu, osiadając przy tym jak nadmiernie wyrośnięte ciasto, na które wionie zimny przeciąg.

Schodził ku ziemi wśród niskiego, jednostajnego poszumu, pozbawiony swych normalnych właściwości. Nie ślizgał się już jak przedtem; grzął w powietrzu, którego wypór uchodził spod gładkich skrzydeł otwartymi szczelinami, podczas gdy ziemia zdawała się puchnąć jak olbrzymia wzdymająca się bania.

Koźbiar śledził to zjawisko z niezmaconym spokojem. Nie był pewien, czy Barbara je dostrzega i czy zdaje sobie sprawę z jego przyczyny; czy wie, że hamulce są otwarte.

Czekał; miał jeszcze dość czasu.

Nie chciał jej naprowadzić na żaden domysł. Powinna sama to zauważyć, jeśli jest taka bystra! Powinna by o tym wiedzieć od początku, jeżeli umie ocenić wysokość, z jakiej schodzi do lądowania. Bo jeżeli nie,;

W tej chwili mała dźwignia umieszczona przy lewej burcie przesunęła się w tył i szybowiec wszedł na śliski, elastyczny jak wypolerowana sprężyna nurt wiatru, który łagodnie, lecz pewnie i silnie, podłożył mu się pod skrzydła.

— Trochę za wcześnie — mruknął Koźbiar. — Będziemy mieli przelot.

Ale ta nieposkromiona dziewczyna zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

— Tam są kretowiska — powiedziała ściągając drążek. — Tu będzie równiej.

Wylądowała gładko, zaledwie o kilka metrów za daleko.

— Więc może, waszym zdaniem, powinno się przesunąć start z powodu tych kretowisk? — spytał Koźbiar zaczepnie, gdy szybowiec stanął i oparł się na skrzydle.

Obejrzała się na niego,

—No, można by je po prostu wyrównać. Za pomocą szpadla — dodała.

—Aha. Za pomocą szpadla. Bardzo słusznie? To wiecie co?

Przejdźcie się zaraz po szpadel i wprowadźcie w czyn ten wasz racjonalizatorski pomysł, dobrze?

—Doskonale — odrzekła.

Gdy Rysiewicz ujrzał z daleka, że Barbara po odbytym locie kontrolnym odchodzi w

stronę hangaru, był pewien, że Koźbiar postawił na swoim.

Halina miała słusność —. pomyślał. — Zrezygnowała sama, a Lachównę i tak skreślią, choć prawdę mówiąc lata dużo lepiej.

Postanowił, że nawet nie zapyta, jakie błędy popełniła.

Na cóż by się to zdało? Koźbiar mógł się przyczepić do byle głupstwa, a odwoływanie się od jego decyzji do jakichś wyższych instancji byłoby zbyt kłopotliwe i ryzykowne.

Nie, Rysiewicz nie miał ochoty kruszyć kopii o tę Lachównę.

Zwłaszcza po jej wczorajszych popisach muzycznych na grzebieniu! Gniewało go jeszcze to wspomnienie, choć skłonny był uznać je za dość zabawne.

Ostatecznie przecież okazało się, że znacznie łatwiej jest kiepsko grać na grzebieniu niż jako tako latać! To właśnie zamierzał jej powiedzieć. Tylko tyle, ponieważ uważał się za wielkodusznego.

Tymczasem Koźbiar podszedł do grupy i stanąwszy obok Grzymka patrzył na lądowanie owego Żurawia, który wystartował, podczas gdy on sam wracał z lotu kontrolnego w strefie poza lotniskiem.

Pilot dobrze obliczył miejsce przyziemienia, wyrównał, na wysokości pół metra spokojnie wytrzymał utratę prędkości i pewnym ruchem ściągnął ster, dokładnie w chwili, gdy płoza musnęła wierzchołki trawy. Lecz mimo tej precyzji, Żuraw wyskoczył długim szczupakiem odbiwszy się o jakąś nierówność gruntu, po czym dopiero szurnął płozą i po krótkim wahaniu pochylił się bezwładnie w lewo, skończywszy dobieg tuż przed linią startu.

— Kto to jest? — spytał Koźbiar.

Grzymek dopiero teraz na niego spojrział.

— To Szary — powiedział. — Drugi lot samodzielny. Tylko tam są kretowiska i dlatego..;

— Już o tym słyszałem — przerwał mu Koźbiar. — Trzeba było je wyrównać. Ta wasza Lachówna też może latać samodzielnie — zwrócił się do Rysiewicza. — Zaraz tu przyjdzie; posłałem ją po łopatę. Do wyrównania kretowisk — dodał spostrzegłszy, że Rysiewicz lekko wzruszył

ramionami. — Przecież nie do latania!

Pociąg odchodził dopiero o dziesiątej wieczorem, ale Halina pojechała na stację już o siódmej, ponieważ następny autobus nie zatrzymywał się w Polichnie, a kierownik administracyjny nie wiedział, czy trafi się jakaś okazja, żeby Halinę podwieźć do miasta. Miała sporą, dość ciężką walizkę i musiała sama donieść ją do przystanku odległego prawie o kilometr. Nikt nie pomyślał, żeby jej pomóc. Odczuła to boleśnie.

Popołudniowe loty zaczęły się o zwykłej porze i wszyscy byli zajęci. Nikt jej nie żegnał i nie odprowadzał. Perspektywa spędzenia paru samotnych godzin w pustej poczekalni

dworca po prostu ją przygnębiała.

Lecz okazało się, że poczekalnia bynajmniej nie jest pusta.

Gdy tam weszła, zaledwie jeden z czterech stolików był wolny.

Przy trzech pozostałych siedziały w półmroku młode pary zajęte sobą każda z osobna, jakby ten niewielki i niezbyt przytulny lokal stanowił w najbliższej okolicy jedyne miejsce sentymentalnych spotkań.

Sześć par oczu spojrzało ciekawie na wchodzącą, po czym twarze zwróciły się znów ku sobie, a niższe głosy zaszemrały nad kuflami piwa.

Halina poprosiła w bufecie o szklankę herbaty, ale w żaden sposób nie mogła jej wypić, ponieważ ciepły płyn, który jej podano, przypominał lekko osłodzony rosół o mdłym zapachu długo używanej ścierki do naczyń kuchennych. Na domiar złego z głośnika umieszczonego na ścianie buchnęła po chwili muzyka rozrywkowa, nadawana zapewne przez miejscowy radiowęzeł.

Płyty, którymi posługiwała się ta placówka kulturalna, były stare i zdarte jak dziurawe kalosze. Głośnik ryczał, chrypiał. mordował

ciszę z zacieklą energią. Czyniło to wrażenie jakiegoś gwałtu lub może ataku furii, czego jednak gruchające pary zdawały się nie dostrzegać. Dziewczęta uśmiechały się melancholijnie, młodzieńcy kurzyli papierosy i pociągali piwo, bez najmniejszego śladu protestu przeciw tej okropności.

Halina nie mogła tego znieść dłużej. Zapłaciła i dźwigając dosyć ciężką walizkę wyszła na niewielki plac przed dworcem.

Rosło tam tylko jedno samotne drzewo o rozłożystej koronie.

Nie było nawet ławki.

Postawiła walizkę pod grubym pniem i usiadła na niej, zrezygnowana, przybita, bliska łez. Spojrzała na zegarek. Ósma...

Pusty autobus stał na skraju szosy, jakaś furmanka przejechała wolno w stronę miasta, pies włóczęga pokręcił się pod wysokim parkanem w słabym świetle jedynej latarni i przepadł w cieniu. Niebo na zachodzie wypaliło się do reszty i zgasło, mrok w dole gęstniał, a pierwsze blade gwiazdy budziły się w górze, nad czarną plecionką gałęzi i młodych listków.

Wtem szyby autobusu zaśniły odbiciem światła, a wielkie koła i przód wozu, wraz ze sterującym zderzakiem, rzuciły głęboki, ostry cień na asfaltową jezdnię. Ten cień zatoczył się, uciekł w bok zmieniając po drodze kształty i nagle jaskrawy, kłujący blask uderzył w oczy Haliny. Ktoś pędził wprost ku niej na rowerze zaopatrzonym w silny reflektorek elektryczny.

Omam nie krzyknęła, gdy zahamował gwałtownie pod owym drzewem na środku placu. Przemknęło jej przez głowę, że zaraz rzuci się na nią, i struchlała z wrażenia.

Reflektor zgasł, ciemność przyskoczyła z powrotem ze wszystkich stron, a w ciszy słyhać było tylko zdyszany oddech rowerzysty.

— Jestem — powiedział wreszcie. — Nie mogłem wcześniej.

Poznała ten głos. Bolek Szary!

,

—Aleś mnie nastraszył! — roześmiała się nerwowo; —Przepraszam — bąknął nie ruszając się z miejsca. —Chciałem się z tobą pożegnać i... no, wiesz: były loty. Piguła nie chciał mnie zwolnić. A ja.

—Postawże ten rower — przerwała mu. — Skąd go wzięłeś?

— Pożyczyłem od pani Dudziakowej. To jest damski rower, wiesz?

Ta ostatnia informacja nie zrobiła na Halinie żadnego wrażenia.

—Pierwszy raz w życiu jechałem na damskim rowerze —wyjaśnił Bolek, opierając go o drzewo.

—No i co? — spytała, zdobywając się na jakiś cień zainteresowania tym przedmiotem.

—Eh, nic — odrzekł, zły na siebie, że o tym mówi. — Ja przecież nie po to tu przyjechałem, żeby z tobą rozmawiać o rowerze Dudziakowej!

—Spodziewam się — powiedziała z uśmiechem, robiąc mu miejsce obok siebie.

Nie odważył się usiąść na walizce.

— To się pode mną załamie — mruknął, lokując się na ziemi.

Polem spojrzał z dołu w jej twarz, jakby chciał na niej odkryć ślady przebytych przykrości, może nawet łez? Lecz spotkał tylko krótkie zaciekawione spojrzenie i przelotny uśmiech.

— Chciałem ci powiedzieć — zaczął i zawahał się, ona zaś opuściła długie ciemne rzęsy, jakby z góry pragnęła ukryć przed nim wszelkie wrażenia.

Woale mu to nie dodało odwagi, lecz z obawy, aby mu jej całkiem nie zabrakło, zaczął mówić z taką łatwością, że aż się sam tego przeraził.

Nie przerywała. Była przygotowana, że prędzej czy później to usłyszy. Nie miała zresztą nic przeciw temu, by się dowiedzieć z jego własnych ust o owych uczuciach, które, jak się tego od dawna domyślała, opanowały mu serce.

Zapytał w końcu, czy ją to choć trochę obchodzi, czy leż jest jej zupełnie obojętne.

— Obojętne? Nie. Na pewno nie — zaprzeczyła. — Powiedziałeś mi tyle przyjemnych rzeczy... Zresztą przecież ja cię lubię. Bardzo cię lubię — dotknęła dłonią jego włosów. — I będę pamiętała, że tylko ty jeden pomyślałeś o tym, żeby tu przyjechać, żeby mnie zobaczyć.

Odnalazł jej rękę w ciemności i zamknął w uścisku. Sam dźwięk słów i ton głosu Haliny napełniały go ciepłym, radosnym wzruszeniem. Nawet myśl o bliskim rozstaniu nie miała teraz większego znaczenia. Lecz właśnie ta myśl nasunęła mu inną: że dotąd nie okazał żadnego zrozumienia dla jej własnych, jakże przykrych przeżyć. Nie starał się jej pocieszyć, nie zatroszczył się o to, jak zniosła tę porażkę i czy bardzo boleśnie ją odczuła.

Szukał właśnie odpowiednich słów, aby to wyrazić, gdy od strony miasta rozległ się głośny warkot motocykla i nagle drgający potok blasku lunął mu prosto w oczy. Odwrócił głowę, a Halina wstała, jakby w instynktownej obronie przed brutalnym wtargnięciem zewnętrznego świata w ich poufne zbliżenie.

Szary zerwał się także i postąpił krok naprzód, chcąc ją zasłonić, lecz w tej samej chwili snop światła umknął w bok, pograżając ich z powrotem w cieniu, a potem motor zgasł, zatrzymawszy się u wejścia do poczekalni dworca. Mimo to nastrój prysnął i Szaremu nie udało się już wyrazić tego, co miał

na myśli.

— Chodźmy na peron — powiedziała Halina. — Ach, prawda! Nie mam jeszcze biletu.

Chwytał jej walizkę i szedł za nią w milczeniu. Minęli ów bufet, w którym nieposkromiony głośnik spazmował teraz jakieś żalosne resztki tanga, pozostałe jeszcze na ochryplej płycie, i wchodząc do głównej hali, gdzie były kasy biletowe, natknęli się na Rysiewicza.

— Szukam pani po całym mieście — powiedział, niezwracając najmniejszej uwagi na Szarego. — Byłem w obu gospodach i w cukierni, a pani pokutowała tutaj? Gdybym wiedział!

Błyskał w uśmiechu białymi zębami, przyglądał lśniącej, wyszczotkowanej włosy, od niechcienia poprawiał nowy jedwabny krawat. Był najwyraźniej świeżo ogolony, elegancki, pachnący jak skład apteczny.

—Mamy jeszcze przeszło godzinę — zauważył spoglądając na zegar ścienny. — Może by się pani napiła kawy, panno Halinko? Moglibyśmy podskoczyć na motorze.

—Nie — odrzekła Halina. — Po pierwsze, jak pan widzi, nie jestem sama. Po drugie, mam dużą walizkę, więc...

—Ach tak, kolega Szary! Przepraszam — skinął głową. —Ale czy kolega nie powinien by... zdaje się, że o dziewiątej jest apel? Kolega ma przepustkę?

Twarz Szarego oblała się ciemnym rumieńcem. Nie miał

przepustki i w ogóle wymknął się ze szkoły bez czyjegokolwiek zezwolenia. Lecz nie to rzuciło mu falę krwi do głowy. Rysiewicz traktował go z lekceważącą wyższością; chciał go zapewne upokorzyć w obecności Haliny; wyzyskiwał w tym ściśle prywatnym celu przewagę, jaką mu dawało stanowisko instruktora.

Bolek przeszył go spojrzeniem, od którego w czasach rycerskich romansów najwięksi śmiałkowie zamieniali się w popiół. Lecz te romantyczne kanony straciły widocznie swoje



magiczne znaczenie w trzeźwej rzeczywistości dnia dzisiejszego, bo Rysiewicz nie tylko nie spłonął i nie rozsypał się w kupkę popiołu, ale nawet nie zadymił.

Patrzył przez chwilę na Szarego z uśmiechem niedościgłej wyższości, a potem zwrócił się do Haliny: — Niech pani spróbuje przekonać swego przyjaciela, że w jego obecnej sytuacji nieobecność na apelu może mieć doprawdy przykre następstwa. Ja się zajmę walizką; zostawimy ją chyba w przechowalni?

Nie czekając na jej odpowiedź, ujął walizkę stojącą na ziemi i przedsiębiorczy, pewny siebie, zwinny i szybki odszedł z nią w głąb sali.

— On ma słuszość — szepnęła Halina. — Wracaj! Ja proszę.

Pociągnęła go ku wyjściu na ulicę.

— Dziękuję ci, żeś tu przyjechał. Ale teraz... No, bądź miłym chłopcem i nie narażaj się niepotrzebnie na jakieś historie.

Jeżeli chcesz, możesz mnie pocałować — dodała nastawiając policzek.

Uległ tej przebiegłej dyplomacji, choć coś jeszcze dławiło go w gardle. Potem odnalazł w ciemności porzucony rower i z zamętem w głowie odjechał w kierunku Polichny.

— Jaki znak seryjny ma szybowiec Czapla, powie nam — Grzymek rozejrzył się dokoła — powie nam Dytyński!

Dytyński wcale nie był tego pewien, ale zaryzykował: — SZD-10.

Ku jego zdumieniu Piguła skinął głową.

— SZD-10 — powtórzył. — A jakie skrzydło ma SZD-10?

Gruszka uznał, że cuda zdarzają się tylko od czasu do czasu, na ogół dość rzadko, więc tym razem odrzekł po prostu, że nie wie.

— Hm — chrząknął Grzymek. — To może wiecie coś o konstrukcji kadłuba?

Odpowiedziało mu wymowne westchnienie.

— Was to nie interesuje, Dytyński, prawda?

— Mnie? — zdumiał się Gruszka. — Przeciwnie! Tylko właśnie wypadło mi z pamięci...

— Aha. Wypadło wam — Grzymek pogрузzył się na chwilę w posępny milczenie szukając dość silnych słów, aby napiętnować to oczywiste kłamstwo.

Wreszcie znów spojrzął na Dytyńskiego i wygłosiwszy okolicznościowe przemówienie przepojone krańcowym pesy-mizmem co do pilności i obowiązkowości całej grupy trzeciej, zatrzymał wzrok na twarzy Barbary, która siedziała obok Gruszki.

— Może Lachowna wie coś w tej sprawie? — spytał. — W

sprawie Czapli, czy też...

— W sprawie Czapli. O inne się was nie pytam — powiedział surowo.

Owszem, wiedziała: skrzydło zastrzałowe, ze skosem do przodu, wyposażone w hamulce aerodynamiczne; kadłub o przekroju wielokątnym, amortyzowane podwozie kołowe i płoza; układ siedzeń w tandem i tak dalej. Recytowała to wszystko jednym tchem, bez zajknięcia!

— No więc widzicie — zakonkludował Piguła. — Są tacy, co potrafią się tego nauczyć.

— Są! — westchnął Gruszka. — Jasne, otwarte umysły... z grupy Rysiewicza — dodał szeptem i błyskawicznym ruchem łokcia zasłonił żebra, chroniąc je przed celnym kuksańcem wymierzonym przez posiadaczkę „jasnego umysłu”.

— Na jutro macie to umieć wszyscy — zapowiedział jeszcze Grzymek, składając swoje notatki i skrypty. — Czasu na naukę własną jest dosyć!

Wytoczył się z sali wykładowej, za nim zaś wszyscy zaczęli cisnąć się do wyjścia, aby jak najprędzej zjeść obiad i jeszcze przed rozpoczęciem lotów rozegrać decydującą partię siatkówki.

Zainteresowanie tą ostatnią sprawą wzrastało w miarę eliminacji poszczególnych grup, obecnie zaś, gdy zostały tylko trzecia i czwarta, osiągnęło takie napięcie, jakby to był co najmniej międzynarodowy mecz o mistrzostwo świata.

Prawdopodobnie przyczyniła się do tego w znacznej mierze nagroda wyznaczona przez komendanta szkoły, który sam dał się porwać emocjom piłkarskim. Tę nagrodę stanowił lot wleczony za samolotem dla każdego członka zwycięskiej drużyny — lot, w którym pod opieką instruktorów mieliśmy możliwość spróbować żeglowania na termice \*.

Jak dotychczas szanse obu najlepszych drużyn były prawie równe, z nieznaczną przewagą dwóch punktów na korzyść grupy czwartej. Lecz w związku ze skreśleniem z kursu Doboszówny, grupa ta liczyła tylko pięciu uczniów, podczas gdy w trzeciej było ich sześciu. Aby ten brak wyrównać, kapitanowie Dytyński i Pomian uzgodnili, że do czwartej grupy drogą losowania zostanie dobrany jeden gracz spośród wszystkich pozostałych.

ów szczęśliwy los wyciągnął niejaki Zdzisław Dragon, odznaczający się wysokim wzrostem i tubalnym, głosem, co bardzo harmonizowało z jego nazwiskiem. Był to poza tym poważny zawodnik; z pewnością więcej wart niż Doboszów-na, choć i ona grała wcale nieźle.

Dytyński, obejrzawszy go z bliska, jęknął, jakby poczuł AV dołku rozżarzony węgiel.

—Ten nas robi na szaro — powiedział do swoich z wyrazem głębokiej boleści.

—Dlaczego na szaro? — spytał Chudy. — Przecież Szary gra z nami!

—To jedyna pociecha — westchnął Gruszka. — Ale słaba...

—Słaba! Widziałeś jego ramiona? Klatkę piersiową ma jak ten... no, jakże się ten starożytny ciężarowiec nazywał,?

—Herkules — podpowiedział mu Trel.

— Herkules — powtórzył Chudy. — I na brzuchu też ma takie mięśnie, że niech Pan Bóg broni.

Gruszka odrzekł powściągliwie, że jakkolwiek jego zdaniem tors Szarego nie dorównywa rzeźbom greckim, to jednak rzeczywiście nie razi zbyt boleśnie poczucia harmonii kształtów.

—Ale tamten drab wcale mu nie ustępuje — dodał.

—On się nie nazywa Drab, tylko Dragon — poprawił Chudy.

—Ja nie mówię o nazwisku, tylko o wyglądzie, tumanie jeden — zirytował się Dytyński.

Chudoba przyjął to do wiadomości ze zwykłym spokojem.

Za wszelką cenę pragnął pocieszyć Gruszkę, podnieść go na duchu.

— Nie przejmuj się tak — powiedział różnym głosem. — Jak grałem w drużynie

juniorów Włókniarza, nie tacy dawali nam łupnia!

Dytyński spojrział na niego spode łba.

—Nie, wiesz, ty jesteś nadzwyczajny! Nie tacy, powiadasz?

To musiała być dobra drużyna, te wasze juniory!

—Ja tam nie byłem najlepszy — odrzekł skromnie Chudy. —Ale możesz na mnie liczyć.

—Liczę — jęknął Gruszka. — Jak na los z zeszłorocznej loterii...

Chudoba chciał się jeszcze dowiedzieć, czy Dytyński wygrał co na tej loterii, ale Trel przynagłał, żeby już iść na obiad.

— Tylko ty się nie obżeraj, Gruszka, bo będziesz do niczego — powiedział surowo.

Sędziował porucznik Bachler, siedząc na wysokim stołku, wzniesionym ponad siatką. Dokoła boiska stali i siedzieli widzowie: chłopcy z pozostałych sześciu grup, wszyscy instruktorzy, kilku mechaników, Dudziak z żoną i córeczką, trochę młodzieży z Polichny.

Gra toczyła się od początku ostro, lecz piłka raz po raz wychodziła na aut, co wywoływało gwizdy i uszczypliwe uwagi patrzących. Kapitanowie denerwowali się. Wreszcie jednak, po pierwszej udanej kombinacji „trzeciaków”, która wyrównała dotychczasową przewagę drużyny Pomiana, styl obu grup poprawił się i zaczął osiągać coraz lepszą klasę.

Teraz obie strony grały ostrożniej; piłka podawana celnie i pewnie, a następnie tuż przy siatce ścinana niespodzianie w sam róg pola przeciwnika, z rzadka tylko padała poza linię graniczną.

Jej szybka wędrówka — skokami w lewo, w prawo — zdawała się pociągać za sobą oczy i głowy widzów bez żadnego udziału ich woli. Gdy następował strzał ponad siatką, strzał na pozór nie do odbicia, dech zapierało w piersiach, a gdy w ostatnim ułamku sekundy, tuż znad samej ziemi piłka znów wzbijała się w górę, brawa i okrzyki nagradzały tego lub owego z zawodników, który nierzadko okupywał ofiarną obronę gwałtownym upadkiem, nie mogąc już odzyskać równowagi po karkołomnym zrywie.

Zdobycie każdego punktu następowało teraz po zacieklej walce, często po dwudziestu lub nawet trzydziestu podaniach.

Bachler ogłaszał:

—Po jedenaście!

—Dwanaście — jedenaście!

—Po dwanaście!

Piłka przechodziła na serw raz na jedną, raz na drugą stronę.

W jakiejś chwili Dragon wybił ją z końca boiska tak lekko, że można było zwątpić, czy to wystarczy, aby przeszła przez siatkę; Trel, stojący naprzeciw, zwątpił w to zupełnie i

nie odbił.

Następny serw znów więc należał do czwartej grupy.

— Szary! — wrzasnął Dytyński.

Szary kopnął się pędem ze swego stanowiska i nagle runął jak długi.

— Czternaście — dwanaście! — zawołał porucznik Bachler, przekrzykując gwar powstały po tym drugim z kolei zwycięstwie czwartaków. — Piłka na serw dla czwartej grupy!

Szary otrzepywał się z kurzu i z widocznym zakłopotaniem oglądał odstającą, na poły oddartą podeszwę swego prawego buta.

Gruszka to zauważył i zwrócił się do sędziego o chwilę przerwy.

Na jego wezwanie kilka prawych butów różnej wielkości wyleciało spomiędzy niecierpliwych widzów i wylądowało dokoła Szarego. Wzwał jeden z nich, odrzucił pozostałe i oświadczył

chmurnie, że jest gotów.

Rozległ się gwizdek. Pomian serwował.

— Uwaga, czwartaki! — zawołał. — Ostatnia piłka!

— Nie bądź taki prędko — warknął Gruszka. — Trzymać się, obywatele!

Piłka śmignęła krótkim łukiem na prawo w skos, odskoczyła ku Dragonowi, znów poleciała przez siatkę. Chudy podbił ją wyżej, Szary podał Dytyńskiemu, Dytyński chłasnął z całej siły wprost ku Pomianowi, który się tego nie spodziewał i tylko instynktownie odparował ów nieoczekiwany atak. Barbara rzuciła się naprzód, zdążyła oddać AV tył, za siebie, i Pomian tym razem strzelił celnie ponad siatkę.

Lecz tam czuwał Szary. Skoczył i uderzył z góry tak szybko i z taką siłą, że piłka aż jęknęła i zawarczała w powietrzu. Barbara zdołała tylko scentrować jej pęd na zawodnika pośrodku swego pola. Pozwoliło mu to jednak na krótkie podanie w przód do Dragona, ten z kolei posłał ją z powrotem za siatkę.

Dwaj trzeciacy ruszyli jednocześnie, zderzyli się z sobą, a piłka przeleciała nad ich głowami. Już miała dotknąć ziemi, gdy rozpaczliwy sus Szarego raz jeszcze uratował sytuację. Bolek podbił ją w górę samymi końcami palców, Chudy oddał w tył, na aut, ale Dytyński obronił i wysoki „balon”

spadł wprost w ręce Dragona.

— Teraz — krzyknął Pomian. — Ścięta!

Dragon zamachnął się, strzelił i piłka uderzyła w siatkę.

„Czternaście — trzynaście! Serwuje trzecia!”

Gwizdek, wybicie, podanie, strzał! Obrona, jedno podanie, drugie omal nie aut! Piłka przechodzi z rąk do rąk, śmiga raz w przód, raz w tył, przelatuje to na jedno, to na drugie pole, aż wreszcie Dytyński spuszcza ją z góry tuż za siatkę po stronie czwartaków i uzyskuje wyrównanie.

Jest po czternaście, po piętnaście, po szesnaście... Gdy jedna drużyna zdobywa punkt, druga wyrównuje; gdy prowadzi druga, pierwsza wygrywa kolejno dwie lub trzy piłki, lecz ostateczne zwycięstwo wydaje się prawie nie do osiągnięcia.

—Tempo! Tempo! — upomina Gruszka swoją grupę.

—Nie dajcie im złapać oddechu! — sapie Pomian.

I znów gwizdek, serw, podanie, strzał! Może tym razem?

Nie: obronili! Teraz wyrównali! Zdobyli przewagę! Stracili ją!

Odzyskali!

Serwuje Szary. Widać, że jest zmęczony: wybija piłkę wprost w ręce Pomiana i otrzymuje ją z powrotem. Jeszcze raz! Piłka wraca do Szarego, który centruje do Gruszki, Gruszka podaje Chudemu, Chudy bije na aut, ale ktoś z czwartaków przyjmuje i podaje znów Dragonowi. Dragon chyba... Barbara rzuca się na ratunek, lecz jest już za późno: piłka dotyka ziemi, toczy się na aut, a wśród widzów powstaje ogłuszający wrzask. Trzecia grupa wygrała mecz!

— Osiemnaście — dwadzieścia! — ogłosił porucznik Bachler.

W tej samej chwili z chmur, które niepostrzeżenie zasnuły całe niebo, puściła się gwałtowna, ciepła ulewa i wszyscy popędzili w stronę hangaru, pod okap dachu.

Niewiele to pomogło: dach był wysoko, a okap nie chronił

Szary kopnął się pędem ze swego stanowiska i nagle runął jak długi.

— Czternaście — dwanaście! — zawołał porucznik Bachler, przekrzykując gwar powstały po tym drugim z kolei zwycięstwie czwartaków. — Piłka na serw dla czwartej grupy!

Szary otrzepywał się z kurzu i z widocznym zakłopotaniem oglądał odstającą, na poły oddartą podeszwę swego prawego buta.

Gruszka to zauważył i zwrócił się do sędziego o chwilę przerwy.

Na jego wezwanie kilka prawych butów różnej wielkości wyleciało spomiędzy niecierpliwych widzów i wylądowało dokoła Szarego. Wzwał jeden z nich, odrzucił pozostałe i oświadczył

chmurnie, że jest gotów.

Rozległ się gwizdek. Pomian serwował.

—Uwaga, czwartaki! — zawołał. — Ostatnia piłka!

—Nie bądź taki prędko — warknął Gruszka. — Trzymać się, obywatele!

Piłka śmignęła krótkim łukiem na prawo w skos, odskoczyła ku Dragonowi, znów poleciała przez siatkę. Chudy podbił ją wyżej, Szary podał Dytyńskiemu, Dytyński chłasnął z całej siły wprost ku Pomianowi, który się tego nie spodziewał i tylko instynktownie odparował ów nieoczekiwany atak. Barbara rzuciła się naprzód, zdążyła oddać w tył, za siebie, i Pomian tym razem strzelił celnie ponad siatkę.

Lecz tam czuwał Szary. Skoczył i uderzył z góry tak szybko i z taką siłą, że piłka aż jęknęła i zawarczała w powietrzu. Barbara zdołała tylko scentrować jej pęd na zawodnika pośrodku swego pola. Pozwoliło mu to jednak na krótkie podanie w przód do Dragona, ten z kolei posłał ją z powrotem za siatkę.

Dwaj trzeciacy ruszyli jednocześnie, zderzyli się z sobą, a piłka przeleciała nad ich głowami. Już miała dotknąć ziemi, gdy rozpaczliwy sus Szarego raz jeszcze uratował sytuację. Bolek podbił ją w górę samymi końcami palców, Chudy oddał w tył, na aut, ale Dytyński obronił i Wysoki „balon”

spadł wprost w ręce Dragona.

— Teraz — krzyknął Pomian. — Ściągå!

Dragon zamachnął się. strzelił i piłka uderzyła w siatkę.

„Czternaście — trzynaście! Serwuje trzecia!”

Gwizdek, wybicie, podanie, strzał! Obrona, jedno podanie, drugie omal nie aut! Piłka przechodzi z rąk do rąk, śmiga raz w przód, raz w tył, przelatuje to na jedno, to na drugie pole, aż wreszcie Dytyński spuszcza ją z góry tuż za siatkę po stronie czwartaków i uzyskuje wyrównanie.

Jest po czternaście, po piętnaście, po szesnaście... Gdy jedna drużyna zdobywa punkt, druga wyrównuje; gdy prowadzi druga, pierwsza wygrywa kolejno dwie lub trzy piłki, lecz ostateczne zwycięstwo wydaje się prawic nie do osiągnięcia.

—Tempo! Tempo! — upomina Gruszka swoją grupę.

—Nie dajcie im złapać oddechu! — sapie Pomian.

I znów gwizdek, serw, podanie, strzał! Może tym razem?

Nie: obronili! Teraz wyrównali! Zdobyli przewagę! Stracili ją!

Odzyskali!

Serwuje Szary. Widać, że jest zmęczony: wybija piłkę wprost w ręce Pomiana i otrzymuje ją z powrotem. Jeszcze raz! Piłka wraca do Szarego, który centruje do Gruszki, Gruszka podaje Chudemu, Chudy bije na aut, ale ktoś z czwartaków przyjmuje i podaje znów Dragonowi. Dragon chybia... Barbara rzuca się na ratunek, lecz jest już za późno: piłka dotyka ziemi, toczy się na aut, a wśród widzów powstaje ogłuszający wrzask.

Trzecia grupa wygrała mecz!

— Osiemnaście — dwadzieścia! — ogłosił porucznik Bachler.

W tej samej chwili z chmur, które niepostrzeżenie zasnuły całe niebo, puściła się gwałtowna, ciepła ulewa i wszyscy popędzili w stronę hangaru, pod okap dachu.

Niewiele to pomogło: dach był wysoko, a okap nie chronił od skośnych strug deszczu. W kilka sekund przemoczone koszule przylgnęły do barków i ramion, a po twarzach zaczęły ściekać krople, jakby cała gromada dostała nagle ataku nieutulonego płaczu.

—Widzisz, coś narobił? — zwrócił się Gruszka do Chudego.

—Ja? — zdumiał się Chudoba. — Nie jestem przecież meteorologiem.

Dytyński zdawał się rozważać ten obronny argument.

— Ja też nie - oświadczył po dłuższym namyśle, klepiąc go pojednawczo po ramieniu. Lecz mimo tych wzruszających wyznań, ulewa nie ustała.

— Coś jednak trzeba wymyślić — powiedział Gruszka, któremu lało się za kołnierz.

—No pewnie! — podchwycił Chudy. — Tylko co? Dytyński wzruszył ramionami.

—Właśnie nie wiem.

—I ja też nie — zmartwił się tamten.

Zapewne mokliby nadal, usiłując rozwiązać ten problem, gdyby nie zdecydowana inicjatywa Baśki Lachówny.

— Nie widzę żadnego powodu, żeby tu sterczeć —oświadczyła głośno. — I tak trzeba się przebrać. Ruszcie się, zwycięzcy i pokonani! Kto idzie ze mną?

Trel i Pomian chwycili ją pod rękę i wydawszy okrzyk bojowy pobiegli naprzód, a za nimi runęła falanga wrzeszczących topielców, do której przyłączył się w końcu nawet Gruszka porzucając wszelkie dalsze wahania,

— Marzysz, Romeo?

Szary oderwał wzrok od swego buta, nad którego smutnym stanem medytował przez dłuższą chwilę, i spojrzął w otwarte okno, Ujrzał roześmianą parę niebieskich oczu pod brwiami zmarszczonymi jak u smutnego pierrota, opalone, smagłe policzki i drwiące usta ściągnięte melancholijnym grymasem.

Roześmiał się i potrząsnął głową.

—Patrz, mała żmijo — pokazał jej z daleka oderwaną podeszwę. — To przez twoją ściętą piłkę!

—Doprawdy? — zdziwiła się Baśka. — Czy może już przedtem go nadwerężyłeś dosiadając stalowego rumaka pani Dudziak owej? Przyznaj się!



—Ach, ty szpiegu! — powiedział z udanym oburzeniem. — Jak ci nie wstyd?

—To było przypadkiem — odrzekła robiąc niewinną minkę.

— Wcale cię nie szpiegowałam. Ale tak czy owak ostatnie badania naukowe wykazały, że przyglądanie się dziurawym butom nic nie pomoże; trzeba je podzelać.

—Istotnie — zgodził się Szary. — Trzeba.

—Za dziesięć minut będzie samochód do miasta. Kto żyw, jedzie do kina, więc...

—To nie latamy już dzisiaj? — przerwał Bolek. — Przecież nie pada.

—Nie pada, ale pułap jest poniżej dwustu metrów. W

związku z tym przed rozpoczęciem seansu mogę cię zaprowadzić do szewca.

—Ciekawy związek — zauważył z uśmiechem.

—Są także pewne względy uboczne: ten szewc naprawia moje sandałki. Muszę je odebrać.

—Aha — powiedział Szary. — W takim razie jadę. Zmiataj stąd: muszę się przebrać. Zaczekaj na mnie przy bramie! —zawołał jeszcze, zamykając okno.

W kwadrans potem jechali zatłoczoną ciężarówką, ściśnięci jak przysłowiowe

śledzie w beczce, co zresztą nie przeszkodziło im w szczegółowej analizie wszystkich faz meczu rozegranego po południu. Ta sprawa ciągle jeszcze była I przedmiotem sporów i rozważań, jakkolwiek wałkowano ją podczas dwugodzinnej „nauki własnej”, zapomniawszy zupełnie o jutrzejszej repetycji, zapowiedzianej przez Pigułę. Szary przypomniał sobie o tym dopiero idąc z Baską do owego szewca.

— Muszę wieczorem przerobić z Gruszką konstrukcję Czapli — powiedział na pół do siebie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

—Przerobić konstrukcję?

—No, nauczyć go — wyjaśnił, spostrzegłszy dwuznaczność tego zdania. — Przecież on nie ma o tym zielonego po-j jęcia!

—Nie pędź tak — wsunęła mu rękę pod ramię. — Mamy dość czasu. Ty ich wszystkich strasznie krótko trzymasz —dodała. — A oni cię bardzo lubią, wiesz?

Wzruszył lekko ramionami, trochę zniecierpliwiony.

—Skąd ci to przyszło do głowy?

—Ja cię przecież także lubię, choć jesteś ponury mruk —powiedziała swobodnie.

—No, no! — zdziwił się. — Myślisz, że jestem ponury?

—Czasami. Ale na ogół bywasz znośny. Przynajmniej nie obrażasz się o byle co. Pewnie dlatego cię lubię.

Szary nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Pomyślał, że już po raz drugi w ciągu jednej doby usłyszał, iż jest lubiany.

Czy te dwie wypowiedzi znaczyły to samo?

Z pewnością nie! A jednak w tej chwili wspomnienie j wczorajszej rozmowy z Haliną nie przyspieszyło bicia jego serca; nie poruszyło go tak, jak by się tego mógł spodziewać. Co więcej, było mu przyjemnie, że Baśka tak powiedziała.

Naturalnie, miała całkiem co innego na myśli niż Halina. On przecież także zupełnie inaczej ją lubił niż tamtą. Czy mógłby na przykład marzyć o Baśce?

Wywoływać w pamięci jej posiać, uśmiech, słowa przez ni;!

wypowiedziane? Skądże znowu! Sama myśl o tym wydała mu się dziwaczna i śmieszna.

Na początku turnusu traktował Barbarę trochę z góry. podobnie jak własną siostrę, Rwę, od której była zapewne niewiele starsza. Lecz wkrótce spostrzegł, że bynajmniej nie jest dziecinna i doskonale potrafi dawać sobie radę. a nawet, przewodzić wśród innych. Przy całej swej śmiałości i pewności siebie była naturalna i prosta, jak pewny, sprężysty krok i postawą człowieka, który stąpa po znajomej, gładkiej drodze. Stała oboma nogami na ziemi: wiedziała, czego chce i do czego dąży, co jednak nie hamowało jej wzruszeń czy też wybuchów temperamentu.

Zaprzyjaźnili się prędko i wkrótce Szary z pewnym zdziwieniem uświadomił sobie, że Baśka jest chyba jedyną osobą, której mógłby powierzyć pewne swoje myśli i przeżycia, o jakich dotychczas z n i k i m nie mówił; .Mimo że często z niego żartowała! To było doprawdy zdumiewające.

Trzeźwy pogląd na świat i wszystkie jego sprawy, jasny sposób myślenia i rozumowania wcale nie gasiły jej życiowego zapału. Szary podziwiał jej zwięzłe sądy o ludziach i zdarzeniach, zaprawione zwykle celnym dowcipem.

Kiedyś powiedziała o Grzymku:

— To prawdziwy przyjaciel młodzieży. Prawi kazania, które mogą wywołać bóleci żołądka i doprowadzają ludzi do rozpacz. Taki już ma zwyczaj.

Lecz zaraz potem dodała, że Piguła potrafiłby także stanąć w ich obronie.

— Jest bezinteresowny i uparty. Wolę go sio razy od Pysiewicza —oświadczyła.

Halina, w której obecności padło to zdanie, ujęła się za Markiem.

Według niej Rysiewicz był rycerski, „rycerski jak mało kto!” Poza tym przypominał trochę pewnego aktora filmowego, bohaterskiego amanta z „Groźnego jastrzębia”. Halina wyraziła mniemanie, że gdyby zaszła potrzeba, potrafiłby równie odważnie zginąć.

— Wątpię, czyby zechciał — odrzekła na to Baśka. — Ma zbyt wysokie wyobrażenie o sobie, aby pozbawiać romantyczne dziewczęta przywileju podziwiania swojej osoby i to

nie na ekranie, lecz w rzeczywistości!

Szary, z męską solidarnością, jak mu się zdawało, stanął

wówczas po stronie Rysiewicza (i Haliny), lecz dziś sam zwątpił

w szczerść tego wystąpienia. Barbara miała rację: Piguła go obronił, Rysiewicz zaś...

O Rysiewicza od dawna był zazdrosny, a jego wczorajsza ingerencja na dworcu kolejowym dotąd burzyła mu krew w żyłach. O tym zdarzeniu nie mógł myśleć spokojnie; nie przyznałby się nawet Baśce do tego, co go spotkało.

Spoglądał na nią z ukosa i myślał, że istotnie może jej się wydawać ponurym mrukiem. Przecież od chwili, gdy wysiedli na rynku, powiedział zaledwie dwa lub trzy zdania!

—Gdzie ten twój szewc? — spytał, żeby przerwać milczenie.

—Właśnie tutaj — stanęła przed jakąś bramą, — Nie zabij się: tu są trzy schodki — ostrzegła go skręcając ku bocznym drzwiom w ciemności.

Załatwili tę sprawę i czym prędzej wyszli z dusznej izby na świeże powietrze.

— Uff! — westchnęła Barbara. — Dlaczego ten zacny majster nie otworzy czasem okna? Nie mogłabym długo wytrzymać w takim zaduchu. To dobre tylko dla pelargonii.

—Dla kogo? — spytał Bolek.

—Dla pelargonii. Nie widziałeś ich? Sześć doniczek! Są wspaniałe. Zupełnie zasłaniają szyby. Pewnie dlatego nigdy się tam nie wietrzy; żeby ich nie przestawiać.

— Nie wiem, czy pelargoniom koniecznie potrzebny jest zaduch — powiedział Szary. — U mego ojca w warsztacie też były kwiaty. Może nawet pelargonie...

—No i co?

—Nic. Pachniało drewnem. Ładnie pachniało.

—A co to za warsztat? — zapytała ciekawie.

—Stolarski. Już go nie ma — odrzekł i umilkł.

—Mojego ojca rozstrzelali Niemcy — powiedział po chwili.

— Podczas okupacji. W Zakopanem. Ja miałem wtedy siedem lat, a Ewa cztery.

Nie przerywała mu: milczała, **ale** to milczenie miało w sobie coś zachęcającego do zwierzeń. Szary czuł to instynktownie i po chwili znów zaczął mówić

— Moja matka nazywa się z domu Slulska. To taka krakowska rodzina ci Stulscy — wyjaśnił. — Zubożała, ale z wielkopańskimi fumami. Tylko matka jest inna. Chcieli ją wydać za męża za jakiegoś dalekiego kuzyna, bo jego ojciec, czy może dziadek, był koniuszym cesarza. Ale ona wyszła za górala, za mojego ojca. Popełniła, wtedy tak się to nazywało, mezalians i było jej z tym bardzo dobrze, chociaż wszystkie ciotki i wujowie ją wyklęli, bo przecież Stanisław Szary był zwyczajnym rzemieślnikiem. — No, może nie

całkiem zwyczajnym — dodał, jakby

z

pewnym

wahaniem.

—

Był trochę artystą. Przyjeżdżali do niego z Krakowa i z Warszawy.

Z muzeów etnograficznych i z antykwariatów. Rekonstruował stare meble, rozumiesz. Odnawiał nawet jakiś salon dla Wawelu. Robił

także nowe, tylko na zamówienie. Piękne meble! Znali go w całej Polsce, wzywali jako eksperta. Miał

przyjaciół wśród profesorów, literatów, artystów..; A potem zaczęła się wojna i okupacja. Byłem wtedy za mały, żeby zrozumieć wszystko, co się działo w domu, ale pamiętam, że w warsztacie pracowało coraz więcej czeladników. Właściwie pracowało może dwóch albo trzech. Inni kręcili się tam tylko: przychodzili i odchodzili, czasem nocowali. Aż raz Gestapo aresztowało jednego z nich, a w nocy była rewizja i ojca zabrali do Pałace \*. Już go nigdy nie zobaczyłem. Został

rozstrzelany w kilka dni później.

Umilkł i szedł przez jakiś czas obok Barbary,, patrząc -wprost przed siebie.

—Ja też jestem stolarzem — powiedział, spoglądając na nią.

— Skończyłem Szkołę Przemysłu Drzewnego. Pracuję w wytwórni nart. To znaczy jestem tam na półelacie. Prawdę mówiąc więcej jeżdżę ha nartach, niż je robie.

—Wiem — skinęła głową. — Widziałam cię na ostatnich zawodach. Miałeś doskonały czas.

—Udało mi się — powiedział trochę zmieszany. — Bardzo się z tego ucieszyłem wtedy. Nawet wuj Adolf... To laki opiekun mojej maiki; nazywa się Jennert...

—Ten literat? — spytała.

—Tak, Poeta. In-te-lek-tu-a-li-sta, nie jakiś tam stolarz!

Nawet on wtedy rozpowiadał na lewo i na prawo, że len Bolesław Szary to jego siostrzeniec. Zresztą zaraz potem ostrzegał matkę, że mi się na pewno teraz przewróci w głowie. „W tym pustym łbie”, jak się zwykle wyraża.

—To musi być przemily człowiek ten twój wujaszek.

Wyobrażam sobie — wtrąciła Baśka.

—O lak! Oboje są przemili. I on, i jego żona. Zajęli się przecież losem biednej wdowy, choć ciotka Agnieszka jest tylko jej stryjeczną siostrą.

Zaczął opowiadać, jak Maria Szara przy poparciu Jennerta otrzymała pracę w księgarni, a później, już tylko dzięki własnym zasługom, została jej kierowniczką. Wuj Adolf uważał, że należą mu się za to szczególne względy. Występując niemal codziennie do księgarni, zachowywał się tam w taki sposób, jakby był jej właścicielem. Szperał wśród książek, zabierał niektóre do domu, aby je przejrzeć, żądał,

aby go obsługiwano poza kolejką, irylował się, jeżeli zapomniano go powiadomić o nadejściu jakiejś nowości.

— Masz tu święte życie, moja kochana — mawiał do Marii.

— Święte życie.

Po takiej uwadze, która miała na celu delikatne przy-pomnienie, że za owo „święte życie” należy mu się odpowiednia doza wdzięczności, zwykle następowała jakaś prośba, wypowiedziana mimochodem, jak coś, co rozumie się samo przez się; czemu nie można odmówić. Jeśli na przykład zdarzało się, że Agnes urządzała przyjęcie, Jennert mówił: „Mogłabyś trochę pomóc swojej siostrze. Przydałby się tort orzechowy”, po czym dodawał jeszcze, że byłoby najlepiej, gdyby ten tort nazajutrz przyniosła Ewa.

Maria, po zamknięciu księgarni rozpałała w piecu, biła pianę, meła orzechy, rozcierała masło i pracowała do północy, aby spełnić to życzenie, Ewa zaś nazajutrz po lekcjach szła z tortem do wujostwa i otrzymywała od ciotki trochę drobnych na kino.

— Kino! — wykrzyknął Szary zatrzymując się na środku chodnika. — Zapomniałem, że mamy iść do kina!

Dopiero teraz spostrzegł, że dawno je minęli i doszli prawie do wylotu szosy.

— Koniecznie chcesz zobaczyć ten film? — spytała Barbara.

— Bo ja bym wolała przejść się jeszcze trochę.

—Naprawdę? — ucieszył się. — To chodźmy pieszo do Polichny. Patrz wypogodziło się.

—Chodźmy — zgodziła się natychmiast. — Ale jeszcze mi coś opowiesz o tym subtelnym poecie, dobrze?

—O wuju Adolfie? — uśmiechnął się. — To cię interesuje?

Skinęła kilkakrotnie głową.

—Umiesz dobrze opowiadać. Jak chcesz, to wcale nie jesteś mrukiem.

—Nigdy nie przypuszczałem, żeby cię mogło zająć to, co mam do powiedzenia — wyznał zupełnie szczerze. — Ni-kogo innego to nie obchodziło;

— Ale mnie obchodzi — powiedziała stanowczo, spoglądając ukradkiem na jego twarz oświetloną teraz promieniami słońca, które wychyliła się spoza chmur nisko na za chodzie.

On jednak nie patrzył na nią.; Uśmiechał się tylko nieświadomie, zapewne do własnych myśli. Potem znów zaczął mówić.'

Ewa bała się Adolfa Jennerta; bała się jego szyderczych żartów i pytań, jakie jej czasem zadawał, ponieważ wydawało jej się, że za każdym z nich czyha na nią złośliwy śmiech.

Początkowo była to tylko nieufność, która jednak wzmagała się stopniowo i wreszcie przeobraziła się w instynktowny lęk. Nie umiała go opanować: czerwieniła się i nie mogła powstrzymać łez, co ją doprowadzało do rozpacz, Jennerta zaś utwierdzało w mniemaniu, że ma do czy" nienia z idiotką. „Po co ona się tego wszystkiego uczy? — wzruszał ramionami widząc, jak Ewa odrabia zadania domowe. — I tak nic nie zrozumie", Zaglądał do jej podręczników szkolnych, krzywił się ironicznie, głośno je krytykował i wyśmiewał. Kiedyś ni stąd, ni zowąd, chcąc zapewne sprawdzić jej wiadomości z zakresu historii powszechnej, zapytał

ją inkwizytorskim tonem, co to się stało w noc świętego Bartłomieja \*.

— Ja nie wiem — szepnęła zaskoczona. — Nic takiego.

Ja przecież byłam w domu ryknął takim śmiechem, że uciekła z pokoju. Nie mogła sobie darować później tej nieszczęsnej odpowiedzi; wuj Adolf bawił nią kolejno wszystkich swoich znajomych w kawiarni i powtarzał ją przy każdej sposobności.

— No, to ci się udało — mówił, przecierając zapotniałe okulary — To ci się rzeczywiście udało! Widocznie jednak sumienie masz niezupełnie czyste — dodawał, wznosząc brwi i spoglądając na nią przymrużonymi oczyma.

Potem przenosił wzrok na Marię i mrugał porozumiewawczo; — Tak, tak. Musisz jej pilnować, moja kochana. Jest ładna i głupia. Trzeba ją będzie także wydać wcześniej za męż.

To „także" odnosiło się do wczesnego zamążpójścia Marii, która czerwieniła się, zresztą podobnie jak Ewa, na próżno udając, że nie rozumie aluzji.

Ciotka Agnieszka uśmiechała się kwaśno na to wspomnienie.

Była znacznie starsza od swej stryjecznej siostry i dość długo wędła w stanie panińskim, zanim Adolf zwrócił na nią uwagę. Z

pewnych niedomówień Bolek domyślał się niejasno, że wuj Jennert wcześniej znał Marię niż Agnieszkę i że ta dawna znajomość została nagle na pewien czas zerwana dla niewiadomych mu powodów. Stało się to na krótko przed ślubem Marii Stulskiej ze Stanisławem Szarym. Dopiero w rok później ciotka Agnieszka wyszła za obecnego swego

męża. Za to była teraz żoną poety! Ta myśl napełniała ją poczuciem własnej wartości; wynosiła ją wysoko ponad Marię; skłaniała do wielkoduszności.

Prawdopodobnie za sprawą tego szlachetnego uczucia dzieci Marii Szarej w dniach swych imienin były obdarowywane przez wujostwo bardzo zresztą skromnymi kwotami pieniężnymi, a Maria co roku dziewiątego kwietnia otrzymywała kopertę zawierającą parę nowych stułotowych banknotów; — Po te prezenty Ewa i ja musieliśmy zgłaszać się osobiście do wuja Adolfa — mówił Bolek idąc obok Baški skrajem szosy. — Wymagał tego i obrażał się (zwłaszcza na umie), jeżeli nie dość skwapliwie stosowałem się do takiego polecenia.

Na mamę też się dąsał, gdy nie otwierała przy nim swej koperty.

Oczekiwał zapewne, że będzie olśniona jego szczodrobliwością.

Ale ja wolałbym, żeby mi nic nie dawał. Mama pewnie także.

Widzisz, tu wcale nie chodzi o sumę, jaką przeznaczal na taki podarunek, tylko o sposób, w jaki to robił. Żądał, domagał się objawów wdzięczności. Płacił za nią i uważał, że ma do niej prawo. Jest na tym punkcie szczególnie wrażliwy. Pamiętam, jak kiedyś (miałem wtedy pewnie ze trzynaście albo czternaście lat i gwałtownie wyrastałem ze wszystkich ubrań) podarował mi swoje stare spodnie. Była to właściwie zapłata za porąbanie drewna, które przywieziono mu w szczapach i z którymi nie mogła sobie poradzić ich posługaczka. Spodnie przedstawiały się jeszcze wcale nieźle, a przy tym były olbrzymie, ponieważ subtelność wuja Adolfa przejawia się wyłącznie w poezji. Otóż wyszedłem z owymi spodniami i przed samym wejściem do willi wujostwa spotkałem się z jednym kolegą ze szkoły, który miał bardzo psotnego psa, Mika. Ten Mik skoczył ku mnie, jak zwykle, żeby się ze mną przywitać i podokazywać, lecz w szale zabawy porwał

spodnie wuja Adolfa i zaczął je tarmosić. Zdołaliśmy odebrać mu tę zdobycz, oglądaliśmy ją z niepokojem, po czym mój przyjaciel zauważył, że z takich portek można by uszyć namiot dla sześciu harcerzy. Pękaliśmy przy tym ze śmiechu, a Mik znów z tego skorzystał i naderwał jedną nogawkę.

Całe to drobne zdarzenie, według dalszych słów Bolka, miało bardzo przykre następstwa. Okazało się bowiem, że ciotka Agnieszka obserwowała z za firanki zachowanie się siostrzeńca i była nim bardzo zgorszona. Wuj Adolf został wezwany do okna, aby również mógł się przekonać, jakie rozmiary osiąga niewdzięczność „tego smarkacza” oraz by mógł podzielić oburzenie swojej dozgonnej towarzyszki. Podzielił je i dał mu wyraz w półgodzinnej rozmowie telefonicznej z kierowniczką księgarni, która przez cały ten czas wysłuchiwała gromów walących się na jej syna, nie mając możliwości stanąć w jego obronie.

—A jednak niektóre jego wiersze są bardzo wzruszające —powiedziała Barbara. — Czy to nie dziwne, że taki małostkowy człowiek jest poeta-

—Ty znasz jego wiersze? I

—Tak. Podobają mi się. A tobie?

—Ja ich nigdy nie czytałem — wyznał.



Niebo było czyste, ciemnobłękitne, głębokie. Tylko na wschodzie, nad granatowym pasmem lasów wciąż wyżej wznosiła się jasność, od której błękit bladł coraz bardziej, nasycając się blaskiem, a potem zaczął się rozżarzać aż do białości.

Nocny chłód osiadł na trawie siwą rosą, leciutka, jak z pajęczyny utkana, mgiełka stała nad lotniskiem, niebieski dym wątlymi przejrzystymi smugami płynął z kominów prosto w górę; Wtem głośny rumor przesuwanych na rolkach wrót hangaru roztrącił ciszę, tocząc się jak fala i uderzając w przestrzeń.

Powietrze drgnęło, jakby świat ocknął się nagle, lekki powiew pociągnął od lasu, dymy nad ciemnymi od wilgoci dachami skłoniły się nieco, rozległy się śmiechy, okrzyki, padły słowa komendy; Zawarczał silnik samochodu, a z ciemnego wnętrza wynurzył się pierwszy Żuraw o długich, lśniących skrzydłach i ogonem naprzód zaczął pełznąć na start.

Grupy uczniów jedna za drugą szły na przełaj przez lotnisko pozostawiając za sobą na srebrnej od rosy trawie ciemnozieloną smugę. Dwie czerwone wyciągarki przetoczyły się skrajną drogą i stanęły na zwykłych stanowiskach. Ktoś wlokł za sobą długą, cienką linkę stalową z zaczepem, który potraçał źdźbła jak wąż pełną szybko i cicho w panicznej ucieczce.

— Płachty! — rzucił Grzymek, zwracając się ku swojej grupie

Trel i Chudoba już je ściągali z wózka.

— Pośpieszcie się — dodał Piguła.

Nie trzeba ich było przynaglać. Wiedzieli, że mają przed sobą zaledwie kilka godzin martwoty termicznej, podczas której nie występują żadne prądy pionowe. W ciągu tych kilku godzin należało wykonać ostatnie loty objęte programem; od ósmej zaś, od chwili, gdy pod wpływem promieni słonecznych zaczęły się tworzyć kominy rozgrzanego powietrza, mieli próbować swoich zdolności żeglarskich;

Premia w postaci lotów na holu za samolotem, zdobyła w zawodach siatkówki jako nagroda za zwycięstwo, aż do samego końca, do ostatniego dnia kursu była niepewna, ponieważ kierownik wyszkolenia uzależniał jej realizację od wykonania całego programu i oczywiście od pogody; I oto po okresie wahań barometru, zmiennych wiatrów 1

przelotnych opadów nastąpił szereg dni słonecznych, a Grzymek, trzeba mu oddać sprawiedliwość, wykorzystał je najzupełniej: trzecia grupa wyprzedziła wszystkie pozostałe. Jej uczniom brakowało tylko po parę lotów do uzyskania tytułu pilotów szybowcowych trzeciej klasy, Do godziny ósmej mogli się z tym uporać;

Podczas gdy Trel z Chudobą rozkładali płachty startowe, Piguła kazał Dytyńskiemu zająć miejsce w kabinie i przygotować się do startu, po czym raz jeszcze podał mu sposób wykonania ćwiczenia;

— A teraz powtórzcie co macie kolejno zrobić.

Gruszka powtarzał bezbłędnie, lecz w końcu zamiast „zakręt” powiedział „skręt”; co jak zwykle wyprowadziło Pigułę z równowagi.

—Nie ma żadnych „skrętów” przy lataniu, sto razy wam to mówiłem! — przerwał gniewnie. — Może być skręt kiszek, ale jak chodzi o szybowiec...

—Zakręt — poprawił się Gruszka.

—No więc zakręt! O ile stopni?

—O 180.

.— W którą stronę?

— W lewo.

Grzymek kiwał głową, jakby potakując własnym myślom.

—No? — rzucił w końcu. — Tam, w powietrzu nikt wam nie będzie podpowiadał! Co dalej?

—Po skręcie w lewo... — zaczął Gruszka, — Przepraszam!

Po zakręcie...

Lecz tego dla Piguły było już za wiele.

—Wystarczy na razie — powiedział cierpko. — Polecisz jako ostatni. Wsiadaj! Niech tu przyjdzie Trel, a ty się tymczasem naucz, jaka jest różnica pomiędzy skrętem a zakrętem. Zrozumiano?

—Jeżeli mam być zupełnie szczery, to nie całkiem — odrzekł

Dytyński gramoląc się z kabiny.

—Co nie całkiem? — spytał Grzymek.

—Nie całkiem rozumiem tę różnicę — wyznał Gruszka. —Nigdy nie byłem mocny w etymologii. Ale się nauczę.

—W etymologii? — ten obcy wyraz wydał się Grzymkowi podejrzany.

—W nauce o pochodzeniu wyrazów — wyjaśnił Gruszka.

—Wam się trochę mąci w głowie, Dytyński. Przestańcie się mądrzyć i zawołajcie Trela.

—Trel! — ryknął Gruszka, — Do maszyny Trel kopnął się biegiem do szybowca, Dytyński zaś z opuszczoną, głową powrócił do grupy startowej.

—Polecę na samym końcu — mruknął w odpowiedzi na pytające spojrzenia kolegów.-

—Ale dlaczego? — zainteresował się Chudoba.

—Przez ten cholerny skręt — odrzekł Gruszka niechętnie —Przez jaki skręt?

—Kiszek. Tak przynajmniej utrzymuje Piguła.

—Że ty masz skręt kiszek? Skąd mu lo przyszło do głowy?

Brzuch cię boli?

—Odczep się. Nic mnie nie boli. Powiedziałem dwa razy skręt zamiast zakręt, więc mnie wylał z kabiny.

—To po co mówisz skręt? — dociekał Chudy. Gruszka zazgrzytał zębami.

—Trzymajcie mnie, bo mu jaką krzywdę zrobię!

— Uwaga! Trel startuje — powiedział ktoś głośno.

Spojrzeli w stronę szybowca, który już ruszył pociągnięty linką. Z daleka zawarczała wyciągarka, a bęben ściągarka zaczął

się obracać na wolnym biegu. Stalówka przyczepiona do linki holowniczej odwijająca się z cichym chrzęstem, sunęła w ślad za Żurawiem, uniosła się z nim w górę, a potem, gdy Trel się odczepił, opadła na ziemię.

Mechanik obsługujący ściągarkę przerzucił korbą parę kompresji, szarpnął, zapuścił motor i odstawił hamulec. Teraz bęben ruszył w przeciwną stronę, stalówka zaczęła się nawijać z powrotem, coraz prędzej, coraz prędzej, a po nieruchomych źdźbłach trawy przebiegł dreszcz wzbudzony gwałtownym myszkowaniem zaczepu, który pędził w krótkich skokach i podrygach, aż nagle zwolnił i jednocześnie z ostatnim sapnięciem silnika zatrzymał się na linii startu.

Tymczasem Trel skończył już pierwszy zakręt i płynął

w spokojnej, gładkiej toni powietrza zbliżając się ku grupie startowej. Minął ją z lewej strony, zaszedł daleko w tył, położył

szybowiec głęboko na skrzydło, zawinął nim po niebie, wyprowadził. Odbicie słońca błysnęło, ześliznęło się po szybach limuzynki, przepadło. Żuraw wychylił się w prawo, przez mgnienie oka jak gdyby zawisł nieruchomo nad skrajem lotniska, poszedł w ślizg. Gdy znalazł się na wprost pasa przyziemienia, Trel dał kontrę sterami, wyrównał, otworzył jeszcze na chwilę hamulec, załamał

kąt lotu, wytrzymał i ściągnął. Rozległ się charakterystyczny dudniący rechot i szelest płozy. Szybowiec stracił pęd, zawahał się, znieruchomiał na krótką chwilę, a potem, jakby omdlały po wysiłku, skłonił się wolno w lewo i zastygł w tej pozycji dotykając ziemi końcem skrzydła.

— Niech leci jeszcze raz — powiedział Piguła widocznie zadowolony. — To nie było całkiem źle.

Pierwsza kolejka lotów, po dwa okrążenia na każdego ucznia, trwała półtorej godziny. Drugą rozpoczął Dytyński po przerwie spowodowanej zmianą kierunku startu. Wiatr, drzemiący dotychczas pod bezchmurnym niebem, zaczął przeciągać lekkimi powiewami od lasu, a następnie zwrócił się ku południo-wschodowi i ustalił się na dobre. Skutkiem tego trzeba było przetoczyć wyciągarki na północno-zachodni skraj lotniska, a grupę startową przenieść w pobliże fortu.

Koźbiar, który tymczasem zdążył zjeść śniadanie i oblatać dwa samoloty przygotowane do holowania, wylądował pod hangarem i przyszedłszy na start, zarządził okrążenie w prawo.

— Dajcie im po trzy loty — powiedział do Grzymka. — Jest dość czasu. Potem mogą zjeść śniadanie, bo i tak nie zaczniemy wcześniej z tym holem, aż inni skończą.

Grzymek kiwnął głową i zapylał, kto będzie holował.

— Ja i porucznik Bachler — odrzekł Koźbiar. — Wy i Rysiewicz będziecie latać z uczniami. Ale to oni mają żeglować, nie wy! — dodał. — Macie tylko wystartować, no) i uważać, żeby nie wchodzili w chmury.

Szary odruchowo spojrział na czyste niebo. O leż wczesnej porze nie było tam ani śladu najmniejszego obłoczka. Ale wiedział, że za parę godzin mogą się pojawić. Gdy tylko promienie słoneczne dostatecznie nagrzeją ziemię, tuż nad jej powierzchnią, tam, gdzie podłoże nagrzej się najprędzej, zaczną powstawać ogniska termicznych prądów wstępujących.

Wiedział także, gdzie w najbliższej okolicy są takie miejsca o szczególnie sprzyjających warunkach terenowych. Poznał je podczas lotów z Pigułą, kiedy odbywali ćwiczenia w wyznaczonych strefach poza lotniskiem. Zapamiętał na przykład rozległą wydniętą piaszczystą pod lasem, w stronie Góry Św. Anny, wydniętą, nad którą uczył się pierwszych zakrętów. Nawet wtedy, we wczesnych godzinach porannych lub przed wieczorem, gdy operacja słoneczna była niewielka, czuł, jak Żuraw wznosi się lekko, ilekroć przelatuje nad łysiną piasku. Koło południa musiał

tam płynąć w górę tęgi, gorący nurt zdolny unieść szybowiec na znaczną wysokość.

Wyobrażał sobie cały przebieg tego zjawiska tak, jakby je mógł ujrzeć na własne oczy. Oto nad rozgrzanym piaskiem tworzy się wielka, lekko wypukła warstwa ciepłego powietrza. Z początku ma kształt misy odwróconej do góry dnem. Lecz biały, gorący piasek promieniuje tak silnie, że już po chwili ta przezroczyta misa wydyma się tworząc pośrodku banię, która rośnie wzwyż, pęcznieje u szczytu jak wydłużony dziecinny balon-kielbasa.

Tylko rozmiary tego balonu wcale nie są dziecinne: jego średnica u podstawy ma paręset metrów, a wysokość ciągle się zwiększa, Balon pochyla się

z wiatrem, chwieje się, lecz jeszcze nie ulatuje w górę. Dopiero kiedy napływające zewsząd cięższe, chłodniejsze powietrze ściśnie jego podstawę i wśliznie się pod nią. odcięty od ziemi ucieka w przestrzeń i z tą chwilą staje się już kominem termicznym, jak go nazywają piloci i meteorologowie.

Teraz wiatr pędzi go przed sobą, podczas gdy on wznosi się coraz wyżej i coraz prędzej. Powietrze, które go otacza łam w górę, jest coraz chłodniejsze i dzięki temu prędkość pionowa wciąż rośnie. Wreszcie komin osiąga poziom, w którym następuje kondensacja zawartej w nim pary wodnej i tu tworzy się biały obłok, naprawdę już widoczny.

Tymczasem, gdy mały obłoczek rośnie i pędzony wiatrem oddala się coraz bardziej od piaszczystej wydmy, która go zrodziła, już nowa bania ciepłego powietrza zaczyna wyrastać nad gorącym piaskiem. Za kilka sekund i ta uleci w górę, a na jej miejscu powstanie trzecia, czwarta, dziesiąta...

Gdyby można było dostrzec ich kształt i ruch patrząc z góry na ziemię i obejmując wzrokiem krąg o średnicy kilkudziesięciu kilometrów, wyglądałoby to podobnie do dna rondla, w którym za chwilę zacznie wrzeć woda. Zanim się zagotuje, pęcherzyki pary — po kilka, po kilkanaście — podrywają się w górę, wyskakują na powierzchnię, a potem skraplają się, tworząc mgiełkę ponad otwartym naczyniem. Ta mgiełka to właśnie obłoki płynące nad ziemią.

Gdyby można było widzieć powietrze! — westchnął Szary.

— Śledzić wszystkie smugi wiatru, ich wygięcia, zakręty w bok, AV dół i w górę! Spoglądać na skłócony nurt olbrzymich powietrznych strumieni, jak płyną, wznoszą się nad lasami, uderzają o zbocza wzgórz i wyrastają spiętrzoną falą nad szczytami, przelewają się poprzez ich grzbiety, opadają w dół i odbijają się znów w górę, wirują przed czołem chmur burzowych, wspinają się, tryskają jak potężne gejzery, pędzą wżwyz wewnątrz skłębionych, białych obłoków, rozlewają się leniwie ponad nimi i spływają dokoła, aby znów trafić w główne łożysko wiatru!

Co za wspaniały widok! Nalany słońcem przestwór, głęboki na kilkanaście kilometrów, pełen wirów, prądów, wartkich poloków, to spadających kaskadami w dół, to przewalających się przez wysokie progi i porohy, falujących, wzburzonych, splatających się z sobą, pędzących w górę jak płomień, wsysanych gwałtownie przez chmury, wrzących jak ukrop lub rozplwających się w spokojne, powolne tonie, nicy.

Pulsujące, chwiejne kominy wleczone za cumulusami wzdętymi jak potwornych rozmiarów kalafior; pnące się w górę smugi prądów zboczowych jak długie łodygi fasoli; poziome walcowate bryzy wirujące powolnie i sennie nad brzegami jezior, za dnia zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a odwrotnie nocą; inwersje zalegające wielkie przestrzenie i hamujące wszelki ruch prądów... A nad tym wszystkim, wysoko, na granicy stratosfery, tęgi, równy ciąg o długiej regularnej fali, gnający z prędkością paruset kilometrów na godzinę, lub drzemiąca, mroźna cisza.

Takie wizje powstawały w umyśle Szarego pod wpływem trzeźwej, sucho napisanej i opatrzonej mnóstwem wzorów matematycznych „Meteorologii szybowcowej”, którą od dwóch tygodni studiował.

— Jak ty przy tym nie usypiasz, to już nie rozumiem — powiedział kiedyś Chudy, zaglądając mu przez ramię. — Ja bym z tego nic nie skapował. Te fronty zokludowane, izotermy, inwersje, zmiany adiabatyczne i jak się tam te historie nazywają...

co to wszystko znaczy? Po co ci to potrzebne?

— Jak to po co? — zdziwił się Szary. — Po to, żeby latać.

Jakże ty zrobisz przelot albo jak się wdrapiesz na parę tysięcy metrów nie wiedząc,

gdzie możesz znaleźć wznoszenie w danych warunkach i dlaczego właśnie tu, nie gdzie indziej?

-- E, do tego dochodzi się praktyką — odrzekł lekceważąco Chudy.

Ale Trel i Gruszka mieli niejaki wątpliwości co do owej praktyki bez gruntownej znajomości podstaw teoretycznych; — No więc jak to jest? — spytał Dytyński. — Tylko bez wzorów, po ludzku! Nie potrzebujesz nas czarować swoją rozległą wiedzą. Opowiedz to własnymi słowami; Szary zaczął mówić, tak właśnie, jak to sobie wyobrażał, i zapewne dlatego potrafił ich zainteresować. Chudy słuchał z otwartymi ustami, lecz w końcu ogarnęły go wątpliwości; — Ty chcesz we mnie wmówić, że to wszystko dzieje się naprawdę? Teraz? Tu, dokoła nas?

Bolek patrzył na niego z pobłażliwym uśmiechem, ale Gruszka się zirytował

— Nie — powiedział lodowatym tonem. — Nic podobnego, On to wszystko wymyśla, w miarę jak opowiada. Po to, ma się rozumieć, żeby tobie uprzyjemnić czas, tumanie boży!

A Trel wyraził mniemanie, że „jednak warto by nawet z tymi wzorami”, bo to się może bardzo przydać. Wobec tego Szary zaczął od podstaw, od budowy atmosfery S raz jeszcze przeszedł

wraz z trzecią grupą cały znany mu zakres zagadnień związanych z występowaniem prądów pionowych, przydatnych w szybownictwie.

—No, teraz w to wierzysz? — zapytał Chudego pod koniec ostatniej dyskusji o prądach falowych; —Tylko w niektóre dni w roku — odrzekł Chudy z westchnieniem. — Na stałe mógłbym uwierzyć, gdyby mnie wyniosło tak z pięć tysięcy metrów w górę. Ale już coś niecoś kapuję.

—No, to się okaże — powiedział Dytyński; — Na wszelki wypadek trzeba będzie dać mu bullę z tlenem na ten lot wleczony za samolotem, bo jeszcze bryknie do stratosfery i udusi nam Pigułę.

Te obawy nie mogły się spełnić, ponieważ Chudy poleciał na lot żaglowy nie z Grzymkiem, lecz z Rysiewiczem; Niemiej jednak wdrapał się prawie na tysiąc metrów pod rosnącym cumulusem i utrzymał się w powietrzu przeszło pół godziny Szary siadł do szybowca wraz z Pigułą. Holującym był

porucznik Bachler;

Gdy ruszył, dość niewprawnie i trochę za gwałtowniej Żuraw prawie natychmiast oddzielił się od ziemi; lecz Bolek nie pozwolił

mu wyjść w górę i dopiero gdy samolot zaczął nabierać wysokości, ustalił swoją pozycję na dwa metry ponad nim, tak aby widzieć horyzont między jego skrzydłami.

Pierwszy zakręt wypadł niezbyt równo; Trudno było utrafić w ten sam łuk, jakł zataczał samolot. Szybowiec schodził do wewnątrz krzywizny, jakby się uparł, że ją zatoczy mniejszym promieniem;

— Za duże wychylenie steru kierunkowego! — zawołał

Piguła. — I za dużo lotki

Szary poprawił, ale wyprowadzając z zakrętu znalazł się znacznie wyżej niż samolot; Poprawił znowu, zbyt gwałtownie, skutkiem czego linka holownicza obwisła na chwilę, a potem naprężyła się nagle i szarpnęła;

—Spokojnie, spokojnie! — upominał Grzymek. Polem pochylił się i zapytał:

—Dokąd chcecie lecieć?

— Prosto, na Górę Sv. Anny — powiedział Szary. — Tam jest taka wydma..;

Piguła kiwnął głową;

Spryciarz — pomyślał.

Spojrzał w tamtą stronę; Na zawietrznej \* owej wydmy widać było cały rząd obłoków o wyraźnych, kłębiasłych kształtach i płaskiej podstawie. Szły jeden za drugim, coraz wyższe, skręcając nieco w prawo, w miarę jak się rozrastały wzwyż.

Zespół łeciał ku nim, balansując lekko — to w dół, to w górę — na pomniejszych smugach prądów wstępujących i osiągał już prawie czterysta metrów.

— Moglibyśmy się odzepić — powiedział Szary. — Tam jest komin. Można zejść nawet na dwieście, bo i tak nas wyniesie.

Grzymek zmierzył wzrokiem odległość. Wydało mu się to trochę ryzykowne, jakkolwiek było rzeczą oczywistą, że wielka piaszczysta łysina wśród lasu jest silnym ogniskiem prądów wstępujących. Lecz w promieniu kilku kilometrów dokoła niej nie było gdzie lądować, a o dociągnięciu lotem ślizgowym do lotniska nie można było nawet myśleć. Jeżeli nie trafią na komin lub jeżeli go zgubią mając tak małą rezerwę wysokości, to lądowanie może się skończyć uszkodzeniem szybowca. Nie, stanowczo nie powinien dopuścić do takiej próby, pomimo wszelkich widoków powodzenia.

Ale Szary przyjął chwilę jego wahania za milczącą zgodę: zwolnił wyzwalacz zaczepu i gdy lina holownicza zwiła skośnie za ogonem oddalającego się samolotu, zdecydowanie odszedł w lewo.

Grzymek tak był tym zaskoczony, że aż zaniemówił z wrażenia.

Co ten szczeniak sobie wyobraża?

Lecz było już za późno. Nie miał czasu na żadne kazania; nie mógł teraz odwracać uwagi młodego pilota od najważniejszej sprawy, od znalezienia strefy wznoszeń. Sam też musiał się skupić, aby zapobiec możliwym jego błędom. Milczał więc nadal, chmurny i trochę niespokojny, co z tego wyniknie. Szary zaś pewnie i śmiało zmierzał ku zawietrznej stronie wydmy, nic sobie nie robiąc ze stopniowej, lecz ciągłej utraty wysokości.

Nad niewielką prostokątną porębą podparł ich przypadkowo napotkany, ulatujący w górę pęczek powietrzny; wariometr drgnął, pokazał pół metra wznoszenia, metr, zawahał

się, spadł na zero i cofnął się do poprzedniego położenia. Ale teraz nad każdą odkrytą polanką, nad szosą, nad południowymi zboczami małych pagórków szybowiec unosił się nieco, jak lekki kajak na długich morskich falach.

Pojedyncze strugi ciepłego powietrza jak miękkie spiralne sprężyny kolejno wchodziły pod jego długie, czułe skrzydła i podawały go sobie w łagodnych podrygach, czasem jakiś silniejszy podmuch uderzał skośnie od dołu i popędzał, przynaglał

go, jakby zniecierpliwiony powolnym lotem ślizgowym.

Piguła już w połowie drogi upewnił się, że nie stracą nawet stu pięćdziesięciu metrów. Szary instynktownie wykorzystywał

każde wznoszenie, zmniejszając prędkość w jego zasięgu tak, że nie trzeba go było poprawiać i pouczać.

Ma dryg — myślał Piguła. — Na pewno ma dryg. Czuje powietrze. Będzie z niego pilot.

Weszli w stromy, trochę niespokojny, kędzierzawy nurt prądu po zawietrznej stronie wydmy. Szary sparował jeden i drugi uskok, lekko pochylił Żurawia na lewe skrzydło i zaczął

zataczać krąg, aby wycentrować środek komina.

Z początku szybowiec wznosił się nierówno, drgając nerwowo na grzbietach drobnych rotorów, jakby wspinał się po zaokrąglonych, wypukłych stopniach lub jakby prześlizgiwał się poprzez walcowate progi. Czasem tylko jedno skrzydło trafiało na taki stopień i wtedy Żuraw wychylał się to na zewnątrz, to znów do wewnątrz łuku, nagle tracąc oparcie, podobnie jak człowiek, który nieostrożnie stąpając skręci stopę na wyboistej drodze i omal nie upadnie, w ostatniej chwili odzyskując równowagę. Lecz mimo tych potknięć i podrygów, Szary czuł, że główny nurt dźwiga go wciąż w górę, a wskazania wariometru potwierdzały to wrażenie I oto nagle szybowiec zapadł w głąb, jakby oba skrzydła naraz trafiły w próżnię; jakby drgająca, elastyczna masa powietrza skończyła się gwałtownym obrywem, przepaścią o prostopadłej ścianie. Strzałka wariometru cofnęła się, opadła, minęła zero, zaczęła wskazywać kolejne cyfry poniżej.

Wyszliśmy z komina — pomyślał Szary. — Co zrobić?

Zacieśnić łuk czy go poszerzyć?

Miał bardzo niewiele czasu na decyzję; w każdej sekundzie tracił dwa razy tyle wysokości, ile jej przedtem zyskiwał. Lecz musiał się skupić, aby nie popełnić błędu.

Piaszczysta wydma leżała teraz w dole wprost przed nim, pod wiatr; w zależności od siły tego wiatru komin mógł się wznosić bądź pomiędzy nią a szybowcem, bądź też dalej, za jego ogonem.

W pierwszym wypadku należało lecieć przed siebie powiększając promień zakrętu; w drugim zawrócić o 180°. Ale skądże mógł

wiedzieć, czy jest tak, czy inaczej? Niestety nie mógł widzieć powietrza, jak tego



nierzaz pragnął i jak o tym mówił kolegom z trzeciej grupy...

Spojrzą} na wysokościomierz. Wskazówka z wolna mijała grubszą kreskę podziałki; dwieście pięćdziesiąt metrów.

Grzymek widocznie zaniepokojony kręcił się na drugim siedzeniu.

— Nad wydme! ~ powiedział głośno. — Prosto nad wydme!

Szary zawahał się. Odwrócił głowę, spojrzał w górę, za siebie, Młodziutki, ledwie wykształcający się obłoczek płynął z wiatrem w przeciwnym kierunku.

Szary zwiększył prędkość, zawrócił,

— Po co? — krzyknął Grzymek.

— Komin jest tam! — odrzekł wskazując obłok. — Musiał

się urwać i odchodzi z wiatrem. Nad wydme zacnie nosić dopiero za kilka minut!

Piguła zrobił ruch, jakby chciał chwycić drążek, ale się powstrzymał,

Może on ma słuszność — przeleciało mu przez głowę. -

Niech go lichoo..?

W tej chwili zgmiotło ich w dół, szarpnęło w górę, puściło W lewo — pomyślał Szary. ~ Jesteśmy na obwodzie, na skraju;

Obejrzał się znowu; Tak, teraz zbliżali się do prostej, którą można by poprowadzić od obłoku do wydmy. Środek komina musiał przesuwac się tuż blisko, nieco przed szybowcem i w lewo Nowy skok, przechył, ciąg w górę! I jeszcze jeden! Biała wskazówka na tarczy wariometru waha się w pobliżu zera, w górę i w dół, w górę i w dół... Wtem skrzydła trafiły na równy, mocny prąd: dwa metry na sekundę, trzy, cztery — Dogoniliśmy go! ~ zawołał Szary.

Zakręcał teraz ostrożnie, pozwalając, by wiatr znosił

Żurawia w ślad za obłokiem, który tymczasem rozrastał się wszcz i wzwyż, coraz bielszy, aksamitny, lśniący od słońca. Już mi się nie wymknie — pomyślał. Opisał pełne koło, ustalił

promień tak, aby rozwijający się eumulus mieć zawsze niemal nad środkiem kręgu, trochę tylko po zawietrznej stronie, i wkręcał się w górę.

Po upływie ośmiu minut miał tysiąc metrów; prawie osiemset przewyższenia!

Przełożył stery w przeciwną stronę, zawiązał kilka ósemek, w których zyskał jeszcze sto kilkadziesiąt metrów, i postanowił

prześliznąć się z wiatrem pod następny obłok, bliżej lotniska.

Udało mu się tego dokonać kosztem utraty dwustu metrów.

Trafił od razu w komin chmury, w sam jego środek. Podniosło go spokojnie, gładko,

jak szybką windą.

Tak się tym ucieszył i rozzuchwalił, że zobaczywszy wielki spiętrzony obłok daleko na prawo, zapragnął z kolei przeskoczyć pod jego płaską podstawę.

Tym razem miał wiatr boczny, co zresztą nie stanowiło poważniejszej przeszkody, gdyż ten wiatr znosił go na równi z obłokiem. Lecz patrząc w niebo zapomniał na chwilę o ziemi; o zdradzieckiej, podstępnej, nieprzychylniej dla lotników ziemi, której nie można zaufać.

Dopiero w połowie drogi dostrzegł zasadzkę: przed nim w dole, pośród ciemnej, soczystej zieleni połyskiwały lusterka wody... Leniwy strumyk wił się między krzakami olszyny porastającymi rozległą, bagnistą łąkę, a niewielkie jeziora drzemały w obramowaniu trzciny i sitowia. Dalej, za łąką zaczynały się smugi zagajników i zarośli, a jeszcze dalej wilgotny las liściasty, gęsto znaczone białymi strzałami brzoź i w kilku miejscach przecięty rowami melioracyjnymi.

Dopiero za tym lasem grunt wznosił się nieco; tu i ówdzie widać było stadka gęsi, jak płatki śniegu rozsypane garściami na lewo i na prawo pod rzędem krępych, przysadzistych wierzb, żółte zatoki kaczeńców, wąskie, długie kliny zagonów kapusty i buraków, jak pikietki uprawnych pól wysunięte na lekkich wyniosłościach terenu.

Szary wiedział, co go czeka nad tym szerokim pasem podmokłej, chłodnej ziemi, której słońce nie zdołało jeszcze ogrzać, nad którą w ciągu całego dnia panuje depresja, niby wielka studnia opadających prądów. Wiedział, że ze wszystkich stron spływają tam z góry masy powietrza, jak olbrzymie wodospady, w których szybowiec ugrzęźnie i zatonie, a one porwą go za sobą, wciągną w dół, może aż na dno tej przepaści.

Spojrzał na wysokościomierz. Miał osiemset metrów; gdyby zwiększył prędkość, może udałoby mu się przebyć tę przeszkodę i zachować jeszcze dostateczną wysokość, aby „wyżebrać” gdzieś dalej jakieś takie noszenie? A może lepiej zawrócić i dogoniwszy ostatni obłok zawierzyć jego kominowi?

Tylko jak wysoko nad ziemią teraz ten komin się zaczyna?

Czy Żuraw znajdzie się w jego zasięgu, gdy go dogoni?

Były to pytania, na które Szary nie umiał sobie odpowiedzieć, ponieważ odpowiedź na nie znajduje się tylko w praktyce, w doświadczeniu, którego nie miał.

Trzeba działać — myślał. — Trzeba działać logicznie. Gdzie jest lotnisko? — zastanowił się przez chwilę.

Dojrzał je w oddali na lewo, co uspokoiło go trochę. W

ostateczności mógłby tam dolecieć wprost z wiatrem, pozostawiając niebezpieczny obszar po prawej stronie. Wprawdzie musiałby lądować również z wiatrem, bo nie starczyłoby mu już wysokości na prawidłowe okrążenie i podejście, ale w każdym razie nie byłby zmuszony do lądowania w polu.

Więc w lewo — pomyślał.

Zakręcił ostrożnie, oszczędnie, trochę tyłkozwiększając prędkość. Ujrzał daleko przed sobą spory obłok, płynący na wysokości tysiąca dwustu metrów, ale zrozumiał, że zanim go dogoni, sam znajdzie się na dwustu lub trzystu. Było rzeczą wątpliwą, czy komin obłoku sięga tak nisko, czy na dwustu metrach jeszcze istnieje użytkowy prąd wstępujący...

Mimo tych niepokojących przewidywań, leciał dalej na ekonomicznej prędkości, rozmieniając po drodze kolejne setki metrów.

Gdy pozostały mu już tylko dwie całe, poczuł, że szybowiec lekko dźwignął się w górę. Spojrzał pod siebie i natychmiast odkrył przyczynę tego nieznacznego wznoszenia: kamienisty, prawie nagi, porosły tylko suchą, spaloną przez słońce trawą grzbiet, lub raczej wydłużony wał ziemi, spływał pod skrzydła Żurawia

To on — pomyślał i natychmiast uświadomił sobie, że przecież doskonale zna tę okolicę lotniska: w lewo grzbiet wyrastał znacznie wyżej i rozszerzał się tworząc płaskowzgórze, gdzie odbywały się pierwsze ćwiczenia na chwiejnicy i bez wahania skręcił znów w lewo, wzdłuż wału. Czuli, że szybowiec raz po raz unosi się na strugach powietrznych powstających wskutek silnego nagrzania zbocza. Promienie słońca padały niemal prostopadle na kamienisty, suchy stok; musiała tam pęcznić tuż nad nim gorąca poduszka, pulsująca jak kozuch piany na gotującym się mleku. Powiew wiatru uderzał na nią skośnie, wślizgiwał się na zbocze wyzwalając tu i ówdzie bąble powietrza, które ulatywały pionowo w górę, porywały za sobą drobne wiry, torowały drogę nadmiernie wzdętym pęcznikom ledwie trzymającym się podłoża.

Skłębione, chaotyczne porywy, chwiejne smugi i pasma prądu wspomagane podmuchami wiatru łączyły się z sobą wyżej, wyginały się ponad krawędzią płaskowzgórza, nabierały pędu, tworzyły wysoką, tęgą falę nośną.

Szybowiec wszedł na nią i piął się w górę znoszony bokiem wzdłuż zbocza, a potem, gdy Szary odwrócił go na trzy czwarte pod wiatr, popłynął z powrotem, coraz wyżej, coraz spokojniej i równiej, aż wydostał się na samą powierzchnię nurtu.

Wtedy pilot pozwolił mu umknąć nad środek wyżyny i zwiększając prędkość zaczął krążyć. Wariometr wahał się w pobliżu zera, wyboisty, kapryśny prąd targał skrzydłami Żurawia, brał go na barki, podbijał w górę i uchylał się upuszczając go niespodzianie, aby po sekundzie szarpnąć nim znowu. Wtem, w połowie okrążenia tuż na zawietrznej krawędzi płaskowzgórza wypiął się nagle, poderwał go stromo, wyniósł wzwyż i zdawał się puchnąć pod nim tak gwałtownie, jakby mu chciał wyłamać drgające od wysiłku skrzydła, a potem rzucić go w przepaść.

Lecz Szary właśnie na to czekał; zwiększył prędkość, pochylił Żurawia w lewo, wyrównał czołem do wiatru, aby go nie przeniosło za wcześnie na stok.

Był teraz w nowym, bardzo silnym kominie, który w tej chwili wzbił się w przestrzeń. Leciał wraz z nim, w samym jego wnętrzu, z każdą sekundą zyskując po parę metrów wysokości.

Strzałka wariometru wskazywała dwa metry, trzy, dwa i pół, znów trzy, Szybowiec zataczał ciasne koła, znoszony z wolna wprost nad lotnisko i wzbijał się coraz wyżej. Gdy osiągnął tysiąc metrów, ponad nim zaczął się formować biały obłok.

Duma i radość Szarego z pierwszego w życiu żagla gasły w miarę jak Koźbiar omawiał kolejne wyniki osiągnięte przez uczniów trzeciej grupy w tej próbie. Cóż z tego, że Szary utrzymał się w powietrzu dłużej niż inni, że przebył największą odległość i zyskał największe przewyższenie? Jego taktyka była przypadkowa, nie przemyślana, chaotyczna, podobnie jak u wszystkich pozostałych. Żaden z nich nie ułożył sobie planu działania; żaden nie przestudiował terenu. Polecieli na chybił

trafił, nie mając pojęcia, co zrobią w danych okolicznościach, łatwych przecież do przewidzenia. Dlatego Trel musiał lądować z bocznym wiatrem, dlatego Dytyński usiadł na samym skraju lotniska i omal nie wpakował się na fort, dlatego wreszcie Szary dwukrotnie znalazł się w krytycznej sytuacji, dwieście metrów nad ziemią, gdzie lądowanie groziłoby rozbiciem szybowca.

Dopomógł mu szczęśliwy traf, przypadek, na który nie można liczyć, jeśli się chce naprawdę dobrze i pewnie latać!

—Tak, proszę obywateli. Niech wam się nie zdaje, że już coś umiecie — powiedział Gruszka w chwilę później, gdy kierownik wyszkolenia zamknął swój czerwony notes i trzasnąwszy w okładkę gumową opaską odszedł w stronę hangaru. — Lataliście jak sparaliżowane kaczki, nie jak piloci trzeciej kategorii. Fakt! Szkoda było męczyć się nad waszą edukacją.

—Już on się niewiele nad tym męczył — mruknął Chudy i z ponurą miną zaczął pogwizdywać, ładując płachty startowe na wózek.

—Na miłość boską, przestań gwizdać! — jęknął Dytyński.

— Bliźni mają przecież prawo do pewnych względów.

—A bo co? — spytał Chudy.

—To, że fałszujesz jak wielkie nieszczęście.

—Ale on ma w gruncie rzeczy rację — westchnął Szary; —Kto? — zdumiał się Gruszka.

—No — Koźbiar. Przynajmniej jeżeli chodzi o mnie; Teraz leciałbym zupełnie inaczej.

— I ja — wyznał Trel.

Dytyński potrząsnął głową;

—Praktyka, drogie pisklęta, praktyka! Za kilka lat będziecie latali jak... jak sam Koźbiar! Z głową, z planem, z taktyką, jednym słowem, prawie dostatecznie!

—Nie wygłupiaj się — mruknął Trel. — Koźbiar lata zupełnie dobrze.

—Hm. Gołym okiem nie można tego dostrzec — odparł

Gruszka sceptycznie. — Wiśla, Chudy! — zawołał popychając wózek.

Szary po raz drugi odczytywał krótką depeszę. Litery drgały w takt spiesznych, bolesnych uderzeń serca, mieszały się jak myśli przelatujące w popłochu.

PRZYJEŹDŹAJ NATYCHMIAST. STOP. MATKA CIĘŻKO CHORA.

ADOLF JEXNERT

Spojrzał na datę. Depesza była nadana poprzedniego dnia w południe,

Rozdział drugi

Białe

ślady

Adolf Jennert powoli, ciężko wszedł na schody, które skrzypiały przeraźliwie, mimo że usiłował stąpać jak najostrożniej. Nie zapalając światła wyszukał klucz w kieszeni i namacawszy otwór zamka otworzył drzwi. W ciszy nocnej wszystkie szmery zdawały się rozlegać głośno, budząc donośne echa w pustej klatce schodowej. Działo mu to na nerwy. Pragnął

się dostać do swego pokoju niepostrzeżenie, tak aby nie obudzić Agnieszki; aby o tej spóźnionej porze uniknąć rozmowy. Chciał

być sam ze swoimi myślami.

Lecz przyćmione światło sączące się przez matowe szyby oszklonych drzwi jej sypialni ostrzegło go, że Agnieszka nie śpi.

Zaraz zresztą usłyszał wysoki, skrzeczący głos: —Adolfie! To ty?

—Ja — odrzekł niechętnie.

Miał słabą nadzieję, że może na tym się skończy, ale zawiódł się, jak zwykle w podobnych okolicznościach.

— Dopiero teraz wracasz? — spytała nadąsanym tonem.

Nie odpowiedział na to retoryczne pytanie. Przekręcił wyłącznik, zdjął kapelusz i powiesił go na wieszaku.

—Która godzina? — jęknęła Agnieszka. — Może byś tu przyszedł na chwilę. Czy Maria ma się lepiej?

—Nie — odrzekł wreszcie, wchodząc. — Wątpię, czy przeżyje tę noc. Jest nieprzytomna.

Zatrzymał się na środku pokoju i szukał zapalek kolejno we wszystkich kieszeniach. Znalazł je wreszcie, zapalił papierosa, usiadł z dala od tapczanu, nie patrząc w tamtą stronę, aby nie widzieć Agnieszki w nocnej koszuli, z przerzedzonymi czarnymi włosami w papilotach, z ustami zapadniętymi po wyjęciu garnituru sztucznych zębów. Lecz spojrzawszy niebacznie w lustro wprost przed sobą, ujrzał tam jej odbicie i mimo woli raz jeszcze stwierdził, że Agnes w nocnym stroju wygląda chyba najmniej powabnie ze

wszystkich istot, jakie kiedykolwiek dane mu było oglądać.

Siedziała oparta plecami o poduszki, mrugając nerwowo zaczerwienionymi powiekami, jak zwykle gdy była czymś rozdrażniona. Jej cienka, pomarszczona szyja wylaniała się z okrągłego kołnierzyka koszuli, powycinanego w ząbki. Siedziała sztywno, z ramionami skrzyżowanymi na deskowatej piersi, wysuwając naprzód spiczasty podbródek.

—Coś ty tam robił tyle czasu? — spytała z tępym uporem.

—Myślałem, że Bolek może przyjedzie — odrzekł wymijająco. — Jak przyszedłem, była jeszcze przytomna. Poznała mnie. Dopiero później...

— Przecież tam jest pielęgniarka i Ewa — przerwała mu.

— Ewa... Ewa ma szesnaście lat, moja kochana! Jest jeszcze dzieckiem. A Maria... No, przecież to jej ostatnie chwile...

Agnieszka przygryzła dolną wargę.

Do ostatniej chwili chce być przy niej — pomyślała z gniewem. — Ja się nie liczę!

Nie wypowiedziała na głos tej myśli. Nie chciała w nią uwierzyć w ciągu wielu lat; od chwili, kiedy została żoną Adolfa.

Ale wiedziała przecież, że niegdyś, na długo przedtem, Adolf pisywał płomienne listy do Marii, a w zamkniętej na klucz szufladzie biurka dotychczas przechowywał młodzieńcze wiersze jej poświęcone.

To wtedy zjawił się Stanisław Szary, dla którego Maria straciła głowę. Mając do wyboru pomiędzy nimi dwoma, wybrała tego górala (rzemieślnika!), odrzucając poetę, intelektualistę, człowieka obdarzonego nieprzeciętnym umysłem i talentem.

Co prawda, Adolf tylko zyskał na tym: ożenił się z nią, z Agnes!

Spojrzała na swój portret z owych czasów. Uważała go za bardzo dobry, jakkolwiek kilka ciotek trochę się nim gorszyło, wyrażając mniemanie, że „Aga wygląda na nim jak hurysa, nie jak panna z dobrego domu”. Lecz te jej czarne oczy o aksamitnym, marzącym spojrzeniu, bujne, ciemne włosy wymykające się spod weneckiego szala, regularne rysy twarzy i uśmiech podobny do uśmiechu Giocondy, wszystko to musiało wyrzeć wielkie wrażenie na młodym poecie, którego spotkał zawód miłosny.

Nigdy nie przychodziło jej na myśl, że malarz, któremu pozowała, niewiele dbał o wierność swego dzieła i uczynił

wszystko, co było w jego mocy, aby je upiększyć. Wierzyła bardziej jemu niż własnemu odbiciu w lustrze. Później zaś uwierzyła także w swoją inteligencję i wszystkie inne zalety, które tak trafnie ocenił Adolf Jennert, prosząc o jej rękę.

Tak, Maria popełniła błąd, zrobiła głupstwo, zdeklasowała się, jak mawiał Adolf. Dzieci z tego małżeństwa były podobne do rodziców, zwłaszcza do ojca; ładne, lecz obciążone wszystkimi jego wadami. Harde, niewdzięczne, nie uznające autorytetu dalszej rodziny, krnąbrne.

Nie lubiła ich. Nie lubiła także Marii, choć, jak jej się wydawało, odniosła nad nią zupełny triumf. Na dnie tej niechęci kryło się obawa, że mimo wszystko Adolf nigdy nie zdoła zapomnieć o tamtym uczuciu.

I oto teraz, gdy Maria miała odejść na zawsze, te obawy i przypuszczenia zdawały się potwierdzać...

Adolf Jennert odprawił pielęgniarkę i wysławszy zapłakaną Ewę wraz z Bolkiem do kwiaciarni po zamówione wieńce, został

wreszcie sam w pustym pokoju, gdzie pośrodku stała trumna ze zwłokami Marii. Pochylił się nad nią i spojrzał na jej spokojną twarz, z której śmierć starła wyraz cierpienia. Maria zdawała się pogrążona w głębokim śnie. Przez otwarte okno wpadał promień słońca i przesiany przez firankę poruszaną lekkim powiewem, drgał niepewnie na ustach zmarłej, jak uśmiech.

— Mario — szepnął Jennert.

Poczuł gwałtowny, bolesny skurcz gardła. Pomyślał, że już nigdy nic spotka spojrzenia jej oczu i nie usłyszy jej głosu. Wargi mu drgały, oddychał z trudem, otwierając usta jak ryba wyjęta z wody.

Usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach. To była jedyna chwila, w której mógł sobie pozwolić na zupełną szczerłość wobec niej i wobec siebie. Jedyna w ciągu ostatnich dwudziestu lat...

— Wuju Adolfie.

Drgnął, obejrzał się. Nieprzenikniona mgła wypełniła pokój.

Co to jest? — pomyślał wstając. — Ach, okulary!

Zdjął i przetarł szkła. Odwrócił się prędko, poczuwszy wilgoć na policzkach. Wytarł je nieznacznie. Powieki piekły go, jakby miał pod nimi suchy, gorący popiół.

— To ty? — mruknął. — Już wracasz?

— Ja — odrzekł Bolek. — przyniosłem kwiaty.

Jennert stał tyłem do niego. Milczał przez chwilę, ciągle jeszcze zmieszany, zaskoczony, rozdrażniony tym nagłym wtargnięciem.

— Chodzisz jak kot — mruknął.

Opanował się wreszcie i spojrzał na niego badawczo. Bolek stał pośrodku pokoju ze wzrokiem wbitym w podłogę, trzymając dwa wieńce z jedliny i świeżych białych kwiatów.

Chyba nie zauważył — pomyślał Jennert. — To jego syn, syn Stanisława Szarego. Podobny do ojca. Ale Ewa jest podobna do Marii. Zupełnie podobna...

— Karawan przyjechał — powiedział Bolek. — Zaraz tu przyjdą po mamę.; po trumnę — poprawił się i zacisnął szczęki, żeby się nie rozplakać.

Wuj Adolf podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Zawołaj Ewę. Niech się pożegna z matką. I ty także. Ja tam poczekam obok w pokoju. No, bądź mężczyzną — dodał, popychając go ku drzwiom.

„Bądź mężczyzną”, „nie jesteś dzieckiem”, „powinieneś być mężczyzną” odmieniano na różne sposoby w ciągu kilku dni po pogrzebie. Szary sam o tym wiedział, ale tym bardziej zaczynał się w uporze.

Podziękował za pomoc okazaną Ewie, którą wuj Adolf wysłał do babki Stulskiej, obiecując płacić za jej utrzymanie i dalszą naukę w Krakowie, ale sam odmówił przyjęcia cze-gokolwiek od Jennertów. Nie chciał pracować w księgarni, do czego wuj starał się go nakłonić, przesądziwszy uprzednio tę sprawę bez pytania go o zdanie. Oświadczył, że ma inne, własne plany i że sam da sobie radę.

Ciotka nie posiadała się z oburzenia. Wuj się obraził. W gruncie rzeczy oboje byli zadowoleni: okazali przecież najlepszą wolę; ten głupi upór Bolka zdejmował z nich wszelką odpowiedzialność.

— Zakuty, koński łeb — powiedział Adolf Jennert do żony. —Będzie jeszcze tego żałował, moja kochana.

Agnieszka gdała jak podrażniona perliczka: — To coś niesłychanego! Coś niesłychanego! Ale to są skutki wychowania go przez Marię. Nigdy nas nie słuchała... Dzieci były puszczane samopas.

Szary zgłosił się w aeroklubie dopiero w połowie lipca. Trafił szczęśliwie, bo zastał na lotnisku zwykle nieuchwytnego kierownika wykszolenia, Wywrota, który natychmiast zarzucił go gradem pytań, wymówek i wiadomości.

Ach, więc zjawił się wreszcie! Dlaczego tak późno? Kurs motorowy już się rozpoczął £ teraz instruktor będzie musiał latać z nim dodatkowo. Trening dla pilotów szybowcowych przewidziany jest w godzinach południowych. Tak, Szary będzie mógł latać w niedziele, jeżeli pracuje. Naturalnie, wszystko da się pogodzić.

Trzeba wykonać podjęte zobowiązania, to jest teraz najważniejsze. Czy Szary to rozumie? Czy może się podjąć wykładów teoretycznych dla juniorów? Tak? To doskonale. Od przyszłego tygodnia umożliwi mu się bezpłatne przejazdy autobusem z Zakopanego.

— To możemy załatwić nawet zaraz — wykrzyknął. —Chodźcie! Poszli do ekspozytury PKS, gdzie Wywrót pracował jako kontroler. Sprawa istotnie mogła być załatwiona tego samego dnia; trzeba było tylko uzyskać podpis kierownika, który miał za godzinę przyjechać z Krakowa.

Tymczasem Wywrota złapał przewodniczący Polskiego Związku Motorowego i niemal przemocą uprowadził na jakieś zebranie.

Szary wyszedł razem z nimi, żeby dowiedzieć się konkretnie, kiedy, gdzie i co mianowicie ma wykładać oraz z kim \powinien się porozumieć w sprawie treningu



szybowcowego !

i kursu pilotażu na samolotach, ale Wywrót był już całkowicie pochłonięty sprawami organizacji zawodów motocyklowych, do których miał przygotować regulamin; — Jutro będę w Zakopanem — powiedział żegnając się z, Bolkiem. — Złapcie mnie telefonicznie w garażach albo w prezydium MRN. Aha, o czwartej mam posiedzenie PTTK. To najlepiej tam; pogadamy w czasie przerwy. Cieszę się, żeście wreszcie wrócili — dodał jeszcze, potrząsając jego ręką. — Jesteście tu na gwałt potrzebni. Nie ma chwili czasu do stracenia!

Szary czuł się trochę oszołomiony jego chaotyczną wymową.

Ale Wywrót zawsze był taki: prędki, roztargniony, trochę blagier, wiecznie spóźniający się na zebrania, konferencje i posiedzenia najróżniejszych instytucji społecznych, związków sportowych i turystycznych, komisji i komitetów, w których sprawy załatwiał na kolanie i tylko wówczas, gdy się go dopadło w sposobnej chwili.

Mimo to wiele owych organizacji zawdzięczało mu przeprowadzenie swych postulatów drogą nieurzędową wprawdzie, za to z pominięciem biurokratycznej pisaniny, a jego pomysły i żywiołowa inicjatywa budziły z wygodnej drzemki prezesów, poruszały opieszale władze; Wywrót pracował zrywami; łatwo się zapalał, wyładowywał

mnóstwo energii, „rozkręcał” taką czy inną sprawę i natychmiast przerzucał się do nowej. Przypominał małego szczupaka w stawie z karpami: robił ruch; nie pozwalał im zasypiać. A że obiecywał

zwykle o wiele więcej, niż mógł dotrzymać, to już było winą jego optymizmu. Bądź co bądź pewna część tych obietnic i projektów realizowała się wśród owej chaotycznej krzątaniny.

Szary pomyślał, że już nic więcej dziś nie uzyska poza owym podpisem kierownika ekspozytury PKS, na który miał

czekać całą godzinę. Postanowił z tego skorzystać i odwiedzić magistra Dobosza. Widział go z daleka na pogrzebie maiki ale z nim nie rozmawiał. Zauważył także wśród innych kwiatów na grobie wieniec od Doboszów. Wypadało teraz podziękować za ten dowód pamięci, poza tym zaś spodziewał się, że zobaczy Halinę.

Może właśnie ona otworzy drzwi?

Na tę myśl serce zaczęło mu bić żywiej. Pisał do niej dwukrotnie z Policbny wkrótce po jej wyjeździe, lecz nie dostał

żadnej odpowiedzi. Nie liczył zresztą na odpowiedź; byłoby to zbyt wiele jak na Halinę. Ale miał nadzieję, że o nim nie zapomniła; że to, co sobie powiedzieli wtedy wieczorem w cieniu samotnego drzewa przed dworcem kolejowym, liczy się nadal, jest czymś w rodzaju przyrzeczenia; stanowi trwałą więź pomiędzy nimi.

Pamiętał każde słowo tej rozmowy i powtarzał sobie w myśli to, co wówczas powiedziała: „Lubię cię. Bardzo cię lubię, Bolku...” A potem ten pocałunek na pożegnanie!

Nie, nie powinien być ani przez chwilę wątpić o jej pamięci i wzajemności.

Wszedł do przewiewnej, chłodnej sieni parterowego domu przy bocznej ulicy opodal rynku i stanął przed drzwiami z emaliowaną tabliczką:

MGR ZDZISŁAW DOBOSZ

SEKRETARZ PRN

Zapukał i nadśluchiwał przez chwilę. Z pewnością rozpoznałby odgłos kroków Haliny.

Kroki rozległy się istotnie, ale nie te, których oczekiwał: w uchylonych drzwiach, zabezpieczonych od wewnątrz łańcuchem, ukazała się postać pani Doboszowej.

Szary został zidentyfikowany, wpuszczony do środka i zaproszony do ciemnawej jadalni, gdzie poddano go szczegółowej indagacji w sprawie choroby i śmierci matki oraz dalszych losów Ewy i jego samego. Dopiero po półgodzinnym badaniu zdołał sam z kolei zapytać o zdrowie pana magistra i wreszcie o Halinę.

Nie było jej w Nowym Targu: spędzała wakacje nad morzem u przyjaciół ojca, a od września miała rozpocząć studia w szkole filmowej w Łodzi.

—Zdzisław ulega wszystkim jej kaprysom — westchnęła pani Doboszowa. — Jeździł specjalnie do Warszawy i starał

się w ministerstwie, żeby ją przyjęli do tej szkoły. Trudno się tam dostać, ale jakoś to załatwił. Hala chce zostać operatorem, to się tak nazywa, prawda?

—Zdaje się, że tak — bąknął Szary.

Łódź — myślał. — Halina będzie mieszkała w Łodzi. Tak daleko...

— Nigdy tam nie byłem — powiedział na głos.

Doboszowa mówiła o jakiejś ciotce, która zgodziła się przyjąć Halę do siebie i „roztoczyć nad nią macierzyńską opiekę”

w tym mieście. Wysłuchał tego z roztargnieniem, prosił, żeby zechciała pozdrowić pana magistra, pożegnał się i wyszedł.

Wracał do Zakopanego już o zmroku, przepełnionym autobusem, zawiedziony i smutny. Halina z pewnością nie pomyślała o nim ani razu od czasu, gdy się z nią rozstał przed sześciu tygodniami. Nie było się co łudzić: wywietrzało jej to z głowy, zapewne zanim jeszcze wsiadła do pociągu. Nic dla niej nie znaczył. Na odczepnego pozwoliła pocałować się w policzek, to wszystko.

Eh, przeżyję i to! — zbuntował się;

Usiłował myśleć o czymś innym, przede wszystkim o lataniu i o czekającej go jutro rozmowie z Wywrotem. Jak się to ułoży?

Czy będzie mógł pogodzić trening, wykłady i szkolenie w pilotażu motorowym z pracą w wytwórni nart?

Ta ostatnia sprawa szczególnie go niepokoiła, ponieważ od pierwszego sierpnia miał przejść na pełny etat, jako samodzielny stolarz. Oznaczało to wyższe zarobki i premie, lecz także co najmniej osiem godzin pracy dziennie.

Poza tym, był jeszcze pewien pomysł lub raczej na pół

opracowany projekt nowego modelu nart o płaszczyźnie ślizgowej pokrytej cienką warstwą masy plastycznej. Tę masę wymyślił i wyprodukował (na razie sposobem domowym) jeden z wykładowców Szkoły Przemysłu Drzewnego, dawny przyjaciel Stanisława Szarego i nauczyciel Bolesława, inżynier Guzowski; Bolek zaś za zgodą swego kierownika podjął S1C JĄ wypróbować.

Główną trudność w realizacji owej próby stanowiło właściwe, trwałe połączenie masy z drewnem, odpowiednie ukształtowanie rowków, w które można by ją na gorąco wprasować.

Dotychczas Szary poświęcał tej sprawie cały swój wolny czas, lecz wyniki bynajmniej go nie zadowalały: deski paczyły się, masa plastyczna nie dość szczelnie do nich przylegała; trzeba było szukać innych, lepszych rozwiązań i sposobów.

Autobus zatrzymywał się na każdym przystanku: Szaflary, Biały Dunajec, Poronin, Ustup... Wreszcie, oświetlone rzędy okien sanatoriów i szpitala na stokach Gubałówki: Zakopane.

Wysiadł i szedł w górę Krupówkami, rozmyślając o tych nartach, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Obejrzał się. Wuj Adolf wychodził z kawiarni, jak zwykle trzymając pod pachą plik gazet i czasopism, których zresztą prawie nigdy nie czytał.

—Dobry wieczór — powiedział Szary.

—No, przecież — sapnął Jennert. — Już mi się nie kłaniasz?

Nie chcesz mnie znać?

—Nie zauważyłem wuja. Przepraszam

Jennert szedł obok niego z opuszczoną głową, gruby, ciężki, pochmurny, łyskając spode łba okularami.

— Ewa z babcią pojechały na wakacje do Niny Bożymirskiej, do Myślenic

powiedział po chwili. — Prosiły, żeby cię pozdrowić. Powinieneś tam napisać parę słów.

Szary zastanawiał się przez chwilę, kto to jest Nina Bożymirska.

Zapewne jedna z niezliczonych kuzynek ciotki Agnieszki —pomyślał.

— Dobrze, napiszę — odrzekł.

Na rogu przecznicy chciał się pożegnać i odejść, ale wuj Adolf nagle zainteresował się jego nowym mieszkaniem.

—Masz chyba jakieś konszachty z wydziałem kwate-runkowym — uśmiechnął się

drwiąco. — Tak prędko dosta-

łeś ten pokój...

—Wydział kwaterunkowy otrzymał za to dwa, z kuchnią i z łazienką — odrzekł Szary. — Ja mieszkam właściwie na poddaszu. Ale stamtąd jest ładny widok.

—Mógłbyś mnie tam zaprosić. Chciałbym zobaczyć, jak się urządziłeś. Tylko u ciebie pewnie jest kawalerski porządek...

—Proszę, jeżeli wuj chce...:

Jennert wcale się nie ościagał. Był ciekawy jak mało-miasteczkowa kumoszka. Korciło go, żeby się przekonać, jak ten smarkacz daje sobie rade, usunąwszy się spod jego opieki.

Łajdaczy się z pewnością — pomyślał. — Powinien mieszkać przy jakiejś przyzwoitej rodzinie.

Z trudem wdrapał się po wąskich, krętych schodach na drugie piętro, a raczej na strych drewnianego domu. Były tam dwa oddzielne pokoje położone naprzeciw siebie. Jeden z nich otrzymał Szary w zamian za zwolnione mieszkanie Marii.

Przed drzwiami po prawej stronie leżała wycieraczka i stała pusta skrzynka na śmiecie.

.— To tu — powiedział Bolek. — Zaraz otworzę.

Przekręcił klucz w zamku i usunął się, wpuszczając wuja przodem.

Jennert wszedł i rozejrzał się. Był to podłużny, niski pokój ze ścianami skośnymi od połowy wysokości i półkolistym szczytowym oknem w głębi. Tuż przy wejściu, na prawo, między wieszakami na okrycia wisiało lustro, pod nim zaś półka, widocznie świeżo zrobiona z nie malowanego drewna. Na lewo — małe, nie sięgające sufitu przepierzenie, także ze świeżo wyheblowanych świerkowych desek, za nim kaflowy przenośny piecyk, duża miednica wpuszczona w taboret z okrągłym otworem, a wzdłuż ściany półki przysłonięte kolorowym kretonem.

— To jest moja kuchnia, kredens i umywalnia — objaśnił Szary. — Mam także elektryczny grzejnik. Tylko wodociąg jest na zewnątrz, przy schodach, a wanna jeszcze dalej, aż w parku, w łaźni miejskiej.

Jennert zajrzał do owego „kredensu”, stwierdził, że panuje tam wzorowy ład, i w milczeniu przystąpił do dalszej inspekcji.

Tapczan, biurko, mała biblioteczka i szafa wykładana palisandrem, roboty Stanisława, to było całe umeblowanie, jakie dało się tu pomieścić.

Część pozostałych, cenniejszych mebli wysłano do Krakowa, resztę Szary sprzedał.

Podłoga lśniła jak lustro, w otwartym oknie powiewały czyste firanki, na świeżo odnowionych ścianach wisiały dwa czy trzy dobre drzeworyty, nad biurkiem — portret Stanisława malowany przez Witkiewicza, przy tapczanie — duża fotografia Marii.

Jennert rozglądał się zaskoczony porządkiem, czystością, dbałością o wygląd tego „gołębnika” na strychu. Nawet kwiaty w doniczce!

Spojrzał na biurko. Jakiś nie dokończony rysunek techniczny na arkuszu papieru milimetrowego. ^ j— Co to jest? — spytał.

— Narta — odrzekł Szary. — Tu są takie rowki, w które wprasuje się masę plastyczną — zaczął objaśniać.

Ale dla Jennerta było to zupełnie niezrozumiałe. Wzruszył ramionami. Takie rzeczy trzeba rysować?

— A cóż ty masz w tej bibliotece?

Zaczął tam szperać. Kilka podręczników o obróbce drewna, „Kurs szkolenia lotniczego”, „Pilotaż bez widoczności”, „Akrobacja szybowcowa” Abłamowicza, „Przeloty szybowcowe”, „Na falach halniakowych” Zientka, „Meteorologia”...

Nic ciekawego — pomyślał.

Na następnej półce „Władza” Konwickiego, Makuszyński, London, „Ród Gąsieniców” Kapeniaka, „Obywatele” Brandysa, zeszyty „Problemów”...

— Wiele to ty nie czytasz — mruknął.

Wtem dostrzegł kilka tomów poezji: Tuwim, Broniewski, Słonimski. To pewnie Maria... Aha, a to?

Adolf Jennert: „Spojrzenie w gwiazdy”!

Wyciągnął cienki tomik, usiadł na tapczanie, zaczął czytać.

— No tak, tak — pomrukiwał. — Kiedyś pisało się takie wiersze.

Dobre wiersze — pomyślał z uznaniem.

Spojrzał na stronę tytułową, sprawdził rok wydania, odwrócił kartkę.

„Bolkowi Szaremu na pamiątkę pewnej rozmowy — Baśka Lachówna”.

—Co to za Lachówna? — spytał.

—A, taka jedna — bąknął niechętnie Szary. — Koleżanka z kursu szybowcowego.

—Inteligentna dziewczyna, co? — zainteresował się Jennert.

—Uhm. I nieźle lala.

—To chyba nie ma nic wspólnego z inteligencją — Jennert uśmiechnął się ironicznie. — Do sportów potrzebna jest krzepa fizyczna, więcej nic.

— Ciekawe, skąd wuj może o tym wiedzieć! — wybuchnął

Szary. — Przecież wuj nigdy nie uprawiał żadnego sportu! Wuj się tym nie interesuje,

wuj nic o tym nie wie!

Jennert patrzył na niego wybałuszonymi oczyma. Twarz nabiegała mu krwią. Ten smarkacz stanowczo za wiele sobie pozwalał.

— Osioł jesteś! — huknął zrywając się na nogi. — Osioł i cham!

Rzucił spojrzenie w gwiazdy, na biurko, odwrócił się i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Życie Szarego potoczyło się teraz z regularnością cyklu wytwórczego dobrze działającej fabryki: o szóstej szedł do stolarni, pracował tam przez osiem godzin, jadł obiad, trzy razy w tygodniu po pracy i co niedzielę z samego rana jeździł do Nowego Targa na loty i na wykłady, a trzy pozostałe popołudnia spędzał w warsztacie, opracowując schematy do seryjnej produkcji nowego, ulepszonego modelu nart.

Miały się nazywać Szagi od nazwisk swych twórców: Szarego i Guzowskiego. Zarząd spółdzielni zamierzał wypuścić pierwszą ich serię dopiero w grudniu lub styczniu, po próbach na śniegu w różnych warunkach atmosferycznych, ale przygotowania do tej produkcji musiały zostać poczynione wcześniej.

Te sprawy układały się pomyślnie. Przeprowadzone kalkulacje pozwalały przypuszczać, że Szagi będą znacznie tańsze niż podobne narty sprowadzane z zagranicy lub wyrabiane przy użyciu zagranicznych surowców. Jeżeli ich jakość dorównałaby tamtym, Szary mógł liczyć na znaczną premię. Z lataniem było gorzej, zwłaszcza na szybowcach. W ciągu trzech miesięcy udało mu się wykonać zaledwie dwa większe przeloty: otwarty do Krakowa i na trójkącie Nowy Targ—Czarny Dunajec—Raba Wyżna, nieco ponad czterdzieści pięć kilometrów. Nie zdobył

zatem srebrnej odznaki, do której zabrakło mu pięciogodzinnego lotu... A przecież nie opuścił ani jednej niedzieli lotnej!

Kurs pilotażu motorowego kulał, zarówno z powodu nie-licznego i zużytego sprzętu, jak z przyczyn atmosferycznych: lato było wietrzne i dżdżyste.

Wywrót rozkładał ręce: „W Warszawie jest reorganizacja.

Jak tam dojdą do ładu, to sprzętu będzie do nagłej krwi i jeszcze trochę. A na pogodę ja nie mam żadnego wpływu. Na świętego Medarda lało? Lało! No to czego chcecie? Musi być mokre lalo”.

Potem spoglądał po chmurnym niebie i potrząsał głową. „Świnia, nie święty!” mówił z goryczą i zarządzał wykłady.

Mimo wszystko Szary we wrześniu zaczął latać samodzielnie na CSS-13, a do końca października wylatał w sumie prawie dziesięć godzin.

W listopadzie spadły pierwsze, bardzo obfite śniegi. Zarząd sekcji narciarskiej AZS wysunął Szarego do ogólnopolskich zawodów kombinowanych, które miały się odbyć w lutym.

Czołowa grupa zawodników już teraz rozpoczęła trening w biegach i zjazdach, a Szary niemal wszystkie wolne chwile spędzał na nartach.

Jeździł na Szagaeh, które doskonale zdały egzamin i których seryjna produkcja już się zaczęła. Miały tę zaletę, że w ogóle nie trzeba było używać do nich smarów; masa plastyczna Guzowskiego zapewniała im znakomity poślizg na każdym śniegu i dostateczną

przyczepność przy podchodzeniu. Poza tym była bardzo lekka i trwała, a koszty jej fabrykacji na skalę przemysłową stosunkowo niewielkie. Wreszcie nowy model nart ze specjalnymi rowkami do wprasowania 1 owej masy plastycznej i pomysłowy sposób spojenia jej z drewnem, opracowane przez Szarego, okazały się praktyczne i pewne.

Wiadomość o tym wynalazku szybko rozeszła się po całej Polsce; do wytwórni napływały wciąż nowe zamówienia, centrale zbytu artykułów sportowych dobijały się o pierwszeństwo w ich realizacji. Szary otrzymał znaczną podwyżkę i zainkasował przypadającą mu połowę premii.

Jenhert dowiedział się o tym wszystkim dopiero od inżyniera Gumowskiego, ponieważ po ostatniej rozmowie z siostrzeńcem czuł się tak obrażony, że przestał go dostrzegać. Teraz, pod wpływem opinii inżyniera, jego uraza do Bolesława zaczynała się zacierać. Ten chłopak widocznie potrafił pracować, a ostatecznie przecież Jennertowi zawsze głównie o to chodziło, żeby nie zajmował się „głupstwami”, tylko pracą zapewniającą chleb.

Postanowił pierwszy wyciągnąć rękę do zgody, zapraszając Bolka na wieczerzę wigilijną. Posunął się tak daleko w tych szlachetnych zapędach, że na święta zaprosił także Ewę.

Wprawdzie Agnes początkowo przyjęła tę wiadomość bez najmniejszego entuzjazmu, lecz zdołał ją przekonać: — Musimy to zrobić, moja kochana. Pomyśl, co by ludzie o nas powiedzieli!

Musiała mu przyznać słusność. Trzeba się było pogodzić z myślą, że Ewa przyjedzie na kilka dni.

— Mam nadzieję, że przynajmniej pomoże mi coś niecoś w domu — powiedziała wzdychając. — Cztery osoby do stołu!...

Przy owym stole w wieczór wigilijny nastąpiło formalne pojednanie wujostwa z siostrzeńcami. Ewa dostała amerykańską wiatrówkę, po którą wuj wyprawił się „na ciuchy” do Nowego Targu; Bolek zaś świeżo wydaną książkę Jen-ncrta. Rozmawiano o sprawach rodzinnych, głównie o całej plejadzie krakowskich kuzynek Agnieszki, które odwiedzały babcię Stulską, oraz o pobycie Ewy u ciotki Bożymirskiej w jej pensjonacie w Myślenicach. Szary udawał, że go to interesuje, podziwiał orientację siostry we wszystkich Bibach, Ritach, Tutach i tym podobnych ciotkach i wujenkach, o których istnieniu dowiadywał się po raz pierwszy, ale gdy się to skończyło, odetchnął z ulgą.

Ciotka Agnieszka była rozbrojona wiadomościami Ewy; wuj Adolf niemal oczarowany makiem ze śmietanką utartym przez siostrzenicę oraz jej uderzającym podobieństwem do Marii; Bolek — trochę zaniepokojony tym zbliżeniem Ewy do dalszej rodziny, która niegdyś wyrzekła się ich matki.

Wsiąknie tam, przekabacą ją na swój sposób, a palem, za parę lat, wydadzą za mąż za jakiegoś swojego Bisia czy Kizia —pomyślał.

— Jeździsz trochę na nartach? — spytał, gdy na chwilę zostali sami.



Potrząsnęła głową przecząco.

—W Krakowie nie ma śniegu. Ale przywiozłam deski.

—Mam dla ciebie nowe. Własnej roboty, Szagi.

—Naprawdę? — ucieszyła się. — Dziękuję!

—Jak chcesz, to możemy jutro spróbować. Pokażę ci trasę na bieg kombinowany. Wypryśniemy na pół dnia.

—Pysznie!

Mrugnął ku niej porozumiewawczo

—Musisz to przedłożyć wujowi do zatwierdzenia, żeby się nie obraził i żeby wytłumaczył ciotce. Rozumiesz? Oni na pewno pójdą do kościoła i ciotka będzie uważała, że tyś powinna także, więc załatw to dyplomatycznie.

—O której i gdzie? — przerwała mu rzeczowo.

—O ósmej w Kuźnicach. Pojedziemy na Myślenickie. Będę miał bilety.

Zjeżdżali ostrożnie po bardzo stromym zboczu pod liną kolejki. Śnieg leżał grubą warstwą, ale jeszcze się nie zsiadł.

Narty pruły go głęboko i trzeba było uważać na krzaki zarastające gęsto szeroki leśny przesiek. Dopiero poniżej, już w dolinie, droga stała się pewniejsza, wyjeżdżona.

— Z Kasprowego jeszcze nie zjeżdżają — powiedział

Bolek. — W górze głązy i skałki nie przykryte. A w ogóle Fisem I mało kto jeździ. Za to na Fisie II tłok jak na Krupówkach!

Ewa wysunęła się teraz naprzód. Jechała pewnie i szybko, nie oglądając się na brata, lecz na jakimś ostrym zakręcie wyniosło ją za bardzo na zewnątrz łuku, przyhamowała za późno i w tumanie srebrzystego pyłu wywinęła młyńca pomiędzy drzewa.

—No tak — uśmiechnął się Bolek. — Kropka.

—Bo mam jeszcze sztywne kolana — tłumaczyła się zarumieniona. — Ale te Szagi niosą! — dodała, zjeżdżając znów przed nim. — Marzenie!

Zrobiła mu przyjemność tą pierwszą pochwałą.

—Nie za długie? — spytał.

—W sam raz. I lekkie. Lżejsze od moich starych-

—Teraz w lewo! — zawołał. — Przez Goryczkowy Potok i dalej w górę, na Kalatówki.

Minęli wywierzysko Bystrej, zaczęli podchodzić. Po chwili spomiędzy wysokich pni świerków ukazał się rozległy kocioł

pełen słońca, a na wprost za nim, na wzniesieniu, schronisko.

— W Suchym Żlebie ma być slalom — powiedział Bolek. — Taki na trasie, po drodze.

— Aha, w czasie tych zawodów? — domyśliła się.

— Właśnie. Zdaje się, że dość wysoko punktowany.

Pójdziemy tam w górę, tylko przedtem trochę odpoczniemy w schronisku. Stawiam ci herbatę. Nawet z ciastkiem.

— Ja nie jestem zmęczona — oświadczyła Ewa niezupełnie zgodnie z prawdą. — Ale niech będzie.

W dużej sali restauracyjnej było zaledwie kilka osób. Zajęli ustronny stolik pod oknem i Szary postanowił, że teraz wybada, czy i jak dalece Ewa ulega wpływom swego nowego otoczenia w Krakowie; czy jej nie przekabacili, jak to określał w myślach.

Nie wiedział, jak zacząć tę rozmowę; kołował, opowiadał to i owo o sobie, o bytności wuja Adolfa w swoim nowym mieszkaniu.

— No, a jak tobie tam jest? — zapytał w końcu.

Ewa mieszała herbatę łyżeczką, patrząc w szklanekę.

— Babcia jest dla mnie bardzo dobra — powiedziała nie podnosząc oczu.

— A te wszystkie ciotki? Lubisz je?

— Och, ciotki! — uśmiechnęła się. — Ciotki najpierw oglądały mnie ze wszystkich stron, przynosiły cukierki...

Jedna przyniosła mi nawet lalkę! — roześmiała się. — Naprawdę. I była zgorziona, że mnie to rozśmieszyło. No, a potem zaczęły radzić nad moim wychowaniem, ponieważ jestem podobno zaniedbana, a także nad moją przyszłością.

Naturalnie z początku podsłuchiwałam pod drzwiami. To było zabawne, bo każda mówiła co innego i strasznie się kłóciły. Ale później mi się znudziło.

— I cóż one uradziły? — spytał Bolek.

— E! — machnęła ręką. — Że mam studiować filologię albo farmację, albo historię sztuki, albo coś tam jeszcze, dopóki nie wyjdę za mąż. Aha, ciotka Bożymirska upiera się, żebym skończyła jakąś szkołę hotelarską.

— A ty co na to?

— Ja myślę... — wzruszyła ramionami. — To przecież wszystko razem nie ma sensu. Ja chcę... ja jeszcze nie jestem pewna, czego chcę. .Może pójdę na architekturę, może na grafikę... W każdym razie, jak mam się czegoś uczyć, to po to, żeby sobie obrać jakiś zawód, a nie żeby wyjść za mąż! No nie?

— Słusznie', — kiwnął głową.

— A dla nicy) jest najważniejsze, żebym nie została starą panną.

Bolek się roześmiał.

—Nie boisz się, że zostaniesz?

—Mam jeszcze masę czasu, żeby zacząć się bać. Wcale mnie to nie obchodzi.

—Oj! Żaden chłopiec?

—Chłopcy są przeważnie nudni i zarozumiali.

—Z żadnym się nie przyjaźnisz?

—Co to, to nie! Jeden taki, Franek, chodzi ze mną na lekcje tańca i robi do mnie baranie oczy. Można pęknać ze śmiechu. Ale tańczy dobrze — dodała.

Bolek zapytał jeszcze o szkołę.

Ewie się tam podobało. Należała do samorządu klasowego i do ZMP. To ostatnie zresztą było przyczyną nieustannych obaw i licznych zastrzeżeń w domu babki Slulskiej.

—Oni nic mają pojęcia, co to la kiego. Ciotka Bożymirska żegna się krzyżem, jak mnie zobaczy z czerwonym krawatem. Musiałam babci tłumaczyć i opowiadać, co my takiego tam robimy. Pewnie by nie Mierzyła, tylko brat Karol ją przekonał.

—Jaki znów brat Karol? — zdziwił się Bolek.

—No, co ty? Wicek Jennerl. Jest lekarzem w klasztorze Albertynów. Bardzo morowy zakonnik. Kpi sobie z dewotek i obiecuje im męki piekielne za słuchanie „Głosu Ameryki”.

Ale ciołka Bożymirska mówi, że będzie wyklęty, bo agitował za podpisywaniem Apelu Pokoju.

—Masz ci los! — roześmiał się Szary.

Wypili herbatę i wyszli na słońce. Niebo było czyste, wymiecione przez wiatr do jasnego błękitu. Ale tu, na dole, nie czuło się wiatru. Mroźne, suche powietrze stało nieruchomo nad kotłem, z którego na wszystkie strony bił ostry, kłujący blask śniegu. Tylko w Suchym Żlebie kładł się wydłużony, skośny cień od lasu.

Wydostali się zakosami aż pod drugą skałkę, zjechali z powrotem, śmignęli po przekątnej ku nartostradzie, pognali krętą trasą do mostku i dalej wzdłuż Bystrej do Kuźnic.

—Nie pędź, bo zaraz będziemy znów podchodzić — zawołał Bolek.

—Ja nie pędzę. Szagi same niosą! — odkrzyknęła. —Gdzie to podejście?

Wyprzedził ją odbiwszy się parę razy kijkami i zjechał w lewo przez młody zagajnik, przez las, pod kamieniołom. Szli teraz w górę ku skoczni, a potem Drogą pod Reglami, przez ujścia dolin Białego, ku Dziurze i Strążyskiej, aż minęli Bańdówki i zjechali w dół, w dolinę Za Bramką.

—Jak tam twoje kolana? — spytał Szary. — Zmiękły?

—Trochę.

—Może masz już dosyć?

—Wcale nie! Do Kościeliskiej idziemy?

—O, jaki chojrak! Idziemy na Gubałówkę. Na przełaj polami i obok Wojskowego Domu Wypoczynkowego. Jak spuchniesz, to możemy w każdej chwili odpocząć. Czasu mamy dosyć.

—Ja nie spuchnę — powiedziała trochę urażona. — Niech ci się nie zdaje!

—Mnie się zdaje, że tam od Kościelisk w górę nie tacy jak ty będą puchli podczas tego biegu. No, naturalnie będzie inne tempo... Zawsze to ze trzysta metrów różnicy poziomów.

Zaczął jej wyjaśniać, jaką sobie obmyśla taktykę w tych zawodach; taktykę dla całej grupy AZS.

— Gdyby chodziło o indywidualne miejsce, pojechał bym całkiem inaczej — powiedział. — Ale klasyfikacja zespołowa jest bardzo ważna. Zresztą mam dla siebie slalom.

Jedli spóźniony obiad w przepelnionej restauracji na Gubałówce, gdy z drugiego końca sali zaczął ku nim lawirować jakiś młodzieniec o zaokrąglonej, rumianej twarzy obficie pokrytej piegami. Dawał im znaki wzniesioną ręką, potykając się o krzesła i strącając damskie torebki, po które się schylał, jakby nurkował

wśród stolików; wypływał znów na powierzchnię, przeproszał i uporczywie torował sobie dalej drogę, uśmiechając się coraz promienniejszym i nie przestając sygnalizować w stronę pleców Szarego.

Ewa pierwsza zauważyła te manewry.

— Ktoś do nas płynie — powiedziała powstrzymując śmiech. — Obejrzyj się, bo go zaraz rozdepczą.

Szary spojrzał w tamtą stronę.

— Gruszka! — zawołał głośno.

Dytyński uwolnił się od smyczy, w którą wplątał go jakiś ogłupiały jamnik, przebył ostatnią zaporę złożoną z tyczkowatej blondynki i dwóch podchmielonych jegomościów, po czym jak podcięty kwiat osunął się w objęcia Szarego, rozłożywszy szeroko ramiona.

—No, dobrnąłem — westchnął, jakby odzyskując siły w jego uścisku. — Przedstaw mnie.

—Aha — bąknął Szary. — To jest mój kolega, Polek Dytyński.

Gruszka znów się rozpromienił, Ewa zaś także obdarzyła go uśmiechem i zaczerwieniła się aż po włosy nad czołem.

Usiedli i Dytyński natychmiast zaczął gadać jak nakręcony.

Miał całe mnóstwo przygód w drodze do Zakopanego, o których opowiadał zabawnie, zwracając się raz po raz do Ewy, co ją trochę mieszało i śmieszyło zarazem. Przyjechał tu na zawody juniorów jako korespondent sportowy „Sztandaru Młodych”! ale od razu oświadczył, że nie ma zielonego pojęcia o jeździe na nartach.

—To nie jest sport dla ludzi mojej tuszy i wagi — westchnął.

— Niech pani sama przyzna: co by ze mnie zostało, gdyby mnie tak przywiązali do desek i zepchnęli z tej okropnej góry, brrr!...

—E, jakby pan spróbował na łagodnym stoku... —powiedziała śmiejąc się.

—Już próbowałem. Ale tak się dziwnie składało, że przeważnie narty jeździły na mnie, nie ja na nich, więc dałem spokój. Za to napisałem bardzo fachowy artykuł o Szagach — zwrócił się do Szarego. — Masz, czytaj, jaki jesteś genialny.

Bolek przeczytał pełen humoru felieton podpisany inicjałami N.D.

—Dobre — powiedział, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. — Ale dlaczego tak się podpisujesz?

—Jak? — spytał Gruszka.

—No dlaczego „N”? Przecież na imię ci...

—Napoleon! — rzekł Gruszka, zsuwając kosmyk włosów na czoło i zakładając jedną dłoń w wycięcie marynarki, a drugą z tyłu. — Zupełne nieszczęście, prawda? — zwrócił się do Ewy z wyrazem głębokiego smutku na okrągłej twarzy.

—Otrzymałem to imię na chrzcie świętym — wyjaśnił po chwili. — Zapewne wskutek niczym nie usprawiedliwionego optymizmu moich rodziców. No, ale jak podrosłem, z dość widocznych powodów zaczęto mnie nazywać Pólkiem i tak już zostało do dziś.

—Napoleon wcale nie był szczuplejszy od ciebie — wtrącił

Szary.

—Pod Walerloo — dodał Gruszka. — Jak przyjdzie moje Walerloo, będę ważył sto dwadzieścia kilo.

Ewa sięgnęła po egzemplarz „Sztandaru”.

—Mogę przeczytać?

—Naturalnie — skłonił się D\ lyński.

Potem pochylił się ku Szaremu.

— Ty, kto to jest ta śliczna dziewczyna? — zapytał szeptem.

Bolek rozejrzał się dokoła.

—Która?

—No ta! — zniecierpliwził się Gruszka, wskazując wzrokiem Ewę.

Szary spojrział na niego zaskoczony.

— Ten berbeć? — powiedział. — To moja siostra, Ewa.

Ewa udawała, że nie słyszy, choć znów zaczerwieniła się jak piwonia.

Dytyński przyglądał się jej dyskretnie, ale z wyraźnym upodobaniem.

Robi do niej baranie oczy — pomyślał Bolek ubawiony. — A to się wybrał!

Głośnik radiowy chrząknął i rozległy się sentymentalne tony jakiegoś walca ze starej operetki. Kilka par wstało od stolików, żeby tańczyć. Ewa powiedziała: „Pyszne”, i odłożyła gazetę.

— Zatańczy pani ze mną? — spytał Gruszka. — Płąsam znacznie lepiej, niż na to wyglądam.

Spojrziała pytająco na brata. Znów ten nieznośny rumieniec!

Szary skinął głową, więc wstała, Dytyński zaś ujął ją w pól i odpłynęli na środek sali.

Tańczył rzeczywiście doskonale, lekko, spokojnie i pewnie.

Przy tym mówił rzeczy zabawne i miłe. Ewa śmiała się, spoglądała na niego z coraz większym zaufaniem i sympatią.

Przestała się nawet czerwienić.

Gdy w godzinę później, już o zachodzie słońca zjeżdżała z bratem na dół, Dytyński wydawał jej się starym znajomym.

— Umówiłam się z Pólkiem na jutrzejsze zawody juniorów — powiedziała, zdejmując narty przy dolnej stacji kolejki.

J

— Z kim? Ju# jesteś z nim po imieniu?

— Z panem redaktorem Dytyńskim — poprawiła się. — Tak będzie właściwiej?

— Smarkata — mruknął.

— Mówisz jak wuj Adolf — oświadczyła. — Pan redaktor Dytyński chce, żebym mu pomogła, bo ma napisać sprawozdanie o tych zawodach. Przecież sam mówił, że nie zna się na narciarstwie. A może ty uważasz, że „nie wypada”?

— Nie uważam, ale słyszałem, że „chłopcy są nudni i zarozumiali”. Co ci się odmieniło?

— Och, pan Polek nie jest... No, jest dorosły. I zupełnie inny.

I... Czego ty się czepiasz? — wybuchnęła. — Nie lubisz go?

Szary się roześmiał.

— Oho! Już dobrze. Lubię go; to bardzo równy chłopak.; przepraszam: dorosły mężczyzna. Idź sobie z nim na te zawody i oświecaj go, ile chcesz. Tylko się z tego nie

spowiadaj ciotce Agnieszce i tym twoim dewotkom w Krakowie.

—Ja się im w ogóle nie spowiadam. Najwyżej babci. Wiesz, mnie się zdaje, że babcia naszą mamę bardzo kochała. Tylko ona ze mną o mamie rozmawia. I, czasem, brat Karol.

Twarz Bolka stwardniała.

— Póki ojciec żył, nawet babka nie utrzymywała z ma mą żadnych stosunków — powiedział. — A później też nikt się o nią wiele nie troszczył. Teraz sobie przypomnieli...

W połowie stycznia Zakopane było tak przepełnione, że zdawało się, iż nikt więcej się tu już nie pomieści. A jednak ludzi ciągle przybywało. W górach leżały obfite śniegi, warunki narciarskie były znakomite, pogoda dopisywała, niewprawni narciarze łamali ręce i nogi, w szpitalu miejskim ustawiano łóżka na korytarzach, doktor Bocheński składał po kilkanaście piszczele dziennie...

W schroniskach, w hotelach, w domach turystycznych i wczasowych panował ścisk; wszystkie miejsca były zajęte.

Kilkanaście obozów kondycyjnych i kilkadziesiąt różnych kursów narciarskich „pędzlowało” na wszystkich dogodnych terenach, objeżdżało trasy, trenowało na Goryczkowej i Kondratowej, na Ornaku, w Roztoce, nie mówiąc już o Kasprowym, Gąsienicowej i Gubałówce. Wyczynowcy i bardziej doświadczeni wyrypiarze uciekali w trudniej dostępne lub mniej uczęszczane rejony, na Czerwone Wierchy i Łopatę, na Rakoń i Wołowiec, na Liliowe albo do Pięciu Stawów.

Właśnie/w takim odludnym miejscu, na przepaścistym i lawiniastym stoku Opalonego Szary spotkał i poznał inżyniera Szymona Hajduka, nie przeczuwając zresztą, że to spotkanie zaważy na jego przyszłości lotniczej.

Cała ta przygoda zaczęła się dość zwyczajnie pewnej soboty w Murowańcu, dokąd zjechał wieczorem z Żółtej Turni na nocleg i gdzie zastał Andrzeja Krzeptowskiego, gospodarza schroniska w Pięciu Stawach. Na zasadzie jakiegoś pokrewieństwa ze strony ojca mówili sobie z Andrzejem po imieniu, choć Krzeptowski mijał już pięćdziesiątkę. Bolek bardzo go lubił; i jego, i Marysię, jego żonę, która także była spokrewniona z rodziną Szarych.

Pamiętał, że Krzeptowscy pierwsi ofiarowali się im z pomocą, gdy ojciec zginął; pamiętał, jak Andrzej uczył go jeździć na nartach, jak go zabierał z sobą w góry i na polowania, jak razem chodzili wiosną posłuchać głuszca, a latem na wierchy podpatrywać ko-zice.

Andrzej był krzepki, krępy, wytrzymały, zaprawiony do życia na wysokich halach. Sam sobie tam gazdował przez długie lata, sam wybudował dom, który później, po pożarze dawnego schroniska, rozszerzył na noclegi dla turystów. Nowe schronisko PTTK, wybudowane po wojnie, też w pewnej mierze jemu zawdzięczało swe powstanie i istnienie. To on zorganizował

transport materiałów budowlanych przez górską ścieżynę z Roztoki: cement, belki i pręty żelazne, rury do instalacji, wszystko to windowano w górę na linach ciągniętych kołowrotem jego pomysłu i konstrukcji. On wreszcie stał się jedynym dostawcą żywności, zwłaszcza w zimie, a później także dzierżawcą tego nowego schroniska.

Szary często u niego bywał, czasem mu pomagał, załatwiał zakupy w mieście i sprawy w PTTK.



Teraz, ujrawszy go niespodziewanie w Murowańcu, ucieszył się szczerze.

— Tak myślałem, żeby się do was wybrać — powiedział. — Dawno cię nie widziałem. Co tam u was na górze?

Marysia zdrowa?

Andrzej kiwnął głową.

— Zdrowo. Gości jesce mamy niedużo, bo co i roz kurzy.

Poru ino tam siedzi dobryk narciorzy. A co u tobie słychno? O tych Szagach słysołek, alek ich jesce nie widzioł.

Zaczęli rozmawiać, jedząc kolację. Szary opowiadał o kursie szybowcowym w Polichnie, o aeroklubie. Krzeptowski słuchał

ciekawie; interesowało go latanie, zwłaszcza bez motoru, na wietrze.

—Ci, co tam u nos siedzom — powiedział — to także sybowniki. Kajsi z Bielska. Takie majom oznaki jako i ty, ino ze złotymi listeckami.

—O, to już nie byle jacy — zauważył Bolek. — Iluż ich jest?

—Scści. Chłopoki młode. Ino jeden trochę starsi, będzie mioł

ze styrdzieści lot, nizinicr. Urodzalimy se śnim o holnym, bo go to ciekawi. Pedzioł mi, ze jak tu u nos duje, to na sybowcu można lecieć siedem do ośmi kilometrów w górę.

Tak go wy dźwignie! Prowdo je to?

—Prawda — potwierdził Szary. — To się nazywa lot na fali.

—Aha, na fali. Tak mi tyz godoł. A tyś tali lotol?

—Jeszcze nie — odrzekł Bolek. — Ale chciałbym spróbować.

—I jo. Tam byk polecioł nad Pińć Stowów abo nad Morskie.

E, to musi być fajnie! Jako oreł... Nie to, co chodzić po ziemi, choćby i po wirchak.

Wspomniał mimochodem, że nazajutrz o świcie z prowiantem wyruszy przez Zawrat.

—Nawet sporo niese — powiedział spoglądając na olbrzymi, wypchany plecak — ale nie brolek konia do Roztoki, bo droga nic przetarto i nawet by nie worłało.

—Pójdę z tobą — zdecydował się Szary. — Pomogę ci.

Spróbował dźwignąć wór z prowiantem i aż stęknął. Było tego ze sześćdziesiąt kilogramów.

—Sam byś doniośK^— spytał z niedowierzaniem i podziwem.

—Trochę ciężko — uśmiechnął się Andrzej. — Ale kie-byś wzion trzeciom cęść, tobys mnie nie dopod.

—Oho! Z połową bym się nie dał — odparł Szary. — Jestem w dobrej formie.

—No, nie będziemy się gonić. Za trzy godziny zoń-dziemy na pewno. Dychnies se i zjedzies przed nocom. A może byś przenocował?

Bolek potrząsnął głową.

— Muszę być o siódmej rano w stolarni. Przez Roztokę zjadę, a dalej to już i po ciemku można.

Wstali przed wschodem słońca, ledwie świt zaczął rozjaśniać niebo. Krzeptowski przełożył część prowiantu do plecaka pożyczonego od zarządcy Murowańca i zadał Bolkowi na plecy.

Sam niósł jeszcze prawie czterdzieści kilogramów.

Przypięli narty, ruszyli.

Droga do Czarnego Stawu pod Kościelcem nie byłaby trudna, gdyby nie ciemności panujące jeszcze w dole. Szary zaledwie mógł rozpoznać, którądy idą, choć przecież dobrze znał

ten zimowy szlak przez potok Suchej Wody, wznoszący się lekko na południowy wschód wśród świerków i kosówek. Zdawało mu się, że już powinni skręcić, ale się z tym nie zdradzał: Andrzej nie mógł się mylić.

Jakoż dopiero po chwili ukazała się czarna, wysoka ściana lasu, przez którą Krzeptowski zboczył w prawo i nagle zaczął się oddalać, jakby wrastając przy tym w głęboki kopny śnieg.

Zjeżdża — pomyślał Szary.

Wyczuł nogami pochyłość, ugiął kolana, odepchnął się kijkami. Czarne plamy kosówki pobiegły w tył; z ciemności wylatywały raz po raz pojedyncze, szeroko rozsiadłe młode świerki i olbrzymie pnie starych drzew, których korony zlewały się w górze z tłem lasu. Droga była wyboista, zwodnicze cienie leżały na śniegu, a tuż za nimi miejsca jaśniejsze, jak wypukłości, które właśnie okazywały się zagłębieniami terenu.

Szary z trudem utrzymywał równowagę, instynktownie, w ostatniej chwili wymijając przeszkody. Dopiero gdy zjechali na dno doliny, zrobiło się nieco widniej. Wtedy zobaczył znajomy łysy garb ciągnący się wzdłuż potoku, aż pod próg Czarnego Stawu.

Weszli tam stromymi zakosami i zatrzymali się na skalnym wale, z którego roztaczał się widok na jezioro ścięte lodem i zawiane śniegiem.

Szary spojrział na zegarek. Jechali niespełna pół godziny.

Nie najgorzej — pomyślał.

—Zaroz cheba będzie wschód — powiedział Andrzej. —Mozemy jechać?

—Chyba.

Zjechali w dół, przeszli Czarny Staw po lodzie, zaczęli podchodzić w górę zakosami ponad żlebem, aż dostali się do płaskiego kotła pod Granatami.

Teraz czekała ich najtrudniejsza część drogi przed Za-wratem.

— Pódzieme letnim ślakiem bez próg — powiedział

Andrzej. — Słozbyk prosto żlebem, bo mom raki, ale śnig świeży, to lepiej nie rezikować. Możę polecieć; tu lawiny całom zimę lecom.

Ruszyli więc w stronę Kościelca i stromo pod górę wąskim, niewygodnym żlebem. Im wyżej, tym mniej było śniegu, za to skałę obrastał lód.

Pod samym progiem musieli zdjąć narty. Krzeptowski zrzucił plecak, obwiązał go linką, drugi jej koniec założył za pas, wydrapał się na skalny upłaz, a następnie wciągnął tam plecak.

— Teroz twój! — zawołał opuszczając linkę. — A ty pote, na ostatku.

Po chwili już obaj byli na górze i przypiąwszy narty szli skosem w prawo nad przepaścistym żlebem potoku spadającego ze Zmarzłego Stawu.

Było już widno. Różowe światło kładło się na nagich skałach, barwiło śnieg zapalając w nim brylantowe iskry, ślizgało się po fantastycznych, błyszczących, półprzeźroczystych soplach, wachlarzach i grzebieniach lodu obejmującego szumiący, spieniony potok. Woda, czysta jak kryształ, pędziła z góry, rozpryskiwała się na czarnych głazach, burzyła się na skalnych progach, rzucała się na łeb, na szyję w przepaść, z której dna wstawał tęczyowy pył.

Szary przystanął, żeby się temu napatrzeć. Andrzej czekał na niego u wejścia do stromego koryta czy też szerokiego żlebiu o nieckowatym dnie.

—Piknie tu — zagadnął, gdy się zrównali.

—Piknie — zgodził się Bolek.

—Mało fto tendyl chodzi bez zimę. Nawet i jo mało. Bez Roztokę lepij.

Szli dalej wolno, stromo pod górę, aż wdarli się na taras nad Zmarzłym Stawem, który leżał poniżej, w głębokim kotle między grzędami szarych skał Kościelca i Granatów.

— Jedź za mnom — powiedział Andrzej i pomknął w dół, zacinając to w lewo, to w prawo między głazami.

Przejechali głęboki lej i znów zaczęli podchodzić. Słouce przygrzewało, plecaki stawały się coraz cięższe, Bolek czuł, że grzbiet oblewa mu się potem. Wysoko nad nim, na tle nieba piętrzyły się skały u końca Zawratowego Żlebu.

Oddychał głęboko, starając się utrzymać tempo. Dwadzieścia kroków na lewo w skos, zwrot i dwadzieścia kroków w prawo: Potem tylko piętnaście; polem dziesięć, siedem...

Ciężko, psiakość — pomyślał.

Krzeptowski wyprzedzał go o dwa, trzy zakosy. Szedł ze swoim czterdziestokilowym ładunkiem jak maszyna.

Gdybyśmy się nie spotkali, niósłby sześćdziesiąt — pomyślał

Bolek. — Mocna bestia, niech go...

Żleb zwęzał się coraz bardziej. Trzeba było schodkować bokiem między skałami. Próg Zawratu sterczał niemal pionowo, zawalony zsiadłym, twardym gipsem. Andrzej udeptywał w nim stopnie dysząc z wysiłku. Twarz nabiegła mu krwią, na czoło wystąpiły kropelki potu. Wreszcie stanął na przełęczy.

— No, teraz ino w dolinkę pod Kołem, to telo co nic! — roześmiał się szeroko. — Dali my mu rade.

Nie było to bynajmniej „tyle, co nic”, lecz przecież pokonali i to podejście, wspinając się znów krótkimi zakosami po grzbiecie wąskiej grzędy, raz w prawo ku Gąsienicowej Turni, raz w lewo ku Małemu Koziemu Wierchowi, aż dotarli do piętra dolinki.

Po niebie płynęły teraz chmury, opuszczały się coraz niżej, zaczepiały o szczyty. Blask słońca stawał się matowy, błękit mętniał, pierzasta siateczka obłoków sunęła szybko od południowego zachodu.

— Będzie kurzyć — mruknął Krzeptowski.

Pojechali w dół, polem w lewo gładkim zjazdem na Wielki Staw, potem na przełaj po lodzie, potem obok ruin starego schroniska i na koniec pod nowe, gdzie obiecująco dymiło się z komina.

— Uff — westchnął Szary. -A Zdaje się, że mamy niezły czas z takim ładunkiem: trzy i pół godziny!

W schronisku spotkał Szarego zawód: szybownicy ze złotymi odznakami (nawet niektórzy z diamentami, jak wynikało ze szczegółowego sprawozdania Marysi Krzeptowskiej) przed półgodziną wyszli do Morskiego Oka.

Przeczytawszy ich nazwiska w książce meldunkowej, Szary gwizdnął przez zęby: pięciu z kadry narodowej, wyczynowcy!

Szósty był Marek Rysiewicz. Czyżby także należał do nich? Bolek pamiętał, że Rysiewicz w Polichnie nosił srebrną odznakę; daleko mu było do tej klasy, jaką reprezentowali tamci. Gdyby dokonał

czegoś nadzwyczajnego w ciągu ostatnich kilku miesięcy, pisałaby o tym „Skrzydłata Polska”.

Na pewno ich zna — pomyślał z niejaką zazdrością.

Przypomniał sobie, że dostrzegł nazwisko Rysiewicza na liście zawodników CWKS. Przewidywał, że będzie to najsilniejszy zespół w biegu kombinowanym, jakkolwiek czołówka narciarska nie mogła brać w nim udziału, mając w tym samym czasie zawody międzynarodowe za granicą. To samo zresztą dotyczyło innych klubów sportowych i ich

zawodników pierwszej klasy.

W tej chwili jednak nie zaprzętała sobie głowy tamtymi sprawami i osobą Rysiewicza; chodziło mu przecież głównie o spotkanie tych pięciu, a oto już ich tu nie zastał...

Może by ich dogonić? — pomyślał.

Ale był zmęczony i głodny, a zimowa trasa przez Swistówkę i Opalone nie należała do łatwych.

Nie zdążę — myślał. — Trzeba coś zjeść. Do Morskiego Oka będzie stąd ze dwie godziny, a stamtąd do Zakopanego jest trzydzieści kilometrów szosą. Musiałbym jechać szosą, bo już będzie ciemno. Droga nie przetarta, autobusy nie kursują...

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.

Wahał się jeszcze, ale Marysia nie chciała nawet słyszeć o czymś podobnym, a zapach gorącego krupniku i gulaszu przechylił ostatecznie szalę decyzji.

Lecz nim skończyli jeść, niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął padać śnieg. Andrzej zaniepokoił się o tamtych narciarzy.

Obliczał, dokąd mogli dojść, zanim ogarnęła ich śnieżycą.

—Teroz pewnie bedom w Swistowej Dolinie, a mozf; na grani nad Swistówkom, Kieby ino nie pobłondzili...

—Dobrze jeżdżą na nartach? — spytał Szary.

—E, dobrze — odrzekł Krzeptowski. — I góry dość dobrze znam, ale w taki cas...

—Nie pójdą chyba trawersem nad Roztoką, tak jak idzie letnia ścieżka? — powiedział Bolek.

Myślał o drodze po stromym, podcięтым przepaściami stoku Opalonego, gdzie zawsze wiosną grzmiały ogromne lawiny. Teraz zresztą także nie było tam bezpiecznie: leżał świeży śnieg, nad przepaściami spływały zdradliwe nawisy, każdy fałszywy krok groził runięciem w otchłań.

— Cheba nie pódom — mruknął Andrzej. — Dobrze by zrobili, kieby zostali w Swistowej. Nawet na noc; jakby miało kurzyć. A może i ustanie? — spojrzał w okno z powątpiewaniem.

Marysia spoglądała na nich raz po raz. zmieniając talerze.

— E, kiebyśmy mieli telefon... — westchnęła.

Wszyscy troje myśleli o jednym: trzeba by tam iść, przekonać się, czy tych sześciu nie pobłądziło. Czy nie potrzebują pomocy...

Śnieg walił cicho, ciężko, wielkimi płatami; obwisłe chmury płynęły nisko, strzępiąc się na szczycie Grubego Wierchu i na grzbiecie Miedzianego a czasem wlokły się po ziemi, wypełniały dolinę gęstą, zimną mgłą. Robiło się wtedy szaro, prawie ciemno. Potem nagle wiatr zeskaکیwał z przełęczы, rozpędzał je, rwał na części, aż w górze ukazywały się

szmatki błękitu. Tarzał się po stawach, tańczył ze śniegiem i narobiwszy tumultu przepadał w stronie Roztoki. Nieśmiałe, blade światło przezierało od południa, mogło się zdawać, że to już koniec, że za chwilę błysnie słońce, lecz chmury znów wypęły, piętrzyły się nad wierchami, opadały w dół i śnieg sypał na nowo.

— Pójdę — powiedział Szary. — Nie ma co czekać, później może być gorzej.

Krzepowski uznał słuszność tego zdania.

—Kie nie mozes zanocować, to se idź. Odprowadzę cie krapke.

—Ale! — obruszył się Bolek. — Sam pójdę. Znam tu wszystkie przejścia na pamięć. Nieraz w śnieżyce chodziłem.

—Nie spiroj sie se nmom, Florendy idzies?

Szary spojrział na niego spode łba. Uśmiechnęli się do siebie.

—Na Opalone — mruknął.

—Wiedziolck — skinął głową Andrzej. — Posed byk i bez tobie. Nie dałoby mi spokoju.

Marysia przygotowała im plecaki: bochen chleba, parę puszek konserw, termosy z gorącą herbatą, zwój liny, zapasowe swetry.

—Przydzics, Jendrek, do domu? — spytała pożegnawszy się z Szarym.

—Jak bede kany niedaleko, to sie i wrócę; a jakby co, zanocuje przy Morskim.

Wyszli przed schronisko i Bolek ruszył przodem. Wiatr jakby na nich czekał: skoczył im do twarzy, zakręcił śniegiem, podniósł

białą kurzawę ze środka Przedniego Stawu i cisnął im w oczy. Ale gdy przeszli na drugą stronę i nie dochodząc stromego stoku Swistówki skręcili w prawo pod skały, uciszyło się trochę.

Zdjęli narty, zaczęli się wdrapywać odwianą, nagą grzędą skalną na grań bocznego ramienia Opalonego. Dalej już leżał śnieg ubity na twardą, grubą deskę. Można było iść na nartach.

Znów się ściemniło; lodowata, wilgotna mgła osiadła szronem na wiatrówkach, na brwiach i rzesach; na dwadzieścia kroków nie było widać nic dokoła. Ale Szary istotnie znał tu każdą kępę kosówki, każde wzniesienie gruntu, nie-ledwie każdą stopę opadającego lekko w dół

grzbietu.

Wiatr, który zdrzemnął się w ciszy miękkiej jak wata, obudził się znowu, przeciągnął górą, zaszumiał i nagle runął z tyłu ze świstem i z sykiem ślizgając się po zboczach.

Szary zatrzymał się. Wiedział, że gdzieś przed nim zaczyna się jedyny dogodny zjazd w kotlinę. Ale w tej chwili nie mógłby go dostrzec: przestrzeń dokoła wirowała, pędziła w gwałtownych skrętach białych płatków.

Krzeptowski stanął obok niego, zaklął pod nosem, poprawił przekrzywiony kaptur skafandra.

— Zaczekamy, niech się trochę uspokoi! — powiedział Bolek podniesionym głosem. Wicher porywał słowa z warg i rzucał je w niewidzialną dał.

— Zaczekamy! — zawołał głośniej.

Krzeptowski skinął głową, przysiadł na piętach, ziewnął szeroko.

Po kilku minutach przeszło, chmury rozpierzchły się, na chwilę wyjrzał przydymiony rudawo błękit nieba.

Szary rozejrzał się. Tak, przed nim otwierał się gładki, stromy skłon.

Trzeba się śpieszyć — pomyślał.

Odbił się kijkami, śmignął w dół szusem. Pęd zaszumiał

mu w uszach, lecz gdy zwolnił na dnie Swistowej Kotliny, objęła go cisza.

Rozglądał się teraz na wszystkie strony, czy nie ujrzy gdzie ludzkich postaci. Do tego miejsca nic było innego dojścia, lecz stąd szlak się rozdwajał.

Którędy oni poszli? — myślał. — Jest nas dwóch; można by obiema drogami, ale jak nad Roztoką zawieje... Tam nie ma żartów, nawet w dobrą pogodę.

Z tyłu nadjechał Andrzej.

—Co medytujesz tego? Przecie nie mogli inaczej ino na prawo i Opoloniami do Kępy. Cheba ze pobłondzili...

—Chyba — powtórzył Bolek.

Krzeptowski zdecydowanie wysunął się naprzód, zaczął

podchodzić. Szary oglądał się raz po raz w lewo za siebie, zostawał w tyle, nasłuchiwał. Zdawało mu się, że dochodzą go jakieś głosy, ale nie był pewien, z której strony.

Staął i słuchał.

Nie, to musiało być złudzenie: cisza dzwoniła w uszach, czujna teraz, twarda, jakby szklana, nie taka jak wtedy, pośród mgły i chmur.

— O-hoop! — zakrzyknął przeciągle.

—

O-hoop! — odpowiedziało echo. — Hop!

Krzeptowski odwrócił się, patrzył ku niemu przez chwilę, a potem przyzwał go niecierpliwym ruchem ręki.

— Nie drzyj się tego!

Podeszli, ile się dało, zdjęli narty. Skalista, oblodzona grzęda umykała spod nóg. Trzeba było założyć raki.

Pięli się pracowicie pod górę, aż pot oblewał grzbiety.

Wreszcie wydostali się na stromą grań powyżej letniej ścieżki i znów zmienili raki na narty.

Przed nimi leżały teraz rozległe stoki Opalonego, a w oddali, już po stronie Doliny Rybiego Potoku, majaczył szczyt niedużej samotnej skałki zwanej Kępą. Zaraz zresztą stracili ją z oczu: znów zaczął padać śnieg i wkrótce zamieć przykryła wszystko białym, skłębionym tumanem.

Mimo to Szary jechał w dół pewnie i szybko. Jego niepokój o los pilotów wzrastał. Jeśli ich dotąd nie spotkał, to widocznie nie zatrzymywali się w drodze. Łatwo mogli zbłądzić w tej śnieżycy; nie znali przecież tego szlaku tak jak on i Andrzej. A nawet Andrzej czasem się wahał, przeczekiwał zawieję, żeby rozpoznać właściwy kierunek.

Możemy ich dawno minęli? — myślał Szary. — Może zboczyli jeszcze przed Swistową Kotliną i obozują w lesie? A może są przed nami — pocieszał się bez przekonania.

Czynił sobie wyrzuty, że nie wyruszył w ślad za nimi, jak tylko zaczęło padać. Dopędziłby ich na pierwszym podejściu. A tak...

Patrzył wprost przed siebie, rozglądał się na lewo i na prawo, usiłując przebić wzrokiem zadymkę. Wtem zapadł w dół, zachwiał

się, omal nie stracił równowagi i instynktownie spojrzał pod nogi.

Aha — tu jest taki mały uskok, a dalej spłaszczona bułą.

A to co?!

Przyjrzał się uważniej, nagle przyhamował, skręcił

gwałtownie w prawo, stanął i pochylił się badając powierzchnię śniegu.

— Siad! — zawołał głośno, podnosząc głowę. — Siad!

Krzeptowski był już przy nim. Spojrzał na śnieg. Delikatne podwójne wgłębienia, ledwie widoczne pod świeżą warstwą puchu, biegły równolegle obok siebie, zbaczając w prawo. Po obu stronach znać było małe dołki od talerzyków przy kijkach narciarskich.

—Oni — powiedział Andrzej. — Paru jechało, jeden za drugim.

—Ale dlaczego w prawo? — zapytał Bolek. — Kępa jest wprost przed nami.

— Zjeżdżajom w Głęboki Żlyb, cy jak..; — mrukną! Krzeptowski.

—



idom

lawiny...

,

Szary już nie słuchał: parł co sił naprzód. Przed nim, na prawo od Kępy opadał w dół potężny żleb o stromych, lawiniastych zboczach.

Jechał nad jego lewą krawędzią, omijając wzdęte ko-I zuchy nawisów, żeby ich nie podciąć. Poprzez rzadki ogon śnieżycy odchodzącej na północny wschód ujrzał nagle z dala lęka w głębi sześć ludzkich sylwetek.

Zdawało mu się, **żel** stoją w miejscu, nie poruszając się wcale.

Wiatr przycichał, rozjaśniło się trochę. Ogromne zwały nawianego śniegu pęczniały nad stokiem, zasłaniając raz po raz widok. Ze sterczących grzęd, z występów skalnych zwiślały nastroszone czapy i brody, wielkie jak domy, grożąc lada chwila oberwaniem się i upadkiem.

Muszę zjechać za nimi — pomyślał Szary. — Jeżeli podetnę śnieg i lawina ruszy, będą mogli jeszcze uciec.

W tej chwili usłyszał znajomy szum i łoskot. Z głębi żlebu rozległ się słaby okrzyk.

Puiszyła! — przeleciało mu przez głowę.

Skręcił w prawo, zatrzymał się nad samą krawędzią. Ogromny płat zbocza zdawał się obsuwać, jakby cały stok od strony Morskiego Oka zapadł się nagle wskutek trzęsienia ziemi. Gładka powierzchnia zmarszczyła się, zafalowała, długi wygięty wał wypiętrzył się pośrodku, przewalił się na grzbiet, runął w dół z przeciągłym grzmotem. Biały, wysoki tuman śnieżnego pyłu buchnął w górę i zawisł w powietrzu zasłaniając widok.

Szary stał jak wrośnięty w ziemię. Serce skoczyło, zacięło się jakby i zaczęło bić mocno, gwałtownie. W dole trwał grzmot i huk, toczył się echem po górach, przycichał, budził się znowu gdzieś dalej, urywał się i wybuchał to tu, to tam, w miarę jak tysiące ton śniegu, poruszone wstrząsem, osuwały się z upłazów i skał.

Wreszcie wszystko ucichło, lecz ta martwa, złowieszcza cisza wydała się Szaremu jeszcze straszniejsza niż poprzedzający ją rozruch. Nie mógł

nic dojrzeć w dole na stoku; lśniący pył nie opadał, kłębił się, migotał, wypełniał całą przestrzeń pomiędzy obydwoma ścianami żlebu.

Nie ma co czekać — pomyślał.

Zaczął zjeżdżać skośnie, lekkimi zakrętami, zrazu ostrożnie, wolno, polem coraz prędzej, coraz niżej. Nasłuchiwał, czy z góry nie ruszy za nim nowa lawina, gotów uciec przed nią na dół, tam, gdzie już przeszły inne.

Wtem dojrzał ślady nart wprost przed sobą, minął je w pędzie, wyciął w lewo krystianię, pojechał równolegle o metr poniżej, wpadł w śnieżną mgłę i nagle o kilkanaście kroków przed sobą ujrzał niewielką grupkę ludzi.

Pod Kępą Krzeptowski oświadczył, że wróci do domu. Śnieg przestał padać, chmury rozplływały się, białe ich strzępy zaczynały lekko różowieć, ale do zmierzchu było jeszcze z półtorej godziny.

— Pole wyjdzie miesioncek — powiedział Andrzej do Bolka. — Juz prawie pełnio. Pożegnał się z szybownikami ściskając im kolejno dłonie.

— No. z tym przewodnikie nie pobłondzicic — uśmiechnął się, wskazując Szarego. — Ale i tak mieliście szczęście: mogło wos przysuć jak nic.

Rysiewicz stał z boku, udając, że nie słyszy. Był skwaszony i zły na siebie za tę kompromitującą pomyłkę. To on prowadził tych pięciu „krótszą drogą”, przez Głęboki Żleb.

— Tali, to się mogło źle skończyć — powiedział któryś z nich.

Inżynier Hajduk rozmawiał z Szarym. Jak do tego doszło, że się tu znalazł w samą porę?

— Nie bardzo w porę — odrzekł Bolek. — Trzeba było wyjść o kwadrans wcześniej; dogoniłbym was, zanim zjechaliście z właściwej drogi.

Wyznał, że był zmęczony i głodny. Dlatego trochę się spóźnił; musiał odpocząć w schronisku u Krzeptowskiego. Ale głównie po to wybrał się do Pięciu Stawów, żeby ich tam spotkać.

Wiedział, że są wybitnymi pilotami szybowcowymi, a później...

— Jak się zorientowałem, że jesteście z kadry narodowej —no, to już przecież musiałem... — zaciął się, nie wiedząc, jak skończyć to zdanie. — Bo ja też jestem pilotem wykrztusił. —Tylko trzeciej kategorii.

— A więc kolega! — powiedział Hajduk ciepło.

Zaczął go wypytywać, gdzie ukończył kurs, do jakiego aeroklubu należy, czym się zajmuje, gdzie mieszka. Dowiedziawszy się, że Szary pracuje w Spółdzielczej Wytwórni Nart, spojrział na niego bacznie i nagle wykrzyknął: — Szagi! Przecież ja sam jeżdżę na Szagach! Niechże wam pogratuluję, kolego! — uściśnął mu rękę. — Że też ja się od razu nie zorientowałem!

Szary zaczerwienił się jak dziewczyna; było mu przyjemnie, a zarazem czuł się trochę zmieszany tą swoją młodą sławą.

Hajdukowi podobało się to. Znów zaczął mówić o szybowcach. Był naczelnym inżynierem Szybowcowych Zakładów Doświadczalnych w Bielsku.

— Musicie do nas przyjechać — powiedział. — To was z pewnością zainteresuje.

Potem, gdy leśną drogą zjechali na Szałasiska i zatrzymali się na chwilę pod jednym z pasterskich szałasów, rozmowa stała się ogólna. Nawet Rysiewicz odzyskał humor i protekcjonalnie wspomniał o dobrych postępach Szarego w Polichnie.

Zanim się rozstali, Hajduk zapytał, czy Szary nie zechciałby wybrać się z nimi na Czerwone Wierchy albo na Przełęcz Kondracką.

— Planujemy taką wycieczkę na przyszłą niedzielę — dodał.

Bolek chętnie na to przystał. Umówili spotkanie w schronisku na Kasprowym, zjechali do szosy i pożegnali się. Oni poszli w prawo, on w lewo.

Zmrok zapadał szybko, ale jednocześnie księżyc nabierał

blasku, oświetlając szosę zavaloną śniegiem. Szary jechał na skróty, ścinając serpentyny i niewiele uwagi poświęcając tej łatwej drodze. Był z siebie podwójnie zadowolony: raz, że oddał

przysługę Hajdukowi i jego towarzyszom, kto wie, czy nawet nie wyratował ich z poważnego niebezpieczeństwa, po wtóre, że miał

teraz sposobność poznać ich bliżej.

Nie wiedział, czy może traktować na serio zaproszenie do Bielska. Inżynier Hajduk powiedział to tak, mimochodem. Ale miał wielką ochotę tam pojechać, zobaczyć te zakłady.

Może by mnie przyjęli do warsztatów — pomyślał. — Pracowałbym w stolarni. Umiem przecież coś niecoś!

Postanowił pokazać Hajdukowi swój dział w wytwórni nart.

Sam zorganizował tam pracę; było się czym pochwalić. A przecież zostawiłby to chętnie komu innemu, gdyby mógł pracować przy budowie szybowców, choćby jako zwykły stolarz, na początek nawet jako praktykant.

Zapomniał o zmęczeniu; w głowie roilo mu się od myśli, od projektów, od marzeń na przyszłość.

To może być mój start — powiedział sobie. — Byle się tam zaczepie..

Zima tego roku była śnieżna i mroźna. W końcu stycznia znów spadły śniegi, po czym ustaliła się cicha, słoneczna pogoda.

Szary dwa kolejne popołudnia sobotnie i dwie niedziele spędził w górach, na wędrownkach z pilotami szybowcowymi.

Wyprawili się na Przełęcz pod Kopą Kondracką, a następnie na Czerwone Wierchy, na szczyt Krzesanicy i na Ciemniak, skąd zjechali do Doliny Miętusiej. Przedostali się do Kościeliskiej, zanocowali na Ornaku, wrócili do Zakopanego.

Rysiewicz z nimi nie chodził; wolał zjazdy z Kasprowego i z Gubałówki, a poza tym trenował na trasie zbliżających się zawodów.

Szary wcale nie odczuwał braku jego towarzystwa. Niechęć do Rysiewicza tkwiła w nim nadal, nie mógł zapomnieć dawnego upokorzenia, zwłaszcza że Rysiewicz i teraz traktował go nieco z góry, przybierając protekcyjnalne pozy. Rozstali się z nim na Hali Kondratowej i odtąd Szary objął przewodnictwo.

Inżynier Hajduk odwiedził go któregoś dnia w stolarni, a Bolek po tej wizycie zdobył się wreszcie na wyjawienie myśli, która go nurtowała od paru tygodni, że chciałby pracować w warsztatach szybowcowych.

Nie umiał przemawiać za sobą w sposób zręczny i śmiały, to pewna: mruknął, że może by się na co przydał.

Hajduk się ucieszył.

— Naturalnie! Potrzebujemy tam zdolnych ludzi.

Obiecał, że zajmie się tą sprawą zaraz po powrocie z urlopu.

W przeddzień zawodów odbyły się odprawy zawodników i komisarzy sportowych, a także informacyjna konferencja dla prasy. Szczegółowy regulamin biegu kombinowanego przewidywał przede wszystkim nagrody zespołowe, przy czym brano pod uwagę czas osiągnięty przez pierwszych trzech zawodników każdego zrzeszenia sportowego. Slalom w Suchym Żlebie został obwarowany punktami karnymi za omijanie lub przewracanie bramek oraz za przekroczenie maksymalnego czasu zjazdu, który ustalono na jedną minutę. Czas krótszy od minuty i styl były premiowane.

Na podstawie tych danych i dokładnej analizy trasy, poszczególne zespoły odbywały narady taktyczne pod kierunkiem swoich trenerów. Omawiano sprawę użycia wiązań długorzemiennych przy zjazdach i slalomie: czy to się opłaci? Czy warto tracić cenne minuty na ich kilkakrotne zmiany, czy też lepiej użyć kandaharów \* i tylko luzować linki do biegu i podejścia? Jak jechać w Suchym Żlebie i co przy slalomie odegra większą rolę: czyste przejście bramek i piękny styl czy też czas? Jak rozłożyć wysiłek, gdzie zacząć finisz, na jakim odcinku trasy przejść do ataku, aby wysunąć się naprzód i do końca utrzymać przewagę?

Szary od dawna przemyślał, opracował i skontrolował

w praktyce zasadnicze odpowiedzi na te wszystkie pytania. Teraz wyjaśniał szczegółowo, jak doszedł do swojej koncepcji, jakie widzi trudności i jak należałoby je rozwiązać, biorąc pod uwagę indywidualne zalety i słabsze strony zawodników AZS.

Skończywszy z tym, poszedł do hotelu Orbis, żeby zobaczyć się z Dytyńskim, który uprzedził go telegraficznie o swoim przyjeździe w charakterze sportowego sprawozdawcy „Sztandaru Młodych”.

Zastał go w hallu zajętego ożywioną rozmową z inżynierem Hajdukiem i dwoma innymi pilotami.

Już ich wywęszył! — pomyślał. — Z pewnością naciągnął

ich na wywiad.

Dytyński opowiadał coś zabawnego; śmieli się głośno z jego dowcipów. Szary zawahał się, czy ma do nich podejść, ale Hajduk go dostrzegł i uniósł rękę powitalnym gestem.

— Siadajcie z nami!

Zamienili uściski dłoni.

— Spóźniłem się na konferencję prasową — powiedział

Gruszka. — Musisz mnie później uświadomić.

Ale Hajduk też był ciekaw najświeższych wiadomości, więc Bolek pokrótce zaznajomił ich z przebiegiem ostatnich przygotowań. Zaczęli potem wspominać wspólne przygody na Czerwonych Wierchach, na Kondrackiej i tę pierwszą w Głębokim Żlebie pod Opalonym.

—Szkoda, że was tam z nami nie było — powiedział jeden z pilotów do Gruszki. — Moglibyście napisać dramatyczny reportaż. Jak ta lawina ruszyła...

—Po pierwsze, umarłbym ze strachu — oświadczył Gruszka — i nie byłoby dramatycznego reportażu. Po drugie, kto by mnie tam zaniósł? Osiemdziesiąt kilo żywej wagi...

Inżynier Hajduk pochylił się ku Szaremu, —Pojutrze jadę z powrotem do Bielska i zaraz się tam rozejrzę w waszej sprawie. To będzie częściowo zależało od działu kadr. Ale nie przewiduję żadnych trudności. Może byłoby lepiej, gdybyście mi dali podanie o przyjęcie do pracy i krótki życiorys. Zdążycie to przygotować?

—Jeszcze dziś napiszę — odrzekł Szary. — Dziękuję, inżynierze. Ja... — zaciął się, jak zwykle, gdy był czymś poruszony.

— I ja także — wybawił go z kłopotu Hajduk.

Spojrzeli sobie w oczy i roześmieli się obaj.

Strasznie porządny chłop! — pomyślał Bolek.

Wychodząc z hotelu, czuł się jak na skrzydłach. Myślami był

w warsztatach SZD, latał w Aleksandrowicach; zdobywał srebrną, złotą, diamentową odznakę pilota!

Był tak pochłonięty tą wizją, że omal nie wpadł pod samochód, który zapiszczał hamulcami i zatrzymał się u skraju jezdni. Zgorszony kierowca wyjrzał zza opuszczonej szyby i z politowaniem potrząsnął głową.

Szary nie czuł o to do niego urazy.

— Zdarza się — powiedział z uśmiechem.

Wtem ujrzał Halinę we wnętrzu wozu; kiwała na niego ręką na powitanie, mocując się z klamką zatrzaśniętych drzwi. Rzucił

się, żeby pomóc otworzyć i znów omal sobie nie nabił guza szarpnąwszy zbyt mocno.

—

Halina! Skąd? — zapytał z bijącym sercem.

Wydała mu się ładniejsza niż kiedykolwiek; zaróżowiona, z błyszczącymi oczyma, uśmiechnięta.

Poczuł jej ciepłą, delikatną dłoń w swojej. Pomógł jej wsiąść.

— Uff! — westchnęła. — Zupełnie zdrętwiałam w tym pudle. Przyjechaliśmy z Łodzi — wyjaśniła, opierając się mocno na jego ramieniu, — Bierzesz udział w zawodach?

Skinął głową, nie spuszczać z niej wzroku, uradowany i wzruszony tym nieoczekiwanym spotkaniem.

—Stęskniłem się za tobą — powiedział, jakby chcąc się usprawiedliwić.

—O, naprawdę? — zajrzała mu w oczy.

Nie zdążył odpowiedzieć; otoczyło ich troje pozostałych pasażerów i Halina dokonała prezentacji: — Bolesław Szary, mój kolega ze szkoły szybowcowej.

Koleżanka Bobińska, pan profesor Kotarba, pan Wiśniewski, operator.

Zamienili zdawkowe, spieszne uściski dłoni.

— Idziemy do hotelu — oświadczył jeden z mężczyzn. —Zaczekamy na panią w hallu.

Halina kiwnęła głową:

—Zaraz przyjdę.

—Spieszę się teraz — powiedziała do Bolka. — Ale zobaczymy się chyba? Będę tu jutro przez cały dzień na zdjęciach. Poczciwy Kotarba zabrał nas z sobą, mnie i Bo-bińską. Będziemy filmowali te zawody.

Zapytała o to i owo, o znajomych, o Ewę, ale słuchała z roztargnieniem jego odpowiedzi.

—Umówmy się gdzie na wieczór — zaproponował.

—Dziś nie mogę. Chyba jutro po zawodach.

—Świetnie! — ucieszył się. — O szóstej' jest ogłoszenie oficjalnych wyników i rozdanie nagród w sali teatralnej Morskiego Oka. To się do siódmej powinno skończyć. Przyjdiesz?

—Przyjdę — uśmiechnęła się. — Powodzenia!

Wyciągnęła do niego rękę.

—Będę trzymała palce, żebyś zajął pierwsze miejsce!

Nazajutrz czterdziestu pięciu zawodników stanęło na starcie.

Zaczęto losować numery. Szary wyciągnął siedem-nastkę. Trener sekcji, Bargiel, założył mu na pierś i na plecy kwadraty żółtego płótna z czarnymi cyframi i zawiązywał

tasiemki na bokach.

— Ustnpski jest przed tobą. Ma dziesiątkę — powiedział. — Reszta naszych trochę dalej. Wąsowicz prawie na końcu, czterdziesty trzeci. Na was trzech najwięcej liczę.

— A jak ci z CWKS? — spytał Szary.

Bargiel zajrzał do notesu.

— Siódemka, piętnastka... Potem dwadzieścia dwa, dwadzieścia osiem...

— Który jest Piysiewicz? — przerwał Szary.

— Piętnasty. Startuje dwie minuty przed tobą. Jakbyś mu dał radę na zjeździe i gdyby ci gładko poszedł slalom, to na płaskim już cię nie dogoni.

— Wiem — mruknął Bolek. — Postaram się.

— Lepszego od Rysiewicza nie mają — dodał jeszcze trener.

Sędzia startowy wezwał pierwszą dziesiątkę zawodników na linię startu. Odezwał się głośnik:

— Startuje Józef Skupień, Gwardia!

Czerwona chorągiewka zafurkotała w powietrzu. Wysoki, szczupły narciarz odbił się kijkami, przebiegł kilka kroków, minął

niebieski znak na zakręcie, rzucił się w dół po slomiznie zbocza.

— Już leży! — zawołał któryś z widzów stojących poniżej startu.

Rozległy się śmiechy, gwar zmieszanych głosów, pojedyncze okrzyki: — Jedzie, jedzie! Pozbierał się!

Następni ruszali kolejno, co minutę, już bez upadków. Przez głośnik podawano nazwiska i nazwy klubów, startowy machał

chorągiewką, sędzia odfajkowywał numer na liście.

Siódemka, ósemka, dziewiątka...

Szary spotkał wzrok Uslupskiego. Porozumieli się spojrzeniem.

— Startuje numer dziesiąty, Feliks Ustupski, AZS Zakopane! Zawodnicy od jedenastego do dwudziestego na linię startu!

Szary przetarł narty, spróbował napięcia linek. O dwa miejsca w prawo od niego stał Rysiewicz w nowym czarnym skafandrze, smukły, uśmiechnięty, elegancki jak zawsze. Dwie przystojne dziewczyny w jednakowych białych kożuszkach dawały mu jakieś znaki. Skinął im głową i pogroził palcem. Gdy przyszła jego kolej, zebrał się w sobie, spowaźniał, pochylił się w przód. Jednocześnie z opadnięciem chorągiewki ruszył jak wyrzucony sprężyną, wyciął krystianię na zakręcie, przysiadł

ugiąwszy kolana, poleciał w dół jak strzała.

Wyglądało to rzeczywiście efektownie. Wśród publiczności zerwały się oklaski.

Szary lekko wzruszył ramionami.

Kiniak — pomyślał. — Takich powinni filmować!

Sam nie zamierzał się tak popisywać; gwałtowny zryw na płaszczyźnie za linią startu nie miał praktycznego znaczenia, wymagał natomiast znacznego wysiłku.

Patrzył z pobłażliwym uśmiechem, jak następny zawodnik bez powodzenia usiłuje naśladować ów teatralny start Rysiewicza.

—No nie! — mruknął pod nosem. — To trzeba jednak umieć!

—Startuje numer siedemnasty, Bolesław Szary, AZS

Zakopane! — rozległo się z głośnika.

Szary pobiegł do zakrętu, wsparł się na kijkach, wykonał

zwrot w powietrzu, odbił się, skoczył długim szczupakiem w dół.

Nie dosłyszał już oklasków za sobą. Pędził na złamanie karku, nie trzymając się świeżych śladów na cienkiej warstewce puchu, lecz wypatrując znajomych gładów, między którymi lawirował najkrótszą drogą. Unosił się, prostował nogi, zacinał drobno, to w lewo, to w prawo, a potem odbijał się z całej siły i skulony, w głębokim przysiadzie pędził szusem po prostej.

Z daleka ujrzał szóstą podporę kolejki linowej, odbił nieco od grani, zapadł w jedną, drugą kotlinę i nie tracąc pędu wyprysnął z nich na trawers po zboczu Suchego Wierchu. Śmignął nad stromym żlebem, minął kolejno piątą i czwartą podporę, wyleciał

na grzbiet ogołocony z lasu, przeciął go aż do drogi, wyprzedziwszy zawodnika, który startował przed nim, wjechał na górną nartostradę i ścinając wiraże parł dalej naprzód aż ku stacji na Myślenickich Turniach.

Stąd, z góry, dostrzegł Rysiewicza, a przed nim zakrę-

cającego już w lewo narciarza z czternastką na plecach. Pomknął

w dół bardzo stromym, ostrym zjazdem między krzakami. Pęd huczał mu w uszach, pył śnieżny, wzniesiony przez tamtych dwóch, siekł po zmrużonych powiekach. Szagi, elastyczne, śliskie Szagi niosły go jak po lodzie!

Przed zakrętem usłyszał głośny okrzyk Rysiewicza: „O-hop!”

Zamachnął się kijkami, wziął wiraż krystianią, wyrównał nogi, wpadł w małą kotlinkę, na mgnienie oka zwolnił mięśnie ud i napięte ścięgna pod kolanami, które skoczyły jak na sprężynach, amortyzując wstrząs. Spojrzał przed siebie.

Rysiewicz mijał niefortunego narciarza, który leżał w głębokim śniegu.

— O-hoo-op! — zawołał Szary ostrzegawczo i Rysiewicz się obejrzał.

Ten niebaczny, niepotrzebny ruch wybił go z tempa, rozproszył na moment jego



uwagę. Szary wyteżył wszystkie siły, zjechał w lewo, zrównał się z nim, porzucił przetarty szlak, skręcił jeszcze bardziej, aż pomiędzy drzewa, ścinając zakręt tuż u granicy trasy.

Rysiewicz za późno zrozumiał swój błąd. Dał się wyprzedzić przy pierwszej próbie! Odległość pomiędzy nimi rosła; zostawał w tyle o dwa, o trzy, o pięć metrów... Ogarnęło go przelotne zdumienie: jak się to stało, u licha, że Szary był tuż za jego plecami? Zaciął zęby: „Nie dam się! Jeszcze czas!”

Zjeżdżając w Dolinę Kasprową, przeszedł do ataki]. Po chwili udało mu się uzyskać dwa metry. Potem jeszcze metr...

Ale Szary jechał najkrótszą drogą: nie można było go wyprzedzić inaczej jak na prostej. Na prostej zaś leciał jak wiatr.

Czuł za sobą pogoń, nie oglądał się, nic zwalniał; przeciwnie: na każdej większej pochyłości przyspieszał tempo.

Rysiewicz gnał jego śladem, starając się już tylko utrzymać stałą odległość. Wprawdzie miał wskutek tego ograniczoną widoczność drogi przed sobą, ale każdy ruch Szarego uprzedzał go o zakrętach, przeszkodach, wzniesieniach i wybojach; wystarczyło uważać na jego manewry.

W jakiejś chwili minęli kolejno trzech zawodników: dziewiątkę, trzynastkę i ósemkę. Szary pomyślał, że wobec tego Ustupski także ich musiał wyprzedzić. Ucieszył się. Jak dotąd, szanse AZS rosły.

Słyszał tuż za plecami spieszny oddech Rysiewicza, lecz był teraz spokojny: miał nad nim dwie minuty przewagi, a przecież rozporządzał jeszcze dużym zapasem sił. Chciał je zachować na podejście w Suchym Żlebie; tam powinien zarobić jeszcze minutę lub półtorej.

Zobaczył przed sobą prześwity między rzedniejącymi drzewami, wypadł na otwartą przestrzeń, skręcił w lewo za niebieskimi chorągiewkami trasy, znów znalazł się na leśnej drodze, która teraz prowadziła lekko pod górę.

Rysiewicz wciąż deptał mu po piętach, lecz obaj musieli zwolnić: linki kandaharów naprężone jak struny nie pozwalały na ugięcie stóp przy podchodzie i biegu.

Szary zatrzymał się, odstąpił krok w prawo, zdjął rękawice, szybko odpiął zamki, aby poluzować wiązania. Rysiewicz uczynił

to samo. Nie zamienili ani słowa. Jednocześnie szcęknęły zatrzaski regulatorów, jednocześnie wyprostowali się obaj, jednocześnie ruszyli naprzód.

Dopiero przy pierwszym zakręcie w prawo Szary zaczął ucieczkę. Zjechał szybko w dół, przeszedł ponad wywierzyskiem Bystrej, znów skręcił w prawo pod górę, prawie biegiem podszedł

na skraj hali, nabrał tchu i długim wyciągniętym krokiem sunął naprzód, w stronę Suchego Żlebu.

Szedł w górę na wprost, przybijając mocno deskami, póki stromizna nie wyrosła tak dalece, że nawet Szagi zaczęły osuwać się w tył. Potem spróbował choinkować, wreszcie jednak musiał

uciec się do krótkich zakosów, miejscami nawet do schodkowania.

W dole na prawo bieleła szeroka, nieckowata rynna żlebu, naszpikowana bramkami, z krętym szlakiem niebieskich chorągiewek. Poniżej, u jej wylotu, czerniał aż po mury schroniska tłum widzów, a przed nimi widać było małą grupkę ludzi dokoła kamery filmowej ustawionej na trójnogu. Jakiś zawodnik szył

krystianiami przez ostatnie, najniższe bramki, wznosząc wygięte grzebienie śnieżnego pyłu. Słysząc było daleki klekot braw, którymi go nagradzała publiczność.

Wtem z góry zadudnił głośnik.

— Numer dziesiąty, Feliks Ustupski, AZS Zakopane! Czas od chwili startu dwadzieścia siedem minut czterdzieści sekund!

Szary skończył zakos w lewo, odwrócił prawą nartę, potem lewą, odetchnął głęboko, ruszył. Zanim doszedł do granicy trasy podejścia, zobaczył, że Ustupski zjeżdża. Nie zatrzymując się, patrzył za nim.

Dobrze jedzie — pomyślał. — Chyba nikt go nie wyprzedził; ma dobry czas. Teraz powinna być jedenastka i dwunastka.

Lecz okazało się, że następny zawodnik ma numer szósty, a czas gorszy od Ustupskiego prawie o pięć minut. Dopiero po nim zjechał numer jedenasty, a w pół minuty później dwunasty. Ten ostatni był o dwadzieścia sekund lepszy od Ustupskiego...

Napoleon Dytyński w ciepłej futrzanej wiatrówce, z kijkami w rękach, ale bez nart, stał w grupie filmowców obok kamery, dzieląc się swymi wrażeniami z Haliną Doboszówną i jej koleżanką, Bobińską. Obie śmiały się z jego uwag, które wygłaszał z poważną miną.

Był z siebie zadowolony; instynkt i spryt dziennikarski nie zawiodły go i tym razem: zobaczywszy poprzedniego dnia Doboszównę wśród ekipy filmowej, natychmiast zorientował się, że warto odnowić tę znajomość z Polichny. Dzięki temu przyjechał tu samochodem i wkręcił się na miejsce, z którego najlepiej mógł obserwować slalom. Co więcej, zapewnił sobie wygodny i szybki przejazd pod Gubałówkę na metę.

Usiłowali teraz wszyscy troje odgadnąć, jaki czas będą mieli Rysiewicz i Szary. Dytyński chciał się założyć, że Szary przyjdzie w pierwszej dziesiątce, ale gdy zjechał dziesiąty, a potem jedenasty zawodnik, zaczął się niepokoić.

Wtem, po krótkiej przerwie odezwały się głośniki: ~ Zjeżdża numer siedemnasty, Bolesław Szary, AZS

Zakopane. Jak dotychczas jest to najlepszy czas zawodów: dwadzieścia dwie minuty

pięćdziesiąt sekund!

Zanim jeszcze ujrzano sylwetkę narciarza, zerwały się oklaski.

Dytyński westchnął z ulgą, wyciągnął szyję, aby lepiej widzieć.

— Minął sześciu zawodników — powiedział ktoś z filmowców. — Nawet Rysiewicza!

Ciemna, przyczajona jak do skoku postać, do połowy przysłonięta pióropuszem śniegu rwącego spod nart, mknęła w dół. Raz po raz na zakrętach zakrywał ją biały, mieniący się w słońcu tuman szklatego pyłu. Raz po raz, nie zmniejszając prędkości, narciarz przerzucał się z prawej krystianii w lewą, przysiadał, śmigał przez bramkę, leciał w dół, pochylał się, ścinał

zakręt, przesywał następną, prostował się, gwałtownym zamachem zmieniał kierunek o sto osiemdziesiąt stopni, by po sekundzie odbić się w lewo, w prawo, zwinnie jak jaskółka, gdy w niskim locie muska powierzchnię stawu końcami skrzydeł. Raz po raz grzmiały oklaski, wznosił się gwar, rósł aż do krzyku i cichł.

W tej ciszy, która następowała nagle jak skutek czaro-dziejskiego zaklęcia, widzowie wstrzymywali oddech. Słysząc było daleki pobrzęk pojedynczych dzwonek u sań stojących rzędem przed schroniskiem, ledwie wyczuwalne tchnienie wiatru w najwyższych gałęziach świerków, cichy syk i poświst śniegu rozcinanego nartami na prostej, a potem głośne „szszuch!”

krystianii oranej przed bramką.

Grzebień śnieżny podrywał się w górę, skrzący, skłębiony ogon pyłu zostawał w tyle; sypały się oklaski, wybuchał zgiekł zmieszanych głosów i znów po chwili cisza spadała na tłum jak wysoka, gładka fala biegnąca bez szmeru w przestrzeń.

Szszuch! Szszuch! Ostry łuk w prawo i w lewo, i znów w prawo, coraz niżej.

— Kamera! — powiedział operator, celując obiektywem.

Rozległ się suchy trzask klapsa\*, Halina zanotowała kolejny numer ujęcia i taśma zaczęła sunąć z cichutkim szelestem, podczas gdy Szary gnał przez ostatnie bramki.

Dostrzegł grupkę filmowców, poleciał wprost ku nim, zawinął ostro, sypnął śniegiem spod nart, pokazał w uśmiechu białe zęby, minął kamerę o metr! Została po nim kurzawa pyłu, w której rozplynał się i znikł jak widmo.

Gruszka bił brawo zgubiwszy rękawicę, ludzie krzyczeli, śmieli się, klaskali. Nie można było dosłyszeć w tym gwarze słów spikera, który ogłaszał notę za styl i czas zjazdu. Dopiero po dłuższej chwili uciszyło się trochę.

— Zjeżdża numer piętnasty, Marek Rysiewicz, CWKS

Wrocław! Czas od startu dwadzieścia sześć minut, dziesięć sekund!

Kibice Wojskowego Klubu Sportowego zaczęli skandować: „Ma-rek! Ma-rek! Ma-rek!”

— Na jarmarek — mruknął Dytyński. — Szary bije go o trzy minuty i dwadzieścia

sekund.

Zjechawszy na drogę do Kuźnic, Szary znów zwolnił na-pięcie linek u wiązań i zdjął je z tylnych zaczepów pod stopami.

Miał przed sobą około piętnastu kilometrów biegu płaskiego, niewielkich zjazdów i długich podejść, aż do górnej stacji kolejki na Gubałówce. Ten etap był rozstrzygający; ostatni zjazd z Gubałówki niewiele już mógł zmienić w wynikach osiągniętych poprzednio: różnice rzędu sekund

tylko w wyjątkowym przypadku mogły wpłynąć na kolejność zdobytego miejsca.

Wyraźna, gęsto znaczone trasa poniżej Kuźnic skręciła w lewo przez las, minęła nowy stadion, wspięła się na zbocza za kamieniołomem. Na prawo w dole widać było Zakopane w lekkiej mgiełce rozwianych dymów, przez którą przenikały i rozpraszały się promienie słoneczne. Na wprost, z lewej strony spływała rynna Małej Skoczni, a za nią, poniżej, otwierała się gardziel Dużej, okolona trybunami.

Tam Szary minął zawodnika z numerem jedenastym, a wkrótce potem, już na drodze pod Reglami, szóstkę i piątkę.

Przy gospodzie w Strążyskiej spotkał znajomego instruktora PTTK, Stępienia, który przyłączył się do niego na chwilę, aby mu udzielić najświeższych informacji.

Jedynkę ze zwichniętą nogą zabrało pogotowie. Dwunastka z Gwardii odpadła; ma złamaną nartę. Ustupskicmu pękła linka na głupim, małym zjeździe, ale prasło go na pniaki, przy czym wybił

sobie palec ze stawu. Mimo to jedzie dalej; ma dobry czas; jest tuż za siódemką z CWKS i nieco przed Szarym.

—A kto za wami? — spytał.

—Rysiewicz — odrzekł Szary. — Piętnastka CWKS.

—No, to powodzenia! — powiedział Stępień i zawrócił.

Droga, niemal prosta, bez większych zakrętów, wznosiła się łagodnie i opadała aż do ujścia Doliny za Bramką. Nieco dalej trasa skręcała w prawo, polami na przełaj, ku szosie do Doliny Kościeliskiej.

Szary biegł naprzód równym, jednostajnym krokiem, oszczędzając siły na podejście pod Gubałówkę. Gdy przebył trzy czwarte odległości między podnóżem Regli a Krzeplówkami, obejrzał się. Wysmukły narciarz w czarnym skafandrze sunął jego śladem.

Rysiewicz! — pomyślał Bolek. — Uparty, niech go...

Nie przyspieszył tempa, lecz po chwili obejrzał się znowu.

Rysiewicz był teraz bliżej.

Dogania mnie, ale musi być wypompowany — myślał Szary.

— Niechby mnie nawet trochę wyprzedził, minę go na podejściu; tam się wykończy.

Przeszedł szosę, dotarł do bocznej drogi, skręcił za niebieskimi chorągiewkami w stronę serpentyny prowadzącej w górę i w tej chwili dostrzegł na pierwszym zakręcie znajomą sylwetkę Ustupskiego.

Znów mu się coś przytrafiło — pomyślał zaniepokojony.

Ustupski stał na skraju drogi zgięty w pół, poprawiając coś lewą ręką przy wiązaniu narty.

— Felek! — zawołał Szary. — Co ci nawaliło?

Tamten odwrócił się, przysłonił oczy przed słońcem i nagle zamachał rękawicą:

— Kandahar! — krzyknął głośno. — To już drugi, psia jucha! Masz zapasową linkę?

—

Mam! — odkrzyknął Szary i przyśpieszył kroku.

Dotarłszy na wiraż, nie tracąc czasu na pytania, przy kucnął obok Ustupskiego, aby mu pomóc.

—Sam bym, psia jucha — mruzczał Felek — tylko paluch, psia jucha, wykręciłem, jak mnie prasło za pierwszym razem... A kto to za tobą? — spytał niespokojnie.

—Rysiewicz — odrzekł Szary mocując się ze stalowa, linką, która uwięzła w uchwytach okucia.

Rysiewicz nadchodził z dołu, ciężko dysząc z wysiłku.

Ma teraz jedyną sposobność — pomyślał Szary.

Szarpał poskręcaną linkę, starając się zerwać z niej cienką blaszaną otulinę, lecz wszystkie jego wysiłki okazywały się bezskuteczne: spiralnie zwinięty pasek blachy zaciął się w łożysku zaczepu i zaklinował je tak mocno, że linki nie można było wyrwać.

— Ostaw mnie; jedź — powiedział Ustupski, gdy Rysiewicz ich minął.

Ale Szary potrząsnął głową.

— Musimy obaj — mruknął. — Nie wiadomo, co z Wąsowiczem.

Sięgnął do kieszeni, wydobył śrubokręt, zaczął powoli rozginać, odłamywać strzępki blachy. Sekundy ciekły jedna za drugą. Upłynęła minuta, potem półtorej, potem dwie...

Ustupski się denerwował.

—Jak zawalimy, to przeze mnie! Ty byś chociaż indywidualnie...

—Ciągnij! — warknął Bolek.

Felek chwycił lewą ręką za napiętek linki. Szarpnęli we dwóch i omal nie stoczyli się z nasypu: puściła!

— Teraz tylko założyć nową — westchnął Ustupski.

Spróbował dopomóc sobie opuchniętą, nabrzmiąłą prawą dłońią, ale aż syknął i pobladł z bólu. Środkowy palec, wybity ze stawu, odginał mu się w górę, zawadzał.

— Dawaj no tu łapę — powiedział Szary. — Tu od tyłu, między moje kolana.

Ścisnął mu kolanami dłoń w przegubie, ujął ów nieszczęsny palec, pociągnął. Chrząstki chrupnęły i kość weszła na swoje miejsce.

— No, tylko teraz nie zemdlej! — klepnął go po ramieniu.

— Czekaj, naciągnę ci rękawicę. A narty nie ruszaj sam zrobię.

Jakiś zawodnik mijał ich dysząc ciężko, zaczerwieniony z wysiłku.

— Piątka — stwierdził Ustupski. — 0, i szóstka podchodzi.

Psia jucha...

Ułynęły jeszcze dwie minuty, nim byli gotowi. Ustupski otarł pot z czoła, uśmiechnął się. Rumieńce wróciły mu na policzki.

— Lepiej teraz? — spytał Bolek,

- No!

— To szoruj za mną. Jeszcze nic straconego. Zespołowo możemy wygrać.

Podejście było długie, miejscami dość strome. Mięśnie nóg i ramion bolały, omdlewały z wysiłku; serca biły mocno, spiesznie, głębokie oddechy rozpierały żebra; pot występował na zmęczonych, ścierpłych grzbietach.

Ustupski zostawał coraz bardziej w tyle. Ból w prawej dłoni od nadwreżonych ścięgien rozprzestrzenił się aż do łokcia; każdy ruch, nieomal każde wsparcie się na kijku przysparzały mu cierpienia. Zacisnął zęby i szedł dalej, lecz nie nadążał za Szarym, który parł teraz naprzód w pogoni za szóstką i piątką.

Dopędził i wyprzedził tych dwóch zawodników między Palenicą a Butorowem; polem znikł w lesie dzielącym go od Pająkówki.

W drodze do górnej stacji kolejki na Gubałówce nie spotkał

nikogo. Przybył tam w dwie godziny i dwadzieścia minut od chwili startu z Kasprowego. Ktoś z kibiców zgromadzonych na mecie etapowej zdążył mu powiedzieć, że Rysiewicz był tu przed dwiema minutami.

Szary minął metę, nie tracąc czasu na usztywnienie linek zjechał na krawędź stoku, prostym szusem spłynął w dół, skręcił w prawo, wpadł na most nad linią kolejki, przeleciał na drugą stronę w las, przewinał się serpentyną wśród wysokich świerków, wyprysnął na garb Gładkiego, odbił się na progu, skoczył, wylądował na stromym zboczu i znów szusem popędził na dół w głębokim przysiadzie, unosząc się tylko przy każdym pchnięciu kijkami.

Sekundy, może nawet ułamki sekund decydowały, wbrew temu, co myślał kończąc slalom w Suchym Żlebie... Był tuż za Rysiewiczem. Miał prawie taki sam czas. Mógł wygrać!

Tak jeszcze nigdy nie zjeżdżał z Gubałówki. Słupy wzdłuż toru kolejki po lewej stronie leciały mu naprzeciw, pęd furkotał w uszach, ślady nart krzyżowały się, schodziły się i rozchodziły, uciekały od siebie, zataczały się jak rozgałęzienia szyn, po których grzmiały koła pośpiesznego pociągu. Na prawo zrywały się i odlatywały w tył jakieś pojedyncze krzaki, a na wprost, coraz bliżej czerniało mrowie ludzi za dolną stacją.

Szary śmignął przez linię ostatniej mety, skręcił zamachem ramion i tułowia, wparł się kantami nart w śnieg, pochylił się całym ciałem na lewo w tył, prostując kolana, skręcił, wypadł na plac przed dworcem, wyorał

głęboką bruzdę, stanął.

Suchy klekot, trzask, ogłuszający łoskot oklasków wybuchnął z bliska, potoczył się dokoła jak grzmot toczy się echem po górach. Dwaj komisarze sportowi wybiegli przed kordon, jeden z nich ujął Szarego za ramię i powtarzał coś, czego nie można było zrozumieć pośród wrzawy.

— ...przed trybunę honorową! — wrzasnął w końcu i pociągnął go za sobą.

Ludzie cisnęli się dokoła. Szary widział roześmiane twarze, spojrzenia, czuł napór i falowanie tłumu. Dyszał ciężko, z trudem posuwał

się naprzód, aż nagle masa ludzka rozstała się przed nim. Ktoś wręczył

mu kwiaty, a spoza nich wyjrzała czarna kamera filmowa. Halina stała obok Rysiewiczza, który też przyciskał ramieniem pęk czerwonych goździków i uśmiechał się, rozmawiając z nią i ze swoim trenerem klubowym.

Wtem, nie wiadomo skąd, zjawił się Dyłyński i uprowadził Szarego na bok, pod ruchomy kiosk z gorącą herbatą i przekąskami.

— Wyglądasz jak nieboszczyk Łazarz — powiedział. — Łyknij tej lury, może się nie o trujesz.

Podał mu kubek i dla pewności ujął go pod ramię.

Bolek pił drobnymi łykami, przerywając raz po raz, żeby nabrać tchu. Powoli wracała mu pełna świadomość tego, co się dokoła dzieje.

Kierownik ekipy AZS precyzyjnie się ku nim i potrząsając jego ręką składał mu gratulacje.

— To był zjazd! — powtarzał kręcąc głową. — No, no, to był zjazd!

Szary zapytał o Ustupskiego.

— Jedzie, jedzie! Mamy już wiadomości z całej trasy.

Liczymy na pierwsze miejsce zespołowe. Dzięki wam, naturalnie, Wąsowicz też się trzyma. Gdyby nie ten wypadek z Ustupskim, byłibyście indywidualnie przed Rysiewiczem. Według tymczasowych obliczeń macie czas gorszy tylko o kilka sekund.

Ale to głupstwo: grunt, że Ustupski skończy bieg!

Uroczystość zakończenia zawodów i rozdania nagród w ciemnej, brzydkiej sali teatralnej Morskiego Oka dobiegała końca. Zwycięska drużyna AZS z kryształowym pucharem powróciła od stołu prezydialnego na boczną ławkę pod ścianą.

Szary zauważył w jednym z pierwszych rzędów inżyniera Hajduka i kilku pilotów szybowcowych. Cała ta grupa dawała mu znaki wyrażające gratulacje: unosili ręce w górę i ściskali własne dłonie, a potem znów bili brawo. Podziękował im skinieniem głowy i usiadł.

Przewodniczący zaczął wywoływać kolejno nazwiska zwycięzców indywidualnych.

— Marek Rysiewicz, CWKS Wrocław!

Rysiewicz, zgrabny, elegancki, wyświeżony, wstał, przygładził włosy, wśród rześkich oklasków podszedł do stołu okrytego czerwonym sukniem, aby odebrać nagrodę Głównego Komitetu Kultury Fizycznej.

Kłaniał się z wdziękiem, odpowiadał uśmiechem na okrzyki, spoglądał po wypełnionej sali. Gdy wracał na swoje miejsce, znów sypnęły się brawa. Podobał się. Podbijał serca dziewcząt, zdobył sympatię publiczności, był bohaterem dnia.

Szarego wywołano zaraz po nim. Otrzymał drugą nagrodę za czas ogólny oraz dwie pierwsze: za slalom w Suchym Żlebie i zjazd z Gubałówki.

Zakopiańscy zgotowali mu gorącą owację, a wśród kibiców AZS odezwały się głosy: „Za Kasprowy! Za zjazd z Kasprowego!”

Lecz za zjazd z Kasprowego nie było oddzielnej nagrody.

Następne nie budziły już takiego zainteresowania i pod koniec zbyt długiego posiedzenia część publiczności zaczęła się wymykać bocznymi drzwiami.

Szary wodził roztargnionym wzrokiem po rzędach krzesel: od początku szukał Haliny, ale dotychczas nigdzie jej nie dostrzegł. Ujrzał natomiast Dytyńskiego, który szeptem rozprawił

o czymś z kilkoma dziennikarzami, pokazując im fotografie wycyganione od filmowców.

Gdy wreszcie przewodniczący „podsumował”, „podzię-

kował” i „zamknął”, Dytyński precyzyjnie przycisnął się naprzód, chwycił

Szarego za rękaw i wygłosił krótkie expose.

— Przede wszystkim musimy coś przekazać — oświadczył.

— Od rana żyję kanapkami i jakąś straszną herbatą. Zapraszam cię na porządną kolację. Potem będziesz mnie oświecał, jak to było z tobą. Do jutra muszę napisać dla „Sztandaru” sprawozdanie na całą kolumnę.

Szary nie był głodny; raz jeszcze rozejrzał się po sali, która tymczasem pustoszała. Grupki zawodników, trenerów, dziennikarzy stały jeszcze pod ścianami, omawiając



przebieg i wynik zawodów. Nie zobaczył już wśród nich ani Rysiewicza, ani inżyniera Hajduka i jego towarzyszy. Halina nie przyszła...

Nie, to nie! — pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Przypomniał sobie, że Hajduk będzie o dziesiątej w restauracji „Jędrus”. Zrezygnował

już z tego spotkania; odłożył je do jutra, na ostatnią chwilę, żeby spędzić całą wieczór z Halą. Wypadło to jednak niezręcznie, powinien tam pójść, oddać to podanie i życiorys.

Dytyński ujął go pod ramię.

— Chodźmy, bo skonam z głodu. Odkryłem tu w tych górach małą prywatną knajpkę, o której ty naturalnie nic nie wiesz, bo ciebie zawsze interesują tylko sprawy drugorzędne.

Zdzierają tam z człowieka skórę, ale za to porządnie dają jeść.

Jeśli chodzi o te sprawy, jestem za inicjatywą prywatną.

Uspołecznione punkty zbiorowego żywienia jeszcze nie nadążają za ustrojem, podobnie jak literatura piękna.

Gadał bez przerwy prowadząc go do owego przybytku wyszukanej sztuki gastronomicznej, gdzie widocznie był ce-nionym klientem, bo kelnerzy i bufetowa powitali go uprzejmymi uśmiechami.

Zasiadłszy wygodnie, odbył poufną naradę ze starszym kelnerem, po czym na stoliku pojawiła się butelka wina, a za nią kolejno zimne zakąski i dania gorące w takich ilościach, że można by nimi zaspokoić apetyt całej drużyny AZS.

Szary tylko w niewielkim stopniu przyczynił się do ich konsumpcji; za to Gruszka budził szczery podziw całej obsługi pojemnością swego żołądka. W końcu jednak i on miał dość.

— Kawy — sapnął zmęczony.

Podano im kawę, a po chwili kelner przyniósł jeszcze dwie ogromne porcje kremu z biszkoptami, postawił je na stole i odstąpiwszy parę kroków w tył, obserwował, co z tego wyniknie.

Eksperyment okazał się chybiony; Dytyński siedział z przymkniętymi powiekami, nie reagując na ten ostatni zabieg.

Dopiero po chwili mruknął z odcieniem żalu: .— Teraz! Gdybym wiedział, że mają ten krem...

Westchnął, wypił tylko parę łyków kawy.

— Spróbuj — powiedział cło Szarego. — Świetny krem. Ja na razie nie mogę, ale ty nic nie jadłeś.

Bolek dał się przekonać. Krem istotnie był doskonały.

Gruszka ożywił się znowu, zaczął wypytywać o szczegóły na trasie, robił notatki.

Szary odpowiadał krótko, rzeczowo. Starał się podkreślać zasługi całego zespołu.

Dytyńskiego to niecierpliwiło.

—Nie bądź taki skromny. Gdyby nie ty, nie zajęlibyście nigdy pierwszego miejsca! Tyle, to i ja wiem. Musnę z ciebie zrobić pozytywnego bohatera — oświadczył zamykając zeszyt. — „Szeroka publiczność” nic nie rozumie. Dla niej najważniejszy był Rysiewicz.

—Miał najlepszy czas — mruknął Szary.

—Nie udawaj; wiesz dlaczego. Tylko widzowie w tym się nie orientują.

Nalał sobie drugą filiżankę kawy i ku zdumieniu Szarego zabrał się jednak do kremu.

—Było ich chyba ze dwadzieścia tysięcy — powiedział, oblizując łyżeczkę. — Nie licząc mamek, strażaków i milicjantów.

—Mamek? — zdziwił się Szary. — Dlaczego mamek?

—Nie zależy mi na mamkach — odrzekł Gruszka wymijająco. — I lak nie przeczytają mojego felietonu w „Sztan-darze Młodych”. Zresztą, tak mi się powiedziało. Osobiście nie mam nic przeciw mamkom...

Skinął na kelnera, zapłacił rachunek.

— Idę pracować — rzekł stanowczo. — Wpadnę do ciebie jutro rano.

Wyszli na ulicę i rozstali się przed hotelem. Szary pomyślał, że mógłby po drodze wstąpić do „Jędrusia”. Dochodziła jedenasta.

Inżynier Hajduk zapewne był tam jeszcze.

Zdecydował się i wszedł. Sala na dole nie była przepełniona, w bufecie zaledwie kilka osób, ale nikogo ze znajomych.

Za to w kawiarni na piętrze panował ścisk.

Szary stał w progu i rozglądał się, trochę zniechęcony. Wtem zaczęła grać orkiestra. Połowa obecnych pośpieszyła na parkiet.

Ciasno stłoczone pary potraçały się, dreptały w miejscu. Było gorąco i duszno.

Zlustrował kolejno wszystkie stoliki, zajrzał do bocznych zakamarków.

Poszli już — pomyślał. — Spóźniłem się całą godzinę.

Chciał już zawrócić, gdy zobaczył Halinę. Tańczyła z Rysiewiczem, który szeptał jej coś do ucha. Uśmiechała się, spoglądała na niego czasem spod ciemnych rzęs, przechylając lekko na bok głowę.

Szaremu krew uderzyła do twarzy. Więc dlatego nie przyszła!

Stał nie mogąc oderwać wzroku od tej pary. Wtem Halina dostrzegła go również. Zmarszczyła brwi, zmieszała się, ciemny rumieniec objął jej policzki. Nagle wyswobodziła się z ramion Rysiewicza, zostawiając go na środku parkietu, precyzyjnie się między

stolikami, podeszła do Bolka.

—Nie mogłam tam przyjść. Gniewasz się?

—Och, nie chciałaś, to trudno — odrzekł.

—Chodź do naszego stolika. Wytłumaczę ci — powiedziała tonem prośby.

Szary potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. Wesołej zabawy — mruknął.

Odwrócił się i wyszedł,

Rozdział trzeci

Od czasu gdy Szary zaczął pracować w Szybowcowych Zakładach Doświadczalnych, upłynęło cztery miesiące. W

czerwcu na wniosek kierownika działu drzewnego, Leona Finsego, zosłał brygadzystą.

Gdy stary Finse przyszedł z tą sprawą do Hajduka, inżynier uśmiechnął się triumfująco.

—Mówiłem wam, że będziecie z niego zadowoleni. A tak wydziwialiście z początku!

—Kto? Ja? — spytał Finse, udając, że jest bardzo zajęty rozpalaniem wygasłej fajeczki.

— Ja tylko chciałem, żeby zaczął od początku. Na dobre mu wyszło. A jak mam powiedzieć prawdę, to i teraz powiem: albo pilot, albo majster. Sami najlepiej wiecie.

To zdanie odnosiło się do ucieczki kilku młodych pracowników działu drzewnego, którzy wyszkolili się na pilotów i następnie porzucili pracę w zakładach, wybrawszy bądź służbę zawodową w lotnictwie wojskowym, bądź też zatrudnienie w szkołach i aeroklubach.

Hajduk wiedział, że kierownik działu nie może przeboleć tej ich dezercji.

—No dobrze — odparł. — A inni? Policzcie, ilu mamy pilotów wśród naszych inżynierów i techników. Choćby ja sam. Dziewięć lat pracujemy razem, panie Leonie.

—Wy! Wy to co innego. A ilu młodziaków poszło, jak się nauczyli latać? Szary już umie i jeszcze go uczycie... —dodał z wyrzutem. — Pilotów jest dosyć, a dobrego stolarza trudno znaleźć.

W kilka dni później Hajduk powtórzył tę rozmowę Szaremu.

—Finse cię lubi. Boi się, żebyś mu w przyszłości nie uciekł

— powiedział, nie bez ukrytej myśli, aby wybadać, co Bolek o tym sądzi.

—Skąd? Z zakładów? — spytał Szary. — Chyba żebyście mnie wylali.

Myślał tak naprawdę. Czuł się tu coraz lepiej i coraz pewniej, choć pierwsze zetknięcie z kierownikiem działu drzewnego trochę go zmroziło;

Finse istotnie z początku odniósł się do niego bez najmniejszego zaufania. Błyskał małymi wyblakłymi oczami o zaczerwienionych, przekrwionych białkach, odczytując w

biurze kadr jego świadectwa szkolne i opinie z pracy, przygryzał siwe, pożółkłe od tytoniowego dymu wąsy, wzruszał ramionami i mruczał pod nosem. Potem krótko oświadczył, że co narty, to nie szybowce i żeby Szary nie liczył na to, że od razu pójdzie na montaż.

— Papierki dla mnie tyle znaczą! — powiedział

wypuszczając kłąb dymu ze starej, przepalonej fajki z mosiężną przykrywką. — Zobaczmy, co ty umiesz, pędzlu.

Mówił per ty nie tylko wszystkim podwładnym w swym dziale, ale także młodszym inżynierom, pilotom i nawet niektórym konstruktorom. Robił wyjątek od tej zasady dla Hajduka i paru starszych urzędników dyrekcji, z którymi rzadko miewał do czynienia.

Był chudy, kościsty, przygarbiony; na śniadych, trochę zapadniętych policzkach srebrzył mu się ostry zarost, który tylko dwa razy w tygodniu znikał pod działaniem brzytwy. Na głowie nosił okrągłą czarną myckę, spod której wymykały się rzadkie kępki siwych włosów. Zrządził, bardziej z przyzwyczajenia niż z istotnych powodów, ale można się było wiele nauczyć pod jego kierunkiem.

Kiedy Szary oddał mu pierwszą wykonaną przez siebie robotę, fragment drewnianej konstrukcji do wahadłowego beczkowozu na benzynę, Finse długo w milczeniu oglądał z mocowania beleczek, osi, klocków i klinów, a potem porównał je z rysunkiem i pykając wygasłą fajkę odszedł, rzuciwszy mu przenikliwe spojrzenie.

Bolek nie wiedział, co o tym sądzić. Był zupełnie pewien, że nie popełnił żadnego błędu. Drewniana wywrotka wymagała dość precyzyjnego spasowania, lecz poza tym nie była skomplikowana.

Zrobił ją bardzo starannie i dokładnie, tak jak to wskazywały rysunki. Na wszelki wypadek raz jeszcze sprawdził wymiary; wszystko się zgadzało.

Finse zostawił go w niepewności przez cały kwadrans.

Wreszcie powrócił z majstrem i kilku młodszymi rzemieślnikami.

Stanął obok stołu warsztatowego, tyłem do Bolka, jakby go nie widział.

— Obejrzyjcie se to — wskazał na wywrotkę.

Zapalił fajkę, przysiadł bokiem na stole, kiwając nogą.

Spojrzał przez ramię na Szarego i zwracając się z powrotem do tamtych powiedział:

— Tak się powinno robić! Obejrzyjcie se dobrze.

Nazajutrz Szary zaczął pracować przy Jaskółkach, a Finse pozornie przestał się nim interesować, powierzwszy tę sprawę brygadziście Ziębickiemu.

Alojzy Ziębicki, przystojny, trzydziestoletni mężczyzna, był

sprytny, uprzejmy i wesoły. Lubił wypić, zwłaszcza w sobotę po wypłacie, i z początku trochę narzucał się Szaremu z zaproszeniami do kompanii, ale stwierdziwszy, że chłopak

nić ma zamiłowania do kieliszka, dał temu spokój. Traktował go nadal przyjaźnie, dając do zrozumienia, że wie, iż Szary tylko na okres próbny pracuje u niego i wkrótce sam zostanie brygadzystą. Wiedział także o pewnej zażyłości Szarego z inżynierem Hajdukiem, co jeszcze bardziej przyczyniało się do względów, jakimi darzył zdolnego pracownika.

Mieszkał z żoną i szwagierką u teściowej, Marceliny Czubrytowej, która po śmierci męża nadal sama prowadziła małe gospodarstwo ogrodnicze.

Inspekty i szklarnie były tam zaniedbane, brakowało w nich szyb, ogród warzywny zarastał zielskiem, niemrawy, przygłupi parobek przeważnie wylegiwał się na słońcu, a żadna z córek nie okazywała zamiłowania do pracy fizycznej i nie chciała pomagać matce.

Józia Ziębicka, pretensjonalna, pulchna blondyna, czytywała sentymentalne romanse i sensacyjne powieści, które kupowała lub wypożyczała „na ciuchach”, oraz prowadziła dom, przyjmując znajomych i przyjaciół Alojzego. Jej młodsza siostra, Stefcia, pracowała w biurze kadr Zakładów Szybowcowych, gdzie zresztą nie cieszyła się najlepszą opinią.

Szary poznał najpierw Stefcię, a później, zaproszony przez Ziębickiego, również resztę jego rodziny, ale jakoś się z nimi nie zbliżył, mimo zachęcających spojrzeń szwagierki, przychylnych uśmiechów żony i żywiołowej gościnności teściowej swego brygadzysty. Wszystko to wydało mu się zbyt obcesowe, a obfitość alkoholu w domu Ziębickiego odstraszyła go od częstych odwiedzin.

Finse dopiero w parę dni po przydzieleniu Szarego do produkcji Jaskółek zajrzała na jego stanowisko.

— Co robisz? — spytał, spoglądając na zamocowany dźwigar.

Szary pokazał mu zaczęta robotę, ale kierownik działu tylko pobieżnie rzucił okiem na wstawione i przygotowane do sklejenia żebra. Przez chwilę świdrował go wzrokiem, a potem znów zapytał:

—Z Zakopanego jesteś? Może syn Stanisława?

—Tak — odrzekł Szary. — Pan znał mojego ojca?

—Aha — mruknął Finse. — To był majster! Teraz takich nie ma. Ale on miał jedno w głowie: fach, sztukę. A ty co?

Tylko byś latał. To samo, co z nartami.

—Latam, jak mam czas — powiedział Szary. — Po robocie.

Finse w milczeniu skinął głową, jakby mu przyznawał rację wbrew poprzednim zarzutom.

— Kto cię tam wie — mruknął. — Już tu byli tacy.

Bolek nie bardzo rozumiał, o co mu chodzi, ale czuł, że stary jest z niego zadowolony i że go lubi.

W południe do głównej hali działu drzewnego przychodziło kilka kobiet przynosząc

obiad dla tych, którzy nie jadali w stołówce. Kierownik posilał się w przestronnym kantorku, wzniesionym nieco nad poziom podłogi. Trochę go krępowało, że jego żona sama nosi menażki i garnuszki w koszyku, lecz nie chciała, żeby ją w tym ktokolwiek wyręczał.

Przychodziła zawsze bardzo punktualnie, w parę minut po sygnale na przerwę, kiedy hala była prawie pusta. Nakrywała biurowy stół czystą serwetką, ustawiała talerze, krajała chleb, wyjmowała naczynia owinięte Wełnianym szalem dla utrzymania ciepła, nalewała zupę.

Finse siadał i jadł w milczeniu, słuchając, o czym mówiła cichym, łagodnym głosem. Były to zwykłe, codzienne sprawy, drobne kłopoty gospodarskie, czasem list od córki, której mąż pracował we Wrocławiu.

AJówiąc, robiła na drutach, które to zajęcie wypełniało wszystkie jej wolne chwile. Robiła swetry i szaliki dla męża oraz ciepłą bieliznę dla siebie, a także różne drobiazgi dla córki, dla wnuka, dla dalszych krewnych i ich dzieci.

Finsemu wydawało się czasem, że Micia siedzi tak naprzeciw niego bez przerwy od lat trzydziestu. Tak ją sobie zawsze wyobrażał, ilekroć o niej myślał: nawet wówczas, gdy w czasie okupacji przebywał w niemieckim obozie koncentracyjnym; Ten obraz wzruszał go, dopóki nie stawał się rzeczywistością na okres dłuższy niż godzina, podczas urlopów i wczasów; wtedy bowiem zaczynał go niecierpliwic i drażnic, zanim jeszcze urlop dobiegał końca.

Nigdy się nie sprzecali. Finse był przekonany, że okazał się dobrym mężem i ojcem, jakkolwiek przez całe życie bardzo niewiele przebywał w domu, cały swój czas poświęcając pracy zawodowej. Owocem tej jego pracowitości była niewielka podmiejska parcela, na której pobudował coś pośredniego między wiejską chatą a małą drewnianą willą o trzech izbach i facjatce na strychu.

Co się tyczy Michaliny, to wydawała się zadowolona ze swego pożycia małżeńskiego. Z pewnością w ciągu tych lat trzydziestu nigdy dwa razy nie spojrzała na żadnego innego mężczyznę. Lecz teraz, gdy wydała jedyną córkę za mąż i gdy podmiejski domek wskutek tego opustoszał na stałe, nawet ustawiczna robota na drutach nie wypełniała jej nadmiaru wolnego czasu.

Szary często widywał Michalinę, gdy w drodze powrotnej przechodziła obok jego stanowiska. Pozdrawiał ją zawsze z daleka, gdy tylko dostrzegł zażywną postać Finsowej, a kilka razy zdarzyło się, że oddał jej jakąś drobną usługę.

Zapewne wszystkie te okoliczności złożyły się na propozycję, wyrażoną w jakiś czas później przez Finsego, aby zamieszkał u nich.

Zanim to nastąpiło, kierownik działła odwiedził Szarego w jego tymczasowym mieszkaniu. Był to obszerny pusty pokój o trzech łózkach i trzech małych szafkach na ubrania, położony nad garażem. Szary dzielił go z młodym praktykantem, przybyłym tu z jakiejś szkoły technicznej na okres wakacyjny, i ze świeżo przyjętym księgowym, Huberą.

To po spartańsku urządzone pomieszczenie miało tylko jedną dobrą stronę, że znajdowało się na terenie zakładów; lecz Bolek czuł się w nim obco. Obiecywano wprawdzie, że w przyszłości otrzyma pokój w budynku mieszkalnym, ale ten budynek na razie był przepełniony;

W tych warunkach propozycja Finsego wydała się Szaremu niezwykłym uśmiechem losu.

— Tylko miałbyś dosyć daleko — zastrzegł się stary. — Wiesz, gdzie mieszkają Ziębiczcy? To jest zaraz za ogrodem Czubrytowej. Dobrze pół godziny stąd.

Bolek był tak ucieszony, że najchętniej uściskałby starego w obecności Hubery, który z kwaśną miną przysłuchiwał się ich rozmowie, leżąc w ubraniu na rozgrzebanym łóżku i paląc papierosa.

Odpowiedział, że taka odległość nie ma żadnego znaczenia.

— Tym bardziej — dodał — że od przyszłego tygodnia będę miał motocykl. Dostałem już przydział; będziemy mogli razem jeździć do pracy.

— Co to, to nie! — roześmiał się Finse; — Jeszcze mi życie miłe.

— A może i dla mnie mielibyście mieszkanie? — wtrącił się księgowy,

Finse spojrzał na niego spode łba, a potem ogarnął wzrokiem zaśmieconą podłogę, walające się części brudnej bielizny, półotwartą walizkę wyzierającą spod jego łóżka i dwie pary zabłoconych butów.

— Bardzo żałuję — mruknął, — Mamy tylko jeden wolny pokój

Szary przeprowadził się do Finsów po powrocie z Katowic, dokąd pojechał po odbiór motocykla. Włożył w tę inwestycję znaczną część premii otrzymanej za Szagi. Był także w Krakowie, żeby zobaczyć się z siostrą, i w Zakopanem, aby przeprowadzić inspekcję swego „gołębnika”, który na czas nieograniczony odstąpił Ustupskiemu.

Zastał tam wszystko w porządku, wybrał trochę potrzebnych rzeczy, kilka książek, zapakował je w skrzynkę i wysłał do Bielska. Zapowiedział, że prawdopodobnie wkrótce zabierze także meble, jeżeli osiedli się w Bielsku na stałe.

Ustupski nie ukrywał, że mu to dogadza; — Mam trochę swoich gratów — oświadczył. — A jak tu będziesz przyjeżdżał, to zawsze masz u mnie mieszkanie.

Pokój, zajmowany niegdyś przez pannę Finse, miał oddzielne wejście, wprost z sieni, i okno wychodzące na ogród. Po przeciwnej stronie znajdowała się ogromna kuchnia i drugi pokój, frontowy, gdzie we wnęce stało solidne małżeńskie łóżko, a pod ścianami i pośrodku równie solidny garnitur salonowy obity ciemnozielonym pluszem. Facjatka służyła za podręczny warsztacik domowy, a także za przechowalnię jabłek, które pani Michalina jesienią troskliwie układała na szerokich półkach, sięgających od podłogi aż do sufitu.

Nie było wprawdzie łazienki, ale na końcu sadu, przy granicy z ogrodniczym gospodarstwem teściowej Ziębickiego, stał

oddzielny mały budynek z prysznicem.

W całym domu panowała wzorowa czystość i porządek; widocznie zamiłowania gospodyni i Szarego zgadzały się pod tym względem znakomicie.

Finsowie nie narzucali się Szaremu; pozostawiono mu zupełną swobodę w wyborze towarzystwa i sposobie spędzania czasu w domu. Stary majster nie należał do gatunku zgryźliwych moralistów; przeciwnie, lubił, gdy młodzi żale-cali się do dziewcząt. Wydawało mu się to naturalne i słuszne.

Brał w obronę nawet Stefcie, szwagierkę Ziębickiego, choć nie lubił tych sąsiadów, podejrzewając ich o zrywanie dojrzewających jabłek w jego ogrodzie.

— Ładna dziewczyna, więc suchej nitki na niej nie zostawią.

Nic dziwnego: tylu chłopców za nos wodzi, to innym pannom zazdrość.

Dziwiło go trochę, że Szary dotąd nie „chodzi” z żadną dziewczyną. Podejrzewał, że się z tym kryje, i próbował

rozproszyć jego domniemaną nieufność.

— Żyjesz jak pustelnik — zagadnął go kiedyś. — Zakonnikiem chcesz zostać, czy co? Ja w twoim wieku latałem za spódniczkami, a ty byś tylko na szybowcach i na Zlinie... Dziewuchy zęby do niego szczerzą, a on nic! Tego cię uczył nie będę!

Szary się roześmiał.

— Obejdzie się. Dam sobie radę i bez was, zobaczycie!

Na razie jednak poprzestawał na tej pogróżce.

Pani Michalina dbała o niego na swój sposób. Zaczęło się od tego, że wymogła, aby jadał śniadania w domu. Ponieważ uważał, że za mało mu liczy za te posiłki, wywdzięczał się jej rąbaniem drewna, noszeniem węgla i pomocą w sadzie.

Zastawszy go raz na przyszywaniu guzika, zażądała, żeby jej oddał do naprawy całą swoją bieliznę, a gdy zjawił się z pół

tuzinem koszul, zapytała o skarpety.

— Na pewno są dziurawe. Niech no Bolek dobrze poszuka i zaraz mi je przyniesie.

Uczył to, po czym skoczył na górę po narzędzia i poszedł

na koniec sadu naprawiać płot, w którym brakowało kilku sztachet.

Przy tej robocie zastała go Stefcia Czubrytówna. Zapewne dostrzegła go z okna, bo zjawiła się od strony domu, udając niezwykle zainteresowanie rozwojem groszku cukrowego, który dojrzewał akurat na ostatniej grządce graniczącej z sadem Finsów.

Szary, zajęty struganiem kołków, nie zauważył jej nadejścia.

Dopiero kiedy zatrzymała się tuż przy nim, odwrócił głowę.



— Dobry wieczór — powiedziała, opierając się łokciami na poziomej żerdzi i patrząc na niego z góry ponad płotem. — Przede mną się pan tak odgradza? Boi się pan, żebym pana nie ugryzła?

'— Tu o mnie nie chodzi — odrzekł prostując się.

Spojrzał na zawiązki owoców, a potem na nią. Roześmieli się oboje.

— Strasznie lubię jabłka — przyznała się Stefcia. — O, te są najlepsze — wskazała rozłożystą jabłoń. — U nas takich nie ma.

— Trudno: przełazić przez płot to za duże ryzyko, trzeba będzie w tym roku uśmiechnąć się ładnie do pani Michaliny.

— A nie wystarczy do pana?

—Gdyby to był mój sad, może by wystarczyło.

—Ojej, jaki skrupulatny! Nigdy pan nie zrywał jabłek w cudzym sadzie?

Szary z udanym zakłopotaniem pocierał dłonią policzek.

— No, widzi pan! A już się bałam, że z pana taki nudziarz, co go nie można skusić.

Usta jej się śmiały, błyskały drobne lśniące zęby, włosy rozwiewane wiatrem łaskotały różowe policzki.

Naprawdę jest ładna — pomyślał Szary.

Zbliżył się do płotu, żeby przymierzyć zaostrzony kołek, lecz spotkał jej wzrok i mimo woli zapatrzył się w jasne zielonożółte oczy, które mrużyła przed wiatrem. Wtem z daleka rozległ się głos Ziębickiej.

— Stefa! Steee-fa!

Dziewczyna chwyciła go za rękę, kładąc palec na ustach.

— Niech mnie pan nie zdradzi.

Prześliznęła się przez otwór w płocie, pociągnęła Szarego za sobą; przycupnęli razem za gęstym, szeroko rozrosłym krzakiem porzeczek.

—Ciicho! — szepnęła mu do ucha, powstrzymując śmiech, —Steefa! — rozległo się bliżej.

Patrzyli oboje wskroś gęstwiny liści i pędów, dotykając się ramionami. Józia w niebieskim szlafroku minęła ich o parę kroków po drugiej stronie ogrodzenia, zatrzymała się na chwilę, odeszła w głąb ogrodu.

— O co chodzi? — spytał Bolek szeptem.

—O mycie naczyń! — westchnęła Stefcia. — Nie cierpię tego, a dziś moja kolej.

—A to ładnie tak się wykręcać?

—Jakbym słyszała mamę, słowo daję! Niech no mi pan pomoże wstać. Nogi mi

ścierpły.

Podał jej obie ręce, a potem musiał ją podtrzymać, bo omal nie upadła z powodu owego ścierpięcia nóg. Zaprowadził ją do pniaka sterczącego opodal, podścielił na nim swoją skórzaną kurtkę.

~ Zmarzniesz, chłopcze — powiedziała.

—Rozgrzeję się przy robocie. Muszę to skończyć.

—A którądy ja wrócę?

—Naokoło. Odprowadzę panią:

Zabrał się do przybijania pozostałych paru kołków. Stefcia patrzyła, jak to robi zręcznie i szybko.

— Bolek...

~ Słucham,

— Ech, nic — rozmyśliła się jakby. Ale po chwili zagadnęła znowu:

—Dlaczego pan teraz nigdy do nas nie zagląda? Alek pana tak lubi... I mama także.

—Rylem trochę zajęty. Wyjeżdżałem.

—Aha, po motocykl. Mógłby mnie pan czasem przewieźć, choćby z biura do domu.

—Kiedy pani prawie zawsze wcześniej wraca niż ja. A znów do pracy przychodzi pani o godzinę później, więc...

—Pani, pani... Właściwie moglibyśmy mówić sobie po imieniu.

—Naturalnie — odrzekł wbijając ostatni gwóźdź. — Jak chcesz, to możemy pojechać w niedzielę do Wisły.

—Doskonale! — ucieszyła się. — Nigdy tam nie byłam, choć to przecież nie tak daleko.

Szary zebrał narzędzia.

—No, chodźmy. Tam jest ładny basen pływacki — dodał

myśląc o Wiśle. — Umiesz pływać?

—Trochę. Ale jakbym tonęła, to będziesz mnie ratował? —wdzięczyła się idąc obok niego.

—A pewnie: za włosy i na brzeg! Szkoda by cię było na topielicę.

Trochę ją gniewał ten jego swobodny, koleżeński, nieco ironiczny ton. Mógłby się przecież zdobyć na inny, bardziej sentymentalny! Ale pomyślała, że lepiej nie dąsać się za to. Pewnie się z czasem zmieni. Zresztą podobał się jej taki, jaki był. Podobał

się jej od początku, od pierwszego spojrzenia. Może gdyby sam zaczął ubiegać się o jej względy, jak to się zdarzało wielu innym, już by go miała dość. A tak...

Z początku podejrzewała, że jest zarozumiała; później uznała, że musi być nieśmiały, więc postanowiła go „oswoić”. Ale zbywał

żartami zaczepki, a co gorsza traktował ją zupełnie tak samo jak inne dziewczęta z zakładów, które zresztą też robiły do niego słodkie oczy.

Drażniło ją to. Przez jakiś czas udawała, że w ogóle go nie dostrzega, lecz taka metoda do niczego nie pro-, wadziła. Trzeba było działać, a okoliczności po temu zdawały się sprzyjać zgoła nadzwyczajnie: Szary zamieszkał tuż obok, u Finsego! Cóż, kiedy bardzo rzadko widywała go w ogrodzie, i to zwykle w towarzystwie pani Michaliny.

Posunęła się tak daleko, że parę razy, odprawivszy chłopców, którzy zwykle jej towarzyszyli w drodze do domu, czatowała na niego po wyjściu z biura, w deszcz, kiedy wiedziała, że nie zostanie, aby latać z inżynierem Hajdukiem, jak to zwykle czynił w dni pogodne. Ale on, jak na złość, jechał wtedy do miasta inną drogą. Doprawdy można było popłakać się ze złości na tego nicponia! Chwilami po prostu go nienawidziła.

I oto dziś, przy tej pierwszej sposobności, cała sprawa z Szarym od razu ułożyła się w sposób naturalny i miły: zaprosił ją na wycieczkę, bez żalu poświęcając na ten cel niedzielę, jedyny dzień w tygodniu przeznaczony na loty szybowcowe.

Stefcia wysnuła stąd prosty wniosek, że w uczuciach Szarego nie tylko wytrzymał konkurencję z Jaskółką i Zlinem, lecz nawet ma szanse zdobycia znacznej nad nimi przewagi. W każdym razie pierwszy krok został zrobiony.

Tymczasem w zapadającym mroku doszli oboje do tylnych drzwi sieni. Szary wszedł tam na chwilę, aby zostawić narzędzia. Położył je pod ścianą na ławce obok motocykla i wrócił. Stefcia zaglądała do okna jego pokoju.

— Tu mieszkasz?

Skinął głową.

—Tutaj. Mam ładny pokój, tylko teraz ciemno; nic nie widać.

—Zaprosisz mnie kiedyś za dnia, to zobaczę.

Na razie pominął tę uwagę milczeniem. Dopiero gdy wyszli za furtkę, wspomniał, że chciałby sprowadzić z Zakopanego meble i urządzić się inaczej.

— Jeżeli Finse się zgodzi — dodał. — A potem zaprosiłbym kilka osób, i ciebie naturalnie, żeby to oblać. Nie będę wymagał, żebyś mi pomagała zmywać naczynia — uśmiechnął się.

Szli wolno pod górę ciemną, szeroką drogą między oparkanionymi parcelami i placami, z których wiele było nie zabudowanych. Potem skręcili w boczną alejkę z zaniedbanymi żywopłotami po obu stronach. Stefcia opowiadała o jakichś plotkach biurowych, lecz wkrótce umilkła.

Szary poczuł jej rękę wsuwającą mu się pod ramię.

—Zimno? — spytał,

—Trochę.

Zdjął kurtkę i okrył dziewczynę. W jakiś niewytłumaczony sposób ramię jego po tym zabiegu pozostało za jej plecami obejmując ją w pól. Szli blisko siebie, nic nie mówiąc, aż do bramy wjazdowej przed domem Czubrytowej. Tam Szary się zatrzymał.

— Dobranoc, Stefcu.

Zobaczył w ciemności błysk jej uśmiechu. Odrzuciła w tył

głowę i patrzyła na niego zmrużonymi oczyma. Poczł ciepło jej oddechu. Pochylił się i pocałował ją. Potem odwrócił się i prędko zaczął iść wzdłuż parkanu. Trochę mu się kręciło w głowie od tego pocałunku,

— Twoja kurtka, Bolek!

— A, prawda — bąknął i zatrzymał się; Gdy wrócił, żeby ją odebrać, raz jeszcze powiedzieli sobie dobranoc. To powtórne pożegnanie trwało jednak znacznie dłużej niż pierwsze.

Kiedy Szary zaczął pracować w Szybowcowych Zakładach Doświadczalnych, inżynier Hajduk, w porozumieniu z kierownikiem miejscowego aeroklubu, sam zajął się jego dalszym treningiem szybowcowym, a także doskonaleniem w pilotażu silnikowym.

Od razu stwierdził, że ma do czynienia z utalentowanym pilotem o gorącym sercu, spokojnym, dociekliwym umyśle i pewnej ręce. Szary latał „z głową na karku”: wiedział co, dlaczego i jak; jeśli zaś nie był czegoś pewien, pytał i nie zadowolwał się byle jaką odpowiedzią, póki nie zrozumiał dokładnie, na czym dana sprawa polega.

W ciągu kilku miesięcy całkowicie opanował podstawową i wyższą akrobację na samolocie i wytrwale przerabiał ją na Jastrzębiu, aż doszedł do takiej wprawy, jaką osiągają tylko oblatywacze lub nieliczni amatorzy-specjaliści. W aeroklubie, zarówno wśród jego członków, jak instruktorów ten uporczywy trening i coraz efektywniejsze wiązanki \* wywoływały bądź szczerzy podziw, bądź też zawiść pokrywaną drwiącymi uwagami. „Cyrk —mawiał kierownik wyszkolenia, wzruszając ramionami. — Po diabła mu to potrzebne?”

Nawet Finse zaniepokoił się tą sprawą.

— Cóż to, pędzlu jeden, na oblatywacza się kształcisz?

Już ci się u mnie sprzykrzyło? — dopytywał się, gdy Szary wracał po tych ćwiczeniach do domu.

Bolek się uśmiechał.

— Zazdrość wam?

Potem tłumaczył, dlaczego to robi:

— Muszę się czuć w powietrzu tak samo pewnie jak na ziemi; muszę tak opanować latanie, żeby mnie nic nie mogło zaskoczyć...

— Na ziemi nie chodzisz na rękach i nie fikaszkujesz —przerwał mu stary.

To krótkie zdanie uderzyło Szarego swoją trafnością.

— A rzeczywiście — mruknął.

Odtąd zaczął uprawiać zarówno „chodzenie na rękach”, jak „fikanie kozłów” i cały szereg ćwiczeń gimnastycznych na reku.

— Zwariował — orzekł Finse.

Hajduk był innego zdania. Uważał akrobację lotniczą, obok lotów bez widoczności ziemi, za konieczny wstęp do wszelkich wyczynów szybowcowych. Wiedział, co może spotkać pilota w chmurach, w burzach, w trudnych przejściach na falę halnego wiatru, wśród skłębionych rotorów i na piętrach obłoków soczewkowych. Wiedział, jak wiele zależy od błyskawicznej orientacji w chwili, gdy szybowiec porwany prądem znajdzie się

w położeniu odwróconym, w płaskim

korkociągu, lub gdy na oślep wypadnie z grubej warstwy chmur tuż nad ziemię. Nie ma wtedy czasu do namysłu: pilot musi działać natychmiast, w ułamku sekundy, tak jak mu wskaże nawyk zdobyty po długich systematycznych ćwiczeniach; nawyk, który wszedł w krew, stał się nieomal instynktem, niechybnym odruchem nerwowym.

Nawet przyrzędy do ślepego pilotażu zawodzą w lotach chmurowych i na dużych wysokościach: zamarzają prędko-

ściomierze, wyczerpują się baterijki zakrętomierzy, busola przestaje wskazywać kierunek podczas burzy magnetycznej.

Dlatego pilot musi nauczyć się latać na ślepo, bez ich pomocy.

To ostatnie zadanie z początku wydawało się Szaremu nie do spełnienia. Po kilku minutach lotu w gęstej, mlecznej pianie obłoku, wśród rozproszonego światła bez cieni, tracił orientację: gdyby nie wskazania przyrządów, nie wiedziałby, gdzie jest niebo i słońce, a gdzie ziemia; nie umiałby określić nachylenia szybowca w zakręcie, nie potrafiłby wyprowadzić go na określony kurs. Na podstawie wrażeń słuchowych uświadamiał sobie tylko prędkość, określając ją według drgania skrzydeł i natężenia szumu obejmującego kabinę.

—Nie czuję zakrętu — mówił do Hajduka, który siedział za nim w kabinie Bociana. — Nie wiem, czy w ogóle krążymy i w którą stronę. Tego nie można wyczuć.

—A teraz? — pytał inżynier.

—Teraz...

Istotnie, coś się zmieniło: jakaś nowa lub może tylko nieco większa siła odśrodkowa zaczynała działać na zmysł równowagi.

Trwało to parę sekund, ale wystarczyło, aby Szary odczuł wyraźny zakręt w lewo.

—Teraz leżymy w lewym wirażu, czuję!

—No więc! Weź stery.

Minuta... dwie... i znów nic nie wiadomo..; —Nie czujesz?

—Ani trochę.

—Przytrzymaj nogą i daj lekką kontrę lotkami. Szary czyni, co mu kazano i, o dziwo!, wszystkimi nerwami czuje zakręt.

Aha, tu jest cała tajemnica!

Lecz szybowiec traci prędkość: szum pędu więdnie, przygasa.

Trzeba przywrócić poprzednie położenie sterów i drążek trochę w przód!

Szum budzi się znowu, rośnie, tężeje. Ba, skrzydła zaczynają drgać, pęd gwizdże, wyje, spazmuje za osłoną kabiny.

—Za duże wychylenie bocznego steru — mówi Hajduk. I po chwili:

—Tak, teraz dobrze.

No tak, dobrze; ale skąd on to wie? — myśli Szary.

Więc po skończonym ćwiczeniu zaczyna się dyskusja: jak?

Dlaczego ster boczny, nie wysokościowy?

A potem wszystko wydaje się proste i łatwe, póki człowiek nie polecą sam i póki się nie przekona, że mu nie wychodzi...-

— To jest kwestia wprawy — mówi Hajduk. — Musisz poćwiczyć. Dla kontroli włączaj od czasu do czasu zakrętomierz; Szary uczył się tej na pozór prostej sztuki całe dwa tygodnie.

Ale na opanowanie zmiany kierunku krążenia w takich samych okolicznościach wystarczył mu tydzień, a gdy raz pojął, o co chodzi, inne manewry bez pomocy przyrządów w lotach ślepych przychodziły coraz łatwiej.

Za to z busolą zdarzały się czasem kłopotliwe niepo-rozumienia..

Jego doświadczenie pod względem lotów w chmurach było mimo wszystko niewielkie, a to dlatego, że tylko w niedziele mógł

latać od rana, przy rozwijającej się termice; w dni powszednie teoretycznie kończył pracę o godzinie czternastej, lecz w praktyce był wolny dopiero koło szesnastej, gdy prądy wstępujące zaczynały już zamierać. Spiętrzone, wspaniałe obłoki trwały jeszcze na niebie, można było wykręcić pod nimi wysokość, ale wkrótce następował powolny ich rozpad.

Pewnego takiego popołudnia, u schyłku korzystnych warunków, Szary natrafił na wyjątkowo silne noszenie pod jakąś potężnie rozrośniętą białą chmurą, która zdawała się odpoczywać nisko nad głębokim siodłem pomiędzy wzgórzami. Zataczając regularną spiralę na barkach spokojnego prądu, rozejrzał się dokoła i zanim wszedł w szarą, ciemniejszą podstawę obłoku, zauważył w powietrzu, nieco poniżej, inny szybowiec, żeglujący w jego stronę. Nie zdołał już dostrzec, co to za jeden, ponieważ prędkość wznoszenia wzrosła i przy następnym zwoju spirali stracił go z oczu: znalazł się w „mleku”.

Wariometr nadal wskazywał dwa metry, półtora, znów dwa...

Średnica komina była widocznie bardzo duża, bo Jaskółka ani na chwilę nie wymykała się z jego zasięgu. Strzałka wysokościomierza z wolna pełzła w górę, mijała kolejne kreski podziałki, zbliżała się do tysiąca. Potem prąd nieco osłabł i wskazania wariometru ustaliły się przez dłuższą chwilę na półtora metra na sekundę, a wreszcie, poczynając od tysiąca dwustu metrów, zmniejszyły się do pół metra. Jednocześnie Szary zauważył, że mleczna, matowa biel otaczająca kabinę zaczyna rozjaśniać się coraz bardziej. Pomyślał, że Jaskółka lada moment wyjdzie ponad obłok przewierciwszy go na wskroś, i przygotował

się na oślepiającą powódź słonecznego blasku.

Wkrótce nastąpiło to, co przewidywał: nieruchoma mleczna biel z lekka poszarzała jak oksydowane srebro połyskujące matowym odblaskiem, zakłębiła się, zafalowała, zaczęła uciekać w dół, rozwiewać się, ukazując w prześwitach błękit nieba, i nagle pierzchnęła na wszystkie strony. Ostre światło chlusnęło zza pleców Szarego i rozjarzyło się na spiętrzonych kopułach obłoku, co wyrastały jeszcze wyżej przed nim.

Pomyślał, że wewnątrz tej szczytowej części chmury mógłby wykręcić jeszcze paręset metrów i już miał w nią wejść, gdy wtem spośród atlasowych kłębow na wprost niego wyłoniła się ciemna sylwetka szybowca i gwałtownie zaczęła się zbliżać, rosnąc w oczach. Pędziła prosto na spotkanie Jaskółki, łeb w łeb i skrzydło w skrzydło, jakby tamten pilot oślepnął pod wpływem nagłego blasku. Ukazała się tak niespodzianie i tak blisko, że Szary zaskoczony tym spotkaniem omal nie krzyknął. Krótkie, szybko po sobie następujące myśli sypnęły mu się przez głowę jak iskry spięć elektrycznych.

To ten, co był pode mną! Nie, chyba inny! Nie widzi mnie!

Zderzymy się... Zakręcić! Wyminąć!

Na mgnienie oka zawahał się: w prawo czy w lewo? W dół czy w górę?

Pociągnął drążek sterowy ku sobie, aż do oporu nacisnął

lewy pedał, skontrolował lotkę. Jaskółka prysnęła w górę, zwała się w lewo, poszła w korkociąg, zapadła z powrotem w kłębiącą się poniżej białą, gęstą parę, zaczęła drgać od pędu.

Wyprowadzić — pomyślał. — Pode mną są wzgórza...

Wyrównał stery. Szum i świst pędu wzrósł jeszcze, a polem złagodniał, przycichł.

Szary odetchnął. Udało się tym razem!

Spojrzał na wysokościomierz; miał pod sobą tysiąc metrów.

Zaczął się zastanawiać, jak daleko zniósł go wiatr; jego i obłok, w którym teraz, jak sądził, krąży na oślep jeszcze inny szybowiec.

Lecz prawdopodobieństwo znalezienia trafnej odpowiedzi na to pytanie było niewielkie. Wchodząc w chmurę nie troszczył się o tę sprawę i nie pamiętał nawet, na jakiej wysokości rozpoczął lot ślepy; nie umiałby też powiedzieć z całą pewnością, jak długo trwało, zanim się przebił przez obłok i czy wydostał się tam w górze bliżej jego zawietrznej, czy też nawietrznej strony. Potem to spotkanie, omal nie zderzenie i korkociąg...

W jakim kierunku wyprowadził? Czy to było półtorej zwitki, czy więcej? Czy minął już łańcuch wzgórz, czy też znajduje się nad ich szczytami?

Rozmyślał o tym siedząc w kabinie jakby odciętej od świata, pogrążonej w



jednostajnej, nieprzeniknionej bieli, i nasłuchując z niepokojem, czy gdzieś w pobliżu nie rozlegnie się charakterystyczny poszum skrzydeł tamtego szybowca. Wtem usłyszał go! Nie wiedział: z lewej strony czy z prawej? Lecz to trwało tylko sekundę i ucichło.

— Tak jakby nas minął w zakręcie — zwierzył się Jaskółce.

Postanowił zejść niżej, lecz w tej samej chwili szum przemknął obok niego znowu tuż, blisko! Szary miał wrażenie, że tym razem minęli się o metr... Tamten przeleciał albo nad nim, albo pod nim, jakby krążył w tę samą stronę, tylko z większą prędkością.

W końcu się z nim zderzę — pomyślał z bijącym sercem. — Odejść, póki czas, na prawo w dół!

Przełożył stery i ledwie to uczynił, zanim jeszcze zdążył

sięgnąć ręką do dźwigni, aby otworzyć hamulec, usłyszał głośne, żalosne buczenie, które jednak tym razem nie umilkło, lecz trwało nadal, przeciągłe, coraz wyraźniejsze, towarzyszące mu w głębokim wirażu, jakby całe wnętrze obłoku wydawało ten dziwny, niepokojący odgłos.

Nie mógł tego pojąć, dopóki nie dotknął rękojeści sterującej napędami hamulców. Gdy ją wreszcie namacał dłonią, poczuł, że dźwignia drga lekko, jakby obluźwana w swoich łożyskach, i nagle zrozumiał: hamulce są nie domknięte!

Zamiast otworzyć, zamknął je do końca i buczenie natychmiast ustało.

— Niech cię licho! — roześmiał się na głos. — A ja myślałem...

Zawstydził się swego zdenerwowania.

Popisałem się! — pomyślał.

Spojrzał na przyrządy. Wariometr wahał się w pobliżu zera, wysokościomierz

wskazywał

dziewięćset

metrów,

prędkościomierz około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Busola wykręcała w lewo, zapewne wskutek inercji.

Tak czy owak, należało wreszcie wyjść z chmury; niebezpieczeństwo starcia z szybowcem, który mógł jeszcze krążyć gdzieś wyżej, bynajmniej nie minęło, jakkolwiek nie było tak groźne, jak to się mogło wydawać przed chwilą.

Lecz Szary nie chciał ryzykować zejścia w dół. Nadal nie wiedział, gdzie się teraz

znajduje i czy podstawa obłoku nie sięga szczytów najwyższych wzgórz. Gdyby tak było, zejście pionowe groziło zderzeniem z niewidoczną ziemią. Postanowił zatem na bezpiecznej wysokości wydostać się z tej pułapki lotem ślizgowym w kierunku lotniska.

Tu jednak natrafił na nową trudność: busola w żaden sposób nie chciała się ustatkować. Przy najmniejszej zmianie prędkości kręciła głową, wskazując północ raz w prawo, raz w lewo, jakby ogarnęły ją wątpliwości, czy biegun magnetyczny nie zmienił

swego położenia. W zakręcie natomiast była tępa jak koło osadzone na zardzewiałej osi: gdy Szary próbował poprawić kurs, na który się po dłuższej chwili zdecydowała, tkwiła nieruchomo w miejscu, nie reagując wcale, aż nagle, nie wiadomo dlaczego ruszała ocię-

żale i toczyła się o kilkadziesiąt stopni, aby wskazać zachód tam, gdzie poprzednio miało być południe, lub na odwrót.

Wskutek tych jej niemrawych kaprysów, a może zwykłych oszustw, szybowiec przez dłuższy czas błąkał się na oślep w białej wacie, nie znajdując z niej wyjścia, aż wreszcie Szary zaczął

podejrzewać, że kręci się w kółko lub że cumulus przeistoczył się w chmurę warstwową, która się rozciąga do nieskończoności.

Tymczasem wznoszenie ustało zupełnie i strzałka wariometru opadła poniżej zera. Szarego znów zaczął ogarniać niepokój. Co będzie, jeżeli nie dociągnie do lotniska? Jeżeli zbłądzi? Jeżeli ta głupia chmura obniżyła się aż do ziemi?

Wtem wprost przed sobą zobaczył wąski promień słońca przedzierający się przez jakąś lukę wśród postrzępionych kłaków pary. Zwiększył prędkość i nagle wypadł z białych tumanów na wolną, rozległą przestrzeń.

Natychmiast spojrzał w dół. Dokoła ciemniały lasy spływające po łagodnych stokach, w dolinach między nimi sunęły wolno zielone i płowe prostokąty pól, na prawo czerwieniły się dachy domów, tor kolejowy błyskał wypolerowanymi szynami, popielata od kurzu szosa zakręcała między dwoma rzędami drzew, a za nią leżało lotnisko.

Aleksandrowice — pomyślał zdziwiony. — Tak blisko?

Obejrzał się na ów cumulus, z którego wyskoczył przed paru minutami.

Cumulus! Pęczek rzodkiewek, nie cumulus! Mogło się zdawać, że Jaskółka w ogóle się w nim nie pomieści...

— I my w tym małym świństwie, w tym funcie pierza kołowaliśmy prawie godzinę! — powiedział do niej.

Raz jeszcze pogardliwym spojrzeniem objął rozpadającą się chmurę. Strzępy białej pary odrywały się od niej, płynęły obok, znikały.- Niebo, usiane przedtem wyniosłymi kłębia-stymi obłokami, pustoszało, nabierało głębi, ciemniejąc coraz bardziej w zenicie. Tylko pomiędzy szybowcem a lotniskiem żeglował

pojedynczy, samotny obłok, sunąc na równym poziomie ze skrzydłami Jaskółki.

Szary nawet nie myślał go omijać, leciał wprost na niego mając za sobą niskie słońce, którego promienie padały na biel puszystej chmurki.

Wtem, gdy już miał zanurzyć się w tej bieli, ujrzał przed sobą cień, cień Jaskółki, jakże podobny do sylwetki innego szybowca, lecącego naprzeciw!

Uśmiechnął się: kolizja z cieniem... Przed godziną uległ podobnemu złudzeniu. Teraz wydało mu się to śmieszne, ale tam...

Przemknął przez obłok, rozdierając go na strzępy, które zawirowały w strugach pędu. Zorientował się, gdzie jest północ, spojrzął na busolę, chcąc przyłapać ją na gorącym uczynku, i potrząsnął głową: kurs zgadzał się w zupełności ze wskazaniem podziałki na róży wiatrów...

„Praktyka, sparaliżowana kaczką, praktyka!” mawiał w takich okolicznościach Polek Dytyński...

Stefcia Czibrytówna boczyła się na Szarego, ponieważ od paru tygodni, od wspólnej wycieczki do Wisły, nie miał czasu ani na przejażdżki motocyklowe, ani nawet na dłuższe spotkania.

Widywali się raczej przypadkowo, podczas południowych przerw w pracy, lub jeśli ona wieczorem czekała u bramy ogrodu na jego powrót z lotniska. Nawet wtedy tylko na chwilę zatrzymywał

motor pod płotem, żeby z nią zamienić kilka słów, i odjeżdżał do domu.

Głównym powodem takiego stanu rzeczy był pośpiech przy wykończaniu nowej serii szybowców na zamówienie zagraniczne.

Szybowce, kilkadziesiąt Jaskółek w najnowszej wersji „Z”, miały być gotowe na czas, oblatane, zdemontowane i zapakowane w skrzynie, odstawione do Gdyni i załadowane na statek. Termin odejścia owego statku zbliżał się, a dostawy niektórych materiałów uległy opóźnieniu, co zakłóciło normalny tok produkcji w zakładach. Harmonogram opracowany przez naczelnego inżyniera „leżał” i trzeba było dużego wysiłku, aby go uratować.

Cały ciężar tego wysiłku spoczywał teraz na dziale drzewnym, a przede wszystkim na brygadach usterzeń i limuzyn oraz skrzydeł i kadłubów. Szary pracował na równi z podległymi sobie robotnikami na kolejnych stanowiskach od szóstej do dziewiętnastej, po dwanaście godzin na dobę, odpoczywając tylko w czasie przerwy obiadowej. Nie miał czasu ani na latanie, ani na wycieczki i spacer, ani na czułości, których od niego oczekiwano; bywały dni, że nie miał czasu na spokojne zjedzenie obiadu, nawet na ogolenie zarostu.

Stefcia nie mogła czy też nie chciała tego zrozumieć. Inni z pewnością potrafiliby znaleźć dla niej kilka wolnych chwil; wystarczyłoby jej kiwnąć palcem albo uśmiechnąć się słodko.

—Nie wierzysz? — pytała.

—Wierzę — odpowiadał Szary. — Kiwaj na nich, jeżeli chcesz. Ja mam termin.

To było dla niego ważniejsze!... O niczym innym nie mówił i nie myślał.

Żeby mu zrobić na złość, ostentacyjnie chodziła pod rękę z księgowym Huberą lub flirtowała z niedawno przybyłym praktykantem ze szkoły technicznej, który czerwienił się jak pomidor, pożerając ją przy tym swymi rybimi oczyma.

Lecz Szary nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

W poprzek głównej hali sąsiadującej z sekcją obróbki maszynowej stały równoległe stoły, na których kolejno powstawały: od lewej ściany szczytowej ku środkowi — skrzydła, od prawej zaś — kadłuby Jaskółek.

Te stoły, raczej długie, solidne stojaki z belek, wsparte na mocnych, szeroko

rozstawionych nogach, przypominały łoża tortur dla olbrzymów. Korby, śruby, imadła i haki sterczały tam w różne strony, a ich domniemane przeznaczenie mogłoby zaiste obudzić dreszcz grozy wśród nie wtajemniczonych. Dopiero gdy skrzydła i kadłuby stopniowo za

Na trzecim stanowisku zjawiały się krawędzie spływu, pozostałe okucia i urządzenia, a cała konstrukcja wewnętrzna znikwała pod pokryciem, na zewnątrz przybierając już kształt ostateczny.

Z drugiej połowy hali, gdzie podobnie przebiegała produkcja kadłubów, od czasu do czasu przychodził Ziębicki, żeby się przekonać, czy Szary go nie wyprzedza w robocie. Finse krążył po całym dziale drzewnym, regulował dopływ j połowych elementów żeber i wręg, sprawdzał wymiary listew jakoś drewna w sekcji obróbki maszynowej, gdzie warczały mechaniczne piły, strugarki i frezarki, zagadywał do ludzi, trochę zrzędził po swojemu, przystawał obok Szarego, zacierał ręce, smoktał wygasłą fajkę i pomrukiwał:

—Nie partolić, nie partolić; prędko, to nie znaczy byle jak, człowieku!

—Rozumie się — odpowiedział Szary. — Tu się nic nie partoli; tu się robi jak na wystawę.

Mrugali do siebie porozumiewawczo, Finse przesuwał swoją myckę na drugie ucho, szedł dalej, przystawał, sprawdzał, pomagał, pokazywał młodszemu „sposoby” na przyłożenie wygiętego arkusza sklejki, na ustawienie żeberka, na chwyt młotka, na równe zdjęcie fazy. Co chwila ktoś go odwoływał, to do magazynu, to do biura sekcji techniczno-wykonawczej, to do naczelnego inżyniera.

Wracał stamtąd, wpadał do swego kantorka, obliczał coś, podpisywał różowe i żółte kwity, układał plan przerzutu robotników na godziny nadliczbowe.

W hali postukiwały młotki, papier szklisty szeleścił, szurgotał po drewnie, raz po raz wznosił się wysoki jęk taś-

mowych pił dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia obrabiarek, a z wszystkimi tymi odgłosami łączył się nieustanny rozgwar ludzkich rozmów.

Na trzecim stanowisku zjawiały się krawędzie spływu. 1

pozostałe okucia i urządzenia, a cała konstrukcja wewnętrzna znikwała pod pokryciem, na zewnątrz przybierając już kształt ostateczny.

Z drugiej połowy hali, gdzie podobnie przebiegała produkcja kadłubów, od czasu do czasu przychodził Ziębicki, żeby się przekonać, czy Szary go nie wyprzedza w robocie. Finse krążył po całym dziale drzewnym, regulował dopływ gotowych elementów żeber i wręg, sprawdzał wymiary listew i jakoś drewna w sekcji obróbki maszynowej, gdzie warczały mechaniczne piły, strugarki i frezarki, zagadywał do ludzi, trochę zrzędził po swojemu, przystawał obok Szarego, zacierał ręce, smoktał wygasłą fajkę i pomrukiwał:

—Nie partolić, nie partolić; prędko, to nie znaczy byle jak, człowieku!

—Rozumie się — odpowiedział Szary. — Tu się nic nie partoli; tu się robi jak na

wystawę.

Mrugali do siebie porozumiewawczo, Finse przesuwał swoją mykę na drugie ucho, szedł dalej, przystawał, sprawdzał, pomagał, pokazywał młodszemu „sposoby” na przyłożenie wygiętego arkusza sklejk, na ustawienie żeberka, na chwyt młotka, na równe zdjęcie fazy. Co chwila ktoś go odwoływał, to do magazynu, to do biura sekcji techniczno-wykonawczej, to do naczelnego inżyniera. Wracał stamtąd, wpadał do swego kantorka, obliczał coś, podpisywał różowe i żółte kwity, układał plan przerzutu robotników na godziny nadliczbowe.

W hali postukiwały młotki, papier szklisty szeleścił, szurgotał po drewnie, raz po raz wznosił się wysoki jęk taś-

mowych pił dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia obrabiarek, a z wszystkimi tymi odgłosami łączył się nieustanny rozgwar ludzkich rozmów.

Gdy brygada Szarego' kończyła swój cykl produkcyjny 11 a trzecim stanowisku roboczym, z przeciwnej strony wolnego przejścia, z ostatniego stołu schodził także kadłub i wraz ze skrzydłami poprzez lakiernię trafiał do hali montażu, gdzie sekcja usterzeń i limuzyn dostarczała cały komplet wykonanych u siebie sterów oraz gotową, na gorąco wyszlancowaną osłonę kabiny z przezroczystego pleksi.

Zanim jeszcze brygada montażowa zdołała ukończyć składanie tych części, zanim dociągnięto ostatnie wkręty i nakrętki, szybowiec obsiadali tapicerzy, malarze, specjaliści od „kosmetyki i galanterii”.

Tymczasem Szary przechodził ze swoimi na pierwsze stanowisko kadłuba, Ziębicki zaś kierował już układaniem i zamocowywaniem świeżych dźwigarów skrzydłowych.

W ten sposób sześć brygad, po trzy z każdej strony, kolejno zmieniało stanowiska i przedmiot produkcji, od skrzydeł do kadłubów i od kadłubów do skrzydeł.

Eksportowa seria płynęła przez warsztaty SZD nie-przerwanym potokiem. Jego pierwsze źródło, wspólne dla wszystkich dotychczasowych serii Jaskółek, niegdyś zaczęło bić w biurze konstrukcyjnym; później kręty strumyk rysunków, planów, obliczeń i kalkulacji popłynął poprzez inne biura, komisje, zespoły pomiarowe i techniczno-wykonawcze, aż został ujęty przez naczelnego inżyniera, Szymona Hajduka, w cały system kanałów, odnóg i zbiorników produkcji. Teraz toczył się szybko z hałaśliwego oddziału obróbki maszynowej wprost na szablony, gdzie powstawały pojedyncze drobne elementy do budowy skrzydeł, kadłubów, stateczników, sterów i lotek; stamtąd wpadał

do dwu pozostałych sekcji działu drzewnego i zasilony dopływem okuć, napędów oraz spawanych części i urządzeń metalowych przelewał się na halę montażową. Tu przyjmował jeszcze inne dopływy;

z działów lakierniczo-malarskiego, tapicerskiego, wyposażenia w przyrządy i książki pokładowe, aż wreszcie wydostawał się na zewnątrz, na betonową płytę przed hangarem otwartym na lotnisko.

Oblatywacze zapinali pasy spadochronów, podkołowywał

samolot, zaczepiano linę holowniczą i gotowe, lśniące świeżym lakierem Jaskółki unosiły się w powietrzu.

Potem odejmowano im skrzydła, składano wzdłuż kadłubów i ustawiano rzędem w magazynie zdawczo-odbiorczym.

1 oto w połowie wykonania serii nastąpiła owa niespodziewana przerwa: dopływ surowca nagle ustał, a jego zapas fabryczny wkrótce został wyczerpany... Nie pomogły alarmująco listy i depesze, które tymczasem wysyłał naczelny inżynier, zawiodły wszelkie interwencje; trzeba było czekać.

Aby uniknąć przestoju, Hajduk przerzucił część ludzi do produkcji skrzyń i opakowań, ale strata czasu wydawała się niepowetowana; gdy wreszcie nadszedł ów spóźniony transport, stało się jasne, że przy ośmiogodzinnej pracy jednej zmiany robotników działu drzewnego nie da się wykonać zamówienia na termin.

Dyrekcja szukała różnych sposobów rozwiązania tej trudności, zwracając się do innych zakładów szybowcowych o wypożyczenie kilku brygad specjalistów i powiększając liczbę pracowników na stanowiskach nie wymagających tak wysokich kwalifikacji. Lecz specjaliści nie przybyli: tam również produkcja szła pełnym biegiem..;

Wtedy Hajduk i Finse zwrócili się o pomoc do rady zakładowej. Dyrektor Olgierd przedstawił całą sprawę, a naczelny inżynier odwołał się do solidarności i ambicji tych ludzi, z którymi tu pracował od tylu lat. Po nim mówił spawacz działu mechanicznego, Stokowski.

Słuchano go ze szczególną uwagą, może dlatego, że pracował tu od początku, od powstania zakładów po wojnie, a także dlatego, że przyczynił się do uratowania obrabiarek, których bronił podczas odwrotu armii Hitlera. Nie był zresztą dobrym mówcą i rzadko zabierał głos; zaciął się, nie zawsze znajdował

właściwe słowa i purpurowiał przy tym, jakby ogarnięty gniewem, nie wiadomo za co i na kogo. Ale warto było wysłuchać tego, co miał do powiedzenia.

Tym razem oświadczył, że jego zdaniem dzisiaj już nie ma takich przeszkód, których nie dałoby się pokonać. Co innego dawniej, kiedy tu zaczynali prawie bez narzędzi, bez tych wszystkich urządzeń, ułatwień, w zimnych, pustych halach z powybijanymi szybami i ciekącymi dachami, kiedy materiał na okucia wygrzebywało się ze złomu, każdy otwór trzeba było wiercić ręczną wiertarką i obrabiać pilnikiem, a każdą płytę metalu prostować młotem i przycinać ręczną piłką. „Finse tu też wtedy robił i kogo miał do pomocy? — pytał Stokowski. — Paru stolarzy! A reszta? Zbieranina to była, powiadam! Zbieranina! Jak który robił przez tydzień, to dużo. A jak robili? Źle, byle jak! Bo nie było czym, a ludzie byli nieświadomi, nie rozumieli, że się świat dla nich zmienił. Ale teraz? Teraz żebyśmy zawalili termin?

Jak tu są młodzi, jak jest organizacja, jak mamy wykwalifikowaną kadrę?"

Potoczył dokoła przekrwionymi oczyma, jakby szukał

takiego, co mu się przeciwstawi.

„To przy pierwszej przeszkodzie już mamy stanąć, towarzysze? — zapytał resztką tchu. — To szukamy, kto by za nas zrobił, bo nie zdążymy? A ja mówię, że zdążymy! walnął pięścią w stół, — Tylko chcieć, to można. Drugiej zmiany brakuje? Sami zrobimy drugą zmianę tam, gdzie trzeba. W skrzydłami i w kadłubowni, to tam; a w spawami! to w spawalni. Nie mówię, żeby na stałe, ale do końca tej serii każdy przecie może się przyłożyć: po dwie albo i po cztery godziny, po pięćdziesiąt procent normy więcej, po osiemdziesiąt, i musimy dać radę!”

„Ludzi więcej nie ma i nie będzie — powiedział spokojniej, patrząc to na Hajduka, to na Finsego. — Stanowisk na hali też się więcej nie pomieści. Ale dzień ma dwadzieścia cztery godziny, nie osiem!”

Usiadł ciężko na swoim miejscu i rozejrzał się, jakby zaskoczony oklaskami. Ale nie wszyscy klaskali, a Ziębicki, który siedział obok Szarego, mruknął:

—Jaki chojrak na cudzy rachunek, bo sam wszystko miał pod ręką!

—Co miał? — spytał Szary.

—No. materiał! U nich, na mechanicznym nie było przerwy w dostawie, to i nie będą teraz doganiać, tylko my. A tutaj bohatera struga...

—Ale innej rady nic ma — odrzekł Szary. — Musimy zdążyć.

—Wiadomo, tylko to będzie nasza robota i nasz czas, nie jego.

Szary wzruszył ramionami:

—Przecież nic o to chodzi.

—Jak komu. Na nadgodzinach tyle nie zarobisz, co na boczku, w domu.

Mimo tych uwag Ziębicki zgłosił się z całą swoją brygadą na owe nadliczbowe godziny pracy. Zgłosiły się też inne brygady i harmonogram serii eksportowej z wolna zaczął się wyrównywać.

Lecz na kilka dni przed wyznaczoną datą załadunku j wysłania szybowców specjalnym przyspieszonym transportem kolejowym do Gdyni wynikła nowa nieprzewidziana zwłoka: komisja działająca w imieniu odbiorców zakwestionowała sposób umieszczenia butli zawierających sprężony tlen.

Te butle, według rysunków warsztatowych biura konstrukcyjnego i zgodnie z wyposażeniem prototypu, umieszczone zostały za siedzeniem pilota, kranami w dół, skośnie ku sobie, tak że każda ich para tworzyła literę V. Dzięki takiemu układowi dopływ tlenu do inhalatora odbywał się jednym przewodem, przeciągniętym pod siodełkiem.

Otóż komisja, opierając się na opinii przesłanej rzekomo w swoim czasie wprost do kierownictwa produkcji, zażądała odwrócenia butli kranami w górę. Powodem takiego



żądania była obawa, że w pewnych warunkach może nastąpić zawilgocenie kranów i przewodu, ich zamarznięcie, a co za tym idzie przerwanie dopływu tlenu, czego jakoby można było uniknąć przy górnym odprowadzeniu dwoma oddzielnymi przewodami.

Inżynier Hajduk nie zamierzał teraz dyskutować nad merytoryczną stroną tego zagadnienia, jakkolwiek jego zdaniem taki wypadek był zgoła nieprawdopodobny; oświadczył natomiast stanowczo, że kierownictwo produkcji nigdy owej opinii nie otrzymało. Gdyby istniały jakieś zastrzeżenia w tej sprawie, nie zatwierdzono by prototypu w Instytucie Lotnictwa.

Lecz przewodniczący komisji miał przy sobie kopię orzeczenia. Nie chciał i nie mógł ustąpić. Trzeba było zastosować się do żądań odbiorcy i we wszystkich Jaskółkach odwrócić butle.

Odwrócić butle! Tylko z pozoru mogło się to wydawać drobnostką. Odwrócić butle, to znaczy: w każdym szybowcu odkręcić szesnaście wkrętek przy ośmiu uchwytach przytrzymujących przewód na tylnej ścianie i na pokładzie kabiny, odciąć ten przewód od końcówki, a jego oba rozgałęzienia od butli z tlenem; wykonać zamiast jednego, dwa nowe przewody z mosiężnej rurki, przyspawać każdy z nich z jednej strony do końcówki załączonej do węża maski, z drugiej zaś do butli; wreszcie zamocować przewody na wewnętrznych ściankach kabiny, czyli wkręcić tym razem trzydzieści dwie wkrętki w podłużnice kadłuba.

— Przez takie głupstwo możemy beknąć — powiedział Ziebicki. — Niech to nagła krew zaleje!

„Nagła krew” zalewała teraz zmęczone oczy Stokowskiego i jego pomocników przy trzech palnikach aparatów do spawania, co Ziębickiemu sprawiało rzetelną satysfakcję. Dział drzewny wykończył jeszcze ostatnie Jaskółki, ale Finse przerzucił dwie brygady do produkcji skrzyń i stojaków na skrzydła, przestawiając całą sekcję obróbki maszynowej na tę właśnie robotę.

Hale warsztatowe Szybowcowych Zakładów Doświadczalnych pracowały od rana do późnego wieczora, blask bił przez skośne szyby w dachu, światło padało jasnymi prostokątami z okien biurowych, niebieskie błyskawice migotały w otwartych drzwiach spawalni. Szum maszyn, jęk pił, grzechot strugarki, postukiwanie młotków, syk natryskiwaczy lakierniczych i malarskich, gwar ludzki, cały ten zgiełk gorączkowej pracy wylewał się na zewnątrz w ciepłą sierpniową noc, płynął nad szosą, przewijał się nad łąkami wśród symfonii żabich kapel i smyczkowych orkiestr koników polnych i docierał aż do pierwszych domów w Aleksandrowicach.

Stefcia Czubryłówna marszczyła brwi siedząc przy otwartym oknie i nasłuchując, czy z daleka nie zawarczy motor Szarego. Tego dnia, w sobotę, ostatnia Jaskółka serii eksportowej miała wyjść z hangaru montażowego. Bolek powiedział, że niedzielę będzie nikł prawdopodobnie wolną. Mogliby rano pojechać do Wisły, a wieczorem iść do kina albo na jakąś zabawę taneczną.

Ale Stefcia po prostu na złość odrzekła, że jeszcze nie wie, co będzie robiła jutro. Może się zdecydować dopiero później, w domu. T Bolek obiecał, że wracając wstąpi do niej, żeby to ustalić. Teraz minęła już dziesiąta, a jego nie było.., Specjalny skład lor kolejowych do transportu eksportowej serii szybowców miał wyruszyć z Bielska w nocy z niedzieli na poniedziałek. Na rampę podstawiono go w sobotę rano, ale wskutek historii z butlami tlenowymi, która opóźniła pracę komisji odbiorczej, załadunek mógł się rozpocząć dopiero wieczorem, i to wyłącznie siłami i środkami nadawców, Szary powątpiewał, czy te środki wystarczą. Niemal połowa Jaskółek stała w magazynie, jeszcze nie zapakowana; trzeba było umieścić je w skrzyniach, zamocować skrzydła w stojakach, unieruchomić kadłuby, zabić wieka gwoździami, wtoczyć skrzynie po okrągłakach na samochody ciężarowe, przewieźć je na dworzec towarowy, przeładować na lory, wszystko to w ciągu jednej doby..:

Ale po południu, zanim ostatni szybowiec wyszedł z sekcji pomiarów i badań w locie, stanęli do tej pracy nic tylko robotnicy, brygadziści i majstrowie, lecz także niemal wszyscy technicy, inżynierowie, konstruktorzy, piloci i urzędnicy zakładów.

Naczelnny dyrektor, Paweł Olgierd, sam świecił przykładem.

W rozpiętej koszuli z odwiniętymi rękawami, z których jeden postrzępił mu się na wystającym gwoździu, pocąc się i sapiąc, podsadzał się pod wielką skrzynię, pokrzykiwał, pęczniał z wysiłku i wraz z innymi wtłaczał ją na piat-formę samochodu; pokpiwał z własnej tuszy i niewielkiej Wydolności fizycznej, rozmazywał pot i kurz na czerwonej twarzy przypieczonej słońcem.!, zachęcał i wyśmiewał opieszałych. Hajduk na równi z praktykantami stolarskimi przykręcał stojaki, pełzał na czworakach wewnątrz skrzyń, wyłaniał się z nich głową naprzód, dopasowywał wieka, walił młotkiem, aż się rozlegało. Finse dyrygował inżynierami i pilotami, dwoił się i troił, biegał od jednej grupy do drugiej, poprawiał, zrzędził, smokłał fajkę, przekrzywiał swoją myckę to na jedno ucho, to na drugie, jeździł na rampę, aby tam dopilnować roboty, pomóc, rozwikłać jakieś trudności, usunąć zatory.

Nastrój tej pracy u schyłku dnia był wesoły, koleżeński i triumfalny: eksportowa seria wyruszała w drogę; to, co spędzało sen z powiek wielu spośród nich, to, co zawisło nad honorem zakładów, od kilku tygodni ciążyło nad dyrekcją, kierownictwem produkcji, nad kierownikami działów i sekcji, nad brygadami, było już poza nimi. Wygrywali ten 'j wyścig. Wspólnie pokonali przeszkody i zbliżali się do mety! Wszyscy razem ruszyli, aby teraz wygrać finisz.

Dopiero późną nocą, na parę godzin przed świtem przerwano załadunek, aby dokończyć go w niedzielę za dnia, po krótkim odpoczynku.

Szary chciał zabrać na motor Finsego, który ledwie się trzymał na nogach ze zmęczenia, ale Finse się uparł, że zostanie i będzie spał w pokoju nad garażem, gdzie było wolne łóżko, więc odjechali we dwóch z Ziębickim. Bolek dopiero teraz przypomniał sobie, że miał się zobaczyć ze Stefcią. Ale we wszystkich oknach domu Czubrytowej było ciemno; dochodziła druga po północy...

—Z rana mogę po was wstąpić — powiedział do Alojzego. — O piątej?

—O piątej — mruknął sennie Alojzy. — Chyba się obudzę...

Podali sobie ręce. Szary zawahał się, raz jeszcze spojrzął po ciemnych oknach, w które zaglądał niski księżyc, i powiedział: —Jakbyście przypadkiem widzieli Stefkę, to jej powiedzcie, że skończymy dopiero po południu, dobrze?

—Stefkę — powtórzył Ziębicki z uśmiechem, który zamienił się w przeciągłe ziewnięcie. — Aa... Stefkę... Gdzie tam! Będzie spała. Ale Józia jej powie. Toście się pogodzili?

—Ja się z nią nie kłóciłem; nie mieliśmy się co godzić — odburknął

Szary. — No, to dobranoc.

Zapуścił motor, ruszył. Ziębicki patrzył za nim przez chwilę. Chciał

mu po przyjacielsku doradzić, żeby Sobie nie zawracał głowy tą dziewczyną. Znał ją przecież: dziś ten, jutro tamten. Powstrzymał się jednak; bądź co bądź Stefcia była siostrą jego żony; nie chciał przemawiać przeciw własnej rodzinie.

A co mnie do tego! — pomyślał z niechęcią. — Nie będę się wtrącał.

Wzruszał ramionami, jakby zrzucał te sprawę z barków, cicho wszedł do sypialni, rozebrał się po ciemku, żeby nie obudzić Józki, wlażł do łóżka, wyciągnął się na wznak. Prawie natychmiast przywalił go ciężki, kamienny sen.

W niedzielę od rana panował nieznośny upał. Skwar lał się z nieba, powietrze duszne, ciężkie, lepkie jak gorąca, kleista galareta drgało nad rozpaloną ziemią, najlżejsze tchnienie wiatru nie poruszało przywiedłych liści i traw.

Po południu ludzie uznojeni dzisiejszym dziesięciogodzinnym wysiłkiem pokładli się w cieniu, kurząc papierosy i rozprawiając o s w o i m zwycięstwie: eksportowa seria Jaskółek była już załadowana; tylko w biurze administracji wystawiano jeszcze jakieś faktury, a w gabinecie naczelnego

inżyniera podpisywano protokoły i porządkowano karty pracy.

Wkrótce jednak rozmowy umilkły: ten i ów odwracał się i zasypiał, a wreszcie sen ogarnął prawie wszystkich. Leżeli w bezwładnych pozach, wyciągnięci na wznak z rozrzuconymi ramionami, na boku, podkurczywszy kolana, twarzą ku ziemi lub półsiedząc, z głową opartą o pień drzewa jak snopy rozrzucone wichurą;

Szary nie spał. Kurz i pot wgryzały mu się w skórę, a kołnierz roboczego kombinezonu ocierał szyję. Postanowił umyć się i wziąć prysznic, zanim pojedzie do domu, ale nie chciało mu się wstać i pójść do umywalni. Odrzucił niedopałek papierosa.

Przez głowę przewinęła mu się myśl o Stefce; Ziębicki naturalnie zapomniał o jego prośbie, nawet nie rozmawiał z żoną. Stefcia się obrazi.

Może nawet lepiej — pomyślał. — To wszystko nie ma sensu.

Pociągały go ku niej tylko zmysły, a ona mogła przypuszczać... No, co prawda nie był pierwszy i zapewne nie ostatni.

Sama mu się narzuciła; sama go zaczepiała. Nie mówił jej nigdy o swoich uczuciach; nie wprowadzał jej w błąd. Ale też nie stawiał

jasno sprawy...

Tak mi było wygodniej — myślał. — Trzeba z tym skończyć.

Podniósł się, wyszedł spomiędzy drzew na słońce, rozejrzał

się po niebie. Na południowym zachodzie gromadziły się ciemne, groźne chmury.

Wtem w oddali, na samym horyzoncie dostrzegł samotny szybowiec zmierzający ku lotnisku. Westchnął. Od dwóch tygodni nie siedział za sterem w kabinie. Zateśknił -sa lataniem.

Teraz to sobie odbiję — uśmiechnął się.

Spojrzał raz jeszcze w tamtą stronę i wreszcie poszedł się wykąpać.

Orzeźwiony zimnym luszem jechał do domu najkrótsza, drogą przez lotnisko, obok aeroklubu i mijając hangar zobaczył

ów szybowiec, Muchę-ter, który wylądował w sam czas przed nadejściem burzy. Troje ludzi z trudem wciągało maszynę do wnętrza, więc zatrzymał się, żeby im pomóc.

—Skąd ta Mucha? — zapytał dyżurnego mechanika.

—Z Warszawy — odrzekł tamten. — Na przelocie. Szary spojrzał na drobną postać pilota. Wydała mu się znajoma. Uświadomił sobie nagle, że to dziewczyna; — Baśka! — powiedział głośno, zaskoczony.: Zwróciła ku niemu głowę.

— Hej, Romeo! Dzień dobry! — ucieszyła się widocznie. — Chodź tutaj, bo mi tchu zabrakło ze wzruszenia! Pomóż!

Podszedł z drugiej strony kadłuba, uniósł go za uchwyt i pociągnął.

—Baśka — powtórzył. — Co za niespodzianka! Cały rok cię nie widziałem.

—To się zdarza wśród najlepszych przyjaciół — powiedziała zarumieniona. — Ale ja wiedziałam, że tu jesteś. Gruszka mi mówił.

Postawili szybowiec na miejscu i dopiero teraz podali sobie ręce.

Barbara zsunęła z głowy chustkę, a jej ciemne, lśniące włosy rozsypały się na opalony kark.

—Powinszuj mi, zrobiłam trzysta kilometrów na złotą odznakę.

—Hura! — wykrzyknął. — Winszuję!

Ujął ją pod rękę i przycisnął mocno ramieniem.

—  
Nie masz pojęcia, jak się cieszę — powiedział.-

Spojrzała na niego spod oka, mrugnęła porozumiewawczo, trochę po łobuzersku.

— Ja także, ale pewnie trzeba stąd iść, bo nas zamkną. Czekaj, mój bagaż!

Szary wyjął jej płócienną torbę z bagażnika i wyszli przed hangar.

—Zainstaluję cię w pokoju gościnnym — oświadczył. — Potem pewnie trzeba będzie nadać telefonogram do Warszawy, a ty się tymczasem odświeżysz po tej drodze. Jak ci się leciało?

—Wspaniale! Prawie wszędzie nosi. Nie schodziłam niżej ośmiuset metrów. Zresztą Mucha sama lata; tylko nie przeszkadzać. Potem ci wszystko opowiem, jeżeli mnie zaraz nie porzucisz w tym pokoju gościnnym. Gdzie to jest?

Zabrał ją na motor, zawiózł do internatu, znalazł woźnego, załatwił sprawę noclegu i poszedł telefonować. Prawie natychmiast otrzymał połączenie, ale już ponosiła go niecierpliwość. Jakieś wesołe, przyjemne uczucie, z którego niezupełnie zdawał sobie sprawę, nurtowało go na wskroś, jak lekki wibrujący prąd elektryczny. Miał ochotę żartować, śmiać się, biegać, tańczyć.

Tańczyć!... Pojedziemy na tę zabawę — pomyślał kończąc nadawać telefonogram.

Pędził po schodach przesadzając po dwa stopnie, minął zakręt korytarza, zapukał do drzwi.

— Jeszcze chwilę! — odezwał się spoza nich głos Baśki. —Załatwiłeś?

—Rozumie się. A co ty tam robisz?

—Cóż to za pytanie! Przebieram się za kobietę.

—Niemożliwe! Masz jakąś kieckę?

—Mam i zapewniam cię, że nie ma w tym nic niemożliwego. No, możesz wejść.

Stała na środku pokoju w jasnej, kwiecistej sukience, uśmiechnięta, ładna, taka ładna, że Szary zamknął na chwilę oczy i znów je otworzył, jakby chcąc sprawdzić, czy mu się nie przywidziało —No, no — mruknął z uznaniem. — To naprawdę ty? Ta sama?

—Nowy model, trochę ulepszony — odrzekła nie zmieszana.

— Podobam ci się?

—Jeszcze jak! — wykrzyknął z zapalem. — Trochę mnie to onieśmiela — wyznał, spuszczaając oczy z komicznym wyrazem zawstydzenia.

Roześmieli się oboje.

—Brykamy teraz do miasta — mówił z ożywieniem. —Pewnie jesteś głodna, a ja też jadłem taki obiad „dla nieletnich”, jak powiada Dytyński. Aha: co się z tym żarłokiem

dzieje?

—Zeszczupłał ostatnio — odrzekła, biorąc go pod rękę i schodząc z nim na dół. — Jest zakochany w ślicznej, młodo-dziutkiej dziewczynie. Pokazywał mi jej fotografię. Nie wiedziałam, że masz taką ładną siostrzyczkę.

—Co? — zdumiał się Szary. — On się naprawdę pod-kochuje w tej kozie?

—Wcale nie jest bardziej podobna do kozy, niż ty do kozła.

Patrz, za chwilę będzie lalo — powiedziała, rozglądając się po milczących, nisko nawisłych chmurach. — Zdamy? Bo ja wcale nie chcę zmoknąć...

—Pojedziemy krótszą drogą, przez Aleksandrowice. To tylko parę kilometrów — odrzekł zapuszczając motor.

Lecz gdy ruszyli, skłębione chmury odezwały się pierwszym pomrukiem, błysnęło raz i drugi, a potem nad przerażoną ciszą z trzaskiem załamał się piorun. Wiatr ruszył jak na komendę, przeczesał trawę na lotnisku, zatańcował z kurzem na drodze, wpadł w zarośla, narobił tam szumu i wyplątawszy się z krzaków poleciał w dół, ku aleksandrowickim sadom, otrząsać jabłka.

Szary dodał gazu. Przemknął przez mostek, skręcił między uprawne pola. Stado spłoszonych kuropatw zerwało się z ziemniaków, zapadło opodal w koniczynę. Wrony z wrzaskiem uciekały ku miastu.

Znów potoczył się długi, dudniący grzmot. Strzępy popielatych jak dym obłoków gnały nisko, wyprzedzając burzę.

Gorący, parny dech przeciągał nad spragnioną ziemią, a wyżej nad szosą wznosiła się żółtawa zasłona pyłu.

Motocykl podskakiwał na wybojach. Baśka chwyciła Szarego za ramię.

— Duszę ze mnie wy trzęsiesz, a i tak nie zdążymy! —zawołała mu nad uchem.

W tej samej chwili pojedyncze grube krople deszczu zaczęły padać na gładką, dobrze uwałowaną żużlową drogę między pierwszymi domami Aleksandrowie.

— Przeczekamy pod dachem — rzucił Szary za siebie.

Skręcił w alejkę wśród żywopłotów, znów dodał gazu, przyhamował na następnym zakręcie i przez otwartą furtkę ostrożnie wjechał przed dom.

— Wsiadać! — zakomenderował. — To prędko przejdzie.

Otwórz drzwi od sieni; wprowadzę motor.

W otwartym oknie kuchni zobaczył Finscgo. Stary majster siedział okrakiem na krześle odwróconym oparciem ku parapetowi i zdawał się drzemać z wygasłą fajką w zębach. Ale gdy go mijali, błysnął wyblakłymi oczyma, zmarszczył czoło unosząc kępki siwych brwi i z domyślnym uśmiechem kiwnął im głową.

—Co to za święty Franciszek z wąsami? — spytała szeptem Barbara, gdy już wtoczyli

motocykl.

—Finse — odrzekł Szary. — Mój szef. Mieszkam u niego.

r-Nie zgorszy się, że przyjmujesz u siebie białogłową? A może już przywykł?

— Ależ gdzie tam! Ciągłe mnie do tego zachęca. Uważa, że prowadzę zakonny tryb życia.

Pewnie się przechwalasz — westchnęła. — To tu?

— Tu — powiedział otwierając przed nią drzwi. — Jeszcze się nie urządziłem po swojemu — dodał, jakby chciał się usprawiedliwić.

Mimo tych zastrzeżeń Barbara uznała jego pokój za bardzo miły, a fotel pod oknem za znacznie wygodniejszy od siodełka Muchy-ter, na którym przesiedziała niemal sześć godzin lecąc tu z Warszawy. Opowiadała o tym przelocie, o treningu w aeroklubie, o pierwszym roku studiów na wydziale lotniczym Politechniki Warszawskiej.

Szary przez ten czas zdołał stwierdzić, że jej żywe, błyszczące oczy przypominają raczej błękitne płomienie niż chabry, jak mniemał poprzednio, oraz że jej uroda ma teraz nieco inne cechy, o wiele bardziej kobiece niż przed rokiem, , kiedy się zaprzyjaźnili w Polichnie.

Za oknami jeszcze szumiała ulewa, sad zanosił się wiatrem, łomotały pioruny, różowe i niebieskie błyskawice rozjarzały się w chmurach pędzących nad ziemią, ale na zachodzie już zaczął

prześwitywać czysty skrawek nieba, czerwony jak rozpalony metal, który powoli ostyga.

Barbara umilkła i spojrzała w okno. Resztki dziennej wspaniałości słońca rzucały swój dogasający blask na mokre szyby, na jej smagłą twarz.

Szary tak był pogrążony w obserwacji nowo odkrytych szczegółów jej urody, że dopiero po dłuższej chwili uprzytomnił

sobie owo milczenie.

—Ojej, przecież ja cię od godziny morzę głodem —powiedział wstając.

—Żyję tylko nadzieją, że jednak pojedziemy do Bielska —uśmiechnęła się. — Gdybym powiedziała, że nie mam apetytu, byłoby to wstrętne kłamstwo. Ale musisz mi pożyczyć jakiś płaszcz; jeszcze trochę kropi.

Podczas gdy udał się do Finsowcj z prośbą o wyświadczenie tej przysługi, Baśka otworzyła okno i uśmiechając się do swoich myśli, pełną piersią wdychała rześwe, pachnące powietrze. Deszcz ustał, wiatr przycichł i tylko od czasu do czasu wzdychał strząsając krople z mokrych, po-j ciemniałych gałęzi.

Ziemia parowała lekko, asfaltowa ścieżka wiodąca I w głąb sadu wysychała w oczach, ciepło promieniowało j z nagranych murów.

Baśka myślała o Szarym. Myślała o nim często przez ten rok.

Jesienią i w zimie pisywał do niej od czasu do czasu. Były to krótkie kartki z telegraficznymi wiadomościami: o lotach w aeroklubie nowotarskim, o Szagach, o zawodach narciarskich.

Odpowiadała na nie w podobnym stylu, jakkolwiek nieraz korciło ją, żeby zapytać o więcej szczegółów z jego życia. Lecz po ostatniej takiej kartce z Zakopanego, którą otrzymała w marcu, i ta skąpa korespondencja się urwała. Barbara przez parę miesięcy nie wiedziała nawet, I że Szary przeniósł się do Bielska. Dopiero Dytyński jej o tym powiedział.

Lecąc z Warszawy z zamiarem odbycia trzystu kilometrów przelotu otwartego, liczyła się z możliwością lądowania w Aleksandrowicach, a także z tym, że zobaczy się tam z Bolkiem.

Prawdopodobieństwo tego spotkania trochę ją niepokoiło: żeby sobie nie pomyślał, że mu się narzuca... ] Nie leciała przecież do niego, tylko po warunek do złotej odznaki szybowcowej! Ale, na wszelki wypadek, zapakowała tę nową letnią sukienkę.

Przydała się! — pomyślała z uśmiechem. — A co do Bolka...

Wszystkie obawy i wahania pierzchły po pierwszych jego słowach. Niewiele się zmienił. Chociaż właściwie może był jakiś inny; trochę inny; może właśnie o tyle, ile by chciała. Zmężniał

naturalnie; z chłopca stał się młodym samodzielny mężczyzną.

Zauważyła, że jest mu z tym do j twarzy. No i — chyba właśnie to podobało się jej najbardziej — jakoś inaczej na nią patrzył.

Na zabawie w parku miejskim Szary spotkał paru znajomych pilotów z aeroklubu, a Barbara chętnie przystała na ich towarzystwo. Polem przyłączyli się do nich także dwaj studenci odbywający praktykę w biurze konstrukcyjnym SZD, jej starsi koledzy z politechniki. Tańczyli pod rozpogodzonym niebem i pochłaniali niesłychane ilości oranżady, bo noc po burzy stała się znów gorąca. Dokoła Baśki uczyniło się tłoczno; wiedzieli już o jej udanej przelocie, a ponieważ tańczyła równie dobrze, była wesoła i ładna, nie dawali jej ani przez chwilę odpocząć.

Szary łowił uśmiechy i spojrzenia, które mu przesyłała, podczas gdy czekał cierpliwie na swoją kolej. Gdy mu się wreszcie udało uprzedzić innych przy jakimś sentymentalnym walcu, powiedziała, że dawno nie bawiła się tak dobrze jak dzisiaj.

— Ale ty jutro rano idziesz do pracy — dodała. — A po mnie pewnie przyleci samolot z Warszawy. Chyba już pójdziemy?

Uznał słuszność tej propozycji.

Po skończonym tańcu odszukał kelnera, żeby uregulować rachunek, i już wracał do stolika, gdy niespodzianie natknął się na Slefcię.



— O, Bolek! — zawołała głośno, chwytając go za ramię. — Znalazłeś się przecie!

Wydało mu się, że jest wstawiona. Spróbował wyswobodzić ramię, ale wpiła mu palce w rękaw.

—No, co? Nie zatańczysz ze mną? Nie chcesz mnie już znać? Czy może boisz się tej cyganichy, co do ciebie takie oko sypała, powiedz! Przyznaj się!

—Przestań, Stefka — odrzekł spokojnie. — Puść mnie i nie rób widowiska. Co cię napadło?

—Mnie? Napadło? Myślisz, że na ciebie tak bardzo leczę? —wydeła czerwone usta i obejrzała się na stolik, przy którym siedzieli jej towarzysze, księgowy i praktykant z zakładów.

Szary poszedł za jej spojrzeniem. Tamci dwaj byli z pewnością pijani; uśmiechali się głupkowato, Hubera miał

czkawkę, a młody technik wybałuszał swe rybie oczka i bełkotał

mu coś do ucha obejmując go za szyję. Na pół opróżniona karafka wiśniówki stała pomiędzy nimi na skraju czerwonej plamy, która kształtem przypominała Afrykę.

— Napij się z nami, jak nie chcesz tańczyć — powiedziała Stefcia pociągając go do stołu. — Panie Władku, niech no pan naleje.

Praktykant zabrał się do spełnienia tego żądania, ale Szary nie chciał usiąść i stanowczo oświadczył, że nie będzie pił.

—Proszę mi tego nie brać za złe: jestem w towarzystwie —dodał hamując zniecierpliwienie.

—W lepszym niż nasze — wtrącił Hubera. — No, trudno...

Puść, Stefcia, pana Szarego. Pan Szary z byle kim nie pije.

Ty się z nami napij. Twoje zdrowie!

Stefcia zagryzła wargi. Patrzyła nad głowami sąsiadów ku stolikowi Szarego; dostrzegła ciemną dziewczynę o świetlistych błękitnych oczach, gwałtownie odwróciła wzrok.

— Żebyś tego nie pożałował, Bolek — powiedział cicho, ze ściśniętym gardłem. — Idź sobie do niej — odepchnęła go. — Nie chcę cię znać, ty...

Łzy zawisły jej na rzęsach, potoczyły się po policzkach.

Otarła je chusteczką, sięgnęła po kieliszek.

Szary już tego nie widział. Spotkał jakby trochę zdziwione czy też spłoszone spojrzenie Baśki i czuł, że czerwieni się jak uczeń przyłapany na ściąganiu.

—No, możemy już jechać — powiedział siląc się na swobodny ton.

—Na pewno? — spytała niewinnie.

—Na pewno — odrzekł podrażniony,

Szedł obok niej milcząc potem zapuścił motor i czekał, aż usadowi się na tylnym siodle.

— Tylko mnie nie zgub — powiedziała z udanym niepokojem. — Pamiętaj, że tu jestem za tobą.

Uśmiechnął się mimo woli, ale czuł, że pogodny, wesoły nastrój tego wieczoru przepadł.

— Postaram się — mruknął.

Jechał główną szosą, nie przez Aleksandrowice. Zastanawiał

się, czy Barbara odgadła sens tej sceny ze Stefcia. Co o tym myśli? Czy ją to w ogóle nie obeszło? Pokpiwała sobie zawsze z jego sentymentów do Haliny Doboszówny, więc zapewne i teraz...

Dawniej go to nie gniewało i nie powstrzymywało od zwierzeń. Mógł z nią rozmawiać o wszystkim szczerze i otwarcie, jak z nikim innym; nawet o Halinie. A teraz..; Właśnie teraz chciałby jej wyjawić, że ta sprawa ze Stefcia nie ma już żadnego uczuciowego znaczenia; że właściwie nigdy nie miała. Ale czuł, że nie potrafiłby się na to zdobyć.

Nie widzieliśmy się więcej niż rok — pomyślał. — To dlatego. A zresztą, pewnie wcale nie jest ciekawa, co mnie ze Stefcia łączyło.

Pogrążony w tych rozmyślaniach omal nie minął bramy aeroklubu. Zahamował dość gwałtownie, tak że Baśka oparła się o jego plecy.

— Przepraszam — bąknął. — Zagapiłem się.

Wartownik wpuścił ich po krótkich pertraktacjach, sprawdzwszy legitymacje. Podjechali ku wejściu do internatu.

— Nie zsiadaj — powiedziała Baśka. — Dam sobie radę, trafię.

Zdjęła i oddała mu płaszcz Finsowej. Wyciągnęła do niego rękę, nic zbliżając się, na odległość.

~ Dziękuję ci. Pewnie się jutro zobaczymy?

'— Naturalnie — odrzekł. — Ja o szóstej jestem w dziale drzewnym. Tu o ósmej otwierają bufet, więc może bym wpadł po ciebie, żebyś zjadła śniadanie...

—Dobrze. Dobranoc. Poczuł

lekki uścisk dłoni.

—Dobranoc — powiedział.

Czekał, aż wejdzie do wnętrza budynku. Nie obejrzała się...

Czekał jeszcze patrząc w okno pokoju gościnnego na; piętrze. Po chwili błysnęło tam światło, ale okno pozostało zamknięte i zasłonięte storami, które nie drgnęły.



Jednym z warunków wymaganych od kandydatów na kurs wyczynowy w Lisich Kątach było posiadanie przez nich co najmniej srebrnej odznaki szybowcowej. Szary planował sobie, że tam pojedzie, poświęcając na ten cel połowę przysługującego mu urlopu. Główną rolę w owej decyzji odegrała oczywiście sposobność odbycia całego szeregu lotów wyczynowych na najlepszym nowoczesnym sprzęcie, ale poza tym istniał jeszcze pewien inny uboczny powód, dla którego pragnął się tam znaleźć.

Tym powodem była już zatwierdzona lista uczestników kursu, a raczej tylko jedno z nazwisk, jakie na niej przeczytał: Barbara Lachów-na z Aeroklubu Warszawskiego.

Jego własne nazwisko zostało umieszczone na końcu, w oddzielnej grupie kandydatów przyjętych warunkowo, ponieważ brakowało mu do srebrnej odznaki pięciogodzinnego lotu, którego jak dotychczas nie miał okazji wykonać.

Taki lot przy obecnych jego umiejętnościach i doświadczeniu nie nastroczał większych trudności; wymagał tylko czasu. Ale Bolek, właśnie z uwagi na swój ograniczony czas, nie chciał pętać się przez pięć godzin pod cumulusami po to, aby zyskać tylko ten jeden punkt. Zamierzał od razu zdobyć także drugi, do odznaki złotej, w przewyższeniu \* ponad trzy tysiące metrów.

W skrytości ducha myślał zresztą nawet o pięciu tysiącach, co być może zaliczono by mu jako warunek na pierwszy diament, ale głośno nie przyznawał się do tak daleko idących ambicji.

W każdym razie te jego zamiary wymagały sprzyjającego układu atmosferycznego, jakim w okolicach Bielska jest przede wszystkim wiatr halny z kierunków południowych, południowo-zachodnich lub zachodnich, kiedy to po zawiętrznej stronie gór powstaje stojąca fala nośna zdolna wydzwignąć szybowiec na kilka tysięcy metrów w górę. Oczekiwał teraz z niecierpliwością na ów wiatr, niepokojąc się wysokim stanem barometru, co nie wróżyło rychłej zmiany pogody.

Tymczasem studiował Parczewskiego i Zientka, latał nad okolicznymi terenami, żeby dokładnie poznać ich układ i właściwości termiczne, z pomocą inżyniera Hajduka opracowywał

taktykę zamierzonego przedsięwzięcia.

W aeroklubie obiecano mu na ten lot Jaskólkę albo Muchę-100, jeden z dwóch nowszych szybowców wyczynowych.

Bardzo troskliwie przygotował oba; wystarał się o nowe butle z tlenem, założył świeże baterie do wariometrów, sprawdził

kompensację busoli i wraz z kierownikiem technicznym dokonał ogólnego przeglądu.

Na trzy tygodnie przed rozpoczęciem kursu stracił

cierpliwość i zdecydował się na zwykły lot termiczny; Lecz gdy z tym przyszedł do kierownika wyszkolenia, dowiedział

się, że Jaskółka i Mucha są na przelocie. Miały powrócić nazajutrz lub najdalej za dwa dni. Musiał więc znowu czekać.

Było to w sobotę rano, wieczorem zaś barometr zaczął

gwałtownie spadać, a komunikat meteorologiczny zapowiadał

skłonność do burz wraz z nadejściem frontu chłodnego od zachodu. W nocy zaczęło dąć, a w niedzielę od rana w stronie Klimczoka ukazały się pierwsze obłoczki rotorowe, nad nimi zaś skupiona, rozrastająca się chmura soczewkowa, świadcząca o istnieniu fali.

Szary ubrał się i pojechał na lotnisko, ale nikogo tam jeszcze nie zastał. Dopiero koło dziesiątej udało mu się porozumieć z kierownikiem wyszkolenia i sprowadzić mechaników. Instruktor i pilota holującego także nie było: polecili na dwóch samolotach po Jaskółkę i Muchę, które lądowały w okolicy Sandomierza, nie osiągnąwszy zamierzonych trzystu kilometrów w przelocie otwartym \*. Mieli wrócić koło południa, holując oba szybowce.

Szary czekał, denerwując się coraz bardziej. W stronie Wisły, poza pasmami górskimi, poza szczytami Klimczoka, Skrzycznego i Baraniej widać było odległy, skłębiony wał chmur, który wolno opadał na stronę zawietrzną, spełzał w doliny i rozwiewał się w cieplejszym powietrzu. Porywy wiatru stawały się coraz silniejsze i bardziej gwałtowne, a nieruchoma chmura falowa rosła piętrami, iryzując na krawędziach i ciemniejąc pośrodku.

O dwunastej nadeszła wiadomość telefoniczna, że żaden z szybowców dziś nie przyleci. Jaskółkę trzeba będzie zdemontować i przewieźć na inne miejsce, ponieważ start na holu z niewielkiej łączki, na której pilot wylądował, jest zbyt ryzykowny, a Mucha ma uszkodzony zaczep, co da się naprawić dopiero nazajutrz.

Kierownik wyszkolenia rozłożył ręce.

— Nic na to nie poradzę — powiedział do Szarego. — Sami rozumiecie: pech!

Lecz Szary nie chciał się poddać pechowi.

—Dajcie mi w takim razie Sępa. Jutro halny może się skończyć.

—Sępa? — zawahał się tamten. — To stary grat..; —Ale można jeszcze na nim latać — odrzekł Szary.

—Pewnie, że można. Jak chcecie. Tylko kto was wy-j holuje?

Bo ja się muszę zająć tamtymi dwoma...

—Poproszę inżyniera Hajduka — przerwał mu Bolek. —Jeżeli nie macie nic przeciw temu, naturalnie.

Kierownik wyszkolenia zgodził się bez dalszych zastrzeżeń.

Sam nie miał ochoty porać się z południowo-zachodnią wichurą.

Wydał stosowne polecenia, zapowiedział, że żadnych innych lotów już nie będzie, ale sam pozostał na miejscu, aby zorganizować start.

Tymczasem Szary porozumiał się z naczelnym inżynierem, który wprawdzie wybierał się do miasta, lecz nie odmówił jego prośbie i obiecał, że za kwadrans będzie gotów.

O pierwszej krótki, pękaty, jakby spuchnięty łeb Sępa wynurzył się z hangaru i szybowiec, przytrzymywany z obu stron przez kilku mechaników i pilotów klubowych, stanął u skraju lotniska, osłonięty od wiatru ścianą budynku. Szary nic miał już czasu na szczegółowy przegląd, lecz kierownik techniczny zapewnił go, że wszystko jest w porządku.

— Tylko oszczędnie z tlenem — dodał. — Nic mam świeżej butli; w tej powinno być na jakie dwie godziny.

— Wystarczy — odrzekł Szary. — Nie lecę na dużą wysokość; to tylko na wszelki wypadek.

Istotnie zamierzał ograniczyć się do lotu na długotrwałość. Hajduk przewidywał, że zasięg fali będzie niewielki i że pod wieczór nastąpi jej zanik wraz z nadejściem przyspieszonego frontu chłodnego.

— To nie pójdzie łatwo — powiedział do Szarego. — Ale może ci się uda wejść nawet na trzy albo cztery tysiące. Później będzie lało; uważaj,

żeby

cię

nie

zagarnęły

chmury przed lądowaniem. Mogą być niskie.

Szary skinął głową. Rozeszli się: on do Sępa, inżynier do samolotu, który klekotał na małych obrotach. Wsiedli do kabin, przypasali się.

Kierownik wyszkolenia włączył barograf \* umieszczony w bagażniku za plecami Szarego, pomógł mu zamknąć osłonę.

Gruba konopna lina holownicza była już zaczepiona, samolot i szybowiec ustawione pod wiatr do startu. Hajduk obejrzał się, unosząc rękę na znak, że jest gotów. Bolek odpowiedział takim samym sygnałem, startowy skinął chorągiewką: „Start!”

CSS zaklekotał głośniejsz, ruszył wolno, pociągnął hol aż do oporu.

— Można, można! — wołał ktoś z boku, machając ręką.

Warkot silnika wzrastał się stopniowo, aż przeszedł w basowy, niski ryk na pełnym gazie. Sęp ruszył za samolotem, ktoś biegł z boku podtrzymując koniec skrzydła, póki opływ powietrza nie zaczął

działać na stery szybowca. Wysoka trawa pokładała się to w lewo, to w prawo, przeganiana wichrem.

Wtem jakiś silniejszy podmuch uniósł równocześnie cały zespół, podbił go kilka metrów w górę i nagle umknął z powrotem ku ziemi.

Samolot przepadł \* gwałtownie, musnął kołami powierzchnię lotniska, lina szarpnęła, pociągnęła za sobą szybowiec w dół, zwisała i napięła się znowu. Lecz Szary w samą chwilę sparował sterem owo szarpnięcie: Sęp zniżył się, alei nie uderzył

płozą; wypłynął długim łagodnym szczupakiem dokładnie na poziomie stateczników holującej go maszyny i trzymał się tak, póki CSS nic odzyskał pełnej prędkości.

Start i lot na holu w strefie rotorów należy do naj-trudniejszych zadań pilotażowych. Rotory, zjawisko nieodłącznie związane z falującą masą powietrza w czasie wiatru halnego, obejmują przestrzeń od ziemi aż do grzbietu spokojnej fali wypiętrzającej się wysoko ponad szczyty gór i w przeciwieństwie do niej obdarzone są gwałtownym temperamentem.

Szary w swej bujnej fantazji wyobrażał je sobie zwykle jako stada złośliwych, rozigranych diabłów, które gonią się nawzajem, wirując z wielką prędkością, opadając w dół z wiatrem i wznosząc się pod wiatr w górę.

W rzeczywistości są to strugi powietrza wirujące w miejscu po obwodzie walców o poziomych osiach, przy czym, skutkiem tej ich obiegowej cyrkulacji wewnątrz rotora, prędkości prądów pionowych mogą być zbliżone do prędkości wiatru. Co za tym idzie, przejście szybowca przez rotor (na przykład z Wiatrem) odczuwa się jako gwałtowny rzut w górę z prędkością wznoszenia od kilku do dwudziestu i więcej metrów na sekundę, po czym również nagły rzut w dół z prędkości; } tego samego rzędu. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że dom piętrowy ma mniej więcej siedem metrów wysokości, to będziemy mieli niejako wyobrażenie o rozmiarach i potędze tej chwiejby.

Toteż gdy tylko samolot i holowany przez niego szybowiec oderwą się od ziemi, cały zespół staje się igraszką dzikiego wichru, który to zrywa się pionowo w górę, to znów siada na skrzydłach zgniatając je w dół, chlusta z boku jak wytrysk gejzeru, skręca, przepada, uderza w stery, szarpie linę, usiłując ją zerwać. Gdy samolot wchodzi na barki spię-

trzonego nurtu, szybowiec zapada w głąb i na odwrót; lina łącząca zespół

— ogon samolotu z przednim zaczepem szybowca — staje skośnie, a jej szarpnięcia wybijają drążek sterowy raz w przód, raz w tył. Boczne natarcia prądu, przechyły, ześlizgi, myszkowanie szybowca we wszystkich trzech płaszczyznach przestrzeni spychają samolot

z kursu, wytrącają go z krzywizny zakrętu, targają za ogon, utrudniając utrzymanie jakiej takiej równowagi w tym kotłującym się wrzątku.

Trzeba ufać wytrzymałości dźwigarów skrzydłowych, sterów i wiązań kadłuba, aby nie ulec panice, kiedy się widzi i czuje ich drgania, wygięcia i skręty. Trzeba błyskawicznej i trafnej reakcji dla odparowania ataków i podstępów rozpętanego żywiołu. Trzeba się zdobyć na spokój i zimną krew.

Szary odczepił się na wysokości ośmiuset metrów, na południowy wschód od lotniska, między pasmami wzgórz Klimczoka i Magury. Od poziomego spokojnych wznoszeń falowych dzieliło go jeszcze co najmniej półtora tysiąca metrów, jak przypuszczał; zamierzał zdobyć tę wysokość na wstępujących prądach rotorów, nad którymi tworzyły się małe. stojące w miejscu obłoczki.

Wybrał jeden z nich, utrzymujący się prawie pionowo jł nad budynkami sanatorium w Bystrej, i wysunawszy się nieco pod wiatr zaczął ciasno krążyć. Gwałtowne turbulencje \* utrudniały wycentrowanie głównego nurtu, strzałka I wariometru wychylała się to w górę aż do oporu, to w dół

poniżej zera, szybowiec drgał na elastycznych skrzydłach, jakby trzymany za ich końce i potrząsany przez niewidzialnego olbrzyma.

Wtem zwałił się płasko, zmiękł w sterach, jakby nagłej stracił prędkość,' trafiając w próżnię.

Przeszedłem na zawietrzną rotoru! — pomyślał Szary.

Spojrzał w górę. Nie: był po nawietrznej stronie obło-; ku; może nawet trochę dalej, niż należało.

Aby zmniejszyć tę odległość, zatoczył obszerniejszy łuk, z wiatrem.

Ale zbliżywszy się ku obłokowi nie znalazł wznoszenia; przeciwnie: Sęp opadał coraz prędzej; tonął w jakimś wirze, który wciągał go w głąb, a stojący nad nim obłok rzedniał, rozpadał się na drobne kłaczkę i smugi niksące ' w oczach, aż rozwiął się zupełnie.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, co się stało: wiatr oderwał i uniósł

chmurkę znad rotoru, on zaś, złudzony dotychczasową jej statecznością, również pozwolił zepchnąć się w ślad za nią. Sanatorium w Bystrej zostało daleko na za-j chód; tworzył się tam nowy obłoczek nad rotorem wirującym w tym samym miejscu...

Tracąc wysokość z trudem zdobytą, Szary wrócił nad Bystrą i zaczął

odrabiać swój błąd. Orientował się teraz raczej według ziemi, nie zważając na zawodne wskazania chmurek, które ustawicznie zmieniały się w górze: powstawały

nad rozpędzonym rotorem, rosły, pęczniały i wreszcie ruszały z wiatrem, aby o parę kilometrów dalej zakończyć swój krótki żywot.

Tymczasem wiatr, skręciwszy wyraźnie na wsełód, zdawał się słabnąć, a chmura



falowa stojąca nad Doliną Żywiecką zaczęła tracić charakterystyczne kształty i rozmazywać się po niebie. Nad nią włączyły się wysokie pierzaste cirusy i cirostralusy \* zagarniające niebo jak siecią utkaną z pajęczyny i puchu.

Nie były to pomyślne wróżby. Halny widocznie się kończył, a mur ciemnych obłoków napierający od zachodu na pasma górskie wyrastał

coraz wyżej ponad szczyty, grożąc deszczem.

Szary spojrzał na zegerek; od półtorej godziny był w powietrzu walcząc uporczywie o każdy metr wysokości, a przecież ciągle jeszcze żeglował znacznie niżej dolnego zasięgu fali. Mogło się zdarzyć, że w ogóle nie wydobędzie się ponad rotory...

W dole, na ziemi oświetlonej bladym słońcem, nie widać było cieni.

Dymy z kominów snuły się wolno w różne strony, jakby tam już panowała cisza mącona tylko słabymi zmiennymi powiewami.

Gdybym wystartował z samego rana — pomyślał — miałbym srebrną odznakę w kieszeni, a lak...

Znowż zgubił wznoszenie wskulek chwilowej nieuwagi.

Zniecierpliwiony, przeleciał pod inny obłoczek, bliżej Klimczoka, i raz jeszcze zaczął od ośmiuset metrów. Tu jednak znalazł nieco lepsze warunki: wariometr oscylował około trzech metrów na sekundę, a strumień wstępującego prądu był znacznie większy, tak że mógł w nim wykonywać zwięzłe ósemki.

Rzucanie trwało ciągle, może nawet stało się gwałtowniejsze. Górny wiatr też wzmógł się po chwili; jego prędkość musiała dochodzić chyba do czterdziestu lub pięćdziesięciu kilometrów.

Mimo to Szary dopiero w trzeciej godzinie lotu osiągnął

szczytowy poziom rotorów na wysokości dwóch tysięcy. Zauważył przy tym, że postać chmury falowej znacznie się poprawiła, a u jej podstawy widać było teraz ciemniejszą plamę, jakby wielki nabrzmiały guz.

Spróbował wysunąć się dalej pod wiatr i nagle rzucanie ustało. Wariometr wskazał zero, metr, półtora metra wznoszenia.

Fala! — pomyślał Szary.

Zawinął wąską, ciasną ósemkę. Niosło w górę! Spokojnie, płynnie, bez uskoków, bez szarpnięć, równo i gładko! Im wyżej, tym bardziej obszar nośny wydłużał się na północ i na południe wzdłuż nawietrznej krawędzi chmury, która znowż zaczęła świecić białą krezą mieniącą się perłowo jak wewnątrz muszli.

Po dwudziestu minutach krążenia i zygakoawania miał trzy tysiące metrów. Trzymał się teraz środkowej części chmury, pod owym ciemnym guzem, gdzie znalazł najsilniejszy prąd wstępujący. Po chwili stwierdził, że to, co wziął za zgrubienie, jest odrębną, mniejszą chmurą soczewkową, o średnicy pionowej około trzystu metrów. Ta mniejsza

soczewka przylegała grzbietem do podstawy większej, która rozpostarła się teraz od Bielska aż do Węgierskiej Górki.

Szary pomyślał, że jeśli mu się uda wymanewrować pod wiatr na czoło obydwu chmur, to może się pokusić o zdobycie jeszcze tysiąca metrów wysokości. Zyskałby wówczas przewyższenie około trzech tysięcy dwustu, wystarczające na pierwszy punkt do złotej odznaki.

Wypuścił Sępa ku zachodowi, minął krawędź dolnego obłoku, znalazł się na jego poziomic. Ogarnął go półmrok. W

cieniu zrobiło się zimno; lodowaty przeciąg wpadał do kabiny przez otwór nad zaczepem i mroził stopy. W górze ciemniała ogromna popielatobrunatna podstawa głównej soczewki o jasnej, prawie białej krawędzi.

Prędkość wznoszenia wzrastała, prawdopodobnie wiatr wzmagął się ciągle. Wystarczyło teraz utrzymywać szybowiec o kilkanaście stopni na północ lub na południe od kierunku zachodniego, aby się nie cofał i nie posuwał naprzód w prawym i lewym trawersie \*.

Manewrując w ten sposób i od czasu do czasu wypuszczając się nieco naprzód, Szary wznosił się coraz wyżej, z zamiarem wyprzedzenia górnej chmury. Lecz zanim to nastąpiło, Sęp znalazł

się w jej wnętrzu, wciągnięty niespodzianie od spodu.

Zle obliczyłem — pomyślał Szary. — Podstawa jest niżej, niż mi się zdawało. No, nie szkodzi: przebijemy się na ślepo.

Ale ten zamiar chybił zupełnie: po kilku minutach ślepego lotu wariometr pokazał zero, a następnie opadanie do trzech, czterech metrów na sekundę...

Szary zaklął pod nosem. Widocznie wiatr niósł go poza grzbiet fali. Tępa busola nie reagowała na zakręty, nie wiedział

więc, w którą stronę lecieć, aby odnaleźć noszenie. Stopy skostniały mu zupełnie, zgrabiały ręce, a zimno przenikało nie tylko członki, lecz zdawało się docierać do szpiku w kościach i do mózgu. Mimo to na oślep szukał dalej, nie chcąc stracić wysokości, którą z takim trudem zdobył.

Tracił ją jednak! Sto, dwieście, trzysta metrów... Sęp tonął, zapadał, grzął w odmętach pary jak w mlecznym trzęsawisku, nie znajdując żadnego oparcia.

Wreszcie biały półmrok rozjaśnił się trochę, bure we-lony i zawoje za spotniałą osłon,- } zaczęły uciekać w górę i ukazała się spoza nich ziemia, daleka, barwna, jak kolorowa mapa.

Szary spojrział w dół. Wyszedł nad Mugurą, w kierunku wschodnim, ku Żarowi i Sole.

— Popisałem się — mruknął.

Zawrócił pod wiatr, zwiększył prędkość, lecz nim dotarł na poprzednie stanowisko,

stracił niemal osiemset metrów. Gdy je odzyskał, było w pół do szóstej.

Godzina do zachodu słońca — pomyślał. Grzał się w jego skośnych promieniach, które potokiem blasku zalały kabinę, jak tylko Sęp wyprzedził chmurę i wzniósł się ponad jej wierzchołek. Wysoka siatka cirusów znikła, niebo było czyste i jasne aż po mur halniakowy \*, który tymczasem pociemniał bardziej jeszcze i przybrał teraz postać olbrzymiego klina.

Strzałka wysokościomierza minęła cztery tysiące osiemset metrów, a rozżarzona tarcza słoneczna dotknęła najwyższych chmur na zachodzie i zaczęła opuszczać się za ich groźne, wysoko spiętrzone grzbiety.

Szybowiec niemal stał w miejscu: jego prędkość równa była prędkości wiatru, a wznoszenie stale się zmniejszało.

Szary niewiele dbał o to: miał już przewyższenie na złotą odznakę, a do pięciu godzin w powietrzu brakowało mu tylko pięćdziesięciu minut.

Wiedział, że zdoła utrzymać się przez ten czas nawet na zanikającej fali.

Po upływie następnej półgodziny słońce skryło się zupełnie i dotkliwy chłód znów zaczął go na wskroś przenikać. Przez otwór w przedzie kabiny wiało mrozem, który tu dochodził zapewne do kilku, może nawet do kilkunastu stopni poniżej zera.

Na wysokości pięciu i pół Lysiąca metrów wznoszenie ustało prawie zupełnie, ale Sęp nadal trzymał się na tym poziomie. Szary zauważył, że łuka halniakowa \* przed nim zaczyna się zmniejszać; potężny mur kłębiastych obłoków, stłoczonych gęsto, zbitych wiatrem w olbrzymią ciżbę od jednego do drugiego krańca horyzontu na zachodzie, wyrastał

coraz wyżej, przelewał się nad szczytami gór, klinem spełzał w doliny. Na czele tego klina płynęły pojedyncze niewielkie chmurki na poziomie rotorów, które Szary dawno zostawił za sobą; za nimi sunęły większe, a dalej pęczniały wysoko rozbudowane kopuły chmur burzowych, sięgające zapewne sześciu lub siedmiu tysięcy metrów. Głęboki cień padał na ziemię od tych zastępów nawałnicy, która zbliżała się w milczeniu, poprzedzana w dole słabymi podmuchami chwiejnego wiatru. Ciężki, podbity ołowiem pułap zwiślał nisko, pochłaniał grzbiety górskie, włókł się po zboczach, zlewał się z ciemnym tłem lasów.

Szary już od dłuższego czasu prócz dotkliwego zimna odczuwał

znużenie, duszność i senność. Bolała go głowa. Pomyślał, że to są objawy zmniejszonego ciśnienia i głodu tlenowego. Już prawie od godziny znajdował się w strefie niedostatecznej kompensacji, lecz aż dotychczas nie korzystał z niewielkiego zapasu tlenu, jaki miał w butli. Bowiem od chwili gdy spostrzegł, że wskazówka wysokościomierza mija pięć tysięcy metrów, uprzytomnił sobie, iż brak mu tylko ośmiuset do uzyskania diamentu za przewyższenie.

Ta myśl lub raczej świadomość tego faktu utkwiła mu w głowie tak silnie, że przestał

zważać na wszystkie doznania fizyczne, jakim podlegał.

Sześć tysięcy metrów; jak je osiągnąć, skoro zasięg fali nie dociera tak wysoko?

Odpowiedź na to pytanie narzuciła mu się sama, gdyB mur halniakowy ruszył i zaczął się zbliżać. Należało za wszelką cenę utrzymać możliwie największą wysokość do czasu a jego nadejścia, po czym zawierzyć gwałtownym prądom j wstępującym przed czołem burzy.

Dlatego oszczędza! tlen. Tlen, który miał umożliwić mu krótki, jak sądził, wypad wzwyż, nad spiętrzone szczyty cumulonimbusów. Tam nie mógłby już obyć się bez tlenu.

Tymczasem jednak zaczął podlegać chorobie wysokościowej. Jej pierwsze objawy wzmogły się wkrótce, zarówno I w sferze fizycznej, jak psychicznej. Czuł ociężałość we wszystkich członkach, jakby w żyłach krążyła mu rtęć, nie krew. 1 Wszelkie poruszenia, nawet niewielkie manewry sterami wykonywał z opóźnieniem, jakby z niezamierzoną, mimowolną I godnością; jakby utrzymywanie szybowca w równowadze I stanowiło jakiś obrzęd, czy też ceremoniał liturgiczny. Prze-I stał dostrzegać, co się dokoła niego dzieje; sterował niejako I machinalnie, z nawyku, ze wzrokiem utkwionym w tarczę wysokościomierza, na której żółta wskazówka stała nieruchomo I pod liczbą 5500. Myśli mąciły mu się, rwały się nie dokończone, obojętne, czasem dziwaczne i niedorzeczne jak sny.

Wydawało mu się chwilami, że nie istnieje; że roztopił się wśród ogromnego przestworu nieba i chmur. Przemknęło; mu przez głowę, że tylko w jakimś działaniu można doznawać złudzenia, iż nie jest się bezwolną częstką wszechrzeczy, zależną jedynie od sił przyrody.

Złudzenie — powtarzał w myśli — złudzenie... Taki bezwład...

Przecież niepodobna, żebym ja kiedykolwiek! działał; to tylko złudzenie!

Stracił zupełnie poczucie upływu czasu. Raz po raz za-padał w odrętwienie graniczące z utratą przytomności. Gdy I sobie to uświadamiał

chwilami, postanawiał, że otworzy do-1 pływ tlenu. Ale nie chciało mu się odkręcić kurka, sięgnąć I po gumowy przewód. Odkładał to na później.

W jednym z takich przebłysków świadomości poczuł gwałtowne rzucanie i zauważył, że otacza go ciemność. ' Chmury — pomyślał

leniwie. — Jestem w chmurach...

Noc...

Wtem coś szarpnęło całym jego ciałem. Doznał wrażenia, że ktoś chwycił go za rdzeń pacierzowy i targnął wszystkimi włóknami nerwów. Jednocześnie oślepił go potworny blask, od którego zabolalo w czaszce, jakby mu w źrenice wbito dwa sztylety.

Piorun! — pomyślał przerażony.

Wzdłuż ręki, którą trzymał drążek sterowy, pędziły w górę po ramieniu, aż na grzbiet,

całe stada mrówek. Błysnęło się na lewo, na prawo i znów na lewo. Załomotał grzmot, zawałił się z hukiem tuż przed kabiną.

Szary oprzytomniał, zrozumiał nagle, co mu grozi. Spróbował namacać butlę z tlenem, ale cofnął rękę z okrzykiem bólu.

Ostre, kłujące iskry sypnęły się z metalu, sparzyły mu palce.

Mimo to ponowił próbę. Tym razem wylądowanie było słabsze. Odkręcił kran, usłyszał syk tlenu. Włożył do ust koniec przewodu, nie szukając już maski, odetchnął głęboko.

Co za wspaniały, orzeźwiający smak ma tlen! — pomyślał.

Spojrzał na wysokościomierz, potem na wariometr. Na-fosforyzowana wskazówka pierwszego pełzła w górę mijając siedem tysięcy; strzałka wariometru utkwiała nieruchomo na zastawce maksymalnej skali — pięć metrów na sekundę.

Aha — pomyślał — lecę w górę.

Usiłował przebić wzrokiem ciemności i w końcu dostrzegł, że znajduje się w jakiejś luce między skłębionymi obłokami, które uciekają w dół, lecz zaraz znów pochłonęła go chmura i wszystko znikło mu sprzed oczu. Tylko błyskawice raz po raz rozjarzały bliski, niemal dotykalny mrok.

Pomyślał, że teraz powinien jak najszybciej zejść w dół

i wylądować. Otworzył hamulec i zwiększył prędkość. Ale wariometr nawet nie drgnął, a wściekłe rzucanie trwało nadal. Widocznie wznoszenie, w którym się znalazł, miała ogromną moc.

Zaniepokoił się. Ożywcze działanie tlenu przywracało mu zdolność rozumowania. Pojął, że wśród tych potężnych prądów grozi mu niebezpieczeństwo: Sęp mógł nie wytrzymać nagłej zmiany ich kierunku; mógł stracić skrzydła, rozlecieć się w kawałki...

Skrzyżował stery, ściągnął ku sobie drążek. Poczuł, jak szybowiec staje dęba, wali się na plecy, wychodzi półbeczką \*, zarzuca ogonem i wkręca się w korkociąg. Było coś nierealnego, niesamowitego w tym wirowaniu wśród ciemnego chaosu chmur. Mogło się zdawać, że glob ziemski rozpadł się w kawały, pozostawiając po sobie tylko kłęby pary w niezmiernej przestrzeni bez dna, że nie istnieje już prawo ciężenia i że ten korkociąg będzie trwał wiecznie.

Szary mimo woli spojrzał na zakrętomierz; kulka i wskazówka rozbiegły się w dwie przeciwne strony i stanęły w położeniu krańcowym.

Rzucanie ustało, tylko od czasu do czasu następowały jakby zahamowania i przyspieszenia zwojów. Strzałka wysokościomierza zaczęła się cofać.

Na pięciu tysiącach Szary wyprowadził, przełożył stery. Sęp posłusznie zmienił kierunek korkociągu i znów z miarowym, wysokim poświstem przewiercał czarną, kipiącą otchłań, w której migotały, zapalały się i gasły ogniste korzenie błyskawic.

Strugi deszczu raz po raz siekły po skrzydłach, syczały na osłonie kabiny jak piasek miotany wiatrem.

Wtem, już na wysokości tysiąca pięciuset metrów, za-bębnił, zatrzeszczał suchy, twardy werbel gradu i wkrótce przeszedł w ciągły, ogłuszający łomot, od którego aż dzwoniło w uszach.

Zanim Szary zrozumiał przyczynę tego piekielnego hałasu, stare, skruszałe pleksi zaczęło pękać i nagłe wichura wtargnęła do kabiny, a cała owiewka prysła jak bańka mydlana.

Sruciny lub raczej loftki \* gradu sypnęły w twarz pilota. Przeleciało mu przez głowę, że Sęp rozpada się na drzazgi. Instynktownie sięgnął do pasa, aby uwolnić się z jego uwięzi przed skokiem ze spadochronem, lecz przy świetle błyskawicy dostrzegł na mgnienie oka zarys skrzydeł i opanował ten odruch. Chwycił natomiast mapnik zawieszony na pasku i zasłonił nim oczy.

Czuł bolesne, kłujące uderzenia wzdłuż ramion i barków, w wierzch dłoni, w piersi. Przejmowały go mrozem i paliły jednocześnie, jak tęgie razy zadawane nahajką. Oślepiiony i zaskoczony, przez chwilę nie mógł

złapać tchu wśród tej lodowatej chłosty. Pęd ścisnął mu nozdrza, zatykał gardło, przypierał go do tylnej grodzi i huczał w uszach.

Mimo woli wyrównał stery. Szybowiec wymknął się ze zwojów korkociągu, skoczył naprzód, zadrgał, zapał od pędu i po chwili przycichł, aby poddać się zbałwanionemu nurtowi, który porwał go w piekielny taniec.

Grad urwał się równie nagle, jak się rozpoczął; zapewne Sęp minął

strefę opadu, lecz ciągle jeszcze leciał na oślep w chmurach, tratowany, szarpany i podrzucany jak źdźbło słomy w nurcie spienionego strumienia, co toczy się wartko po skałach.

Szary z wysiłkiem parował jego przechyły i uskoki, obsypany grubym lodowym żwirem, który z wolna tajał odbierając resztki ciepła jego skostniałemu ciału. Nie wiedział, gdzie się znajduje, lecz sądząc po upływie czasu miał nadzieję, że burza nie zniosła go dalej niż o kilka kilometrów na wschód poza Żywiec. W każdym razie musiał być nad doliną Soły, i to raczej na północ niż na południe od Żywca, ponieważ ostatnie metry wznoszenia na fali zdobył pomiędzy Skrzycznem a Klimczokiem.

Wariometr wahał się teraz, wskazując to wznoszenie, to opadanie, lecz można było przypuszczać, że czoło nawałnicy już przeszło, na co wskazywał zresztą przelotny grad i trwające nadal opady deszczu.

Busola, zupełnie zdezorientowana po długim korkociągu i silnych wyładowaniach elektrycznych, ustaliła wreszcie swój pogląd na strony świata. Szary niezbyt ufał dokładności tych wskazań, ale nie mając innych musiał zastosować się do nich.

Przebijał się lotem nurkowym w dół na zachód, otworzywszy hamulce, a pęd huczał i

wył rozdzierany wystającymi ich listwami. Skrzydła drgały, wibrował kadłub, wicher z deszczem siekł po twarzy. Zdawało się, że to trwa godzinami, choć upływały zaledwie minuty...

Sęp wypadł z chmur na wysokości pięciuset metrów. Na ziemi panował zmrok, prawie jak w nocy. Deszcz przestał padać, rzucanie ustało. W tyle na lewo widać było liczne światła.

Żywiec — pomyślał Szary.

Przed sobą dostrzegł tor kolejowy, za nim szosę; na; prawo ciemniała rzeka.

Zmienił kurs na północno-zachodni, wprost na wielką łunę bijącą od Bielska i Białej, ale wiedział, że tam nie dociągnie.

Lecąc wzdłuż toru, upatrywał jakiegoś lądowiska.

Na czterystu metrach minął Łodygowice; dziesięć kilometrów od lotniska! Na Jaskółce mógłby się pokusić o lądowanie w Aleksandrowicach; Sęp nie miał tej doskonałości...

Uprzytomnił sobie, jaki teren ma pod sobą. Pamiętał, że przy następnej stacji kolejowej, w Wilkowicach, szosa przechodzi na prawa, stronę toru kolejowego i że ciągną się tam wzdłuż niej równe pola i pastwiska. Ale mrok gęstniał; trudno było dojrzeć cokolwiek w dole.

Jak się wpakuję na jakiś płot albo w rów, to będzie ładna historia — pomyślał z niepokojem.

Wtem na wprost zobaczył czerwone błyski ognia j wkrótce przekonał s.;ę, że to płonie wielki, dotychczas nie uprzątnięty stóg słomy w państwowym gospodarstwie rolnym pod Wilkowicami.

Tak, widywał go wielokrotnie podczas lotów orientacyjnych ; wiedział, że nie ma tam w pobliżu żadnych zabudowań. Stóg stał

pośrodku rozległych pól, opuszczony, samotny, od wielu lat skazany na zagładę. Zapalił go zapewne piorun i w ten sposób los jego dokonywał się wśród ciemnego wieczoru, ku zadowoleniu niedbałej administracji, której ten kłopot spadł wreszcie z głowy bez żadnego wysiłku z tej strony.

Dla Szarego ów pożar stanowił niezwykle sprzyjającą okoliczność. Cały teren dokoła był jasno oświetlony, a potężny strumień dymu niezawodnie wskazywał kierunek wiatru. W dodatku do stacji kolejowej było stamtąd zaledwie półtora kilometra.

Nic wahał się ani przez chwilę: odszedł z wiatrem, zawrócił, otworzył hamulce. Krwawy płomień skłaniał się ku ziemi, wzlatywał

w górę, buzował długimi jęzorami, rozkrzewiał się coraz bardziej dotarłszy do suchej słomy we wnętrzu stogu. Roje czerwonych iskier pędziły w ciemność wraz z białawym dymem, wirowały, wzbijały się wysoko i gasły. Widać było wyraźnie szeroki krąg ziemi, która w pobliżu ognia parowała od żaru. Kilku ludzi stało z daleka, przyglą-

dając się bezczynnie temu widowisku.

Sęp zrównał się z pióropuszem dymu, zniżył się na prawo od niego, przemknął nad miedzą zarosłą niskimi krzakami cierni, dotknął

płozą szorstkiego ścierniska, zwolnił, stanął i wreszcie wsparł się końcem prawego skrzydła o ziemię.

Ludzie, kilku wyrostków i dwie czy trzy dziewczyny-JH dopiero teraz go dostrzegli. Byli widocznie zaskoczeni, może nawet trochę przestraszeni tą niezwykłą zjawą, która nagle I zmaterializowała się o kilkadziesiąt kroków od nich. Dziewczęta pisnęły cienko, a chłopcy zbili się w gromadę. Lecz gdy Szary zawołał na nich, ostrożnie podeszli bliżej i w końcu, przekonawszy się, że mają do czynienia z żywym człowiekiem, nie z upiorem, otoczyli go ze wszystkich stroi).

Co prawda pilot, który wezwał ich pomocy, istotnie przypominał

trochę nieboszczyka: był siny z zimna i posi-j niaczony gradem. Nie mógł o własnych siłach wstać i wyjść z kabiny, a gdy go stamtąd wyciągnęli, musiał

trzymać się burty, żeby nie upaść. Szczękając zębami odpowiedział na ich pytania, skąd się tu wziął. Upewnił się, że to Wilkowice, a potem, rozgrzawszy zziębnięte i obolałe ręce, zapalił papierosa, odpiął spadochron, położył go na końcu skrzydła i zaczął ściągać przemoczony kombinezon, w czym również gor-1 liwie ma pomagali.

Rozmawiał teraz z nimi chętniej, w miarę jak w ciepłe | dogasającego pożaru tajał mróz przenikający jego zeszywniałe członki. To, o czym mówił, budziło podziw, jakkolwiek audytorium już nieraz stykało się z szybowcami, a chłopcy niejednokrotnie bywali świadkami ich przymusowych lądowań w okolicy.

Wtem Szary umilkł w połowie zdania. Barogramka! Za-1 trzymać barograf! Jakże mógł o tym zapomnieć.

Miał zapewne ze sześć tysięcy metrów przewyższenia, j

Wiedział o tym, ale chciał zobaczyć na własne oczy dowód \ tego swojego wyczynu.

Podniósł się z ziemi i podszedł do Sępa. Namacał baro-

]

graf zawieszony na gumowych amortyzatorach, zdjął go z ha-

!

czyków i przyłożył do ucha, lecz nie usłyszał tykania mechanizmu zegarowego.

Dech mu zaparło na chwilę.

To niemożliwe — pomyślał. — Ogłuchłem od wiatru...

Zbliżył się do ognia i przy jego migotliwym blasku spojrzął na barogramkę poprzez



szybkę przyrządu. Pasek różowego papieru' nawinięty na mosiężny walec obrotowy był czysty: pióro nie dotykało jego powierzchni.

Nie istniał żaden dowód, że osiągnął jakiekolwiek przewyższenie lub że utrzymał się w powietrzu prawie siedem godzin. Barograf nie został

należycie włączony przed startem; gdy Szary docisnął teraz do końca dźwigienkę, walec ruszył, a pióro zaczęło kreślić poziomą fioletową linię...

Aeroklub Bielski wystąpił z wnioskiem do Komisji Spor-I towej Aeroklubu RP o przyznanie Bolesławowi Szaremu j srebrnej odznaki szybowcowej pomimo braku barogramki z lotu na długotrwałość."Komisarze sportowi stwierdzili czas '

odczepienia szybowca z holu na podstawie osobistych ob-1 serwacji i zapisów oraz czas lądowania na podstawie zgod-j nych zeznań dziesięciu wiarygodnych świadków z miejscowości Wilkowice.

Natomiast nie można było w żaden sposób stwierdzić spełnienia warunku na odznakę złotą i na dia-j ment za przewyższenie ponad pięć tysięcy metrów; ta sprawa j w ogóle nie wchodziła w rachubę.

— I tak miałeś pan nieprzytomne szczęście — powie dział do Szarego Stanisław Kwater, instruktor, który naza jutrz przyleciał po niego do Wilkowic. — Żeś pan tu wylądow-

wał, to jeszcze rozumiem, ale jak ja stąd z panem mam wy-j startować, tego już nie wiem...

Rozglądał się po ściernisku, które wydało mu się za krótkie na start zespołu, narzekał, wzruszał ramionami.

— Ja mam czterdzieści lat, panie Szary. Nie to, co pan!

Mnie życie miłe, a panu się zachciewa cudów. Czyste waria-ctwo, słowo daję. A tam jeszcze linia telegraficzna... Z tego wynika murowana kraksa; jak makaron z ciasta, proszę pana! Ja nie mam zamiaru połamać sobie kości, uważasz pan. Spojrzał na Szarego zezem i nagle podniósł głos:

— No i na co pan czekasz? Przyczepiaj się pan!

Szary spełnił to polecenie. Czereda wiejskich dzieci, otaczająca szybowiec, żywo komentowała każdy jego ruch. Za-

łożywszy linę holowniczą na zaczep Sępa, zwrócił się do starszych chłopców, z których pomocy korzystał wczoraj, aby zebrali dzieciarnię opodal.

Kwater stał przy samolocie i wyrażał głośno swoją niechęć do wszelkiego ryzyka, wspominając przy tym, że ma przecież żonę i troje dzieci.

—No i co z tą liną? — spytał w końcu. — Gotowe?

—Gotowe — odrzekł Szary.

—To siadaj pan wreszcie! Ale jak się to pudło z panem rozleci w powietrzu, to nawet na pogrzeb nie idę, żebyś pan wiedział!

Wystartowali bez żadnych trudności. Skołatany, odarty z lakieru Sęp uniósł się za samolotem w górę, minął wraz z nim dymiące jeszcze pogorzeliisko, przeleciał nad linią

telegraficzną, zakręcił obszernym łukiem w prawo i zostawiwszy po prawej stronie Bielsko, znalazł się na wysokości kilkuset metrów nad Aleksandrowicami. Tam Szary odczepił się i wylądował.

Sprawa uznania przez Komisję Sportową dowodów speł-

nienia warunków do srebrnej odznaki ciągnęła się jeszcze przez dwa tygodnie. Szary z pewnością wolałby wykonać powtórnie pięciogodzinny lot, niż zajmować się dopełnieniem wszystkich koniecznych formalności, ale pogoda była przez cały ten czas fatalna i o lataniu nie mogło być mowy. Skutkiem tych trudności, jego udział w kursie wyczynowym zawiśł na włosku. Tylko dzięki interwencji inżyniera Hajduka, który jako jeden z komisarzy sportowych obecnych przy badaniu świadków lądowania, a także przy początku lotu za\*Jgiowego sam stwierdził czas jego trwania, udało się przekonać członków komisji. Szary otrzymał

tymczasowe zaświadczenie i pojechał do Warszawy załatwić swój przydział.

Ta ostatnia sprawa poszła mu niespodziewanie gładko i szybko. Miał

przed sobą jeszcze kilka dni wolnych za niedziele przepracowane w czasie wykończania eksportowej serii Jaskółek. Postanowił zatem zostać w Warszawie do wieczora i nocnym pociągiem pojechać do Zakopanego, aby wreszcie zapakować i wysłać stamtąd do Bielska swoje meble. Nadał

depeszę do Ustupskiego i po dłuższym wahaniu zdecydował się odwiedzić Barbarę Lachównę.

Odnalazł jej nazwisko w długim spisie lokatorów bursy akademickiej, wszedł na trzecie piętro wielkiego gmachu, minął kilka zakrętów korytarza i zapukał do drzwi.

Ale tu czekał go zawód: Baśki nie było w Warszawie; jej koleżanki poinformowały go, że wyjechała do ojca, na Wybrzeże.

Miał zapewne minę trochę zdziwioną i zawiedzioną, one zaś płonęły chęcią udzielenia mu bardziej szczegółowych informacji, bo gdy stał przez chwilę jakby nie wiedząc, co począć dalej, zaczęły mówić jedna przez drugą: „Chyba kolega wie, że kapitan Lach przed tygodniem wrócił z Tai-wanu? Zachował się tam po bohatersku! Jak to, kolega nie czytał o tym w gazetach? Tak, oczywiście kapitan Lach był tam internowany. Z całą załogą swego statku, na którym pełnił obowiązki starszego mechanika.

Barbara ani przez chwilę nie wątpiła, że on wróci, ale to przecież trwało cały rok!"

Szary słuchając tego potoku wiadomości uświadomił sobie, że dotychczas nie wiedział nawet, na jakim statku pływa ojciec Barbary; pamiętał tylko, że jest marynarzem. W ogóle wiedział o niej niewiele. Raz wspomniała, że wcześniej straciła matkę i że nieczęsto widuje ojca. On zaś nie podjął tego tematu, nie zapytał o jej sprawy, jakby go wcale nie obchodziły. To ona interesowała się jego dziejami i losami, zamiarami i planami, wyciągała go na zwierzenia, z którymi nie zdradzał się wobec nikogo innego.

Co też ona o mnie myśli? — zastanawiał się schodząc z powrotem ze schodów. — Co

sobie myślała przez ten czas — w Polichnie i później, i teraz, jak była w Bielsku?

Zacisnął usta. Incydent ze Stefcją Czubytówną zatruwał mu wspomnienie tego wieczoru. Baśka zapewne starała się nie okazywać niesmaku, jaki wtedy odczuła. Ale jemu wydawało się, że pożegnanie z nią na lotnisku wypadło jakoś sztywno i chłodno. Był z siebie niezadowolony i to uczucie powracało ustawicznie, ilekroć myślał o niej. A te myśli nawiedzały go znacznie częściej niż dotychczas...

Nie zastawszy również Dylyoskiego, którego z kolei szukał i w mieszkaniu, i w redakcji, spędził czas do wieczora na zwiedzaniu Starego Miasta, zjadł kolację i poszedł na dworzec.

Pociąg nie był przepełniony, a Szary bynajmniej nie cierpiał na bezsenność. Obudził się dopiero w Chabówce, wypoczęty, jakby spał we własnym łóżku.

Pomyślał, że trzeba będzie pójść z wizytą do wujostwa Jennertów.

Ewa pi'zyjechała do nich na resztę wakacji po wędrownych wczasach na jeziorach mazurskich. Ciotka Agnieszka załamywała ręce na wieść o tej imprezie, ale wuj Adolf niespodzianie oświadczył, że nie widzi w tym nic zdrożnego.

Uważał się za człowieka myślącego realnie. Fakt, że Ewa należy do ZMP, przyjmował jako smutną konieczność. („Nie dostanie się bez lego na wyższe studia, moja kochana".) Ufał, że wpływy tej organizacji nie zdołają urobić umysłów i serc młodzieży na „komunistyczną modłę".

Co się tyczy Agnes, to nie podejrzewał jej nigdy o zdolność samodzielnego myślenia. Wpojono jej za młodu pewną ilość poglądów i zasad, ustałych, zatechłych jak woda w nie używanej, zapomnianej studni. Kierowała się nimi bezkrytycznie, wspierana w ważniejszych wypadkach życiowych praktycznym, drobnomieszczańskim sprytem Adolfa.

Zachodziło pomiędzy nimi bliskie powinowactwo charakterów, które stanowi główny warunek wzajemnego zrozumienia i zaufania, mimo powierzchownych różnic usposobień.

Byli właściwie bardzo dobranym małżeństwem. Dopiero od czasu śmierci Marii Szarej coś zaczęło mącić ich zgodne pożycie. Bolek nie domyślał się tego zresztą, a tym bardziej nie mogło mu przyjść do głowy, że nieświadomą przyczyną takiego stanu rzeczy jest Ewa.

Ewa pisała do niego, że wuj Adolf otacza ją szczególną opieką i zaspokaja wszystkie jej potrzeby materialne. Była mu za to wdzięczna; uważała, że bardzo się zmienił na korzyść, „można go było polubić". Jego staraniom zawdzięczała między innymi, że została przyjęta do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie trudno było się dostać.

Mimo to perspektywa wizyty u wujostwa nadal napełniała Szarego niechęcią.

Była niedziela. W domu Jennertów panowała uroczysta, jakby wyjęta na ten dzień z szafy, pachnąca naftaliną od-

świętność: zdejmowano pokrowce z mebli, wuj Adolf wkładał

koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, ciotka zaś przyozdabiała się całą posiadaną

biżuterią. Potem szli pod rękę do kościoła, a wracając wstępowali do kawiarni. Obiad spożywali w restauracji lub u znajomych, a na podwieczorek zwykle zapraszali do siebie tych, u których byli na obiedzie poprzedniej niedzieli.

Zdarzało się niekiedy dawniej, że tego zaszczytu dostę-



powiała również Mafia Szara i jej dzieci. Podwieczorek miał w lakich wypadkach stanowić nagrodę dla Ewy i Fiolka za dobre postępy w nauce lub za pomyślne przejście z klasy do klasy.

Jedli wówczas krem z bitej śmietany z biszkoptami, pili kakao i nudzili się śmiertelnie przez dwie godziny udając, że grają w szachy lub oglądając niezliczone albumy z fotografiami rodzinnymi.

Wieczorem, zaraz po wyjściu gości, zakładano z powrotem pokrowce, Adolf Jennerl pozbywał się sztywnego koł-

nierzyka, Agnes przywdziewała buraczkowy szlafrok w zielone kwiaty, po czym oboje słuchali zagranicznych audycji radiowych i wreszcie udawali się na spoczynek.

Tak Bywało dawniej, a Szary nie wyobrażał sobie, żeby teraz mogło być inaczej. Ale Ewa w swoim ostatnim liście wspominała, że cieszy się na pobyt w Zakopanem, więc może jednak...

Wizyta u Jennerłów trwała krótko i nie była szczególnie uciążliwa. Wuj Adolf był w doskonałym humorze, klepał

siostrzeńca po ramieniu, właściwym sobie protekcyjnym tonem pytał, czy Szary nie zrobił znów jakiegoś epokowego wynalazku: Jakiś odrzutowy szybowiec? A może narty ze skrzydłami, takie „szago-łoty”? — zaśmiewał się z własnych dowcipów, a potem, już na serio, unosił się nad zdolnościami rysunkowymi Ewy.

Jeszcze rok temu nie wyrażał się o niej inaczej, jak „ten ładny głuptas” — pomyślał Szary. — Może naprawdę się zmienił?

Gdy mu pozwolono dojść do słowa, zapytał o siostrę i dowiedział się, że pojechała do Czorsztyna w towarzystwie kuzyna Wicka i „pewnego Napoleona”.

— Napoleona? — powtórzył. — Może Dytyńskiego?

Okazało się, że tak i Szary zaczął podejrzewać, czy to nic był główny powód, dla którego Ewa tak się cieszyła na Zakopane.

Jego przelotny uśmiech nie uszedł uwagi wuja Adolfa.

— Co o nim myślisz? — spytał.

Szary wydobył na wierzch cały zasób superlatywów, jakim rozporządzał na chwałę Gruszki.

— No widzisz — powiedział Jennert do żony.

Agnes uniosła brwi w górę z wyrazem powątpiewania.

— Na szczęście jest tam z nimi brat Karol — westchnęła sznurując wąskie wargi.

Do brata Karola miała nieograniczone zaufanie. Przede wszystkim wyleczył ją z jakichś dolegliwości żołądkowych, poza tym zaś był

zakonnikiem, osobą niemal duchowną.

Szary wysłuchiwał tego z należnym zainteresowaniem i dowiedziawszy się jeszcze, że Ewa i obaj jej towarzysze wrócą dopiero późnym wieczorem, poszedł do Ustupskiego, aby zakończyć przygotowania do jutrzejszej przeprowadzki.

Nazajutrz z rana troje turystów z Ewą na czele wkroczyło do „gołębnika”. Szary siedział na skrzynce z książkami, pośród mebli zabezpieczonych do transportu ramami z desek, czekając na zamówiony wóz. Przybyli, żeby dopomóc w załadowaniu tego dobytku. Brat Karol chwycił Szarego w swoje potężne ramiona, a potem potrząsał jego dłonią, jakby mu ją chciał wyrwać ze stawów. Lecz Bolek odwzajemnił mu się równie mocnym uściskiem, co go widocznie trochę zaskoczyło.

—Ale ty masz krzepę! — powiedział z uznaniem.

—Nareszcie trafił swój na swego — ucieszył się Gruska. — Ja już mam wszystkie palce spuchnięte od tych jego niedźwiedzich karesów.

—Ty jesteś delikacik — odrzekł Wicek Jennert. — Ale i z ciebie dałoby się zrobić mężczyzną, jeżeli...

—Jeżeli masz na myśli coś w twoim rodzaju, to nie — zastrzegł się Dytyński.

Ewo kazała im przestać.

—Nie masz pojęcia, co ja mam z nimi za kłopoty — powiedziała do Bolka. — Ciągłe sobie doeinają.

—To on się nade mną znęca — westchnął Gruska, — Pan Bóg go stworzył na zbójnika, nie na lekarza i to w dodatku zakonnego!

—Na zbójnika? — powtórzył Szary. — Wicek przecież był zbójnikiem, pamiętasz, Ewo?

Pamiętała, oczywiście. To było chyba z dziesięć lat temu, jak się bawili w zbójników. Mieli swoją pieczarę wygrzebaną w wysokim brzegu Białego, gdzie składali „skarby” i więzili strażników, którymi dowodził

Felek Ustupski. Wicek Jennert już wtedy miał pociąg do medycyny: członkowie zbójnickiej bandy, której był hersztem, odznaczeni byli bliznami w kształcie litery V na prawym ramieniu i on właśnie im te blizny wydrapywał ostrym końcem straszliwego fińskiego noża odkażonym w spirytusie, po czym robił opatrunki z liści polnej babki. Goiło się świetnie, a blizny miały przy tym wystarczającą trwałość.

— Barbarzyńca — mruknął Gruska wysłuchawszy tego opisu.

Szary pomyślał, że Wicek, dziś raczej brat Karol, niewiele się zmienił. Już wtedy był barczysty i silny, wesoły i pełen życia. Z jego sympatycznej, choć nieładnej twarzy o wydatnych kościach policzkowych i niedużych, niebieskich oczach w jasnej oprawie, nigdy nie. zniknął wyraz pogody i dobroci. Miał niesforne, sztywne, sterczące włosy, krótko przycięte jak i teraz. Nie był szczególnie nabożny, a w każdym razie nie miał w sobie nic z bigota, i taki pozostał nadal. Jego zdaniem ludzie zbyt często i natarczywie zanudzali Stwórcę swymi głupimi kłopotami, zamiast uporać się z nimi bez jego interwencji. Uważał to za nie-

łężstwo i lenistwo lub po prostu za bezczelność.

Skończywszy medycynę, wstąpił do klasztoru, ponieważ upodobał sobie szczególnie zakon albertynów za jego sama-jj rytańską działalność. Znalazł tam dach nad głową, skromne wyżywienie, regułę niezbyt surową i ogromne pole do pracy w całej rozległej okolicy klasztoru.

Mówił o sobie, że jest misjonarzem higieny, zdrowia i kultury.

Nawracał brudasów, zwalczał przesady i zabobony, tępił znachorów, kolportował gazety i książki.

Chłopi uważali go za świętego, niektórzy proboszcze za heretyka, nauczycielstwo za swego sojusznika, przeor za nie najgorszego chrześcijanina, pomniejszych władze terytorialne za nieszkodliwego dziwaka.

Czuł się znakomicie wśród tych różnych poglądów na swoją pracę i oddawał się jej z wielkim zapałem.

Ewa zaznała go z Półkiem Dytyńskim, który często bywał w Krakowie, i ta znajomość bardzo prędko zmieniła się w przyjaźń.

Szary słuchał tych szczegółów udzielanych mu dość chaotycznie w czasie ożywionej rozmowy i sam opowiadał trochę o sobie, póki nie nadjechał Llstupski z wozem. Wzięli się do znoszenia rzeczy, przy czym pomoc brata Karola okazała się po prostu nieoceniona, a następnie wtaszczyli na górę cały niewielki dobytek Felka i pojechali na dworzec, aby wysłać meble Szarego do Bielska.

Tylko Gruszka nie wziął udziału w tym zbiorowym czynie: oświadczył, że dźwiganie ciężarów dobre jest dla zbójników i górali; on jest człowiekiem z nizin, poza tym zaś rozwinął w sobie raczej potęgę ducha i umysłu niż ciała. Ofiarował się, że za to przygotuje dla nich piknik w „gołębniku” i poszedł po zakupy.

To, co tam zastali powróciwszy z dworca kolejowego, Wyglądało raczej na ucztę Gargantui niż na piknik. Sam Franciszek Rabciais w oberży swego zacnego ojca nie zasiadał chyba do obficiej zastawionego stołu.

Stołu wprawdzie nie było, ponieważ Ustupski miał go dopiero później otrzymać od krewnych, ale Dytyński z wrodzoną sobie zaradnością pożyczył od sąsiadów deskę do prasowania bielizny i oparłszy jej końce na dwóch stołkach, ułożył na niej stosy wędlin,

grzybków, ogórków, pomidorów, sery, masło, jakieś sałatki i galaretki z ryb zdobyte w pobliskim sklepie spożywczym, a wszystko to obwarował butelkami czerwonego wina.

Stał pośrodku nie sprzątniętego jeszcze pokoju, przepasany złożonym w trójkąt prześcieradłem jak fartuchem, z rącznikiem przewieszonym przez lewe ramię i zapraszał „gości”, po czym sam dał znakomity przykład, jak powinno się pokrzepiać nadwątlone siły cielesne, na których mu rzekomo zbywało.

Szary został w Zakopanem jeszcze przez cały dzień następny i wyjechał dopiero wieczorem, aby urządzić swoje mieszkanie u Finsego przed kursem wycynowym w Lisich Kątach. Gruszka wybierał się tam również, choć nieco później, w nadziei, że znajdzie ciekawy temat do felietonów sportowych. Mieli się spotkać za tydzień.

Przybywszy do Bielska, Szary przede wszystkim dowiedział

się o miejscowej sensacji: w Szybowcowych Zakładach Doświadczalnych wykryło nadużycia pieniężne; w podręcznej kasie drobnych wypłat, którą zawiadywał księgowy Hu-bei<sup>a</sup>, brakowało kilku tysięcy złotych; oprócz Hubery podejrzanym był

praktykant techniczny Władysław Bieniek i urzędniczka biura kadr Stefania Czubryłówna. Wszyscy troje zostali aresztowani, lecz Stef cię zwolniono nazajutrz po rozpoczęciu śledztwa.

— Naturalnie wyleją dziewczynę z pracy — powiedział do Szarego Ziębicki, który pierwszy udzielił mu tej wiadomości. — Teraz siedzi w domu i beczy. A latała z tymi dwoma po restauracjach, to fakt. Przepijali tam te pieniądze...

Wszystko orl czasu, jak się z tobą. pokłóciła — dodał, jakby z odcieniem wyrzutu.

Szary milczał. Nie czuł się odpowiedzialny za prowadzenie się Stefcy, jakkolwiek miał pewne skrupuły co do swego dawnego z nią postępowania.

—Ja naturalnie do ciebie nie mam pretensji — zastrzegł się Ziębicki.

— Nawet kiedyś chciałem ci powiedzieć... no, żebyś wiedział, jak ona się prowadziła, zanim zaczęła z tobą. Ale myślałem, że się zmieni. I masz! Cholera, psiakrew! Tylko wstydu się człowiek przez taką naje.

—Przecież ona nie kradła — odrzekł Szary. — Ani ich do tego nie namawiała.

—A kto ją tam wie! — wybuchnął Alojzy. — Teraz dopiero aż się gotuje od plotek. Każdy swoje dokłada. No, ma, na co zasłużyła.

Finse miał nieco inny pogląd na los Stefcy. Była u niego zaraz po zwolnieniu z aresztu; chciała się zobaczyć z Szarym, ale nie powiedziała po co. Stary majster domyślał się tego częściowo.

—Ona nie jest znów taka ostatnia — powiedział zapalając fajkę i spoglądając spode łba na Szarego.

—A kto mówi, że ostatnia? — obruszył się Szary.



—Przede wszystkim kumoszki — odrzekł Finsc. — A także ci, co ich odpaliła. Tacy są najgorsi, rozumiesz? Wodziła ich za nos. robiła do nich oko i nic. Gdybym nie był taki stary i sparciały, myślałbym, że i cło mnie robi. Słowo daję! I może robi! Takie już ma usposobienie. Ale co z tego? Nie wolno jej, czy co?

Szary nie wiedział, do czego on zmierza.

—Pewnie, że wolno — mruknął. — Ale po co się zadawała z tymi dwoma?

—Właśnie! Nie wiesz?

—Ja? A cóż ja z tym mam wspólnego?

—Pewnie ją o to zapylają...

—Kto?

—Właśnie jeszcze na pewno nie wiem. Może zarząd /.\IP, może rada zakładowa, może dyrekcja. No, coś z tym muszą zrobić, a dziewczyna ma teraz większość przeciw sobie. Jak się komu noga powinie... Ludzie już są tacy: póki jesteś na równej drodze, nawet ci pomogą, podeprą, ulżą; ale jak wpadniesz do rowu z błotem, to cię jeszcze kopną. psjie wszyscy, naturalnie — dodał po chwili — ale takich nie brakuje...

— A mnie do których zaliczacie? — nastawa! Szary.

Finse jakby nie dosłyszał tego pytania. Ssał fajkę, która znów mu zgasła, a potem powiedział:

— Tamci dwaj ją wciągnęli. Teraz ktoś jej powinien pomóc, rozumiesz?

Spojrzał mu prosto w oczy, odwrócił się i odszedł.

Niewysoki, śniady ślusarz z działu mechanicznego przyznał, że dawniej często przebywał w towarzystwie Czubrytówny. Miał

chmurne spojrzenie i wydawał się nieśmiały. Zanim odpowiedział

na pytanie przewodniczącego, zdawał się skupiać, jakby w wysiłku, aby uporządkować słowa, które zamierzał

wypowiedzieć.

Tak, przyjaźnił się z nią; często z nią tańczył na wieczorkach w świetlicy i odprowadzał ją do domu. Spotykali się też gdzie indziej. Gdzie? W mieście. Chodzili często do kina.

Przewodniczący, osobnik o długiej, bladej twarzy mającej w sobie coś baraniego, musiał z niego wyciągać każdą odpowiedź.

Zapytał, czy Czubrytówna bywała w jego mieszkaniu.

— W moim mieszkaniu? — powtórzył świadek. — Ja mieszkam u siostry, przy rodzinie szwagra.

— Ale czy tam bywała Czubrytówna, u was?

Chłopak milczał. Jedna z dziewcząt zasiadających w prezydium, chuda i koścista, z olbrzymią szopą ciemnych włosów, sztywnych jak lekko karbowane druty, pochyliła się ku przewodniczącemu, żeby mu coś szepnąć do ucha. Skinął swą baranią głową i uśmiechnął się.

— Widziano Czubryłównę wychodzącą z tego mieszkania nad ranem — powiedział. — Musiała tam u was noco wać.

Tym razem odpowiedź padła natychmiast\* jakby zawczasu przygotowana:

. — Nocowała, jak były imieniny mojej siostry.'

Przewodniczący znów naradzał się ze swoją sąsiadką.

—Jak waszej siostrze na imię? — spytał.

—Toła. Antonina — poprawił się tamten.

—

Często obchodzi imieniny — zauważył ktoś na sali.

Rozległy się śmiechy. Chuda dziewczyna wymieniła po rozumiewawcze spojrzenie z przewodniczącym.

— Proszę się uciszyć! — zawołał ten ostatni.

Następne jego pytanie dotyczyło sprawy podarunków; czy dawał je Czubryłównie?

Chłopak zaprzeczył.

— A kto płacił za bilety do kina i kto ponosił koszty innych rozrywek?

—Ja — odrzekł zapytany. — Ale to nie były duże wydatki.

— Tania dziewczynka — odezwał się ten sam głos z ostatnich rzędów.

Znów buchnął śmiech, głupawy, złośliwy, szyderczy.

Przewodniczący go nie uciszał. Wśród gwaru, jaki potem zapanował, wywołał głośno nazwisko Stefci. Sala umilkła.

Padły teraz pytania o Huberę i Bieńka. Czy bywała w ich pokoju, czy wiedziała, skąd mają pieniądze, czy przyjmowała od nich prezenty, ile wynosiły rachunki w restauracji, jakiego rodzaju stosunki łączyły ją z aresztowanymi,

Odpowiadało z trudem, siląc się na spokój. Każde słowo zdawało się palić jej usta.

Szary siedział jak na rozżarzonych węglach, Wreszcie nie wytrzymał: poprosił o głos w sprawie formalnej.

Przede wszystkim wyraził mniemanie, że tego rodzaju dochodzenia powinny się odbywać przy drzwiach zamkniętych, nie publicznie. Po wtóre zapytywał, czy sekretarz POP \*, rada zakładowa i dyrekcja wiedzą o tym zebraniu tak nagle zwołanym przez zarząd miejscowego koła ZMP i o jego celu. Czy wreszcie zarząd ma prawo roztrząsać

sprawę będącą przedmiotem nie ukończonych jeszcze dochodzeń prowadzonych przez prokuraturę, nie czekając na ich wynik i na wyrok sądu.

Przewodniczący świdrował go wzrokiem, koścista niewiasta o drucianej szopie włosów nad niskim czołem zaciskała wargi ze złością, ale inni członkowie prezydium zdawali się mieć wątpliwości, a sala milczała, zaskoczona i niepewna.

—Skończyliście? — spytał przewodniczący, gdy Szary usiadł.

\*

—Na razie tak. Czekam na odpowiedź.

Udzielono mu jej: zarząd nie potrzebuje pytać nikogo o pozwolenie na zwoływanie zebrań ani powiadamiać o nich dyrekcji, POP lub rady zakładowej; nie roztrząsa się tu sprawy nadużyć Hubery, tylko sprawę prowadzenia się członka ZMP, Stefanii Czubrytówny; jeśli zaś chodzi o to, że ta sprawa omawiana jest otwarcie... Przewodniczący zrobił małą pauzę i objąwszy wzrokiem obecnych zatoczył ramieniem szeroki luk.

—Wszyscy tu jesteśmy towarzyszami — powiedział z patosem. — Wszyscy jesteśmy jedną rodziną! Braćmi!

—Ale nie wszystkie towarzyszki są naszymi siostra-mi! — zawołał znów dowcipniś z ostatnich rzędów. — Na szczęście! —dodał wśród wybuchu ogólnej wesołości.

Szary wsiał nie czekając na dalszy ciąg wyjaśnień i sam zaczął mówić. Jego donośny głos natychmiast zapanował nad wrzawą.

— Koledzy! — zawołał. — Mnie się wydaje, że nie wszyscy zgadzamy się z przewodniczącym. To, co się tu od bywa, przypomina zebranie jakiegoś sądu kumoszek i de-wolek nad rzekomo rozwiązłym postępowaniem Czubryłów-ny. Stróże jej moralności oblizują się z uciechy, że mają oka zję publicznie grzebać w tak bardzo osobistych sprawach pod pozorem troski o czystość i cnotę w naszych szeregach. Kie ruje nimi albo niezdrowa, obrzydliwa ciekawość, albo źle zrozumiana, drobnomieszczańska moralność.

Sypnęły się brawa.

— Ja bym się tu raczej zastanowił — powiedział Szary — jak pomóc koleżance Czubrytównie.

Umilkł na chwilę, obejrzał się na siół prezydialny.

—Myślę, że jakby tu z nami teraz był ktoś bardziej doświadczony, na przykład laki towarzysz Stokowski albo Finse, toby nam doradził, jak to zrobić. No, ale może i sami coś wymyślimy. Tylko to musi być pomoc ludzka, życzliwa, nie taka z kazalnicy, z morałami o cnotcie.

—Czubrytówna źle zrobiła, zadając się z Iluberą i Bieńkiem —mówił dalej. — To fakt. Ciągnęli ją na wódkę, psuli jej opinię, to także fakt. Ale, widzicie...

—A może coś samokrytycznie o sobie? — przerwał mu głos z głębi sali. — Wyście też z nią kombinowali!

—Zaraz będzie i o mnie — odrzekł spokojnie Szary. —Cierpliwości.

Ta jego zapowiedź wywołała poruszenie, po którym zaległa napięta cisza.

— Więc widzicie — ciągnął pal rżąc po skupionych twa rzach — to już lak jest, że ludzie nie interesują się przyczyną cudzego fałszywego kroku, tylko jogo skutkami. Nie wnikają w okoliczności i pobudki — widzą tylko to, co oczywiste. Kto z nas, kto z prezydium zapytał, co skłoniło Czubrytównę do tego fałszywego kroku?

Może ona sama nie umiałaby odpowiedzieć? Ale trzeba znaleźć prawdziwą odpowiedź po to, żeby jej teraz pomóc. Mnie się zdaje, że ja tę odpowiedź znalazłem, bo sam jestem trochę winien.

—O-ho! — rozległo się z tylnych rzędów.

—Nie w tym sensie, jak przypuszcza ten kolega, co się tam kryje za plecami innych — zastrzegł się Szary. — Tak, przyjaźniłem się z Czubrytówną, to prawda. „Chodziliśmy” razem, jak się to mówi.

Popsuło się coś między nami, jak się zaczęły te wyścigi przy eksportowej serii Jaskółek, bo ja nie miałem czasu, a ona miała go aż za dużo. My wszyscy z produkcji byliśmy wtedy zajęci tylko tą serią, pamiętacie? Ale niektóre biura pracowały normalnie; między innymi kadry i księgowość, choć nawet stamtąd wielu nam pomagało. Czubrytówną nie; nikomu z nas nie przyszło na myśl, że można by ją zachęcić, wciągnąć do lej roboty. Mnie także nie. Tu słyszeliśmy zeznania kilku kolegów, którzy sympatyzowali z Czubrytówną. 1

co? Tańczyli z nią, chodzili z nią do kina, jeździli z nią na wycieczki, tak samo zresztą jak ja. Ale to nie była przyjaźń, tylko flirt, zabawa.

Bo przyjaźń, taką prawdziwą przyjaźń, ludzką, proszę was, zawiera się przy robocie, nie tylko przy zabawie. Przynajmniej mnie się tak zdaje.

Teraz oklaski trwały długo. Nikt się nie śmiał i nie dowcipkował.

— Już kończę — powiedział Szary. — Mój wniosek jest bardzo prosty. Mnie się zdaje, że powinniśmy zapropo nować Czubrytównie, żeby spróbowała pracować z nami, w którejś z naszych brygad. A to dlatego, że po pierwsze w biurze kadr przypadkiem nikogo z naszej organizacji nie ma. a po drugie, ponieważ taka zmiana zajęcia i miejsca pra cy, czy też sam rodzaj, lej pracy, może Czubrytównę tak sa-mo pociągnąć i przywiązać, jak nas. No, i myślę, że dyrekcja by się na lo także zgodziła. Więc, jeżeli ten wniosek przejdzie, trzeba dać Czubrytównie trochę czasu do namysłu, a jak się zgodzi, iść z tym do dyrekcji.

— Skończyliście? — spytał prędko przewodniczący, uprzedzając oklaski.

Szary tylko skinął głową, bo sala grzmiała już tak, że nie można było porozumieć się normalnym głosem. Trzej członkowie prezydium także klaskali. Rozległy się okrzyki:

„Uchwalić wniosek! Czubyłówna niech się wypowie! Czubrytówna!”

Przewodniczący i jego jedyna sojuszniczka z prezydium byli bezradni, mieli teraz wszystkich przeciw sobie...

Wtem Stefka wstała, przetarła oczy chusteczką, zwróciła się ku zebrany. Ucichło, a ona zaczęła głosem jeszcze niepewnym, nabrzmiętym łzami:

— Ja chciałam... chciałam podziękować koledze Szare mu... i wam wszystkim. I bardzo bym chciała pracować w produkcji, ł jeszcze... żebyście mi uwierzyli, że ani z Huberą, ani z Bieńkiem... No, że ja z nimi tylko tę wódkę, ale nic poza tym! Nic! I że już tale nigdy...

Odwróciła się i usiadła, kryjąc twarz w chusteczce. Szary zauważył, że ów śniady ślusarz z działu mechanicznego zbliżył się do niej i coś jej tłumaczył

po cichu.

Pierwszą osobą, jaką Szary spotkał w Lisich Kątach, był Marek Rysiewicz, który wysiadł z tego samego pociągu. Przywitali się chłodno.

—Kolega na kurs wyczynowy? — zagadnął Rysiewicz, gdy weszli na piaszczystą dróżkę za stacją. — Pewnie po raz pierwszy?

—Tak — odrzekł Szary. — A wy?

—O, ja tu już byłem w zeszłym roku. Zrobiło się coś niecoś.

Błyskał w słońcu złotą odznaką szybowcową, przegarniał długimi cienkimi palcami jasne włosy, które wiatr zrzucił mu na czoło, spoglądał

ukradkiem na odznakę Szarego. W końcu nie wytrzymał.

— Tak bez srebrnej was przyjęli?

Szary wyjaśnił, że ma już spełnione warunki, lecz nie zdążył kupić sobie nowej odznaki.

—Aha — powiedział domyślnie Rysiewicz. — Pewnie liczycie na zdobycie złotej? To byłoby ekonomiczniej — zaśmiał się z przymusem.

—Rzeczywiście — mruknął Szary,

Przez pozostałą część drogi nie zamienili już ani słowa, a dotarwszy na teren szkoły, rozeszli się w różne strony.

Szary od razu zgłosił się w kierownictwie, gdzie w parę minut załatwił nieliczne formalności. Otrzymał tam regulamin, program kursu i wszelkie wskazówki. Rozmawiano z nim przychylnie, po koleżeńsku. Wychodząc stamtąd wiedział, gdzie może się umyć i wykapać, że będzie mieszkał pod siódmką, o jakich porach będzie wstawał, jadał, latał, słuchał wykładów.

Trochę tu inaczej niż w Polichnie — pomyślał z uznaniem.

Bez trudu odnalazł drzwi do sypialni oznaczone numerem siódmym. Był to jasny pokój o czterech łózkach, z których trzy były już zajęte, jak na to wskazywały czasopisma, podręczniki i drobiazgi leżące na nocnych stolikach.

Rozpakował swoje rzeczy, ułożył je w wolnej szafce, poszedł do obszernej umywalni, żeby się ogolić i umyć.

Wracając rzucił okiem na kartkę z nazwiskami swych współlokatorów. Jedno z nich należało do pilota, którego między innymi poznał na Opalonym ubiegłej zimy: inżynier Jan Piotrowicz. Ucieszył się podwójnie: raz, że go tu spotka, po wtóre, że Rysiewicz będzie sypiał gdzie indziej.

Skończywszy zabiegi toaletowe, zszedł na dół, do jadalni, gdzie zastał kilku tak jak i on świeżo przybyłych uczestników kursu. Już od progu zobaczył między nimi Baśkę;

naprzeciw niej siedział Rysiewicz i opowiadał z ożywieniem coś; czego słuchała uśmiechając się, jakby trochę znudzona.

Dostrzegłszy Szarego, podniosła rękę powitalnym gestem.

— Bolek! Siadaj przy mnie, jest wolne miejsce.

Rysiewicz urwał w połowie zdania, obejrzał się trochę zdziwiony i umilkł na dłuższą chwilę, podczas gdy Szary witał się z Baśką,

—Już się bałam, że nie przyjedziesz — powiedziała. — Byleś u mnie w Warszawie?

—Tak. Twoje koleżanki powiedziały mi..; —Zrobiłeś na nich piorunujące wrażenie — roześmiała się.

—Musiałem mieć straszliwie głupią minę. Nie wiedziałem o niczym...

—O twojej minie mówiły zupełnie coś innego. Musiałeś z nią szczególnie korzystnie wyglądać. Zresztą wcale w to nie wierzę.

Powiedz, która ci się lepiej podobała: Wanda czy Irena?

—Nie wiem, która jest Wanda, a która Irena — wyznał Szary. —Obie z pewnością są urocze, ale nie umiałbym powiedzieć, jak wyglądają. Aha: jedna była w czerwonym swetrze...

—To Irena. Straszni są ci mężczyźni! — westchnęła. — No, nie wszyscy. Pan Marek na przykład z pewnością dostrzegłby szczegóły ich urody.

—Z pewnością — potwierdził Rysiewicz. — Panią poznałem od pierwszego spojrzenia — dodał z galanterią.

—Och, mnie! Mnie uczył pan latać.

—To była dla mnie prawdziwa przyjemność — skłonił się patrząc jej w oczy.

—Poza tym upamiętniłam się grą na grzebieniu... pewnego wieczoru... spoza firanki co prawda. Pamięta pan tę melodię?

Rysiewicz zmieszał się. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Baśka przestała na niego zważać, jakby nagle zapomniała o jego istnieniu. Gniewało go to; spostrzegł dopiero teraz, że kpiła sobie z niego, a on brał jej słowa za dobrą monetę! Nie był przyzwyczajony do takich żartów.

— Nie przeszkadzam — bąknął po chwili i wstał od stołu.

Raczyła to usłyszeć.

— O, wcale pan nam nie przeszkadza — rzuciła obojętnie, spoglądając na niego przez ramię.

To jej perfidnie zdawkowa grzeczność wydała mu się] po prostu obelgą.

Mści się na mnie za to, że w Polichnie jej nie asystowałem —pomyślał.

A swoją drogą, jak się to stało? — zastanawiał się idąc po schodach na górę. — Takie oczy! Że ja tego wtedy nie zauważyłem...

Był trochę rozgoryczony; przecież chcieli ją skreślić z kursu, a on ją ratował. Tak przynajmniej to sobie teraz wyobrażał. W głębi ducha podejrzewał, że Barbara podobała się także Koźbiarowi. W przeciwnym razie nie wyszła-by zwycięsko z tej próby. Tak jak Halina...

Na wspomnienie Haliny Doboszówny uśmiechnął się. Zabrał ją Szaremu sprzed nosa. No, nic nadzwyczajnego w tym nie było: wiedział, że jest przystojny, że wywiera duże wrażenie na dziewczętach.

Wszedł do umywalni, przejrzał się w lustrze. Wróciła mu pewność siebie. Gdyby tylko zechciał...

Kurs wyczynowy ruszył tego samego dnia, gdy tylko termika poranna zaczęła się budzić. Szybowce — Jaskółki, Muchy, Bociany, jeden po drugim wyłaniały się z hangaru, pełzły na start w otoczeniu niewielkich grup pilotów i mechaników. Dwa samoloty CSS-13 holowały je w powietrze, ostro nurkując schodziły w dół, aby zrzucić liny holownicze, lądowały i startowały znowu, sprawnie, szybko, bez straty czasu.

W górze pod tworzącymi się cumulusami krążyło po pięć, po sześć szybowców naraz, każdy w swoim rejonie. Koło godziny dziesiątej kilku pilotów wyruszyło na przeloty i trójkąty.

Cały ten ruch regulował wysoki, szczupły człowiek, kierownik wyszkolenia, Łankowski, którego Szary poznał zaledwie przed dwiema godzinami zgłaszając swoje przybycie. Dwaj instruktorzy porozumiewali się z nim w paru słowach, czasem tylko pytającym gestem, na który zwykle odpowiadał skinieniem głowy.

Miał pogodną, spokojną twarz i poważne spojrzenie. Podchodził do pilotów, ujmował ich pod rękę, zadawał kilka pytań, coś wyjaśniał i wyprawiał w powietrze. Od czasu do czasu zwracał się do któregoś z mechaników:

„Jaskółkę na przelot za kwadrans”. Albo: „Muchę na trójkąt”.

Jaskółka czy też Mucha zjawiała się na starcie prowadzona przez pilotów, których nikt do tej czynności nie wyznaczał. Ciągnęli ją zarówno ci, co mieli srebrne odznaki, jak i asy z diamentowymi, bez różnicy.

Szary zauważył, że Łankowski ma złotą odznakę, lecz bez diamentów. Trochę go to zdziwiło. Pilot, który kierował treningiem i lotami wyczynowymi szybowników najwyższej klasy, sam nie zdobył

jeszcze ani jednego diamentu?

—Nie ma na to czasu— wyjaśnił mu inżynier Piotrowicz. — Jak są dobre warunki, siedzi tu cały dzień, żebyśmy mogli je wykorzystać.

Gdyby mniej dbał o nas, a więcej o siebie, dawno by świecił trzema diamentami, a może i parę rekordów by nam odebrał. Odkłada to na później, na jakąś przerwę między



turnusami. No, a wtedy sprzyjających warunków nie ma...

—Trzeba będzie którego dnia zastrajkować — powiedział półżartem ktoś z „diamentowców”. — Inaczej nie polecą.

Przyciągnęli na start Bociana i Bolek chciał zaraz wrócić do hangaru po Muchę, która była potrzebna jednemu z instruktorów, gdy Łankowski go zatrzymał.

— To dla was ten Bocian, kolego Szary.

Wyjaśnił mu w paru zdaniach, że każdy, kto po raz pierwszy bierze udział w kursie, powinien odbyć jeden lot dwusterowy z instruktorem.

— Nie dlatego, żebym do was nie miał zaufania — do dał — tylko, żeby wam pomóc w orientacji. No i żeby was poznać. Polecimy razem.

Podano im spadochrony, zaczepiono linę do samolotu, który właśnie wylądował.

— Startujcie — powiedział Łankowski.

Po wymianie sygnałów samolot ruszył, pociągnął, nabrał pędu.

Bocian sunął za nim, dobijając na nierównościach, póki Szary nie dźwignął go lekkim ściągnięciem drążka.

Gdy już byli w powietrzu, Łankowski rzucił kilka uwag dotyczących utrzymania prędkości przy holowaniu, w krążeniu i w locie ślizgowym.

Potem kolejno wskazał najczęściej działające terenowe ogniska termiczne.

—To się może przydać, prawda? Szary skinął głową.

—Naturalnie!

Odczepili się na wysokości pięciuset metrów, pomiędzy Grudziądzem a lotniskiem w Lisich Kątach. Szary łatwo znalazł komin o dwumetrowym wznoszeniu i zaczął w nim krążyć.

Prędkość prądu niebawem wzrosła do dwóch i pół, potem do trzech metrów. Przyczyną tego był świeży, rozrastający się obłok, który żeglował z wiatrem w stronę Wisły.

Wkrótce weszli w jego podstawę, a wariometr pokazał trzy i pół metra na sekundę.

—Dobrze nosi — powiedział Szary.

—Dobrze wycenrowany komin — odrzekł Łankowski. Ta pochwała wypowiedziana bez nacisku, jakby się to samo przez się rozumiało, że właściwe wycenrowanie wznoszenia należy do elementów lotu żaglowego całkowicie opanowanych przez Szarego, sprawiła mu szczególną przyjemność.

"— Przełóżcie szybowiec w przeciwny zakręt — powiedział

Łankowski.

Bolek wykonał ten dość trudny manewr bez zarzutu, natychmiast odnalazł środek komina i wykręcał się wciąż wyżej.

— Spróbujcie wyjść w kierunku na lotnisko — usłyszał za sobą.

Spodziewał się tego; zapamiętał dokładny kurs i położenie głównych obiektów terenu w stosunku do róży wiatrów.

Wyprowadził Bociana z zakrętu, uspokoił busolę, poprawił kierunek i czekał.

Wyskoczyli z wnętrza obłoku nad samym środkiem Wisły, na wysokości półtora tysiąca metrów. Na prawo, głęboko w dole leżał Grudziądz. Lisie Kąty były wprost przed nimi.

— Możemy schodzić — powiedział Łankowski. — Jak macie ochotę, to moglibyście wziąć Muchę i zrobić sobie dla treningu trójkąt. Powiedzmy: Lisie Kąty—Chełmno—Wąbrzeźno—Lisie Kąty. To będzie około dziewięćdziesięciu kilometrów. A jeżeli jutro będą równie pomyślne warunki, to spróbujcie pójść na przelot.

Trójkąt wyszedł Szaremu wcale nieźle, przy średniej prędkości prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale nazajutrz pogoda się zepsuła i o przelotach nie można było myśleć.

Dopiero w kilka dni później, po przejściu frontu chłodnego wraz z porywistym północno-zachodnim wiatrem, znów nastąpiły pomyślniejsze warunki przelotowe. Szeregi kłębiastych białych obłoków płynęły na południowy wschód, w stronę Warszawy, i Szary miał nadzieję, że tym razem zdoła przelecieć ponad trzysta kilometrów z ich pomocą i z owym chłodnym wiatrem, który je poganiał.

Wystartował o dziesiątej, zaopatrzony w mapę, kalkulator nawigacyjny i dobre rady bardziej doświadczonych kolegów, nie mówiąc już o poważnym ładunku wiedzy teoretycznej, który zdobył podczas wykładów i dyskusji. Odczepił się nad północnymi krańcami Grudziądza wśród burzliwych, niespokojnych, lecz silnych wznoszeń rzędu dwóch do czterech metrów i osiągnąwszy w nich półtorakilometrową wysokość wziął

kurs na Warszawę.

Na razie nie wchodził w chmury, których podstawy leżały tu jeszcze o paręset metrów wyżej. Wariometr nie wskazywał

opadania z wyjątkiem krótkich chwil, kiedy rzucało mocniej i kiedy wskazówka zaczynała wachlować od zera w dół. Szary spoglądał na nią pobłaźliwie, kiwał głową do taktu, jakby potwierdzając, że doskonale wie o tych alarmujących objawach, którymi jednak nie trzeba się przejmować, Jakoż za każdym razem okazywało się, że miał rację: nerwowe dreszcze skrzydeł, nagłe przysiady i potknięcia się Muchy mijały; szybowiec

unosił się w górę, jakby na gładkim, wygiętym w łuk pomoście i znów płynął z wiatrem, prawie nie opadając.

Lecz gdy minął tor kolejowy do Brodnicy, strefa wznoszeń skończyła się nagle, jak odcięta nożem. W kierunku na Osiek i Rypin białe cumulusy rozlewały się w bezkształtną masę warstwową, przez którą tylko tu i ówdzie przenikały promienie słońca, a wariometr zdecydowanie zjechał poniżej zera.

Pierwszy kryzys — pomyślał Szary.

— Nie damy się nastraszyć — powiedział do Muchy.

Mucha nie zareagowała na tę przechwałkę, a strzałka wariometru jak na złość opadła niżej.

Szary jeszcze się tym nie przejął. Miał tysiąc dwieście metrów. Zwiększył tylko prędkość, żeby minąć ten nieprzychylny obszar.

Na pięciuset metrach przeszedł przez parę niewielkie!

kominów o prądach od połowy do jednego metra na sekundę. Zlekceważył je. Gdzieś przecież musiało „nosić” tak, jak nad Grudziądem!

Ale nie „nosiło”... Na lewo, w stronę Brodnicy i Nowego Miasta, piętrzyły się cumulusy i cumulonimbusy \*; na wprost był

kit; warstwowy kit, który mógł się rozciągać nawet aż po Warszawę...

Nie ma rady: trzeba zboczyć — pomyślał Szary.

Zmienił kurs na północno-wschodni, lecz zanim znalazł się w słońcu, miał już tylko sto metrów. Przeraził się: jeżeli zaraz, za chwilę nie znajdzie jakiegoś kominu, zakończy niesławnie ten trzystukilometrowy przelot o czterdzieści kilometrów od lotniska...

Żałował teraz owego metrowego wznoszenia, które tak nieopatrznie minął. Nad jakąś porębą wśród lasu natrafił na zero i zaczął krążyć, w nadziei, że wycentruje choćby przemijający komin. Przez kwadrans „zebrał” na nikłym dynamicznym prądzie terenowym o półmetrowej prędkości i odszedł dalej, mając pod sobą zaledwie sto pięćdziesiąt metrów.

Niewielkie luki między chmurami przepuszczały wąskie snopy słonecznych promieni, pod których wpływem powstawały bańki termiczne zanikające po kilku okrążeniach. Minuty ciekły wśród obawy i niepewności, czas upływał i nic się nie zmieniało, tylko wiatr zdawał się ucichać...

Dopiero za Drwęcą, u ściany wysokiego lasu obudził się znowu, targnął szybowcem, podbił go w górę i nagle wariometr zameldował: dwa metry!

Szary wykręcił prawie pięćset, przeskoczył dalej ku północy, napotkał inny komin, w trzymetrowym prądzie minął Brodnicę i wszedł w podstawę cumulusa na wysokości tysiąca pięciuset metrów.

Niosło go coraz wyżej, coraz prędzej. Przestał krążyć i położył się na kurs 120°, rezygnując z przelotu wprost z wiatrem.

Chcąc ominąć ów „kit”, z którego wymknął się przed chwilą, mógł

lecieć w kierunku na Białystok lub na Białą Podlaską. Wybrał tę drugą ewentualność z dwóch powodów: po pierwsze odległość pomiędzy Lisimi Kątami a Białymstokiem wynosiła nieco mniej niż trzysta kilometrów, musiałby więc lądować dalej na wschód; po wtóre orientacja na trasie do Białej Podlaskiej pomiędzy Liwcem a Bugiem wydała mu się łatwiejsza.

Wiedział już bowiem, że większą część tego lotu odbędzie w chmurach., schodząc tylko od czasu do czasu poniżej ich podstawy lub spoglądając na ziemię w krótkich przerwach i lukach pomiędzy nimi.

Musiał przyjąć tę taktykę, jedynie właściwą podczas zachmurzenia zmiennego, przy termice naniesionej, gdy użytkowe prądy wstępujące powstają znacznie wyżej niż w innych warunkach i gdy ich strefy poprzedzielane są rozległymi obszarami martwoty termicznej\*.

Leciał teraz w białym gęstym tumanie, który otaczał go jak wata.

Nawet w przerwach między wielkimi obłokami nie dostrzegał szczegółów terenu, przesłanianych przez małe, jakby oderwane od głównej masy kłaczkę i strzępy pary.

Zdawało mu się, że choć to trwa już wicie godzin, szybowiec prawic nie posuwa się naprzód, tylko raz wznosi się z wolna, raz opada wśród zmiennego nurtu o niespokojnych wirach.

W jakiejś chwili spojrział na zegarek i przekonał się, że od czasu, gdy minął Brodnicę, upłynęło półtorej godziny. Wariometr nadal wskazywał

wznoszenie, więc korzystając z tego zwiększył prędkość do stu pięćdziesięciu kilometrów.

Po jakimś czasie wypadł z chmur i spojrział w dół, na odległą ziemię. Widział ją wyraźnie, ostro, zarówno tam, gdzie była oświetlona słońcem, jak w cieniu obłoków. Płynęła wolno na dnie głębokiej studni między kłębami cumulusów, płowo-zieloną, z prostokątnymi łatanami brązowych i brunatnych podorywek, z ciemnymi liszajami lasów, z połyskliwymi lusterkami jezior i popielatymi liniami dróg. Dostrzegł wątle pasma dymów nad dachami wiejskich chat, dymów wleczonych silnym wiatrem na południowy wschód, skośnie do kursu, którym leciał. Mimo to nad polnymi drogami nie było widać kurzu. Wywnioskował, że przeszły tędy przelotne deszcze.

Zaraz i mnie pokropi — pomyślał patrząc na ciemne, spiętrzone chmury przed sobą. — To wygląda poważnie; może nawet na burzę...

Przeniósł spojrzenie w dół, aby porównać teren z mapą, zanim ziemia zniknie mu sprzed oczu. W tej chwili dolna krawędź

potężnego cumulusa przesunęła się nieco, odsłaniając wstęgę rzeki wijącą się z lewa

na prawo.

Błysk słońca uderzył w powierzchnię wody, załśnił na chwilę oślepiająco i znikł. Za rzeką czerniały lasy, a na wyższym, zachodnim brzegu rozsypało się miasteczko, z którego w różne strony, promieniście wybiegły cztery szosy.

Pułtusk — pomyślał Szary. — To musi być Narew, bo nie ma w pobliżu innej większej rzeki prócz Bugu. Ale gdyby to był

Bug...

Spojrzał na mapę i stwierdził, że jedynym tej wielkości miastem nad Bugiem mógłby być Wyszaków. Lecz przez Wyszaków przechodzi z północy na południe tor kolejowy. Tu nie było toru.

Pułtusk — upewnił się wreszcie. — Sto osiemdziesiąt kilometrów.

Zegar pokładowy wskazywał godzinę trzynastą trzydzieści. Z

prostego obliczenia otrzymał przeciętną prędkość pięćdziesiąt jeden kilometrów na godzinę. Gdyby nie ten kryzys pod Brodnicą, byłoby znacznie lepiej.

— Poprawimy się — powiedział do Muchy. — Pokaż, co potrafisz.

Chmury, stłoczona, zbita ciżba różnych odmian cumulusów, piętrzyły się przed nim [wysoko](#) jak potężne grzbiety górskie o sinych i czarnych cieniach, połyskujących aksamitnie szczytach, głębokich dolinach wyścielonych popielatą mgłą, z której wyrastały chaotycznie rozrzucone białe kopuły, banie ponasadzane jedna na drugą i przypominające potwornych rozmiarów winne grona, fantastyczne czepce ustrojone falbanami z muślinu, głowy z rozwianym siwym włosiem, wzdęte żagle fregat \*, skrzydlate smoki i zjawy.

Chłodny, wilgotny powiew zdawał się ciągnąć od tej nieruchomej, olbrzymiej masy, która rzucała głęboki cień na ziemię. Nad nią, powyżej chmur, pyszniło się nieskalane błękitne niebo ze słońcem po prawej stronie. Na wprost, pod czymś w rodzaju obwisłego baldachimu otwierała się ciem-noołowiana wnęka, przywodząca na myśl czeluść bramy piekielnej.

— Nie traćmy nadziei — powiedział Szary do Muchy. — Nie ma tu żadnych dantejskich napisów.

Szybowiec jakby zrozumiał; zachwiał się gwałtownie na burty, wspiął się na niewidzialny wysoki próg i wszedł w chmurę.

Świat, zwykły świat zewnętrznych wrażeń, jaki otacza istoty ludzkie na powierzchni ziemi, przestał istnieć. Za przezroczystą osłoną kabiny była tylko matowa biel, bardziej lub mniej przesycona światłem: od kłującego, choć rozproszonego blasku, do łagodnego zmierzchu. Dokoła leciał, szeptał, trzepotał szum pędu, którego nie można było wyczuć innymi zmysłami; rzekłbyś cichy, a jednak potężny szmer ziemi obracającej się wśród absolutnej ciszy przestrzeni kosmicznej.

Ta przestrzeń zdawała się drgać, tętnić, raz mocniej, raz słabiej, wzdymać się i

opadać, jakby przebiegały ją śmiertelne skurcze, a szybowiec poddawał się im, zawieszony pośród białej pustki.

Było to coś tali nierealnego, jak gorączkowe majaczenia bez określonych kształtów i dźwięków, które wywołują niczym nie usprawiedliwioną grozę lub dojmującą tęsknotę za rzeczywistością. Tykanie zegarka, widok wahającej się kulki zakrętomierza i czułej wskazówki wariometru stanowił prawdziwą ulgę w tych warunkach; dowodził, że przyrządy działają nadal; że wszystko odbywa się według odwiecznych ziemskich praw natury; że szybowiec leci, czas upływa, rzeczywistość istnieje, niezmienna i trwała.

Tym razem rzeczywistość objawiła się Szaremu w sposób dość nieprzyjemny, najpierw w postaci szronu, który pokrył całą osłonę kabiny i którego warstwa zaczęła grubieć z niepokojącą szybkością, a potem w postaci deszczu, gradu i krup śnieżnych, które zabębniły po kadłubie i skrzydłach. Jednocześnie zaczęło wściekle rzucać, jakby chmury dostały napadu konwulsji.

Musimy stąd uciekać — pomyślał Szary zwracając się znów do szybowca. — Inaczej oblodzi nam stery.

Otworzył hamulce i szedł w dół. Dziesięć zwariowanych wiatrów kręciło się w kółko, wpadało wzajem na siebie, tarzało się w dzikich zapasach, wsiadało jeden drugiemu na kark, tratowało przestrzeń.

Mucha przesywała je na wskroś stękając pod ich ude-rzeniami, prując je z gwizdem i sykiem, zanosząc się cienkim, wysokim piskiem. Wieszaly się u jej skrzydeł i sterów, podsadzały się pod nie, darły się na listwach hamulców, aż nagle puściły ją wszystkie naraz, jakby w przewidywaniu! że zwali się aż na ziemię.

Lecz do ziemi było daleko. Szybowiec wyrwał się z chmur na wysokości tysiąca ośmiuset metrów, a gdy Szary wyrównał, w dole poprzez srebrzystą siatkę deszczu zamajaczyły znów wężowe, lśniące zakręty dwu rzek, które zbiegały się u wierzchołka rozległego trójkąta lasów. Podwójny tor kolejowy przecinał węższą z nich i ginął w lesie, biegnąc na północnym wschodzie równolegle do drugiej rzeki.

Minąłem Wyszków — pomyślał Szary.

Miał za sobą dwieście kilometrów, dwie trzecie drogi, jeśli idzie o spełnienie warunku do złotej odznaki. Ale postanowił, że doleci aż do Białej Podlaskiej, jeszcze sto czterdzieści.

Nie podobały mu się zalewy i bagna wzdłuż Liwca, nad którymi miał teraz lecieć. Podmokły, lesisty teren nie wróżył nic dobrego. Był zimny. Nie można było spodziewać się nad nim czynnych ognisk termicznych, zwłaszcza że ocieniały go chmury pokrywające trzy czwarte nieba.

— Pójdziemy górą — powiedział do Muchy.

Znów wszedł w cumulus, ale wynurzył się z niego po dwóch zwojach, bo nie wznosiło. Przeskoczył do następnego, znalazł

półtora metra, lecz gdy spróbował lecieć na wprost po kursie, wariometr zdecydowanie pokazał zero. Trzeba było zawrócić i kręcić, co zresztą też nie na wiele się zdało: na wysokości dwóch tysięcy panowała już izoterma zerowa; pleksi zaczynało pokrywać się szronem...

Poczuł się wzięty w dwa ognie: w dole zdradliwe przepaści opadających prądów, w górze oblodzenie...

Poradził się mapy. O dwadzieścia kilometrów dalej zaczynało się suche, nie zalesione wzniesienie.

Byle minąć linię kolejową Warszawa—Białystok — po-myślał. —. Dwa tysiące powinno wystarczyć.

Znów wyprowadził na kurs i prawie natychmiast dosta\* się w strefę opadania. Lecz to nie było groźne: mniej niż pół metra na sekundę. Na tyle mógł sobie pozwolić.

Po dziesięciu minutach wyszedł z chmur i w oddali zobaczył

ów tor kolejowy. Gdy nad nim przelatywał, miał jeszcze tysiąc dwieście metrów, choć opadanie zwiększało się z każdą chwilą.

Leciał prosto, nie zbaczając, aby jak najprędzej cały ten wilgotny, bagnisty obszar zostawić za sobą. Teren na lewo wznosił się nieco, ale go to nie kusiło. Na prawo przewijał się Liwiec, tworząc rozległe stojące łachy, błota, zalewy.

Przed Węgrowem natrafił na niewielkie wznoszenie, wy-kręcił się z trudem na sześćset metrów i wreszcie rozstał się z kapryśną, leniwą rzeką, która odeszła na południe.

W ciągu następnej godziny ze zmiennym szczęściem usiłował zdobyć większą wysokość w słabych wznoszeniach dynamicznych nad nawietrznymi skrajami lasów i raz nawet osiągnął podstawę chmur, które teraz płynęły o wiele niżej. AJe gdy minął tor kolejowy między Siedlcami a Czeremchą, znalazł

się znowu na stu pięćdziesięciu metrach.

Ten nowy kryzys omal go nie wykończył. Wskazówka wysokościomierza opadała wciąż niżej i niżej, a skrzydła Muchy nigdzie nie znajdowały oparcia.

Mając już tylko osiemdziesiąt metrów, Szary gorączkowo zaczął rozglądać się za jakimś lądowiskiem. Dostrzegł opodal słupy i przewody telegraficzne, więc skierował się ku nim, aby mieć przynajmniej środek łączności w pobliżu. Był tam długi, równy pas koniczyny, lecz aby na nim wylądować, musiał jeszcze przeskoczyć niewielki lasek sosnowy.

Zmierzył wzrokiem odległość i zdecydował się. Korony sosen oświetlone w tej chwili promieniami słońca, które spoglądało przez niebieskie okno wśród obłoków, leciały pod nim coraz bliżej, coraz wyraźniejsze, coraz wyższe.

Wtem oddaliły się nieco, jakby cały las przykucnął lub jakby teren zapadał się tworząc obszerną kotlinę. Lecz Szary natychmiast spostrzegł, że nie ma tam żadnej kotliny:

strzałka wariometru drgnęła, podniosła się na zero.

Bez wahania położył Muchę na lewą burłę, wprowadził ją w zakręt. Koniec skrzydła prześliznął się po wierzchołkach gałęzi z sypkim, ostrzegawczym szelestem, który zaraz ucichł.

Szary siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w po\*

działkę wariometru: 0,1 — 0 — 0,2...

Ostrożnie centrował komin, aż strzałka ustaliła się na dwudziestu pięciu centymetrach wznoszenia na sekundę.

„Zebrał” tak przez całe pół godziny, podczas gdy słońce, zaciekawione, co z tego wyniknie, przyglądało mu się spomiędzy rozpierzchłych chmur.

Na pięciuset metrach noszenie wzrosło do 0,5 potem do 0,7.

Pucołowaty obłok poprzedzany własnym cieniem przepływał o dwieście metrów nad uparcie krążącą Muchą; Gdy już ją mijał, wariometr pokazał półtora metra.

Szary uśmiechnął się.

— Zgoda — powiedział głośno. — Ten kominek bardzo się przyda.

Wykręcił się we wnętrzu chmurki aż do pułapu, po] czym znów z niej wyleciał na kursie 120°, aby po chwili zatoczyć parę kręgów pod następną i znowu ją porzucić dla innej.

Były to już resztki tego, co dało się wykorzystać wśród przedwieczornego roz pogodzenia; słońce zachodziło w au-3 reoli wspaniałych barw, lecz w ostatnich jego promieniach Szary dojrzał przed sobą w dole, tam, gdzie zaczynała się snuć popielatoróżowa mgiełka, błyski wśród zmierzchu ogarniającego ziemię. Wytężył wzrok. Rozróżnił niewyraźne za-j rysy dachów, wież kościelnych, domów... odbłask zachodu ślizgał się po szybach okien.

Biała Podlaska!

Spojrzał na wysokościomierz, odliczył sto dwadzieścia metrów poprawki na różnicę wzniesień nad poziom morza, przestawił tarczę z podziałką. Zostało mu dość, żeby dociągnąć do lotniska.

Minął z prawej strony miasto i przedmieście Wolę po drugiej stronie rzeki, zaszedł pod wiatr, otworzył hamulce i zaczął lądować.

Przez chwilę siedział jeszcze w kabinie, z drążkiem ścią-

gniętym na sobie, rozkoszując się trwałą, solidną nieruchomością szybowca wspartego o ziemię oraz poczuciem głębokiego zadowolenia z wykonanego zadania. Potem otworzył osłonę, odpiął spadochron i wysiadł.

— No widzisz, dohuściliśmy się jakoś — powiedział do Muchy i czule poklepał ją po



burcie.

Podczas pobytu na kursie wyczynowym w Lisich Kątach Szary nie zdobył drugiego punktu do złotej odznaki szybowcowej.

Warunki atmosferyczne nie sprzyjały lotom i wysokościowym i tylko jednemu ze starszych, doświadczonych pilotów udało się raz osiągnąć przewyższenie ponad trzy tysiące metrów.

Lecz to, czego się Bolek tam nauczył, miało o wiele| większą wartość niż taki czy inny wyczyn. Szybkościowe przeloty grupowe prowadzone przez Łankowskiego były treningiem, w którym młodzi piloci mogli nie tylko współzawodniczyć z sobą, ale także korzystać z gotowych wzorów i doświadczeń starszych kolegów. Ekonomiczne wyzyskania kominów, a raczej tylko ich najaktywniejszej części, kalkulacja prędkości przeskoków, cała taktyka przelotowa zmierzająca do osiągnięcia możliwie największej prędkości średniej na trasie, oto naczelną zagadnienie tych ćwiczeń. Potem; przyszła kolej na trójkąty i wreszcie na przeloty docelowo--powrotne, przy których padło parę krajowych rekordów i znów prędkość, przede wszystkim prędkość!

Kierując się tą zasadą, Szary pod koniec poprawił swój czas na trójkącie pomiędzy Grudziądem, Toruniem a Bydgoszczą z czterech godzin i piętnastu minut na dwie godziny dwadzieścia cztery minuty przy jednakowych warunkach no-o-ody, uzyskując średnio prawie siedemdziesiąt jeden kilometrów na godzinę.

Był to swego rodzaju rekord, wprowadzicie nie żaden oficjalny, lecz bądź co bądź rekord kursu.

Jednak największym jego sukcesem indywidualnym stał się przelot docelowo-powrotny do Piły, nad trudnym terenem i przy uciążliwej pogodzie. Tym przelotem na przestrzeni dwustu osiemdziesięciu ośmiu kilometrów Szary dowiódł doskonałego opanowania pilotażu w chmurach, wychodząc z nich zaledwie trzy razy, w czym raz nad Piłą, aby się tam zameldować nad punktem kontrolnym. Jego średnia prędkość w obie strony wyniosła prawie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, co wzbudziło nie lada sensację i zostało szczegółowo opisane w obszerny ni artykuł Gruszki, który od kilku dni rozwijał

działalność dziennikarską w Lisich Kątach.

Był jak zwykle doskonale poinformowany i właśnie on przywiózł wiadomość, że na listopad przygotowuje się dwie równoczesne meteorologiczno-szybowcowe wyprawy doświadczalne, celem dokładniejszego zbadania zjawisk towarzyszących wiatrom halnym w Jeleniej Górze i w Nowym Targu.

— Chodzi głównie o ustalenie zasięgu, długości i amplitudy fali w Nowym Targu — dodał.

Lecz ta rewelacja została przez większość pilotów przejęta sceptycznie. O próbnym

lotach na fali w Nowym Targu mówiło się od lat i jakoś nigdy nie dochodziły do skutku. Możliwe, że coś zorganizują w Jeleniej Górze, jeśli znajdą dostateczną ilość pilotów, którzy zdecydują się poświęcić na to swoje urlopy... Bo poza wykorzystaniem normalnych urlopów wypoczynkowych, o zwolnieniach na taką imprezę w tym roku nie może już być mowy.

Dytyński odrzekł, że o zwolnieniach dla pilotów rzeczywiście nie słyszał, natomiast wie z całą pewnością o przygotowaniach czynionych przez PIHM \* właśnie w Nowym Targu; rozbudowuje się tam istniejący posterunek meteorologiczny i remontuje się hangar aeroklubu, a w Bielsku przygotowują na tę wyprawę dwa Bociany ze specjalnym wyposażeniem.

— Tyś powinien także coś o tym wiedzieć — zwrócił

się do Szarego. — Inżynier Hajduk ma być jednym z kie rowników całej historii.

Szary dotąd nic o tym nie słyszał, ale sama sprawa bardzo go poruszyła.

— Zaraz bym na taki obóz poszedł — westchnął. — Tylko, że tam się pewnie zgłosi cała kadra .narodowa.

Rysiewicz, który przysłuchiwał się tej rozmowie bez szczególnego zainteresowania, wzruszył ramionami.

— Wielkie mecyje! — powiedział pogardliwie. — Trzeba będzie najpierw diabli wiedzą jak długo siedzieć w tym zatraconym Nowym Targu i czekać na halny, a jak już] przyjdzie — wisieć w powietrzu godzinami. W listopadzie!

Ja bym zwariował.

— Dziura by się od tego w niebie nie zrobiła — mruknął pod nosem Gruszka.

Rysiewicz nie dosłyszał tej uwagi.

— Jeszcze gdyby za to płacili, no, to co innego — do4 dał. — Ale tak...

Łankowski przyjrzał mu się uważnie, potem zwrócił się do Szarego:

— Myślicie, że wasi oblatywacze będą mogli wziąć w tym udział?

Szary potrząsnął głową.

— Oblatywacze? Chyba nie. Żadnego nie zwolnią na taki długi okres czasu.

— W żadnych zakładach nie zwolnią oblatywaczy — powiedział inżynier Piotrowicz. — Poznań jest zawałony re-montami; Gdańsk i Krosno mają tyle zamówień, że do końca roku będą pracować na dwie zmiany, a ich sekcje pomiarowe pożyczają pilotów z Bielska. W Jeleniej Górze mogą latać ci, co są w Jeżowie, ale o obsadę Nowego Targu będzie trudno.

Tam muszą wziąć młodszych.

Łankowski potakiwał w milczeniu, spoglądając raz po raz na Szarego.

— No tak — powiedział w końcu. — Zdaje się, że wezmę urlop w listopadzie. Może się spotkamy wtedy w Nowym Targu, kolego Szary...

Szary po powrocie do Bielska zastał Szybowcowe Zakłady Doświadczalne pod znakiem przygotowań do reorganizacji.

Kierownik biura konstrukcyjnego, inżynier Kunicki, zacierał ręce: nie będzie już wielkich serii szybowców jednego typu; nie będzie produkcji na eksport; remonty zostaną ograniczone do minimum!

To, o co wraz z dyrektorem Olgierdem i naczelnym inżynierem Hajdukiem zabiegał od paru lat, zostało wreszcie postanowione: SZD miały usprawiedliwić swą nazwę; miały zająć się studiami, doświadczeniami, budową prototypów i małych serii, po kilka lub kilkanaście sztuk nowych konstrukcji do prób eksploatacyjnych; miały opracowywać metody ich produkcji na większą skalę i przekazywać je zakładom w Jeżowie, w Krośnie i w Gdańsku. To było właściwe ich zadanie; po to zgromadzono tu zespół inżynierów konstruktorów, w tym celu wyposażono zakłady bielskie w odpowiednie urządzenia, maszyny i przyrządy jak dotychczas zaledwie częściowo wykorzystywane. Teraz, od stycznia, zacznie się właściwa praca.

Inżynier Hajduk opracowywał nowy plan produkcji i odbywał narady ze swoim sztabem, szkicował przy pomocy kierowników działów elastyczny projekt wymiany brygad roboczych w zależności od zadań, jakie miały im przypaść w zmiennych okolicznościach.

/Jednym z takich problemów, bodaj czy nie najważniejszym, było uzgodnienie produkcji owych małych serii szy-j bowców, przeznaczonych do prób eksploatacyjnych w szkołach i aeroklubach, z jednoczesną budową innych prototypów oraz całym skomplikowanym cyklem zmian i poprawek zależnych od badań wytrzymałościowych poszczególnych części w Instytucie Lotnictwa.

Hajduk wiedział, że szczególnie dział drzewny będzie miał z tymi sprawami mnóstwo kłopotów, których nie spo<sup>^</sup> sób z góry przewidzieć i ogarnąć. Dlatego postanowił wydzielić stamtąd pewien niezależny, osobny zespół ludzi, któ-j remu mógłby powierzyć pracę bez gotowych szablonów, wykonywaną jedynie na podstawie rysunków warsztatowych i żądań grupy konstrukcyjnej, a który zarazem w każdej chwili mógłby zająć się zmianami i przeróbkami przy ścisłej współpracy z sekcją techniczno-wytwórczą.

Taki zespół musiałby składać się z najlepszych, doświadczonych robotników. Jego kierownikiem mógł być tylko wy-jątkowo zdolny brygadzysta, fachowiec o wysokich kwalifikacjach i wypróbowanej sumienności.

Naczelnny inżynier zapytał Finsego, kto jego zdaniem nadaje się na to specjalne stanowisko.

— Jest dwóch — odrzekł Finse, drapiąc się po pod bródku zarośniętym srebrną, trzydniową szczeciną. — Najpierw jest Ziębicki. Tylko... ja mu tak bardzo nie wierzę: czasem potrafinawali.

— No, a drugi?

Finse spojrział na inżyniera swymi wyblakłymi oczami, wyjął z ust fajkę, pogładził wąsa.

—Szary — powiedział, nie dodając żadnego komentarza i nie odwracając wzroku.

—Szary... — powtórzył Hajduk z namysłem. — Jak długo on u nas pracuje? Sześć miesięcy? Siedem?

—No to co? — spytał Finse wyzywającym tonem. — Myślicie, że ja przez taki czas nie potrafię się poznać na człowieku?

Hajduk powstrzymał uśmiech; ubawiła go ta zaczepna postawa.

—Wcale tak nie myślę — odrzekł poważnie. — Tylko, że on nie ma wielkiego doświadczenia.

—Jak chodzi na przykład o Jaskółki, to ma niegorsze — oświadczył Finse. — A jak chodzi o nowy prototyp, lo przecież nikt przy nim doświadczenia mieć nie może. Py-tacie, no to mówię: Szary albo Ziębicki. Tylko ja za Ziębic?

kiego nie ręczę.

— A za Szarego? — spytał inżynier podstępnie.

Ale Finse się rozgniewał.

— Co mnie łapiecie za słowa? Mówię wam: Szary ma głowę na karku, a robi nie gorzej ode mnie. Ja mu wierzę.

Powinien sobie dać radę.

Hajduk bardzo się ucieszył z tej opinii. Sam myślał o kandydaturze Szarego, ale nie chciał jej wysuwać, żeby go nie posądzono o względy osobiste. Finse nie liczył się z takimi głupstwami.

Tymczasem warsztaty i montownie pracowały jeszcze według dawnej organizacji, wykonując poprzednie zamówienia i remonty, które miały być ukończone w listopadzie, a najdalej w grudniu, to jest w miesiącu przewidzianym na okres przejściowy.

Ale zmiany „czuć było w powietrzu”, dykcja nie robiła z nich zresztą żadnej tajemnicy.

Co się tyczy Szarego, to dowiedział się o swej kandydaturze na kierownika przyszłego zespołu wydzielonego do budowy prototypów wprost od naczelnego inżyniera, który uważał, że trzeba mu tę propozycję przedstawić i zapytać, czy chce i czuje się na siłach ją przyjąć.

Odrzekł, że sądzi, iż podoła zadaniom, jakie Hajduk przed nim roztoczył w dłuższej rozmowie. Nie będzie przecież sam; sekcja techniczno-wy twórcza jest na pierwszym piętrze, a Finse tuż obok. Starał się pohamować nurtujące go wzruszenie, radość i dumę z tego awansu, odpowiadał w tonie poważnym i rzeczowym, lecz w końcu nie wytrzymał.

Gdy Hajduk wyciągnął do niego dłoń, aby przypieczętować to wstępne porozumienie, chwycił ją oburącz i zaczął nią potrząsać bez słowa, czując, że w gardle utknęło mu coś w rodzaju kuli bilardowej, której nie może przełknąć.

Uporawszy się wreszcie z tą kłopotliwą przeszkodą, zapytał z niejaką obawą, co na to powie Finse.

— Widzę, że masz przed nim respekt — roześmiał się inżynier. — Finse się już wyopowiedział. Sarn postawił twoją kandydaturę.

Bolek poczuł, że przetknięta przed chwilą przeszkoda znów wraca mu pod grdykę. Rozluźnił kołnierz koszuli.

Hajduk poczęstował go papierosem, zaczął mówić o szczegółach technicznych i organizacyjnych. Potem zapytał go z nienacka, kiedy chciałby wykorzystać resztę urlopu.

Nie można było pominąć tej sposobności. Szary oświadczył, że w listopadzie, w Nowym Targu.

— Słyszałem, że pan się tam również wybiera w tym czasie...

Naczelny inżynier skinął głową.

— Liczyłem na ciebie — powiedział. — Razem z tobą będę miał trzech pilotów.

Stefcia Czubrytówna zaczęła pracować w brygadzie działu drzewnego przy wyrobie żeberek skrzydłowych i sterowych. Nie szło jej to z początku: nie wyrabiała normy, a znaczny odsetek wykonanych przez nią części bywał odrzucany przez brakarzy. Zniechęcała się i złościła, zwłaszcza gdy dobiegły ją ironiczne uwagi: „To nie to, co stukać na maszynie do pisania!”

Jeden Finse pomrukiwał zachęcająco:

— Nauczysz się. Tylko trochę cierpliwości.

Dławiąc się powstrzymywanymi łzami i zaciskając zęby, zabierała się od nowa do tej samej roboty.

Po miesiącu kleiła delikatne żeberka w szablonie jak każda inna. Znalazła nawet pewne upodobanie w tej pracy i zaprzyjaźniła się ze swoją najbliższą sąsiadką. Sensacja zaczynała blednąć, ludzie znaleźli nowe tematy do plotek, dziewczyna odetchnęła swobodniej.

ów ślusarz z działu mechanicznego, dawny przyjaciel Stefci, zaglądał do niej parę razy dziennie, a po skończonej pracy czekał

u wyjścia z warsztatów.

Nazywał się Włodzimierz Prokosz. Był mało mówny i poważny. Miał opinię solidnego chłopca i dobrego pracownika.

Nic sobie nie robił z dwuznacznymi uśmieszków i przycinków, jakie go spotykały od czasu, gdy znów zaczął „chodzić” ze Stefcią; zbywał je milczeniem i wzruszeniem ramion,

półki nie ustały zupełnie.

Szary często widywał ich razem w mieście i w Aleksandrowicach. Prokosz zawsze odpowiadał na jego pozdrowienie czymś w rodzaju lekkiego przychylnego uśmiechu, Stefka skłaniała głowę, spuszczała oczy i rumieniła się, jakby trochę zmieszana, a może zirytowana. W warsztatach prawie nie stykali się z sobą, jakkolwiek skrzydlarnia i kadłubow-nia przylegały do oddziału, w którym Stefcia pracowała, a Szary musiał tamtędy niejednokrotnie przechodzić w ciągu dnia. Za każdym razem spotykał jej ukradkowe, niespokojne spojrzenie i wówczas sam czuł się skrępowany.

Pewnego popołudnia Ziębicki przyłapał go na osobności.

•— Mam do ciebie jedną taką sprawę — powiedział z pewnym zakłopotaniem. — Stefa wychodzi za mąż... Szary nie okazał wielkiego zdziwienia.

—Pewnie za Prokosza? — spytał.

—Za Prokosza. Ja go tam nie uwielbiam, rozumiesz, a Józia też za nim nie przepada. Za to teściowa, bo ten mruk tylko by się w ziemi grzebał. Nawet Stefkę do badyj łąrstwa przekonał. Ale ja nie o tym... Prosił mnie, żebym cic; wybadał, czybyś się zgodził być za świadka. No to cię ba-dam — uśmiechnął się.

Szary wyraził gotowość podjęcia się tej roli. Zapytał kiedy ślub.

— Od tej niedzieli za tydzień. Prokosz naturalnie sam cię poprosi. Finsego także.

Prokosz zjawił się u Szarego tegoż wieczora. Miał na sobie ciemny, odświętny garnitur, w którym czuł się niezręcznie i obco.

Mówił półgłosem, utkwivszy wzrok w podłodze, jakby się zwierzał komuś ukrytemu w piwnicy. Wtem spojrzał Szaremu w oczy.

— Wyście za nią przemówili na tym głupim zebraniu —powiedział. — A mnie... ja bym nie potrafił, lak jak wy, chociaż... chociaż...

Dotychczasowy spokój opuścił go nagle. Wstał i zaczął

chodzić tam i z powrotem, żywo gestykulując. Jego własny cień i cienie jego rąk przemykały po ścianach, skakały aż do sufitu, nasuwając myśl, że pokój jest za mały, aby pomieścić wzruszenie, któremu dawał wyraz w sposób tak spreczny ze zwykłym opanowaniem.

— Przewracali jej w głowie... różni tacy! No, ja nie umiem: jestem prosiak. Tyle że uczciwy. Nie potrafię, psia krew, lak tylko, dla zabawy... Ona mówi, że o tym nie wie działa, znaczy o mnie; jaki jestem. I że wyście jej otworzyli oczy. Może...

Zatrzymał się i patrzył na Szarego pytająco i przenikliwie, jakby oczekując jakiegoś wyznania.

Lecz Szary milczał. To, co Prokosz mówił o różnych takich, paliło mu twarz.

—Może gdyby nie wy, toby się tak nie obróciło dla mnie na lepsze — dokończył swoją myśl tamten. — Chyba już teraz na dobre — uśmiechnął się z pewnym przymusem.

—Ja myślę, że na dobre — powiedział Szary. — Życzę wam tego. Obojgu.

Wyglądało to na zakończenie owej męczącej wizyty, ale Prokosz jeszcze nie odchodził.

Ma coś na wątrobie i nie może tego z siebie wydobyć —pomyślał Szary.

Zaczął go wypytywać, jak zamierza się urządzić i czy Stefcia będzie nadal pracowała w zakładach. Prokosz odpowiadał z roztargnieniem: Czubyrtowa odstąpi im swoją sypialnię i przyległą alkowę.

Rozglądał się po pokoju Szarego.

—Ładnie mieszkanie — zauważył. — Dla kawalera to w sam raz. A wy... — zawahał się. — Ta pilotka, co tu wtedy przyleciała, to pewnie narzeczona?

—Nie, skąd? — roześmiał się Szary. — Jeszcze nie —dodał mniej stanowczo.

—Bardzo ładna — powiedział Prokosz. — Myślałem...

—Ona jest na politechnice — przerwał mu Szary. —Pewnie na przyszły rok będzie tu u nas na praktyce wakacyjnej.

—Aha — mruknął Prokosz, jakby uspokojony tą wiadomością. — To ja teraz pójdę do Finsego. Więc mogę na was liczyć?

—Naturalnie;

—A potem proszę do nas na śniadanie.

Uścisnęli sobie ręce i Szary odprowadził go do drzwi, a potem wrócił i usiadł w fotelu pod lampą.

Czego on się chciał dowiedzieć? — zadawał sobie pytanie.

— Czy ja i Baśka... Narzeczona! Akurat jej to w głowie! I mnie także!

Zamyślił się. I nagle spostrzegł, że pod wpływem tych myśli przypuszczenia Prokosza wydały mu się o wiele mniej dziwaczne.

W słoneczną niedzielę październikową został zawarty związek małżeński między Stefanią Czubyrtówną, panną, a Włodzimierzem Prokoszem, stanu wolnego...

Potem Stefcia z mężem wsiadła do samochodu użyczonego na tę okazję przez dyrektora Olgierda, świadkowie, Ziębicy i jacyś krewni do taksówek, po czym niewielki



orszak weselny podążył do Aleksandrowie, aby odprawić tam część drugą, nieoficjalną i trwającą znacznie dłużej, bo aż do późnej nocy.

Obudzony się nazajutrz z lekkim bólem głowy, Szary miał

nieco mętne wspomnienia z tego wesela. Pamiętał jednak, że z Włodkiem Prokoszem wypił na ty, że tańczył polkę z Józją Ziębicką i oberka z mamą Czubyrtową oraz że Stefcia spłakała się rzewnie w jego ramionach, pozostawiając mu ślady łez, pudru i szminki na klapach marynarki.

Mimo porannego chłodu narzucił płaszcz kąpielowy i pobiegł do budki z prysznicem, aby zimną wodą spłukać z ciała resztki alkoholu parujące przez skórę. Pozbywszy się tego niemiłego wrażenia, poczuł się znacznie lepiej. Zjadł śniadanie i pojechał do pracy.

Przed otwartą na oścież halą montażową stały dwa nowe Bociany przyholowane w niedzielę z Jeżowa. Paru młodych inżynierów z biura konstrukcyjnego rozmawiało z Hajdukiem, który tłumaczył im, jak i co chciałby zmienić w kabinach szybowców, aby zamiast siodła dla pasażera w drugiej kabine pomieścić dostateczną ilość butli z tlenem oraz zainstalować przyrządy samopiszzące.

Zobaczywszy Szarego, zawołał go po imieniu.

— To jest robota dla ciebie. Dostaliśmy te Bociany na Nowy Targ. Trzeba je przystosować do naszych celów.

Chodźcie do mnie, musimy to szczegółowo omówić.

Konferencja trwała prawie dwie godziny. Naczelnym inżynierem był wymagający i drobiazgowy. Zwłaszcza sprawa rozmieszczenia butli z tlenem i konstrukcja przełącznika do kolejnego ich uruchamiania wywołała dłuższą dyskusję.

Specjalistą takich instalacji w SZD był przyjęty przed miesiącem blady, wysmukły młodzieniec w jasnych sztruksowych bryczesach i aksamitnej kurtce, który poprzednio pracował w jakimś porcie przy robotach podwodnych. Miał ironiczny wyraz twarzy i pogardliwe, bezkrwiste wargi. W kilku zdaniach przedstawił swój projekt i poparł go odręcznym szkicem. Mogło się zdawać, że nie sprawiło mu to najmniejszej trudności.

— To jest zbliżone do amerykańskich aparatów dla nurków — dodał niedbale. — Co prawda przy pierwszych próbach o mało się nie podusili.

— A to świetna rekomendacja — zauważył Hajduk.

— Cóż pan chce? — odrzekł tamten wzruszając ramionami.

— Przełącznik jest prosty: jeden kran o trzech ustawieniach, a tutaj ten zacisk, który reguluje ciśnienie — wskazał

ołówkiem na szkicu. — Naturalnie, że jakiś osioł może zapomnieć o zwolnieniu zacisku. Ta ewentualność zawsze istnieje. Trudno wymagać od jakiegokolwiek urządzenia, żeby było całkowicie odporne na głupotę. Jedynym sposobem jest oddanie go w ręce ludzi rozsądnych i przy to innych. Przypuszczam, że inni nie będą się tym

posługiwali.

—Miejmy nadzieję — odrzekł sucho inżynier. — Mimo to trzeba wziąć pod uwagę jeszcze takie głupstwa, jak na przykład spadek temperatury i ciśnienia zewnętrznego na dużych wysokościach. O ile pamiętam, temperatura wody nie spada poniżej paru stopni ze znakiem ujemnym; natomiast z powietrzem sprawa ma się inaczej. Z pewnością nieraz się zdarzy, że ta aparatura będzie musiała spełnić swoje zadanie przy trzydziestu lub czterdziestu stopniach mrozu. Sądząc z tego szkicu, nie bardzo się pan z tym liczył. A może pan o tym zapomniał?

Młody instalator zmieszał się, a na blade policzki wystąpiły mu ceglaste wypieki. Próbował jeszcze bronić swego pomysłu, ale cały jego niedbały sposób bycia uległ natychmiastowej zmianie.

Hajduk również porzucił dotychczasowy ironiczny ton. Jasno, bez złościwości wykazał błędy tkwiące w samym założeniu projektu.

— Niech się pan nad tym zastanowi — powiedział wreszcie.

— Ma pan czas do jutra. Radziłbym panu przejrzeć nasze poprzednie rozwiązania, które zresztą nie są doskonałe. I niech pan pamięta, że tu wchodzi w grę życie ludzkie, tak samo jak przy robotach podwodnych.

Rozdział czwarty

Diamenty

Adolf Jennert już od poprzedniego wieczora czuł się nieszczęśliwie, przede wszystkim z powodu halnego wiatru. 7Ae sypiał przy niskim ciśnieniu, a łomot wichury cwałującej po blaszanym dachu napełniał go niepokojem. Po wtóre — z rana nie przyszła posługaczka i musiał sam napalić w piecu, aby przygotować sobie kąpiel.

Uporawszy się z piecem, który na przemian dymił i huczał pod wpływem gwałtownych podmuchów wiatru, wypił kawę z przypalonym mlekiem, wykąpał się i odziany w nowe jasne ubranie oraz w ciepły płaszcz, wyruszył do kawiarni.

Gdy po drodze kupował gazety, ponury, chudy sprzedawca w czarnym berecie zwrócił jego uwagę na szybowiec żeglujący wysoko wprost nad kioskiem.

— Wisi tu nade mną już z godzinę — mruknął. — A wczoraj latały dwa. Widział pan? Z samolotami.

Jennert dość opryskliwie odrzekł, że zauważył te cyrkowe popisy. Szybowce i samoloty od kilku dni ukazywały się nad Zakopanem, budząc zaciekawienie gapiów. Nie interesowało go to wcale.

Jednak w drodze do kawiarni przystawał kilkakrotnie, aby obserwować prawie nieruchomą sylwetkę szybowca o długich jasnych skrzydłach. Wyobrażał sobie wspaniały widok, jaki roztacza się przed oczami pilota. Przyszło mu na myśl, że człowiek obdarzony subtelną duszą artysty, na przykład poeta, doznałby tam niezapomnianych wzruszeń w obliczu bezmiaru nieba wspartego na tatrzańskich turniach. Sam, wyniesiony ponad ziemię i ludzi, ponad obłoki! Fantastyczny władca przestrzeni!

Westchnął. Dla niego było to nieosiągalne.

A taki tępy, gruboskórny osioł — pomyślał o nieznanym!

pilocie — taki pień pozbawiony wyobraźni, co on z tego ma? Co przeżywa? Dla niego jest najważniejsze, czy się utrzyma o pół

godziny dłużej albo czy zdobędzie o sto metrów więcej niż inny.

Adolf Jennert, poeta o subtelnej duszy, machnął ręką i zaczął się przepychać ku wejściu do kawiarni.

Sylwetka szybowca była coraz mniejsza; widocznie w jakiś niewytłumaczony sposób wzbijał się wciąż wyżej, przesuwając się nieznacznie w stronę gór.

Siedząc przy stoliku pod wielkim oknem, poświęcił temu fenomenowi jeszcze parę spojrzeń przez szybę, a następnie zaczął przeglądać gazety.

W jednym z tygodników znalazł swój artykuł na temati współczesnej sztuki teatralnej, która nie miała wielkiego po-

wodzenia, i przeczytał go z uwagą. Redakcja skreśliła mu) dwa czy trzy bardziej dosadne epitety pod adresem autora, co wydało mu się bezczelną samowolą. Z irytacją złożył pismo i dopiero wtedy, na ostatniej stronie dostrzegł cztery karykatury przedstawiające dramatopisarzy, a między nimi także owego nieszczęśnika, nad którym znęcał się w swojej krytycznej wypowiedzi.

— Doskonale — mruknął.

Spojrzał na podpis: Esza.

,

Ewa! — wykrzyknął w duchu. — No tak: Ewa Szara — Esza. Po kim ona odziedziczyła ten talent?

Powrócił do swego artykułu; tam też był jej rysunek.

Aha, jest! Łysina okolona kędzierzawymi frędzelkami, okulary, duże uśmiechnięte usta i mały, zakrzywiony nosek.

Nawet sympatyczna twarz... Czaszka myśliciela. Uśmiech zupełnie przyjemny. Tylko ten nos... Czy ja mam rzeczywiście taki mały nos? — zadał sobie niepokojące pytanie.

Ukradkiem spojrzał w lustro.

No, trochę przesadziła... Ale na ogół to nie jest złośliwe. Zdolna dziewczyna.

Pochlebiał sobie, że przyczynił się do rozbudzenia jej zdolności, a teraz czuwał nad ich rozwojem.

Tak — pomyślał. — Ona jest podobna do matki. Natomiast Bolek, koński łeb, zupełnie jak Stanisław! Gdyby Maria miała odpowiedni kierunek i opiekę intelektualną...

Mniej więcej o tym samym czasie Szary siedząc za sterami Bociana spojrzał na wysokościomierz i stwierdził, że strzałka mija kreskę z liczbą 4500.

Włożył maskę tlenową i przekręcił kran. Manometr włączony w przeAvód zaczął wskazywać ciśnienie: tlen po-płynął ożywczym strumieniem do płuc pilota. Zrobiło mu się cieplej, raźniej.

Za jego plecami szeptały, tykały, bzykały cicho przyrządy samopiszące. On sam uzupełniał ich czynności reje-stracyjnie notując swoje spostrzeżenia na kartce papieru przymocowanej do cienkiej deszczułki. Musiał w tym celu ściągać od czasu do czasu rękawicę, a potem rozgrzewać skostniałą dłoń, wsuwając ją pod futrzany kombinezon na piersi.

Było bardzo zimno. Zewnętrzny termometr wskazywał

osiemnaście stopni mrozu, wewnętrzny piętnaście. Szary od dwóch godzin był w powietrzu, a od godziny prawie się nie wznosił. Dopiero teraz wariometr z 0,2 skoczył na 0,5, a wkrótce potem na cały metr ponad zero. Jednocześnie lernperatura zaczęła spadać, a na wewnętrznej powierzchni limuzyny osiadał coraz grubsza warstwa szron.

Na wysokości sześciu tysięcy noszenie znów zmalało, a próba wysunięcia się jeszcze bardziej pod wiatr nie zmieniła tego stanu rzeczy.

Szary zdrapał z osłony świeżo narosłą warstwę szronu.

W dole na wprost szybowca, na prawo i na lewo w skos ciągnęły się ciemne grzbiety gór. Rozróżniał poszczególne szczyty: Bobrowiec, Kominy Tylkowe, Czerwone Wierchy, Kasprowy, Świnice, Rysy, a za nimi, już po słowackiej stronie Raczkową, Wielką Kępę Koprową, Krywań, Gierlach i Lodowy.

Widział początki białych, pianistych potoków, co spływały na Liptów, ku Beli i Wagowi kryjąc się w cieniu chmur napierających potężnym murem od południa. Słońce, czerwone, jakby nabiegłe krwią, zdawało się toczyć z wolna po tym murze, jak po wyboistej drodze, zapadając raz po raz w głębokie koleiny, z których wstawały tumany rdzawego pyłu.

Sześć tysięcy metrów. Dwadzieścia osiem stopni mrozu.

Trzy godziny od chwili startu.

Chyba nic więcej nie da się dziś zrobić — myślał Szary.

Miał w tym locie osiągnąć możliwie największą wysokość.

Inżynier Hajduk i dwaj meteorolodzy spodziewali się, że szczyt fali sięga ośmiu lub dziewięciu kilometrów. Trzeba to było sprawdzić. Lecz Szary nie mógł znaleźć żadnego połączenia z owym szczytem, a przenikliwe zimno coraz bardziej dawało mu się we znaki.

Nie chciał się poddać, lecz ta myśl naprzykrzała mu się] jak kot miauczący ustawicznie za zamkniętymi drzwiami; zaj jego własnymi drzwiami, które prędzej czy później będzie musiał

otworzyć.

Podjął jeszcze jedną próbę znalezienia prądu wstępującego: znad południowych krańców Zakopanego, gdzie rozpościerała się główna chmura falowa, zaczął przesuwając się na lewo w przód, wzdłuż szosy do Morskiego Oka, nad którą stała mniejsza, zwrócona krawędzią nawietrzną jakby trochę bardziej ku południowemu wschodowi.

Bocian reagował na ten manewr dość znaczną stratą wysokości, dopóki nie znalazł się w zasięgu niewidzialnych rotorów. Szary stwierdził ich istnienie tylko na podstawie gwałtownego rzucania i uczucia lekkości w całym ciele. Dopiero potem spojrzął na wariometr, którego strzałka wskazywała maksymalne opadanie.

Zwiększył prędkość jeszcze bardziej. Wskazówka wysokościomierza w ciągu paru sekund cofnęła się o pięćdziesiąt metrów, o siedemdziesiąt, o sto!

Wtem szarpnęło w górę tak nagle, że głowa opadła mu na piersi. Wariometr skoczył od razu na pięć metrów, a skrzydła wydały głuchy, niepokojący jęk i zadrgały nerwowo.

Machinalnie położył Bociana w zakręt, zacieśnił promień, wycentrował główny strumień prądu.

Gwałtowna turbulencja nie ustawała ani na chwilę. Nurt wichru szamotał się, skakał, rwał w górę wielkimi susami, wybuchał wściekłym pędem i załamywał się nagłe. Szybowiec zachowywał się jak wywrotny lekki kajak, na którym dwaj zapaśnicy rozgrywają rundę boksu, a Szary poczuł, że robi mu się gorąco.

To ostatnie wrażenie ustąpiło zresztą bardzo prędko: temperatura zaczęła spadać równie gwałtownie, jak rosła wysokość.

Po kilku minutach wszystko się uspokoiło, a wariometr wskazał dwa i pół metra.

— Znów weszliśmy na falę — poinformował Szary swego Bociana. — W pięć minut zarobiliśmy tysiąc osiemset metrów!

Lecz tym razem szybowiec także przemówił: rozległ się suchy trzask i osłona z płeksi pękła...

Od mrozu — pomyślał Szary. — Bagatela: czterdzieści dwa stopnie!

Lodowaty powiew wdzierał się ze świstem przez szparę, kąsał go w twarz. Wiało także przez otwór od zaczepu. Widocznie obluzował się pakunek założony tam przed startem. Miało to tę dobrą stronę, że szron powstający przy oddychaniu przestał

osiadać na szybach, lecz ostry przeciąg wyciskał łzy z oczu. Po chwili Szary zauważył, że te łzy spływają mu po policzkach i zamarzają, tworząc sople na okładzinie inhalatora. Miał uczucie, że twarz skamieniała mu na granit i że nogi zmieniły mu się w dwa bloki lodu.

Ale szybowiec szedł w górę. Wznoszenie zmniejszyło się nieco, lecz trwało, spokojne i równe. Tylko w skrzydłach i w kadłubie coś chrzęściło, chrupało, postękiwało, jakby Bocian kurczył się z zimna.

Było to bardzo nieprzyjemne. Przy każdym takim od-1 głosie Szary z niepokojem spoglądał wzdłuż krawędzi natarcia płatów i mimo woli dotykał ręką zamka łączącego pasy bezpieczeństwa.

Gdybym musiał skakać, mógłbym otworzyć spadochron J

dopiero przeleciawszy jak kamień trzy tysiące metrów pomyślał. —Inaczej udusiłbym się w powietrzu.

Uprzytomnił sobie kolejne czynności na taki wypadek: odpiąć pasy, zaczerpnąć tlenu, zerwać inhalator, podciągnąć nogi, dźwignąć się z kabiny, stanąć na siodle, wychylić się za burtę i odbić się jak najdalej... jeśli to będzie możliwe!

Zwątpił, czy zdołałby wykonać jakikolwiek ruch nogami; od kolan w dół stracił w nich czucie.

Wzruszył ramionami. Nic takiego się nie zdarzy.

Zwiększył dopływ tlenu; minął już osiem i pół tysiąca.

Może byłoby dosyć?

Tęsknota do ciepła żebrała o zmiłowanie. Miał już speł-

niony warunek na złotą odznakę i pierwszy diament. Odcze<sup>^</sup> pil się z holu na ośmiuset metrach; przewyższenie wynosiło 7atem siedem tysięcy siedemset. Tym razem potwierdzą to c0 najmniej trzy harografy, nie licząc innych samopisów.

Jeszcze dziesięć minut — postanowił. — Potem schodzę.

Lecz po dziesięciu minutach wariometr wskazywał 0,5 wznoszenia, a wysokościomierz osiem tysięcy osiemset metrów.

— Wytrzymamy do dziesięciu tysięcy — powiedział do Bociana. — To bardzo ładna liczba.-

Był już od dawna ponad najwyższym piętnem chmur.-

Obejrząwszy się w tył widział z góry ich wierzchołki podobne do znieruchomiłych fał morskich. Wyżej ciemniało granatowe niebo. Wydało mu się, że dostrzega na nim blade przebłyki gwiazd.

Jestem prawie na granicy stratosfery — pomyślał.

Wtem poczuł duszność i zawrót głowy. Przeraził się: co to jest? Spojrzał na manometr: zero! Sięgnął do przełącznika.

Przestawić na drugą baterię butli!

Udało mu się to bez trudu. Manometr znów wskazał

ciśnienie i Szary poczuł w ustach wspaniały, nieporównany smak tlenu, smak, którego mu odmawiają chemicy, a który mogą poznać tylko lotnicy i nurkowie w groźnych lub przełomowych chwilach swej pracy, w okolicznościach, jakich się nie zapomina.

„Trudno wymagać od przełącznika, żeby był całkowicie odporny na ludzką głupotę" — przyszło mu na myśl zdanie Wygłoszone przez instalatora z ZSD. — Ale cóż? Człowiek na Wysokości dziewięciu tysięcy metrów z pewnością trochę głupieje... No, w każdym razie działa ta jego instalacja. Za to zakrętomierz zdechł; pewnie z zimna. Dobrze, że nie będzie ttu"

potrzebny,

Szary ostatecznie zdecydował się na zakończenie lotu będąc na wysokości dziewięciu tysięcy dwustu metrów, gdy wznoszenie zanikło już całkowicie. Schodził w dół dość szybko, nurkując na otwartych hamulcach i od czasu do czasu zmuszał się do ziewania, aby wyrównać ciśnienie w uchu wewnętrznym.

Ten prosty zabieg uchronił go od bolesnych objawów towarzyszących nagłemu wzrostowi ciśnienia zewnętrznego, lecz gdy wylądował i spróbował wysiąść z kabiny, nogi od-j mówiły mu posłuszeństwa. Dwaj młodzi piloci z aeroklubu i kierownik techniczny wydobyli go stamtąd i niemal zanieśli do namiotu.

Inżynier Hajduk, zaniepokojony widokiem tego pocho-j du, wyszedł im naprzeciw.

—Co mu jest? — pytał z daleka.

—Trochę zmarzłem — zawołał Szary.

Zdjęli mu futrzane buty i grube wełniane skarpety, p<| czym zaczęli rozcierać białe, posiniałe stopy.

— Inżynierze, barografy — powiedział krzywiąc się z bólu. — Tam powinno być dziewięć tysięcy metrów.

Jeden z meteorologów pokazał mu barogramkę.

— Jest. Nawet trochę więcej. Cała szafa grała jak symfoniczna orkiestra!

Ktoś zapytał czy Łankowski zaraz poleci.

— Poleci — odrzekł Hajduk. — Halny się dopiero teraa rozdmuchuje.

I

Łankowski wszedł do namiotu, już gotowy do startu. Chciał

się dowiedzieć o przebiegu lotu Szarego i pogratulować mu pierwszego diamentu. Wiedział już o pęknięciu pleksu wskutek niskiej temperatury, ale przede wszystkim zapytał o działanie instalacji tlenowej.

Szary odrzekł, że instalacja „chodzi” zupełnie dobrze! Potem zaczął opowiadać szczegółowo, gdzie i jak „nosi”, jak napotkał

trudności i jaki jest rozkład temperatury.

Łankowski wzbogacony jego doświadczeniami wystartował

na godzinę przed zachodem słońca. Miał lądować przy pełni księżyca na lotnisku oświetlonym dodatkowo przez reflektor wskazujący kierunek wiatru.

Około godziny siedemnastej ponury sprzedawca gazet z kiosku na Krupówkach zauważył, że szybowiec, który na dłuższy czas znikł mu z oczu, znów manewruje nad Zakopanem.

Przypuszczał, że to ten sam i pokręcił głową: będzie tam nocował, czy jak?

— Wariat albo głupi — mruknął pod nosem.

Nie był odosobniony w tym mniemaniu: podzielał je pewien jego stały klient, poeta i humanista.



Lot Szarego przyniósł mu nie tylko złotą odznakę i pierwszy diament; po dokładnym zbadaniu barogramek okazał się także nowym rekordem krajowym, co prawda bardzo krótkotrwałym, bowiem w trzy i pół godziny później Łankowski zdobył nowy, a nawet dwa jednocześnie. Uzyskał mianowicie przewyższenie osiem tysięcy osiemset metrów i wysokość absolutną dziewięć tysięcy sześćset.

Szary musiał czekać dziesięć dni na okazję, która by mu pozwoliła bronić swego pierwszeństwa: halny skończył się nazajutrz, po czym spadł śnieg z deszczem.

Dopiero na dwa dni przed końcem wyprawy znów zaczęło dąć z południa, wieczorem powstały pierwsze chmury falowe, a stacje meteorologiczne zapowiedziały bardzo silny wiatr halny o gwałtownych porywach i niezwykle dalekim zasięgu ku północy kraju.

Inżynier Hajduk odbył krótką naradę z pilotami, na której ustalono, że jeżeli przy starcie jakiegokolwiek zespołu turbulencje w pobliżu lotniska okazałyby się szczególnie gwałtowne, i gdyby prędkość wiatru wzrosła w czasie lotu tak dalece, iż lądowanie groziłoby uszkodzeniem szybowca,

to przy dobrych warunkach nośnych należy lądować dalej na północ, na wybranych osłoniętych lądowiskach, lub nawet w Krakowie.

Na razie jednak wiatr był umiarkowany; mogło się zdawać, że przewidywania meteorologów są nieco przesadne.

Łankowski wystartował w dwie godziny po zachodzie słońca i powtórzył swój rekord w czasie bardzo krótkim, nie dochodząc zresztą do szczytu fali. Przyczyną przerwania lotu było złe działanie przewodu tlenowego, który częściowo zamarzł wskutek zawilgocenia.

Szary poleciał tuż przed północą. Nauczony doświadczeniem, wziął okulary i futrzaną pilotkę oraz trzy pary wełnianych skarpet.

Tym razem start i lot na holu okazały się niezwykle trudne: halny rozdmuchał się na dobre, a wznoszenia i opadania dochodziły do kilkunastu metrów na sekundę.

Pilotem holującym był inżynier Hajduk, jako najlepiej zgrany z Szarym w licznych lotach poprzednich. Rozumieli się doskonale, co w tych warunkach, zwłaszcza nocą, było sprawą zasadniczą. Lecz nawet Hajduk zwątpił przez chwilę, czy to ryzykowne przedsięwzięcie się uda.

Zespół znalazł się w powietrzu prawie natychmiast po tym, jak ruszył z miejsca na pełnym gazie. Poryw wiatru wyniósł go na sto metrów w górę nad środkiem lotniska i nagle urwał się, przypadając do ziemi. Samolot i szybowiec zapadły w głąb, ale następne uderzenie wichury uratowało je w porę. Hajduk szerokim łukiem ominął zarośla i parę wyższych świerków (pt) prawej stronie, po czym wyrównał.

Lecieli na południe wzdłuż Białego Dunajca, szosy i toru kolejowego, gdy tuż przed Szaflarami znów natrafili na gwałtowny ześlizg lub raczej obryw prądu. Teraz, pomimo

pełnych obrotów silnika, z czterystu metrów rzuciło ich w dół

do kilkunastu. Przed samolotem wyrosły wysokie drzewa, za nimi zaś wieża kościoła.

- Hajduk widząc, że grozi mu zderzenie, zdecydował się na ostry zakręt w lewo, gdzie teren opadał ku małej rzeczulce, a Szary natychmiast powtórzył jego manewr, lecz w tej samej chwili poczuł, że nurt unosi go w górę. Lina stanęła skośnie: samolot leżał w głębokim wirażu tuż nad ziemią, a szybowiec szamocąc się na holu pędził nad nim, jakby chciał w ten sposób porwać go z sobą.

Szary w mgnieniu oka zrozumiał sytuację. Jeżeli hol wytrzyma, to wychylenie sterów samolotu nie zrównoważy ciągu w górę i maszyna zwali się na ziemię.

Odczepić się! — pomyślał.

Szarpnął dźwignię wyzwalacza i odbił w prawo. Dostrzegł

jeszcze, że Hajduk wyrównał i uwolniony od szybowca odzyskuje wysokość. Potem zaczął myśleć wyłącznie o sobie.

Miał nieco ponad sto metrów i nie mógł nawet marzyć o dotarciu do lotniska. Pozostawało mu bądź lądowanie w polu, co w tych okolicznościach groziło rozbiciem szybowca, bądź też próba żeglowania na dynamicznych prądach terenowych \*, których nie znał i które mogły go zawieść.

Postanowił na razie wyzyskać ten, który go zmusił do wyczepienia się i zaczął krążyć w jego zasięgu na oślep, kierując się raczej intuicją niż jakimiś widocznymi wskazaniem terenu.

Na trzystu metrach wznoszenie ustało, więc odszedł z wiatrem, szukać innego. Pamiętał, że między Szaflarami a Nowym Targiem tuż przy szosie stoi zwarty kompleks zabudowań wśród wysokich drzew. Była to znaczna przeszkoda dla wiatru, tym znaczniejsza, że położona w odległości paruset metrów na północ od wzniesienia, które zapewne wywoływało niewielką falę nośną.

Szary przewidywał, że ta fala

spotęguje prąd wstępujący bądź nad budynkami, bądź też wyżej, po ich zawietrznej stronie. Pomyślał, że przy pewnej dozie szczęścia powinien tam dolecieć, jeśli oczywiście po drodze nie przydusi go do samej ziemi.

W chwili, gdy powziął tę decyzję wśród nieustannej chwiej by zmuszającej do szybkich ruchów sterami dla zachowania jakiejś takiej równowagi, usłyszał w pobliżu warkot samolotu. Obejrzał

się i dostrzegł, że Hajduk mija go z lewej strony lecąc w kierunku lotniska.

Wygrzebał się z tej „dziury” i wraca — pomyślał uspokojony, że inżynierowi nic złego się nie stało.

Lecz po kilkunastu sekundach zobaczył jego światła pozycyjne \* na prawo. Hajduk znów go minął, zawrócił, wyprzedził

Bociana i zmniejszył obroty.

Prowadzi mnie — pomyślał Szary.

Nie miał żadnego sposobu porozumienia się z nim teraz, lecz nie zamierzał skorzystać z jego pomocy; leciał wprost ku owym budynkom, porając się z wichurą i walcząc o każdy cal wysokości, a Hajduk eskortował go wytrwale, nie zaprzestając zresztą wypadów w stronę lotniska.

Przed topolami, które osłaniały część szosy przyległą do zabudowań, Szary położył Bociana w zakręt. Wariometr wskazywał zero, potem pół metra, metr i nagle cztery!

— Bardzo ładnie — powiedział Szary. — Tu nam się podoba.

Nie pozwolił, aby wiatr zniósł go dalej. Zacieśniając i rozluźniając łuk wirażu zataczał coś w rodzaju elipsy nad ciemną plamą drzew i dachów.

Bocian podrzucany, spychany, tarmoszony wirami szedł w górę. Dokoła kabiny huczał, szumiał, skowyczał pęd. Drga-

ły skrzydła, wachlowały lotki, stery wpierały się w gęsty, twardy nurt wiatru.

W kilka minut Szary zyskał prawie osiemset metrów wysokości. Teraz z pewnością mógłby dociągnąć do lotniska, lecz odsunął tę myśl. Wiedział, że podobne warunki lotne nie powtórzą się prędko; że halny może jutro ucichnąć, a pojutrze będzie już za późno: pojutrze mieli wrócić do Bielska...

— Pocierpimy jeszcze trochę — powiedział do Bociana. — Wyżej, na fali będzie spokój. Tylko trzymaj się kupy!

Nie czekając na osiągnięcie pułapu, przy jednometro-wym wznoszeniu poszedł ostro pod wiatr, wprost na dwie kopy piętrzące się na prawo od toru kolejowego. Kosztem paruset metrów dotarł na ich zawietrzną stronę i znów zaczął krążyć w poszukiwaniu wznoszenia.

Znalazł je tym razem łatwo: halny przewalał się wysokim garbem nad dyszą utworzoną przez wzgórza i porwał go w górę tak gwałtownie, że Szary ledwie zdążył ustawić Bociana czołem ku południowi, aby nie dać zepchnąć się znad obranego stanowiska.

Prędkościomierz wskazał sto dwadzieścia, sto trzydzieści, sto czterdzieści kilometrów na godzinę, a szybowiec stał w miejscu lub nawet cofał się nieco pod naporem wichru, który wypierał go wyżej i wyżej.

Z początku nurt kipiał potężnymi strumieniami, lecz w miarę jak rosła wysokość, stawał się coraz bardziej zwarty, coraz gładszy, aż wreszcie wyrównał się tak dalece, że Szary mógł

odetchnąć nieco swobodniej, pozwalając sobie na częściowe rozluźnienie napiętych mięśni i nerwów.

W jakiejś chwili pomyślał o Hajduku: co się z nim stało?

Rozejrzał się za samolotem, ale nigdzie go nie dostrzegł. Ziemia w dole była teraz ciemna, prawie czarna. Wąski sierp księżyca w ostatniej kwadrze zawisł nisko na grzbietach gór, a ich olbrzymie cienie kładły się w doliny;-;

gdzie tu i ówdzie błyszcząły rozsypane światła ludzkich osiedli.

Na wprost jarzyło się Zakopane; z tyłu połyskiwały rzędy latarni Nowego Targu; na lewo i na prawo, bliżej i dalej mżyły żółtawe iskiereki Bukowiny, Poronina, Białego Dunajca, Leśnicy i Białki.

Niebo było jasne i tylko pośrodku, pomiędzy Witowem a Jurgowem ciemniały na jego tle uszykowane w rząd cztery ogromne, wielopiętrowe soczewki ciłtmur falowych.

Szary spoglądał na nie raz po raz, zastanawiając się, jak by dotrzeć na czoło jednej z nich. Nie miał w tej sprawie żadnych wyraźnych wskazówek, bo chmurki rotorowe rozwiały się zupełnie jeszcze przed północą. Hajduk miał go wyholować aż na falę, lecz ten plan chybił wskutek odzepienia się nad Szaflarami i teraz trzeba było radzić sobie samemu lub wrócić na lotnisko i startować powtórnie.

Szary nie chciał wracać. Drugi start w tych warunkach byłby równie trudny jak samodzielna próba przejścia na falę; może nawet zbyt ryzykowny.

Gdzieś przecież muszę trafić na rotor — pomyślał. —, Może się uda. Może się jednak uda...

Miał ponad dwa tysiące metrów; postanowił nie zwlekać dłużej, zwłaszcza że wznoszenie zmalało.

Zwiększył prędkość i znów poszedł pod wiatr, nieco w lewo, pozostawiając szosę i tor kolejowy po prawej stronie.

Wariometr wskazywał około półtora metra opadania, lecz chwiejba nie wzrastała nadmiernie. Krótkie, nerwowe drgania, podskoki i uniki nie wytrącały szybowca z linii lotu. Tylko przez skrzydła szły dreszcze udzielające się całej gondoli, jak gdyby Bocian otrząsał się po każdym silniejszym ataku wichury.

Upłynęła minuta, dwie, trzy... Jakiś zbłąkany prąd szarpnął

w górę, przepadł. I znów to samo: metr opadania, półtora metra, zero, i znowu metr, dwa metry, półtora...

Pomiędzy Białym Dunajcem a Poroninem Szaremu pozostało tysiąc czterysta metrów wysokości. Od chwili, gdy zdecydował się na ten wypad, minęło siedem minut.

Gdzieś musi „nosić” — myślał. — Za pół minuty, za minutę muszę trafić.

Szeroki jęzor lasu, ciemniejszy od tła ziemi, wchodzili pod szybowiec. Można było dostrzec głęboko w dole blady/

niewyraźny zarys szosy między Poroninem a Bukowiną. To nikła, kręta linia, raczej ledwie widoczna skaza czy też smuga, leżała prawie dokładnie pod czołową krawędzią największej z czterech chmur soczewkowych. Szary mijał ją z wolna, tak wolno, że mimo

woli znów spojrzeć na prędkościomierz, aby się przekonać, że nadal leci z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Halny musiał więc pędzić jak huragan: sto dwadzieścia lub nawet więcej!

Wtem, gdy jeszcze się nad tym zastanawiał, Bocian nieoczekiwanie zwinął się na prawo w dół, jakby nagle stracił prawe skrzydło.

Bolek sparował ten unik lotkami i w tej samej chwili szybowiec został rzucony w lewo, na łeb, rzekłbyś z kolei urwało mu drugi płat nośny pozostawiając ogołocony, bezwładny kadłub, który leciał w przepaść jak kamień.

Wrażenie było tak silne i gwałtowne, że Szary na dwie sekundy wstrzymał oddech, a serce stanęło mu w piersi i potem skoczyło spiesznie, łomocąc o żebra.

Instynktownie spróbował poruszyć sterem; czy wyczuje opór lotek? Tak: lotki działały; skrzydła tkwiły mocno w okuciach na swoim miejscu.

Odetchnął z ulgą i zawstydził się swego popłochu.

Niewiele miał czasu na to uczucie: wir porwał go znowu, pociągnął w dół, rzucił w bok, zatopił w kipieli jak w głębokiej wyrwie pod wodospadem, gdzie woda od powierzchni aż do samego dna kotłuje się jak wrzątek.

Retor! — pomyślał Szary, — Byle mnie nie rzuciło o ziemię, to...

Nie dokończył tej myśli. Szybowiec z opadania dosłał się nagle we wznoszenie i wyprysnął w górę jak ryba poderwana szarpnięciem giętkiego wędziska. Stalowe ścięgna jęknęły jak struny smagnięte szpicrutą, skrzydła wygięły się jak napięty łuk i odprężyły się z głośnym klaśnięciem, a z wnętrza kadłuba rozległ

się łoskot podobny do starcia zderzaków gwałtownie szarpniętego pociągu.

Natychmiast potem zaczął się dziki taniec, przywodzący na myśl bójkę furiatów. Bocian znalazł się w tym tumultie jak przypadkowy spokojny przechodzień, którego niespodzianie wtrącono w sain środek szalonej awantury. Bity, kopany, przerzucany to na wierzch, to znów pod spód walczących prądów, podbijany w górę jak piłka, skręcany przez wiry\* szarpany za skrzydła tarzał się wśród tego zamętu, zmagając się z jego chaotycznymi atakami, nie nadążając w odpieraniu otrzymywanych ciosów, które zdawały się obezwładniać jego stery.-

Trwało to zaledwie minutę, może półtorej; Jęcz Szaremu wydawało się, że trwa straszliwie długo. Gdy wreszcie rozbestwione, szarżujące wzajem na siebie prądy uspokoiły się nieco, rwąc wszystkie razem w górę wśród mniej gwałtownych odskoków, splotów i skrętów, poczuł się tak zmęczony, że tylko siłą woli zmuszał się do zachowania kierunku i utrzymywania szybowca w jakiej takiej równowadze.

Przeszedłem chyba najgorsze — pomyślał ocierając pol z czoła;

Spojrzął z wdzięcznością na długie skrzydła Bociana: wytrzymały! Spróbował poruszyć kolejno wszystkimi sterami.

Chodziły gładko, stawiając elastyczny opór, jak zwykle.

Uspokoilo go to zupełnie.

Po chwili rzucanie ustało i równy, tęgi prąd poniosł go w górę. Nad szybowcem jaśniała coraz bliższa, świetlista krawędź

chmury. Niewątpliwie osiągnął falę.

Gdy inżynier Hajduk wylądował na lotnisku w Nowym Targu, prędkość wiatru przy ziemi wynosiła tam około sześć-

dziesięciu kilometrów na godzinę, lecz meldunki z Kasprowego podawały już ponad sto dziesięć. Wkrótce zresztą w dolinie także rozszalała się wichura o sile huraganu i tylko od czasu do czasu halny przy ci chał na chwilę, by zaraz potem poderwać się z tym większą wściekłością;

W Zakopanem, na Reglach, na Gubałówce, w Zubsu-ehern i w lasach pod Nowym Targiem padały drzewa, z kilku domów zerwało dachy, wzdłuż toru kolejowego i szosy wywracało słupy telefoniczne, na linii wysokiego napięcia były uszkodzone przewody. Drewniany hangar na lotnisku skrzypiał i trzeszczał, jeden z namiotów został zmieciony, a jego płachty zdołano pochwycić i uratować tylko dlatego, że zaplątały się w zaroślach u skraju lotniska.

Nikt nie spał tej nocy w obozie wyprawy. Hajduk niepokoił

się o Szarego, jakkolwiek przypuszczał, że Bolek wy dostał się na dość znaczną wysokość, aby przejść na spokojny prąd falowy.

Pozostawił go wraz z Bocianem nad owymi dwiema kopami w pobliżu Szaflar, w chwili gdy szybowiec wzniósł się na dwa tysiące metrów. Ufał, że Szary da sobie radę, lecz obawiał się o jego lądowanie. W tych okolicznościach żaden pilot nie zdołałby zapobiec katastrofie, zwłaszcza jeśli w czasie podchodzenia do lotniska trafiłby na gwałtowne opadanie; pierwszy lepszy poryw huraganu mógł unieść go na paręset metrów i nagle rzucić o ziemię. Nawet jeżeliby mu się udało wylądować bez wypadku, to utrzymanie szybowca, a tym bardziej dociągnięcie go do hangaru przekraczało siły kilkunastu ludzi.

Inżynier miał nadzieję, że halny za kilka godzin zacznie przycichać. Jeżeli Szary zdaje sobie sprawę z jego siły i gwał-

towności, powinien jak najdłużej utrzymać się w powietrzu w zasięgu fali, i to na takiej wysokości, na jakiej możliwe jest oddychanie bez użycia inhalatora tlenowego. Taktyka tego rodzaju była wskazana również ze względu na bardzo niską temperaturę w górnych warstwach atmosfery. Ale tak czy owak poważne niebezpieczeństwo groziło pilotowi, a inżynier czuł się odpowiedzialny za jego zdrowie i tycie.

O drugiej z Poronina przyjechał na motocyklu łącznik tamtejszego posterunku meeorologiczno-obszewacyjnego z wiadomością, że przed godziną zauważono tam szybowiec żeglujący na wysokości trzech lub czterech tysięcy metrów tuż przed nawietrzną krawędzią altocumulus lenticularis, która rozciąga się aż po Bukowinę.

Była to wiadomość pocieszająca. Nadeszła z opóźnieniem, ponieważ nie można było uzyskać połączenia telefonicznego z lotniskiem.

Hajduk próbował odszukać Bociana przez polową lornetę we wskazanej okolicy nieba, ale na próżno. Szybowiec tymczasem zapewne zmienił obrane stanowisko i znajdował się znacznie wyżej.

Próby zasięgnięcia informacji w obserwatorium na Kasprowym Wierchu nie dały rezultatu; linia telefoniczna i tam już nie działała. Można się było rozmówić jedynie z Bukowiną, lecz tamtejszy posterunek nie zauważył szybowca.

Około trzeciej halny osiągnął szczytowe nasilenie i odtąd nie osłabł ani na chwilę aż do świtu. Od startu Szarego upłynęło prawie sześć godzin, a od pięciu nie było o nim żadnych meldunków. Nie widziano go nad żadnym lądowiskiem na północ od Nowego Targu, nie wylądował w Krakowie, nikt w promieniu stu kilometrów nic o nim nie wiedział. Bocian znikł, jakby się rozwiął w przestrzeni, przez którą hucząc, szumiąc i jęcząc pędził oszalały wicher..

Prawie wszystkie połączenia telefoniczne w kierunkach południowych zostały przerwane, nie było łączności z Czechosłowacją, o poszukiwaniach lotniczych zaginionego szybowca nie można było nawet myśleć, bo start z lotniska w Nowym Targu, a tym bardziej lot na niewielkiej wysoko-

ści nad górskim terenem groziły nieuchronnym rozbiciem samolotu.

Hajduk wysłał kilka depech do pogranicznych władz czechosłowackich i wyprawił na wszystkie strony motocyklistów, aby zbadali okolicę w poszukiwaniu śladów lub wiadomości o Bocianie. Zawiadomiono milicję w Nowym Targu i w Zakopanem, zwrócono się o pomoc do Pogotowia Tatrzańskiego celem nawiązania kontaktu z obserwatorium na Kasprowym Wierchu, lecz do godziny dziewiątej sytuacja pozostała bez zmian: Szary i jego szybowiec przepadli bez śladu..; Dopiero w kilka minut po dziewiątej zadzwonił telefon z Krakowa. Tamtejszy aeroklub otrzymał wiadomość z lotniska w Łodzi, że o świcie jakiś nie rozpoznany szybowiec na bardzo dużej wysokości przeleciał z wiatrem w kierunku północnym.

Hajduk natychmiast zażądał połączenia z Kutnem, Włocławkiem i Toruniem, aby się dowiedzieć, czy ów szybowiec przeleciał także nad którymś z tych miast i czy został tam zidentyfikowany. Lecz zanim go połączono, zgłosił się Lębork.

—Pilna lotnicza — usłyszał Hajduk głos telefonistki. —Łączę dalej, proszę zaczekać.

—Lębork? — powtórzył Łankowski który przed chwilą nadszedł. — Tam jest w pobliżu lotnisko aeroklubu. Między Lęborkiem a Wejherowem... Ale to będzie stąd ze sześćset kilometrów!

Hajduk skinął głową.

— Jeżeli to jest Szary, to... Słucham! — powiedział do mikrofonu; —• Tak, tu lotnisko w Nowym Targu. Inżynier Hajduk.

Znów kazano mu czekać.

— Będzie mówił pilot Bolesław Szary — powiadomiła go telefonistka. — Chwileczkę.

— Szary! — powiedział Hajduk do Łankowskiego.

Łankowski gwizdnął przez zęby;

— To byłby krajowy rekord! Popiel i Siemaszkiewicz mieli zdaje się pięćset czterdzieści; ładne parę lat temu.

Zataił ręce, widocznie podniecony i uradowany. Podszedł do mapy wiszącej na ścianie.-

— Tutaj —■ pokazał Hajdukowi.; — Co najmniej sześć set kilometrów!

W słuchawce trzeszczało i chrobotąło. Wichura wyła za oknem, poświstywała w przewodach komina, cwałowała po dachu.

— Słucham! — wołał inżynier. — Słucham, Halo, Lę bork !

Łankowski patrzył na niego w napięciu. Wreszcie Hajduk zaczął rozmawiać.

— Jedenaście tysięcy...: Tak, rozumiem. Prawie tyle przewyższenia... Naturalnie, nowy rekord międzynarodowy; Wszystkie przyrządy działały? Aha, nie zdejmowałeś plomb.;; Nie, niech będą zaplombowane. Czy ci nie urwiemy głowy?

Za ten przelot? Urwiemy, naturalnie! Wszyscy cię szukają od świtu. Przelot? Tak, drugi diament. No, gratuluję. I Łan kowski także. Cieszy się, razem ze mną. Ile? Sześćset dzie sięć w linii prostej? Też rekord, krajowy... Dobrze, niech cię odholują wprost do Bielska, jak tylko się uciszy. Może jutro.-

Tu już nie ma po co wracać; zwijamy obóz. Dobrze, bywaj zdrów... Zobaczymy się w Bielsku. Jeszcze raz gratuluję. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko. Potem, widząc, że Łankowski patrzy na niego pytająco, wyjaśnił: — Niosło go bez przerwy aż poza Częstochowę na trze ciej fali, więc nie lądował; żeby zbadać cały zasięg poziomy, rozumiecie. Skończyło się to nad Łodzią, ale miał tam jesz cze sześć tysięcy metrów. Potem zabrakło mu już tlenu. My ślał, że dociągnie tylko do Włocławka, lecz nad Kutnem na pięciu tysiącach trafił na niezłe wznoszenie, a nad Toruniem miał

cztery tysiące metrów i zero na wariometrze. Powiada, że tylko pod Kościerzyną trochę go przycisnęło, ale w okolicy tego lotniska pod Lęborkiem wykręcił dwa tysiące. No, ale jak zobaczył z daleka morze, wreszcie zdecydował się na lądowanie, bo zaczęła mu się kończyć Polska! Miał szczęście, co tu gadać..; — Ja myślę! — uśmiechnął się Łankowski. — Dwa re kordy i diament w jednym locie, nie licząc już tych wszyst kich danych, które zapisały przyrządy. Opłaciło się!

Telefon znów zadzwonił przeciągle, niecierpliwie.

—Zamówione Kutno — powiedziała telefonistka. — Proszę mówić;



—Dziękuję pani — odrzekł Hajduk. — Nie będzie rozmowy.

Proszę skasować także Włocławek i Toruń.

—To ten wasz pilot się znalazł? — zapytała. — W Lęborku?

—Znalazł się. Proszę o Warszawę. Aeroklub Rzeczy-pospolitej, dobrze?

—Spróbuję — powiedziała uprzejmie. — A nic mu się nie stało?

—Pilotowi? Nie. W każdym razie nic złego. Zdobył po drodze diament.

—Co pan mówi! — zdumiała się. — Diament w powietrzu?!

E, żartuje pan sobie ze mnie.

—Ani trochę — zapewnił ją poważnie. — Jutro będzie o tym we wszystkich gazetach.

W początkach grudnia sekcja techniczno-wytwórcza Szybowcowych Zakładów Doświadczalnych ukończyła przygotowania do produkcji prototypu szybowca wyczynowego Meteor według od dawna już zatwierdzonego projektu wstępnego inżyniera Teodora Kunickiego.

Rysunki warsztatowe wykonane przez grupę konstrukcyjną zostały opracowane pod względem kalkulacji materiałowej i czasowej, po czym kolejno zaczęły napływać do poszczególnych działów produkcji, gdzie według nich powstawały okucia, napędy, części skrzydeł, kadłubów i sterów.

Każdy z takich elementów wykonywano w czterech jednakowych egzemplarzach; jeden z nich następnie poddawano próbie wytrzymałości, aż do złamania, rozerwania czy też zgniecenia; drugi wysyłano w tym samym celu na badania do Instytutu Lotnictwa w Warszawie; dwa pozostałe zachowywano do budowy dwóch prototypów.

Specjalna brygada działu drzewnego, na której czele stał

Bolesław Szary, pracowała teraz na prowizorycznym oprzyrządowaniu, według prymitywnych szablonów, a cała

owita obróbka żeber, podłużnie, dźwigarów głównych, mostów, wszystkich tych dużych i małych części drewnianych, których całe setki składają się na delikatną a zarazem mocną, elastyczną i wytrzymałą konstrukcję szybowca, odbywała się ręcznie, prawie bez pomocy maszyn. Od jej dokładności, od precyzji wymiarów i kształtów modelowanych z drewna zgodnie z rysunkiem wykonanym w biurze konstrukcyjnym zależało właściwie wszystko.

Była to odpowiedzialna, niełatwa praca, zwłaszcza że Meteor miał laminarne profile skrzydeł \* o bardzo subtelnym krzywiznach, nieco odmiennych dla każdego żebra.

Inżynier Kunicki opracowując projekt wstępny zakładał z góry, że Meteor będzie nieco cięższy i znacznie szybszy od Jaskółki, przy zachowaniu jej doskonałości w locie ślizgowym. W

tych jego przewidywanych zaletach pokładano wielkie nadzieje w związku z międzynarodowymi zawodami, jakie miały się odbyć w końcu lata.

Na razie do zawodów było jeszcze daleko, ale inżynier Hajduk, odpowiedzialny za budowę prototypu i pierwszej serii, bynajmniej nie uważał, aby ów termin pozostawiał wiele luzu na wykonanie zadania. Trudno było z góry przewidzieć, ile trzeba będzie przeprowadzić zmian i poprawek, zanim szybowiec zostanie całkowicie wykończony, oblatany i przyjęty, a przecież dopiero wówczas można zacząć produkcję owej niewielkiej serii przeznaczonej na zawody.

W styczniu Szary zaczął przekazywać pierwsze bardziej złożone części do prób. Stateczniki, stery, lotki kolejno szły na złamanie pod obciążeniem, on zaś nie mógł

opanować pewnego żalu patrząc, jak uginają się pod brzemieniem i w końcu pękają z żalonym trzaskiem.

Doznawał jednak także uczucia dumy. Spasowane moc-

\* L a m i n a r n y p r o f i l s k r z y d ł a — taki, który nie powoduje wirów w opływie powietrza podczas lotu; szybowce o profilach lammamych odznaczają się dzięki temu dużą prędkością.

no, sklezione, jakby zrosnięte z sobą warstwy drewna, cienkie żeberka, skorupy i kesony ze sklejki, wypolerowane, wy-pieszczone rękami robotników z jego brygady, wielokrotnie sprawdzane i częstokroć wykończane przez niego samego, długo nie chciały się poddać. Torturowano je, męczono, ściskano i rozciągano lub wreszcie obarczano ogromnym ciężarem: całą górą worków z piaskiem. Wskazówka przyrządu pomiarowego miała liczbę dopuszczalnego obciążenia, posuwała się wciąż dalej na tarczy z podziałką, worków wciąż przybywało, a delikatna, krucha na pozór konstrukcja nie dawała się złamać.

„Jeszcze dziesięć kilogramów” mówił inżynier Hajduk.

Szary i Kunicki zamieniali krótkie, wymowne spojrzenia, któryś z techników wśród napiętej ciszy układał nową warstwę małych dwukilowych worków i nic!

„Jeszcze dziesięć” powtarzał naczelny inżynier; I znowu nic!

Worki piętrzyły się wyżej i wyżej; przystawiano przenośne schodki, aby ułożyć jeszcze parę warstw. Napięcie nerwowe rosło wraz z obciążeniem, ludzie mówili szeptem, spierali się, ile wytrzyma?

Wreszcie konstrukcja zaczynała uginać się, trzeszczeć i skrzypieć, a ostatni kilogram pokonywał jej wytrzymałość i worki z głuchym, miękkim łoskotem waliły się na ziemię.

Czasem zdarzało się, że jakaś drobna część łamała się przy obciążeniu znacznie mniejszym, choć przecież wyższym od dopuszczalnego w locie według projektu. Szary bardzo się tym przejmował, lecz gdy druga, a potem także trzecia sztuka pękała w podobnych warunkach, inżynier Kunicki jeszcze tego samego dnia czynił poprawki i dawał nowy rysunek, a Szary sam wykonywał

według niego drewniane elementy, które znakomicie wytrzymały próbę w granicach tolerancji.

W pierwszym tygodniu marca zaczął się montaż jednego z prototypów, a w następny poniedziałek zajęła się nim sekcja pomiarów i badań w locie.

W pierwszych lotach zapoznawczych nastąpiły kolejne próby stateczności i sterowności oraz kolejne poprawki warsztatowe.

Szybowiec latał, piloci zmieniali się u sterowego drążka, dyskutowali z Kunickim i z Hajdukiem, wielokrotnie sprawdzali działanie sterów, lotek, hamulców aerodynamicznych i kłap, zastanawiali się, jak usunąć drobne usterki lub nieznaczne drgania, po czym Szary i jego specjalny zespół dokonywali przeróbek, skracali, przedłużali, przestawiali, pasowali

je na nowo i Meteor znów szedł w powietrze.

Książka pokładowa zapełniała się uwagami oblatywaczy, długa kolumna dat, liczb, znaków i skrótów osiągnęła kilkadziesiąt pozycji, wykaz przeróbek i zmian wydłużał się ustawicznie, grubiał plik dodatkowych rysunków i opisów technicznych.

Szybowiec wpełzał do hali montażowej, gdzie odejmowano mu skrzydła lub stery, przechodził operacje chirurgiczne i plastyczne lub kuracje kondycyjne, po których znowu latał i znów leżał całymi dniami z rozprutym skrzydłem, ogołocoony ze sterów, z wybebeszonym kadłubem, ukazując nagie żebra i połyskujące ścięgna metalowych okuć;

Lecz niemal po każdym takim zabiegu i po nowej próbie w powietrzu oblatywacz opuszczając jego kabinę uśmiechał się już z daleka do oczekujących go inżynierów i majstrów: „Pomogło! Nie drga! Słucha! Wychodzi!”

Następny szereg lotów próbnych obejmował pomiary szczególnych właściwości prototypu przy różnych prędkościach, konieczne do wykreślenia biegunowych \*, a także pomiary czasu wykonywania prawidłowych figur akrobacji.

Teraz już było mniej poprawek i zmian. Za to wszystkie poprzednie należało przenieść i zastosować do drugiego egzemplarza prototypu, który poszedł z powrotem na warsztat.

Wreszcie, po upływie sześciu tygodni od pierwszego lotu, przyszła kolej na pomiar maksymalnego i minimalnego przyśpieszenia.

Meteor-1 pilotowany przez głównego oblatywacza zakładów wzniósł się w powietrze na holu, odczepił się na wysokości dwóch tysięcy metrów, zatoczył krąg nad lotniskiem, wykonał kilka prostych manewrów, po czym przeszedł w ostrą, niemal pionową pikę \*.

Szary stał wraz z innymi przed hangarem i śledził wzrokiem piękną sylwetkę szybowca, który leciał w dół ze świstem i sykiem jak strzała wypuszczona z łuku. Pilot rozpędzał go coraz bardziej, a ludzie patrzący na tę próbę wstrzymywali oddech. Mogło się zdawać, że stery przestały działać; że to, co się dzieje z prototypem, jest zapowiedzią katastrofy; że Meteor spada bezwładnie i za chwilę albo rozsypie się w powietrzu, albo też runie z traskiem na ziemię, grzebiąc pod swymi szczątkami człowieka, który zaufał wytrzymałości jego skrzydeł.

Świst pędu rósł, stawał się coraz wyższy, coraz bardziej przenikliwy. Powietrze syczało, furkotało, darło się na strzępy z cienkim piskliwym trelem.

W jakiejś chwili, gdy do ziemi pozostało jeszcze około tysiąca metrów, Szary usłyszał za sobą głośnie westchnienie.

Obejrzał się szybko i zobaczył pobladłą twarz Stefci Proko-szowej, która stała obok męża ściskając go kurczowo za ramię.

Bolek uśmiechnął się do nich porozumiewawczo. Oboje pracowali przy budowie prototypu: Władek Prokosz w ślu-sarni, Stefcia przy sklejanii żeber. Ten szybowiec w pewnej mierze był także ich dziełem, a teraz oto zdawał najtrudniejszy egzamin.

Wtem z góry nadleciał jęk i skowyt, jakby przestwór nad lotniskiem został przeszyty

nagłym bólem nie do zniesienia.-

Szary odwrócił głowę. Meteor, brutalnie ściągnięty sterem, orał głęboką bruzdę w kryształowo czystym powietrzu.-Jego długie, elastyczne skrzydła, stateczniki i stery, lotki i wszystkie wiązania kadłuba musiały teraz przewycięzać potężny opór; musiały wytrzymać gwałtowne obciążenie pod działaniem siły bezwładności.

Szaremu wydało się, że to jego własne mięśnie i ścięgna biorą udział w tym wysiłku; że pęd wyłamuje mu ramiona w stawach, miażdży wnętrzności, wypiera dech z piersi. Omal nie jęknął pod tym wrażeniem.

Lecz szybowiec już wymknął się hamującym go wirom, w których przez sekundę zdawał się grzęznąć, płynnie wyrównał

zakłęśła linię łuku, śmignął w górę.

Pilot wytrzymał go w tym położeniu aż do zupełnej utraty prędkości, a potem zmusił do ślizgu w tył, na ogon i wreszcie rzucił w korkociąg.

Błyski słońca raz po raz przebiegały po skrzydłach, zapalały się i gasły w przezroczystej osłonie kabiny, skrzyły się na zwichrowanych lotkach, przeskakiwały po skrzyżowanych sterach.

Meteor przewiercał przestrzeń pionowym świdrem mierząc w sam środek lotniska, a jego zniekształcony cień wił się po ziemi, wpadał na ścianę hangaru, wlatywał aż na dach i w mgnieniu oka spływał stamtąd z powrotem na betonową płytę, aby natychmiast powtórzyć tę akrobatyczną sztukę od początku.

Ludzie na ziemi, ślusarze i spawacze, którzy wykonali okucia, zawiasy, ramy, dźwignie i sworznie, dziewczęta, które wycinały i kleiły żeberka, stolarze, którzy wraz z Szarym obrabiali dźwigary, wręgi i mosty, budowali skrzydła i ka-dłub, mechanicy, którzy montowali prototyp, wszyscy ci, od których sumienności i umiejętności zawisły losy Meteora i być może życie pilota, patrzyli na wirującą maszynę, nie mogąc ani na chwilę oderwać od niej oczu.

Oto leciała w dół, płasając w ciasnych zwitkach, tak jak ją prowadziły stery, jak chciał doświadczony pilot, którego znali, któremu ufali i który sam także zaufał ich dziełu.

Powinna wyjść z tego korkociągu przy pierwszym wy-równaniu drążka i orczyka \*. Powinna wyskoczyć w bok natychmiast\* bez najmniejszego opóźnienia, bez wahania, jak sprężyna zwolniona z zaczepu;

Czekali na ten moment w napięciu: czy istotnie tak się stanie? Czy nie zawiodą obliczenia aerodynamiczne? Czy Meteor okaże się tak posłuszny i czuły, jakim chciał go uczynić konstruktor? Czy też może.;;

Nowy, nieco dłuższy błysk słoneczny w górze, jak od młyńca szabli w ręku wprawnego szermierza, rozstrzygnął w ciągu sekundy te wątpliwości. Szybowiec gładko i cicho, rzekłbyś od niechcienia, wymknął się z lewego zwoju, wypłynął w górę, zawrócił, zwałił się na skrzydło, na łeb i zaczął kręcić w przeciwną stronę.

— Ale chodzi! — westchnął ktoś z podziwem. — Jak szczupak w stawie!

Ludzie poruszyli się, ten i ów spoglądał na Hajduka i Kunickiego, którzy stali obok siebie; Hajduk spokojny, opanowany, poważny, z lekko ściągniętymi brwiami, Kunicki zaś rozgorączkowany, z wypiekami na twarzy. Obaj milczeli, nie robiąc żadnych uwag. Kierownik biura konstrukcyjnego ocierał tylko pot z czoła, a jego nierówny oddech świadczył o podnieceniu, jakiemu ulegał.

Tymczasem Meteor na wysokości sześciuset metrów znów wyszedł z korkociągu, równie łatwo i sprawnie jak za pierwszym razem. Pilot położył go w prawy zakręt, w lewy, zawiązał kilka ósemek, wyrównał, odszedł z wiatrem do lądowania, zawróciła otworzył hamulce, ostro poszedł w dół, załamał kąt \* i czekał.

Maszyna niosła się o pół metra nad powierzchnią lotniska wprost ku betonowej płycie przed hangarem, z wolna traciła prędkość, aż osiadła z cichym szelestem płozy tak blisko, że koniec jej skrzydła wsparł się na ziemi zaledwie o parę kroków od stóp inżyniera Kunickiego.

— No, zdaje się, że wypijemy dziś parę butelek niezłego wina — powiedział Hajduk wyciągając do niego rękę. — Udał się wam. Gratuluję!

Meteor istotnie okazał się szybowcem bardzo udłym. Jego bliźniak, drugi egzemplarz prototypu, został zmontowany i oblatany, otrzymał piękne obicia kabiny, emaliowane tabliczki ze wskazaniem działania wszelkich dźwigni i napędów, i wreszcie świeży, błyszczący, wymuskany pojechał w wielkiej skrzyni do Warszawy na ostateczne badania w Instytucie Lotnictwa.

Gdy stamtąd wrócił wraz z dokumentami homologacyjnymi, ruszyła produkcja seryjna według szablonów, które tymczasem przygotowała brygada specjalna Bolesława Szarego, a w czerwcu trzy Meteory z serii oraz prototyp numer jeden odleciały do Lisich Kątów, do Aeroklubów Poznańskiego i Warszawskiego na próbną eksploatację.

Jeden z tych szybowców, przeznaczony dla Warszawy, odprowadzał Szary wykorzystując w tym celu pewną pogodną niedzielę i południowy wiatr, co w pomyślnym wyniku, jak się spodziewał, mogło mu przynieść trzeci diament.

Warunki atmosferyczne tego dnia były rzeczywiście sprzyjające: długie rzędy śnieżnobiałych cumulusów, przypominających wymyślnie ufryzowane peruki z osiemnastego stulecia, sunęły z południa wprost ku północy; wystarczyło trzymać się ich szlaku, aby nie tracić wysokości. Szary porzucił

go tylko od czasu do czasu, przeskakując pod sąsiedni rząd, bardziej ku wschodowi, jak prowadził kurs na Warszawę.

Po jesiennym treningu wyczynowym w Lisich Kątach, po licznych krótszych przelotach i trójkątach, jakie odbył od tego czasu w aeroklubie, lot docelowy na przestrzeni trzystu dwudziestu kilometrów nie nastroczał mu już prawie żadnych trudności. Od pierwszego spojrzenia umiał teraz ocenić właściwości każdego obłoku; nie szukał kominów: znajdował je; z góry wiedział, gdzie napotka najlepsze wznoszenie; wybierał i wyzyskiwał tylko

najsilniejsze odcinki nurtu, nie tracąc czasu nakręcenie w ich szczytowych, słabszych partiach: leciał z dużą prędkością, obserwując niebo i ziemię swobodnie, bez tego męczącego napięcia, z jakim niegdyś gorączkowo starał się objąć i dostrzec lub odgadnąć szczególne znaki i właściwości wskazujące na możliwość istnienia ognisk termiki. Jego wrodzone zdolności, wyobraźnia, intuicja, wycucie równowagi, wszystko to, co składa się na talent lotniczy, wsparte praktycznym doświadczeniem i wiadomościami teoretycznymi, uczyniły z niego pilota, który naprawdę mógł „być na ty z powietrzem”; Przeszedł niejedno niepowodzenie, pokonał wiele trudności, nieraz doznał uczucia strachu, nad którym nauczył się panować, wyrobił w sobie zimną krew, zdobył się na wytrwałość i upór w osiągnięciu zamierzeń.

Dziś nie mógł go już zaskoczyć byle kryzys podczas lotu w ciężkich warunkach. Umiał je przewidywać i omijać; umiał też z nimi zwycięsko walczyć.

Poznał potęgę burz i wichrów, gwałtowność rotorów, kipieli skłóconych prądów. Przeniknął ich zdradziecki charakter i wiedział, że potrafi stawić im czoło w każdej sytuacji.

Budziło to w nim słuszną dumę, choć nie lekceważył niebezpieczeństwa; znał je i znał także siebie samego; był pewien, że nie ulegnie panice.

Poznał także szybowce niemal od samego ich poczęcia; od chwili gdy otrzymawszy rysunki warsztatowe zastanawiał się nad konstrukcją ich szkieletów i wyobrażał sobie kadłuby, skrzydła i stery jako trójwymiarowe bryły. Sam, własnymi rękami modelował ich kształty; sam troszczył się o ich moc i solidność wykonania; sam był świadkiem, ile mogą unieść ponad obliczone maksimum obciążenia. Ta świadomość wzmogła jego zaufanie do wytrzymałości dźwigarów i okuć: wiedział, że nie mogą się złamać, że nie zostaną urwane nawet wśród brutalnej wałki z wichurą, jeśli tylko psychiczne siły pilota jej nie ulegną; jeśli on sam nie podda się, jeśli nie obezwładni go strach.

Lecz w tym pogodnym, spokojnym i łatwym locie z Bielska do Warszawy ani Meteorowi, ani jemu samemu nie groziły takie niebezpieczeństwa. Szybowiec i pilot mogli bez widocznego wysiłku popisać się tylko swoją zręcznością i sprawnością, sztuką przyrodzoną najdoskonalej latającym ptakom, a Szary doznawał

przy tym podwójnego zadowolenia, ponieważ Meteor w pewnej mierze także i jemu zawdzięczał swoje niezwykłe zalety; W ciągu pierwszej godziny lotu minął Oświęcim, zostawił po lewej stronie Górnośląski Okręg Przemysłowy i przeleciawszy nad Pilicą znalazł się nad płaską rozległą równiną. Lasy, pastwiska, uprawne pola ciągnęły się tu na przemian aż po linię widnokregu. Tylko w stronie Kielc teren wznosił się wyżej, jakby po dwóch stopniach, ku dalekim, lekko zamglonym Górom Świętokrzyskim.

Nad wzgórzami Pasma Przedborskiego wznoszenie wzrosło przeciętnie do dwóch metrów na sekundę i utrzymywało się niezmiennie aż poza Opoczno. Ta okoliczność pozwoliła Szaremu na zwiększenie prędkości do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, tak że gdy po raz drugi przecinał niebieską wstążkę Pilicy, miał średnią przelotową nieco

ponad sto.

Lecz na pozostałej części trasy warunki uległy stopniowemu pogorszeniu i między Grójcem a Mszczonowem, gdy już w oddali widać było Warszawę, nastąpił pierwszy kryzys.

Szary dostrzegł jego zapowiedź dość wcześnie, aby uniknąć większego ryzyka, ale musiał w tym celu zboczyć ku wschodowi i stracił prawie kwadrans na odzyskanie bezpiecznej wysokości.

Mając pod sobą znów tysiąc osiemset metrów, nad głową zaś pięknie rozkwitający cumulus, już zamierzał przeskoczyć pod następny, gdy zauważył krążącą nisko nad ziemią Jaskółkę. Jej pilot najwidoczniej „zabrał” na nikłym prądzie termicznym, z trudem utrzymując się nad jakąś małą wyniosłością, która wbrew jego nadziejom nie wzbudzała silniejszych wznoszeń.

Szary uśmiechnął się z pobłażaniem. Sam niegdyś wpadał w podobne pułapki i przeżywał długie chwile niepewności, z zerem na wariometrze. Mogło mu się to zdarzyć i dzisiaj, gdyby nie rozejrzał się w terenie, skoro tylko wyczuł zbliżający się obszar nieruchomej, martwej toni powietrznej.

.Teraz był wysoko, już poza nią, i patrząc w dół widział jak na dłoni to, czego ów nieostrożny czy też mniej doświadczony pilot nie mógł dostrzec, pętając się bezradnie na stu metrach w gorączkowym poszukiwaniu wznoszenia.

Było tam takie miejsce, chyba jedyne w promieniu paru kilometrów, nad którym raz po raz powinny wyrastać dość silne kominy użytkowych prądów: nieznaczny, pochylony ku południowemu słońcu skłon wzdłuż piaszczystej drogi. Jaskółka mogła go osiągnąć w ciągu pół minuty, zużywając na ten wypad połowę wysokości. Lecz jej pilot o tym nie wiedział; tylko przypadek mógł go uratować przed przymusowym lądowaniem w polu...

Szary myślał o nim nie bez współczucia. Krążył nadal pod swoim obłokiem, nie dając się wciągnąć w jego ciemniejszą, lekko wypukłą podstawę i czekał na nieunikniony koniec tej walki, która toczyła się nisko nad ziemią zalaną słonecznym blaskiem. Za nim, od południa napływała inna, znacznie większa chmura, której cień wolno sunął w stronę owej bezpłodnej wyniosłości, aby zgasić swym chłodem wąły nurt utrzymujący jeszcze ciągle Jaskółkę w powietrzu.

Ma zaledwie półtorej, może dwie minuty — myślał Szary o jej pilocie. — Powinien szukać gdzie indziej, powinien próbować, nie upierać się tu, gdzie musi przegrać...

Był już zły na niego, a zarazem szczerze chciał mu pomóc.

Zaryzykuję — zdecydował się nagle. — Jeszcze zdążę.

Wprost z zakrętu poszedł w dół ostrym nurem na otwartych hamulcach. Pęd objął kabinę, zaszumiał, zahuczał, zawył na burtach i rósł, coraz wyższy, coraz bardziej przenikliwy, jak dźwięk syreny obwieszczającej alarm. Wskazówka prędkościomierza ruszyła z miejsca, zaczęła mijać kreski podziałki: sto — sto pięćdziesiąt — dwieście —



dwieście pięćdziesiąt... Skrzydła drgały, lekko wibrował drążek sterowy, wicher świstał w otworze zaczepu i obijał się po wewnętrznych ścianach kabiny nie znajdując ujścia. Długa i cienka czerwona strzałka zegara czasowego odmierzała sekundy, które zdawały się ulatywać w tył, porywane cwałującymi wirami opływu.

Na trzystu metrach Szary zaczął wyprowadzać. Meteor natychmiast zareagował wchodząc na łuk, skrzydła poddały się nieco, zaświstały, zapiały hamulce, a powstająca siła odśrodkowa przycisnęła pilota do siedzenia, kładąc mu się ciężkim brzemieniem na barkach, podczas gdy świat przed jego oczami zmętniał i pociemniał, jakby przezroczystą osłonę kabiny pokryła falująca ciecz o zielonkawobrunatnej barwie.

Trochę mnie zamroczyło — pomyślał.

Przycisnął brodę do piersi, odetchnął głęboko, odszukał

wzrokiem Jaskółkę. Lekki zawrót głowy, jakiego doznał wskutek odpływu krwi z mózgu, już minął. Widział teraz wyraźnie ziemię i niewielką wyniosłość, nad którą krążył tamten szybowiec.

Pochylił w przód drążek sterowy, położył się w niski wiraż, przemknął tuż obok Jaskółki, wyprzedził ją i przełożywszy ster na drugą burtę skręcił ku owemu zbocz, u którego stóp ciągnęła się szeroka smuga żółtego piasku przeorana licznymi koleinami chłopskich wozów.

Natychmiast poczuł, że Meteor trafia na mocny ciąg w górę, a wariometr potwierdził to wrażenie: strzałka uniosła się ponad zero, zawahała się, minęła jedynekę, sięgnęła prawie do dwójki i tak już została, gdy Szary zaczął krążyć w samym centrum powstającego komina.

Po chwili miał znowu dwieście, potem trzysta metrów.

Niewiele na to zważał; utrzymanie szybowca pośrodku wstę-

pującego prądu nie stanowiło dla niego żadnej trudności; zmniejszał lub zwiększał promień krzywizny, podobnie jak to czyni jastrząb wypatrujący zdobyczy i unoszący się w górę bez poruszenia skrzydłami.

Jego zdobycz. Jaskółka, daremnie dotychczas błakająca się nad pobliskim pagórkiem, płynęła teraz w ślad za nim, uciekając przed cieniem wielkiego obłoku, który już wślizgiwał

się na skrajne zagony kartofli u podstawy wzniesienia.

W sam czas — pomyślał Szary.

Patrzył z góry na jej białe, lśniące skrzydła, jak sunęły Inż nad jasnozielonym łąnem żyta. Zdawały się dotykać kłosów, co znów obudziło w nim obawę o los pilota: dociągnie, czy nie dociągnie? Zrozumiał daną mu wskazówkę, czy nie?

Aby go upewnić o istnieniu czynnego ogniska wznoszeń i raz jeszcze wyraźnie je wskazać, Szary powtórnie znurkował nad drogę, a następnie znów zaczął wykrecać

wysokość.

Nurt zdawał się teraz jeszcze silniejszy; komin rozrastał się wszcz i wzwyż, a nowy obłok odpływał z wiatrem znad jego szczytu pochylonego ku północy.

Pilot Jaskółki z pewnością dostrzegł to również, bo znalazłszy się wreszcie nad lekkim skłonem terenu, porośłym suchą, zrudziałą od słońca trawą, natychmiast zatoczył krąg i zaczął

centrować, a w chwilę później odległość między Jaskółką a jej cieniem na ziemi z wolna zaczęła wzrastać.

Po kwadransie Meteor miał na wysokościomierzu tysiąc osiemset metrów, Jaskółka zaś prawdopodobnie o jakieś dwieście lub trzysta mniej. Szary uznał, że to najzupełniej wystarczy i przestał się o nią troszczyć; pękate, nabrzmiące ciepłem cumulusy znów płynęły na jego kursie, zdążając ku Warszawie. Zwiększył

prędkość i poleciał naprzód, wyprzedzając je kolejno, by wreszcie zejść piękną spiralą \* nad miastem i wylądować na gołławskim lotnisku aeroklubu.

Gdyby z Jaskółki, która wylądowała w kilka minut później, wychyliła się wdzięczna postać Fortuny, bogini losów i szczęścia z wagą w jednej ręce i rogiem obfitości w drugiej, Szary nie byłby zapewne bardziej zaskoczony i ucieszony jej widokiem, niż ujrzawszy tam Barbarę Lachównę.

— Romeo! — zawołała otwierając osłonę. — Uratowa łoś mnie od fatalnej klapy! Jestem ci winna dozgonną wdzięczność i połowę karatów z mojego diamentu. A może wolisz, żebym się publicznie pocałowała? Wypowiedz się szczerze!

Szary oświadczył, że woli to drugie, lecz bez udziału publiczności.

— Zawsze byłoś odludkiem — westchnęła. — Ale niech będzie.

Ujęła go pod rękę i przez chwilę stali tak razem, otoczeni przez miejscowych pilotów, przyjmując ich gratulacje, wymieniając uśmiechy i uściski dłoni, a polem ruszyli całą gromadą, żeby obejrzeć Meleora.

Szary z niejakim roztargnieniem odpowiadał na grad pytań dotyczących szybowca, nawet wówczas, gdy te pytania zadawała jedyna osoba, z którą naprawdę pragnął w tej chwili mówić. Musiał jednak poddać się temu chaotycznemu wywiadowi, a następnie, już w spokojniejszych warunkach, w kancelarii kierownika wyszkolenia, załatwić formalności zdawczo-odbiorcze oraz uzyskać od komisarza sportowego potwierdzenie dokonanego przelotu.

Dopiero później dowiedział się także o szczegółach dia-mentowego lotu Baški.

Jedli we dwoje spóźniony obiad w pustej o tej porze restauracji na Starym Mieście, dokąd ich podwiózł półcięża-rowy samochód z lotniska. Zażywny kelner o czerstwej, rumianej twarzy i siwych wąsach ocenił ich jednym spojrzeniem i z przychylnym uśmiechem wskazał im stolik we wnęce oświetlonej lampą z pomarańczowym abażurem. Nie był natrętny: przyjąwszy zamówienie skinął głową, a potem podał przekąski, napełnił

kieliszki i znikł z pola widzenia na cały kwadrans. Domyślał się zapewne, że tej młodej parze zależy raczej na samotności niż na pośpiechu.

Mimo całej słuszności tego domysłu, oboje czuli się z początku trochę skrępowani owym sam na sam. Oczy ich spotkały się i uciekły od siebie jakby spłoszone, a Szary chcąc za wszelką cenę przerwać milczenie, jakie zapanowało nagle po odejściu kelnera, rzeczowym tonem zapytał, skąd właściwie Baška rozpoczęła swój przelot.

— Znad Koźła, ze Śląska — odrzekła. ~ Byłam w Po-i lichnie. Zgadnij, kto mnie odholował nad Koźle.

Szary spojrzał na nią trochę zaskoczony. Brwi drgnęły mu lekko.

— Rysiewicz? — spytał.

Wydęła pogardliwie usta.

— Co ty zawsze z tym Rysiewlczem? Masz psychiczny uraz od tamtych czasów? Nie widziałam zresztą od dawna tego Casanovy w taniutkim wydaniu. Nie ma go już w Polichnie.

A do Koźła holował mnie sam kierownik wyszkolenia.

—Koźbiar? — zdziwił się Szary.

—Nie. Grzymek, zwany Pigułą.

—Pocziwy, nieoceniony Piguła! — uśmiechnął się Szary.

— Więc został kierownikiem wyszkolenia?

Baśka skinęła głową.

— Na miejsce Koźbiara. Obejrzał moją Jaskółkę, zauważył małą plamkę rdzy na jakimś okuciu i wygłosił piętnasto minutowe kazanie na temat nieposzanowania sprzętu w aero klubach w ogóle, w warszawskim w szczególności, a przede mną specjalnie. Powiedział, że tylko raz w życiu miał ucznia, który naprawdę dbał o szybowce, ale i ten nie był doskołały: miał zwyczaj przy lądowaniu rozbijać Żurawie o sa nitarki !

Szary się roześmiał.

—Naprawdę tak powiedział?

—Naprawdę. Pamięta każdego z was, ze swojej trzeciej grupy. Mówi, że to była bardzo dobra grupa.

—Nam tego nic mówił.

—Mnie powiedział o tym w zaufaniu. Przypuszczam, że nawet Maciek Trel nigdy nic podobnego od Piguły nie usłyszał. Pamiętasz Trela?

—No, pewnie — odrzekł Szary. — Był przecież starszym grupy. Pocieszał mnie po tym zderzeniu z sanitarką.

—Więc on jest teraz instruktorem w Polichnie. Nie tylko instruktorem zresztą. Wiele się tam zmieniło. Piguła twierdzi, że to właśnie Maciek Trel wyrócił wszystko do góry nogami; to znaczy, że dokonał nadzwyczajnych rzeczy.

Szary chciał się dowiedzieć, co mianowicie i w jaki sposób zostało przez Trela wyrócone do góry nogami, oraz jak w tej niezwykłej pozycji toczy się tam życie, więc Baśka zaczęła opowiadać.

Gdy Trel ukończył kurs instruktorski i został przydzielony do szkoły szybowcowej w Polichnie, było tam jeszcze wszystko po staremu, a nawet zapewne nieco gorzej.

Trel z początku zajął się tylko świetlicą. Naprzykrzał się porucznikowi Bachlerowi, zanudzał kierownika administracyjnego, Dudziaka, lecz nie mógł od nich nic wydebić poza jakimiś resztkami kredytów na książki i czasopisma dla biblioteki.

Ale jak tu kupować książki, gdy nie ma nawet półek, żeby je ustawić, nie ma krzeseł, bo rozwleczono je po mieszkaniach stałego personelu, z dwóch stołów jeden jest kulawy,

a drugi z pękniętym blatem, z kompletu do ping-ponga istnieje tylko jedna rakietka i strzęp siatki, a jedynie aparat radiowy działa, lecz... w służbowym mieszkaniu komendanta szkoły.

— Pamiętasz chyba tę świetlicę? Obdrapane ściany, pa-jęczyny, i jakieś tajemnicze ciężkie skrzynie zabite gwoździemi...

Otóż Trel odkrył, że w tych skrzyniach są książki. Ze czterysta tomów! A my nie mieliśmy tam prawie nic do czytania... No, nie będę cię wtajemniczała we wszystkie szczegóły męskiej krucjaty, jaką ten uparty człowiek zorganizował na rzecz świetlicy, a także przeciw poganinowi z trzema gwiazdkami, który nie chciał oddać radia — mówiła dalej, gdy zjedli przekąskę. — Dość, że przeciągnął na swoją stronę Dudziaka, Grzymka i nawet tego Casanovę czy Don Juana ze Zduńskiej Woli. Sam rozporządzał

tylko swoją grupą uczniów, ale to byli chłopcy, którzy poszliby za nim do piekła, jak się to mówiło w romantycznych czasach. Zrobili tam porządek, niezbyt legalną drogą postarali się o deski na półki biblioteczne, sami je wyheblowali i zmontowali w warsztacie u Sitarskiego, którego namówili, żeby nic o tym nie wiedział, a w końcu Trel wymyślił, że trzeba skłonić Józję Dudziakową do objęcia roli świetliczanki. Mógł z tego wyniknąć nawet dramat — dodała marszcząc brwi.

—Dramat? — powtórzył Szary.

—Tak, dramat. No, może melodramat. To są zresztą tylko plotki, ale... widzisz, Trel użył do tej sprawy Rysicwicza, a Józja Dudziakowa jest bardzo przystojna.

—Była — wtrącił Bolek.

—Jest znowu — podkreśliła Baśka.

Umilkła na chwilę i potem zaczęła mówić o Dudziakowej, jakby ją znała na wylot, a Szary pomyślał, że ten dar przenikania ludzkich charakterów, uczuć i myśli jest u Baśki najbardziej zdumiewającą cechą, która uderzała go od początku ich przyjaźni.

Sam wiedział o Dudziakowej bardzo niewiele. Pamiętał, że niegdyś Koźbiar szkolił ją na pilotkę i że jakoby miała w tym kierunku duży talent, lecz wkrótce po zamążpójściu (z miłości „od pierwszego spojrzenia”) przestała latać. W Polichnie, kiedy ją poznał już jako żonę Dudziaka i matkę jasnowłosej dwuletniej dziewczynki, była zaniedbaną, przygasłą, zapewne trochę zawiedzioną i znudzoną kobietą, która na zawsze rozstała się z dawnymi marzeniami i aspiracjami. To, co Baśka teraz o niej mówiła, potwierdzało ten obraz, lecz zarazem pogłębiało jego perspektywę, ukazując go w pełnym świetle.

Tak, z pewnością Józja Patrynowna, zanim została Józefą Dudziakową, inaczej wyobrażała sobie przyszłość, lecz już wówczas musiała posiadać pewien zasób podświadomej rezygnacji, wystarczający do poddania się fali zwykłej ludzkiej doli. Może z początku próbowała pokierować inaczej swym codziennym życiem; ubarwić je, urozmaicić, zatrzymać i rozwinąć to, ku czemu zmierzała jako młoda dziewczyna. Ale przecież miała teraz męża; solidnego, porządnego człowieka, który chciał, żeby „myślała i postępowała poważnie”, jak on sam; który pragnął

mieć dom, jak inni mężowie, i żonę wyłącznie dla siebie.

Czuła się przy tym bezpiecznie i pewnie, a z czasem to poczucie bezpieczeństwa zmieniło się w ufność, że tak będzie najlepiej. Z czasem także jej gorąca miłość ostygła i stała się raczej ciepłym przywiązaniem, trochę nudnym i sennym, lecz przecież przynajmniej z pozoru głębokim, jak spokojny staw, którego głębi nikt nie mącił.

Jego powierzchnia drgała lekko tylko wówczas, gdy w pobliżu znalazł się Marek Rysiewicz, elegancki cherubin po cywilnemu.

Zachodził do sklepiku Samopomocy Chłopskiej, podobnie jak inni instruktorzy, kupował to i owo, rzucał jakiś żart, przekomarzał się z dziewczętami, które udawały, że się bronią, gdy je obejmował i ścisnął w ciemnej sionce.

Na Józię tylko spoglądał poprzez ladę, poprawiając krawat, ale te jego bezczelne spojrzenia zrozumiałe dla każdej kobiety, zawsze budziły jej niepokój maskowany niewzruszoną powściągliwością. Nie wiedziała, czy powinna się na niego obrazić, czy odpowiedzieć pogardliwym skrzywieniem ust, czy zachować zupełną obojętność. Czasem zdawało jej się, że go nienawidzi, a przecież zawsze, ilekroć dostrzegła przez okno, że się zbliża, przyglądała włosy i ukradkiem spoglądała w lustro.

W rozmowach z mężem nigdy nie wspominała o tym człowieku, jakkolwiek często otwarcie wyrażała swoją sympatię dla Grzymka i Sitarskiego. Dudziak nie był podejrzliwy i sam nie pytał o takie sprawy; po prostu nie przychodziło mu do głowy, żeby Józia mogła zainteresować się jakimkolwiek innym mężczyzną, a fakt, że od pewnego czasu zaczęła staranniej się ubierać, a nawet stroić, całkowicie pozostał przez niego nie zauważony.

Gdy wypłynęła sprawa świetlicy i Trel wysunął myśl, żeby etatowe stanowisko świetliczanki i bibliotekarki zaproponować Dudziakowej, Rysiewicz natychmiast podjął się tej misji.

- No i zaczęło się... - powiedziała Baśka. -- Widzisz, dla mego to była -,,. n

i n • ■

»

^a zwykła ro/rywka; dla nie]...

Urwała i spuściła oczy. Jej długie rzęsy rzuciły cień na policzki i nagle znów się podniosły, ukazując czysty błękit spojrzenia.

~ tymczasem Trel zaczął się upominać coraz natarczywiej o ten odbiornik radiowy, co komendanta szkoły doprowadzało do tłumionej wściekłości. W dodatku poczynania najmłodszego z instruktorów ustawicznie zakłócały jego dotychczasowy błogi spokój, ponieważ Trel bynajmniej nie poprzestał na świetlicy, lecz postanowił z kolei przewyciężyć dotychczasową bierność kierownika wyszkolenia, „uaktywnić kadrę instruktorską”, jak to po swojemu określił, przerobić cały program teoretyczny i praktyczny nie tylko na papierze, jak przerabiano go dotychczas pod kierunkiem Koźbiara.

Z taktycznego punktu widzenia było to poniekąd błędem: Koźbiar i Bachler stali się

sojusznikami; pierwszy bronił swoich zamiarów do przelotów nie mających wiele wspólnego ze szkoleniem, drugi swego lenistwa. Obaj byli oburzeni zdumiewającą zarożumiałością Trela, który na odprawach ośmielał się głośno krytykować ich zaniedbania. Postanowili go wykończyć, a tamta sprawa pomiędzy Dudziakową i Rysiewiczem nieoczekiwanie im dopomogła.

Ow splot wydarzeń i okoliczności, o którym teraz mówiła Baśka, rozegrał się w ciągu paru dni, jakkolwiek walka pomiędzy Trelem a komendantem szkoły i Koźbiarem trwała znacznie dłużej.

Zaczął się od szykan ze strony kierownika wyszkolenia: grupie uczniów Trela przydzielano stale i niezmiennie godziny lotów w najmniej korzystnych warunkach, na najgorszym sprzęcie, w ostatniej chwili i bez żadnego planu, często właśnie wtedy, kiedy samoloty LOT-u biorące udział w akcji opylania lasów ruszały na start lub gdy wzmagający się wiatr uniemożliwiał szkolenie. Młody instruktor przy każdej pomyślniejszej okazji starał się nadrobić czas stracony, ale mimo tych jego wysiłków grupa zostawała coraz bardziej w tyle za innymi.

Koźbiar przychodził na start i przeprowadzał loty kontrolne, a wysiadłszy z kabiny po odbyciu ostatniego, brał na bok Trela i wyrażał mu swoje zdziwienie z powodu nikłych postępów jego uczniów.

— Nie bardzo wam to idzie, kolego, nie bardzo. Kry tykujecie starszych od siebie, ale pokazać, jak się tu powinno pracować, jakoś nie potraficie..;

Trel zaciskał szczęki, żeby nie wybuchnąć. Próbował szukać pomocy u Bachlera, ale komendant zbył go cierpką uwagą, że „złej taneczniczy...” i tak dalej.

W połowie kursu zabrano mu trzech najlepszych uczniów, przydzielając ich do innych grup, „aby łatwiej dał sobie radę”.

Jednocześnie do odpowiednich władz w Warszawie poszedł

szeroko umotywowany wniosek o odwołanie go ze szkoły, ponieważ nie wykazał dostatecznych zdolności jako instruktor.

I właśnie wtedy zdarzyło się to zajście z Rysiewiczem.

Przechodząc obok świetlicy po apelu wieczornym Trel zauważył, że jeszcze się tam pali światło. Przypuszczając, że Dudziakowa zapomniała je zgasić, otworzył drzwi i zobaczył w głębi dwie postacie splecione w uścisku; — Może zresztą tylko jedna z tych postaci trzymała w uścisku drugą, bez jej czynnego udziału pod tym względem — powiedziała Baśka, powstrzymując uśmiech błąka jący się dokoła ust. — Trel nie miał co do tego zupełnej pewności. W każdym razie wydało mu się, że postać kobieca zachowywała się raczej biernie. Osobiście jestem skłonna temu uwierzyć; trudno sobie wyobrazić, żeby to Józia obej mowała Rysicwicza, celem wyciśnięcia pocałunku na jego ustach....

Trel, ujrawszy tę scenę, cofnął się odruchowo, bardzo tym zmieszany i zaskoczony.

Ale w tej. samej chwili Józia zaczęła szamotać się z Rysiewiczem, może dlatego, że usłyszała cichy szczełk klamki, a może z innych, tylko sobie wiadomych powodów, których Trel już nie analizował.

Usłyszał jej zdyszany głos: „Niech mnie pan puści! Będę krzyczeć”, co skłoniło go do natychmiastowej interwencji.

Ta interwencja miała zresztą jedynie werbalny charakter. Trel powiedział, zdaje się: „Jak panu nie wstyd, kolego Rysiewicz”, czy coś w tym rodzaju, po czym doszło do ostrej repliki ze strony Rysiewicza i do dalszej wymiany zdań pomiędzy obydwojma.

Dopiero gdy Józia wymknęła się ze świetlicy, Rysiewicz, rozwścieczony jakimś ostrzejszym słowem Trela, rzucił się na niego z pięściami. Trel bronił się tylko, choć z pewnością górował

siłą fizyczną nad swym przeciwnikiem. Cofał się przed jego atakami, lecz w końcu został przyparty do ściany i chcąc nie chcąc musiał się uciec do próby obezwładnienia go.

Na tę chwilę nadbiegli Koźbiar i Grzymek zwabieni odgłosami bójki i rozdzielili zapaśników, przy czym okazało się, że Rysiewicz ma brzydko rozkwaszony nos.

Ta ostatnia okoliczność dopomogła kierownikowi wyszkolenia do stworzenia własnej wersji przebiegu awantury; wersji bardzo niekorzystnej dla Trela, który milczał uparcie, odmawiając wszelkich zeznań, aby nie kompromitować Dudziakowej.

Ponieważ Rysiewicz także nie chciał nic powiedzieć, ze względów mniej szlachetnych, lecz dość zrozumiałych, istotnie mogło się zdawać, że to on właśnie padł ofiarą napaści Trela; Porucznik Bachler przeczytawszy raport Koźbiara zatarł ręce.

Nadeszła chwila, kiedy mógł pozbyć się niewygodnego młokosa, który za wiele sobie pozwalał, wtykając nos w nie swoje sprawy.

W ostatnich czasach ta jego wścibska dociekliwość zaczęła komendantowi działać na nerwy. Trel wtrącał swoje trzy grosze już nie tylko do szkolenia, ale także do administracji. Odkrył

mianowicie, z pewnością nie bez pomocy Dudziaka, że znaczna część kredytów i materiałów przeznaczonych na remont wodociągów i kanalizacji w internacie uczniowskim została zużyta przy zakładaniu centralnego ogrzewania w mieszkaniu Bachlera.

Wyciągnął tę historię na roboczym zebraniu kadry, dopominając się o naprawę umywalni i natrysków dla uczniów, a Dudziak zamiast usprawiedliwić w jakiś zręczny sposób tamte pozaplanowe inwestycje, poparł jego żądania, i wreszcie oświadczył, że kredyty zostały poważnie naruszone i wystarczą tylko na roboty przy zatkanych kolektorach kanalizacyjnych. Komendant uciekł się do zapewnienia, że Warszawa obiecała kredyt dodatkowy na potrzeby internatu, lecz to zapewnienie powstało z jego własnej fantazji.

Obawiał się, że Trel w końcu narazi go na jakieś grube nieprzyjemności. Teraz nadarzała się sposobność sparaliżowania tych poczynań raz na zawsze, i to w drodze



dyscyplinarnego usunięcia go z kadry instruktorskiej.

Zapewne tak by się to skończyło, wbrew powszechnej sympatii, jaką Trel zdobył sobie w Polichnie przez tych parę miesięcy, gdyby sumienie Józki było bardziej odporne. Ale nie dawało jej spokoju ani przez chwilę i ta rozterka żony wreszcie zwróciła uwagę Dudziaka.

— Nie wiem, ile mu wyznała — powiedziała Baśka. — Zdaje mi się, że niewiele miała do ukrywania. Dość, że te zwierzenia natchnęły go niezwykłą energią i męstwem w obronie Trela: nie zwlekając pojechał do Warszawy, a w dwa dni polem, zamiast pisemnej odpowiedzi na wniosek komendy szkoły w całej tej sprawie, zjawiła się komisja, aby przeprowadzić szczegółową kontrolę i to w bardzo szerokim zakresie.

— Przeczuwam happy end — wtrącił Szary.

Barbara potrząsnęła głową.

— Doprawdy? Co za przenikliwość! Przeczucia nie mylą cię tym razem. Ale warto zobaczyć, co wynikło dalej z tego happy endu.

Oparła na stole łokieć i zaczęła wyliczać na palcach: — Nowy komendant szkoły jest pierwszorzędnym gospodarzem i organizatorem; Piguła prawi kazania znacznie krótsze niż dawniej, bo ilość jego słuchaczy od czasu jak został kierownikiem wyszkolenia wzrosła kilkakrotnie; poza tym wyłazi ze skóry, żeby wykonać program i nikogo nie skreślić; Trel wyrobił się na jednego z najlepszych instruktorów; w Polichnie powstał Komitet Przyjaciół

Szkoły Szybowcowej, do którego oprócz prezesa Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej należą najwybitniejsze osobistości z całego powiatu, reprezentujące z dziesięć różnych zakładów przemysłowych i handlowych; dzięki ich pomocy szkoła ma nie tylko wyremontowane budynki, wodociągi, kanalizację i sieć elektryczną, ale także boisko sportowe, własne kajaki i żaglówki na jeziorze, basen pływacki i dwa place tenisowe z całkowitym wyposażeniem.

No?

— Coś niebywałego! — powiedział Szary. — A pani Dudziakowa?

— Pani Dudziakowa lata.

— Za kim?

— Nie bądź złośliwy. Nie „za kim”, tylko na szybowcach. Trenuje, robi postępy, a we wrześniu pójdzie na kurs instruktorski i pewnie zostanie instruktorką w Polichnie.

— To jest zbyt dobre, żeby było całkiem prawdziwe — oświadczył

Szary. — Coś przecie musi jeszcze szwankować w tym rajku?

— Na razie nic nic szwankuje, pesymisto. Proszę teraz o filiżankę kawy.

Kelner zjawił się jak spod ziemi, aby spełnić to życzenie, po czym znów się zdematerializował, oni zaś zaczęli rozmawiać o sprawach bardziej osobistych i o planach na najbliższą przyszłość.

Szary miał przed sobą jeszcze kilka tygodni pracy przy wykończeniu pierwszej serii Meteorów, potem obóz wyczy-nowo-eliminacyjny w Lisich Kątach i międzynarodowe zawody szybowcowe w Łodzi. Barbarę czekały jeszcze dwa egzaminy na politechnice. Po zakończeniu roku akademickiego chciała odwiedzić ojca, a następnie pojechać na praktykę wakacyjną.

—Do Bielska? — upewnił się Bolek.

—Może do Bielska — odrzekła, jakby z wahaniem, które go zaniepokoiło.

—Jak to może? — zapytał szukając jej spojrzenia, —Przecież ja... Przecież wtedy mówiłaś..; —No, nie tylko w Bielsku są zakłady szybowcowe —przerwała mu tonem na pozór obojętnym, nie podnosząc oczu. — Dlaczego miałabym koniecznie wybrać Bielsko?

—Właśnie! Dlaczego? — powtórzył z gorzkim sarkazmem.

— Cieszyłem się na tę twoją praktykę w Bielsku od zeszłego roku, od tego dnia, kiedy tam przyleciałaś. Może już tego nie pamiętasz? Bo ja...

W tej chwili ujrzał jej oczy i nagle umilkł. Patrzyła na niego ciekawie i wesoło, jakby z odcieniem radosnego triumfu, którego znaczenia nie mógł na razie pojąć.

— Mów dalej, Romeo — powiedziała cicho. — Może mnie przekonasz do Bielska... Wcale nie byłam pewna, czy ta zapowiedź cię cokolwiek obeszała...

Księżyc stał nad Stadionem Dziesięciolecia, srebro spływało po dachach domów i tonęło w głębokiej czerni ich ścian; świecąca długa plama blasku jak cienka wypolerowana blacha leżała na gładkiej, czarnej wodzie; czarne, nieruchome cienie drzew ukośnie przecinały chodnik, ukrywając ławki ustawione w owalnych zatokach trawnika;

Dwie łodzie płynęły naprzeciw siebie, jak dwie skrzydlate zjawy żeglujące po srebrnym szlaku: jedna w dół, druga w górę Wisły. Pierwsza czarna, żałobna i szybka leciała z daleka rozcinając swym cieniem ów szlak i łamiąc go na drobną migotliwą łuskę; druga biała, promienna, wlokła powoli swój cień za rufą. Zbliżały się coraz bardziej, jakby wzajem przyciągane ku sobie, aż minęły się dokładnie na wprost ławki zajętej przez dwoje młodych ludzi.

— Patrz — powiedziała dziewczyna. — To wygląda na czarodziejską sztuczkę.

Czarna, złowróżbna łódź zaśniła promienną bielą, podczas gdy jasny żagiel nagle poczerniał, zlewając się ze swym cieniem na wodzie. Jednocześnie rozległ się w tamtej stronie przeciągły okrzyk, na który odpowiedziano śmiechem. Rzekłbyś, zdumiewająca przemiana, sprawiona w mgnieniu oka przez księżyc, wywołała jęk zgrozy z jednej strony, a wybuch radości z drugiej.

Ci dwoje patrzyli jeszcze przez chwilę na czar odbywający się wśród sennej wspaniałości pogodnej nocy, a potem ich głowy zwróciły się ku sobie.

— To było śliczne — powiedziała Barbara. — Jak jakiś sen.

Szary zobaczył jej długie, ciemne rzęsy zawisłe do połowy nad dwojgiem oczu, w które

zapatrzył się w milczeniu. Pochylił się i pocałował ją.

— Ty sama jesteś śliczna jak jakiś sen — powiedział szeptem.

/

Szary wyjeżdżał z Bielska na zawody do Łodzi z niepokojem w sercu. Barbara nie odpowiedziała ostatnio na jego dwa kolejne listy i nie zgłosiła się dotychczas na praktykę wakacyjną do Szybowcowych Zakładów Doświadczalnych. Nie wiedział, co o tym myśleć..;

Pod koniec kursu wyczynowego w Lisich Kątach udało mu się złapać pomyślne warunki na przelot do Aleksandrowie. Miał

nadzieję, był niemal pewien, że ją tam zastanie. Ale spotkał go zawód. Potem oczekiwał jej przybycia każdego dnia i w końcu musiał wyjechać nie doczekawszy się żadnej wiadomości.

W Lublinku pod Łodzią dowiedział się od razu na wstępie, że we trzech z inżynierem Piotrowiczem i z Łankow-skim będą stanowili drużynę do klasyfikacji zespołowej i że mają zaledwie kilka dni na wspólny trening. Zaczęli latać nazajutrz pod kierownictwem Łankowskiego i mimo niezbyt pomyślnej pogody zdołali w ciągu niespełna tygodnia przelecieć w sumie ponad dwa i pół tysiąca kilometrów na trójkątnych trasach we wszystkich możliwych kombinacjach dokoła Łodzi.

Tymczasem przybywały do Lublinka ostatnie ekipy zagraniczne i reszta pilotów polskich. W miasteczku namiotów, które wyrosło nad zalesionym brzegiem Neru, rozmawiano i śpiewano w dziesięciu językach, składano sobie nawzajem wizyty, odbywano narady, wymieniano doświadczenia. Za dnia, ilekroć biuro meteorologiczne zapowiedziało sprzyjające warunki lotne, można było zobaczyć w powietrzu po kilka i kilkanaście rasowych szybowców naraz, krążących pod białym obłokiem jak stado bocianów przed jesiennym wyrajem.

Wieczorami palono ogniska, tańczono, oglądano filmy, wyprawiano się autobusami do teatru.

W przeddzień otwarcia zawodów przybyli dziennikarze, filmowcy, sprawozdawcy Polskiego Radia, zainstalowano telefony prasowe, głośniki i mikrofony, rozesłano polowe stacje radiowe na punkty kontrolne, komisje sportowe rozjechały się na swoje miejsca w terenie, a nazajutrz zaczęło się: pierwszy trójkąt, sto dziesięć kilometrów!

Start otwarto o dziesiątej, a już o dwunastej jakiś szybowiec zameldował się nad metą. Jego pilotem okazała się zawodniczka francuska.

Tuż za nią przyleciał Węgier, Gore, dwaj zawodnicy radzieccy i polska drużyna reprezentacyjna w komplecie, a potem co kilka minut błąd cień szybowca przepływał nad taśmą, sunął po ziemi ku środkowi lotniska, coraz mniejszy, coraz wyraźniejszy i ciemniejszy, w miarę jak z góry zniżały się nad nim lśniące skrzydła i kadłub lądującej maszyny; Lecz Łankowski nie czekał na innych. Jego zdaniem można było podjąć próbę poprawienia osiągniętych wyników: polecieć teraz z maksymalną prędkością, nie licząc się już z ryzykiem, „po kawalersku”.

Polska trójka w pół godziny po lądowaniu wystartowała powtórnie i rzeczywiście w

locie popołudniowym zdobyła o sto kilkadziesiąt punktów więcej.

Był to piękny, efektowny początek. Miejsca od pierwszego do dziesiątego (z wyjątkiem trzeciego, które zdobył

Gore) zajęli Polacy. Ekipa węgierska miała wynik gorszy od Polaków o trzysta osiemdziesiąt punktów, a trzecia, radziecka, o pięćset dziewięćdziesiąt.

Indywidualnie pierwsze miejsce zdobył Rysiewicz, który od razu poleciał „na wariata”, ryzykując, że nie ukończy tej konkurencji. Tylko swemu szczęściu zawdzięczał zwycięstwo, bowiem wykonując do lotu do mety z niewielkiej wysokości, wylądował zaledwie o parę centymetrów za taśmą. Łankowski był czwarty, Szary piąty, Piotrowicz siódmy.

Nazajutrz pogoda się zepsuła; jednolita warstwa chmur zgasiła całkowicie termikę, a w nocy zaczął padać deszcz, który trwał aż do następnego popołudnia. Dopiero wieczorem zerwał się wiatr, rozpędził chmury i wykonawszy tę pożyteczną pracę zasnął przed północą.

Czwartego dnia od rana znów było słonecznie, zapowiadał

się upał, a już koło dziesiątej zaczęły się formować pierwsze gęste, białe cumulusy. Wiatr spał nadal, przeciągając tylko lekkimi powiewami przez łany dojrzewającego zboża to z jednej, to z drugiej strony, jakby wzdychał przez sen.

Korzystając z tych szczególnie pomyślnych warunków, kierownictwo zawodów postanowiło przyspieszyć start do przelotu docelowo-powrotnego i o dziewiątej trzydzieści pierwszy Meteor odzepił się od holu nad lotniskiem, aby popłynąć na południe, ku Częstochowie.

Za nim wystartowali dwaj Czesi, po nich Rysiewicz, następnie cała ekipa radziecka i węgierska.

Łankowski wahał się, czy lecieć zaraz, czy jeszcze poczekać na silniejszy rozwój wznoszenia. Meteorolodzy liczyli się z możliwością burz w godzinach popołudniowych, więc przelotu nie dałoby się powtórzyć. Dlatego należało wybrać najkorzystniejszy czas na jego odbycie.

Inni zawodnicy zagraniczni także byli niezdecydowani; czekali na wiadomości z trasy i z Częstochowy, a może na decyzję polskiej czołówki.

Dopiero gdy ogłoszono meldunek radiowy, że Rosjanin Stojanow przeleciał nad Wartą koło Brzeźnicy w rekordowym czasie pięćdziesięciu ośmiu minut, większość z nich rzuciła się do szybowców, aby jak najprędzej znaleźć się w powietrzu.

Łankowski i obaj jego towarzysze czekali jeszcze na świeży komunikat meteorologiczny, który miał się ukazać za pół godziny.

Inżynier Piotrowicz, po dokładnym przestudiowaniu map synoptycznych i kolejnych komunikatów poprzednich, doszedł do wniosku, że zapowiadane silniejsze wiatry z kierunków południowych zaczną wiać dopiero koło godziny trzynastej.

Należało zatem wystartować o jedenastej trzydzieści, aby wykorzystać je w drodze powrotnej, zwiększając w ten sposób prędkość przelotu.

Łankowski niezupełnie zgadzał się z tą taktyką. Wydawała mu się nieco ryzykowna, a wszak zadaniem zespołu było przede wszystkim całkiem pewne ukończenie każdej konkurencji, nie ataki na pierwsze miejsce. Mimo to uległ tym razem, a komunikat ogłoszony o wpół do dwunastej zdawał się potwierdzać przewidywania Piotrowicza.

Wystartowali więc jako ostatni i lecąc w niewielkich odstępach przebyli trzy czwarte drogi, w czasie nie gorszym od Stojanowa. Lecz już poczynając od szosy Wieluń—Piotrków Szary dostrzegł pierwsze oznaki niebezpieczeństwa: na południu gromadziły się ciemne chmury, zwiastujące burzę...

Wiatr, ów wiatr południowy, który miał ich ponieść z powrotem do Łodzi, zaczął dąć, zanim dolecieli do lotniska i zanim mogli zawrócić zameldowawszy się nad punktem kontrolnym w Kucelinie. Częstochowa leżała niespełna trzydzieści kilometrów przed nimi, lecz już w cieniu owych chmur, a prędkość trzech Meteorów w stosunku do ziemi spadała z siedemdziesięciu ośmiu na pięćdziesiąt kilometrów i spadała nadal wśród niespokojnych, coraz gwałtowniejszych podmuchów.

Co gorsza, ta nadciągająca burza nie wywołała doład wzmożonych prądów wstępujących. Szary co chwila zapadał w depresje tracąc wysokość i odzyskiwał ją z trudem, znów kosztem prędkości. Zdawało mu się, że to trwa nieskończenie długo, że trójkątne lotnisko wbite klinem w las na południowy wschód od miasta w ogóle się nie zbliża...

Gdy wreszcie znalazł się nad nim i zobaczył wyłożone płachty tożsamości, miał pod sobą zaledwie pięćset metrów. Okrążył punkt kontrolny i natrafiwszy na jakiś niewielki komin o półtorametrowym wznoszeniu wycentrował go natychmiast, aby wraz z nim odejść na północ.

Łankowski i Piotrowicz byli jeszcze niżej; zostali w tyle, ale nie czekał na nich; wiatr wzmagął się, a wraz z nim nadciągały coraz silniejsze rotory, wśród których można było znaleźć właściwy nurt o znacznej prędkości pionowej.

Miał teraz przed sobą ponad sto kilometrów trasy powrotnej, na której spodziewał się nadrobić opóźnienie za pomocą owego wiatru wiejącego z południa. Lecz wkrótce przekonał się, że powyżej tysiąca metrów panuje prawie zupełna cisza, a nawet chwilami czołowy wiatr północny i północno--wschodni...

Przelatując nad Brzeźnicą obejrzał się i stwierdził, że ciemne chmury znad Częstochowy suną teraz na zachód; burza, na którą liczył Piotrowicz, zakrecała w stronę Śląska.

Po obliczeniach głównej komisji sportowej okazało się, że przelot docelowo-powrotny zespołowo wygrali zawodnicy radzieccy przed Polską, Węgrami i Czechosłowacją. W punktacji indywidualnej pierwszy był Gore, drugi Stojanow.

Po dwóch konkurencjach nadal jednak prowadziła zespołowo Polska, z różnicą

dziesięciu punktów przed Związkiem Radzieckim i trzydziestu przed Węgry.

Tak więc dopiero zwycięstwo w trzeciej i zarazem ostatniej konkurencji mogło rozstrzygnąć o wygranej jednego z trzech zespołów przy niemal równych szansach. Niepewność co do przewagi jednej ze stron nad pozostałymi była tym większa, że punktacja za przelot docelowy Łódź

—Wrocław—Bielsko przewyższała znacznie każdą z poprzednich. Mogło się nawet zdarzyć, że Czesi wyrównają kilkaset brakujących punktów i wysuną się na pierwsze miejsce, a niektórzy sprawozdawcy sportowi brali w rachubę także Francuzów i Rumunów jako ewentualnych zwycięzców.

Polska czołówka postanowiła tym razem lecieć nie w zespole, tylko indywidualnie, każdy na własną rękę, a to z uwagi na bardzo dużą odległość, utrudniającą przelot grupowy. Niemniej jednak Łankowski, Piotrowicz i Szary opracowali wspólną taktykę i wszelkie jej warianty zależne od pogody na przestrzeni owych czterystu kilometrów. Niestety cała ta praca, oparta na przewidywaniach meteorologicznych, tylko w niewielkim stopniu okazała się celowa: nagła zmiana układu ciśnienia i pogody w południowo-zachodnich obszarach Polski przekreśliła wszelkie przewidywania...

Lotny start z Łodzi otwarto o dziewiątej, lecz już na pół godziny przedtem prawie wszystkie szybowce były w powietrzu. Zawodnicy uprzedzeni w czasie odprawy o nie najlepszych warunkach termicznych chcieli sami przekonać się o słuszności prognozy; lecieć zaraz, czy poczekać, aż termika się ożywi?

Szary odzepił się na wysokości czterystu metrów na północ od lotniska, znalazł półtorametrowe wznoszenie, wywindował się pod młody obłok o płaskiej podstawie, przeskoczył pod inny i nie znajdując tam silniejszego prądu zawrócił nad Lublinek. Lecz nad Lublinkiem nie było wcale łatwiej o wysokość niż gdzie indziej; tysiąc pięćset metrów w ciągu dwudziestu minut to było wszystko, na co Meteor zdobył się o tej porze.

— Będziemy pełzać na czworakach — powiedział do niego Szary.

Spojrzał w kierunku startu. Ktoś z Polaków już odchodził na trasę, radziecki A-12 z czarną dwójką na prawym skrzydle zmierzał z góry nad taśmę, dwa węgierskie Juniusy szły za nim pochylone w wirażu, tak że nie można było dojrzeć ich numerów.

— Zaczekamy, aż się przepchają — mruknął Szary. — Nie lubię tłoku.

Lecz tłok trwał zaledwie parę minut. Pięciu, czy sześciu zawodników wylądowało, odkładając widocznie start na później.

Inni krążyli uparcie pod cumulusami, raz niżej, raz wyżej, jeszcze niezdecydowani.

Szary spojrzał na zegarek. Było już po wpół do dziesiątej.

Trzeba lecieć — pomyślał. — Rekordu prędkości i tak dziś nie pobijemy.

W tej chwili minął go jeszcze jeden A-12, z trójką na skrzydle. Leciał w dół jak strzała.

Stojanow — pomyślał Szary.

Przeczekał pół minuty, rozejrzał się, położył Meteora na skrzydło, z zakrętu poszedł w dół prosto na taśmę, minął ją, podciągnął w górę pod obłoczek żeglujący na kursie, zakrzyżył w dwumetrowym prądzie jego komina i wyprowadził dokładnie na pierwszy punkt orientacyjny: Pabianice.

Poszukał wzrokiem Stojanowa i odnalazł go nieco poniżej na prawo. Radziecki pilot leciał z dużą prędkością, wyprzedzając Meteora i nic sobie nie robiąc z utraty wysokości.

Szary westchnął w duchu. Nie mógł tak ryzykować; musiał dolecieć do Bielska na pewno.

W biurze kierownictwa zawodów panował nastrój graniczący z paniką. Zanim zamknięto start o trzynastej, już kilkunastu zawodników wylądowało przymusowo w drodze z powodu utworzenia się kilku naraz obszarów atermicznych na zachód od linii Kalisz—Opole.

Część szybowców udało się ściągnąć na holu z powrotem do Łodzi, po czym piloci wystartowali powtórnie, lecz dalsze wiadomości znów były niepomyślne. Do godziny czternastej zaledwie kilku przebiło się do Wrocławia. Zachodziła obawa, że nikt nie ukończy tego przelotu, a co za tym idzie, że trzeba będzie zorganizować jeszcze jedną konkurencję.

Sytuacja komplikowała się tym bardziej, że zakończenie zawodów miało nastąpić w Bielsku, gdzie poczyniono już wszystkie przygotowania i dokąd udała się większość dziennikarzy, personelu pomocniczego ekip zagranicznych oraz niemal cały ich tabor kołowy wraz z bagażem osobistym. Na lotnisku łódzkim samoloty pasażerskie oczekiwały na przewiezienie pozostałych gości i członków jury.

W takich okolicznościach na wspólnej naradzie kierowników ekip, meteorologów i komisarzy sportowych postanowiono bez względu na wynik dnia przenieść cały sztab do Bielska i tam również ściągnąć wszystkich zawodników. Trzecia konkurencja miała być przy tym zaliczona tylko w takim wypadku, jeśli co najmniej trzech pilotów należących do dwu różnych reprezentacji ukończy przelot. Wreszcie ustalono także dodatkową punktację za osiągnięcie Wrocławia.

O godzinie piętnastej komisje sportowe w Bielsku i Wrocławiu zostały powiadomione o tej uchwale, a wkrótce potem nadeszły nowe meldunki radiowe o kolejnych przymusowych lądowaniach. W chwili gdy zrezygnowani organizatorzy zawodów wsiadali do samolotu Linii Lotniczych, już tylko dziewięciu pilotów walczyło o ukończenie konkurencji, a gdy maszyna wylądowała w Alksandrowicach, pozostało ich zaledwie czterech...

Z najświeższego biuletynu wydanego przez bielską komisję sportową i ogłoszonego przez megafony wynikało, że spośród tych czterech pierwszy leci Gore, za nim Stojanow i Szary, na końcu Łankowski.

Wszyscy minęli Brzeg, a Gore zapewne dolatuje do Opola. Piotrowicz wylądował we Wrocławiu, gdzie znalazła się również ekipa czechosłowacka, dwaj Rumuni i jedna



zawodniczka francuska. Kilku Polaków i dwaj zawodnicy radzieccy siedzą między Wrocławiem a Brzegiem.

Poza tym główny komisarz sportowy, inżynier Hajduk, powiadomił

przybyłych członków jury, że miejscowa stacja meteorologiczna przewiduje poprawę warunków lotnych przynajmniej na końcowym odcinku trasy, między Opolem a Bielskiem i że wobec tego jest nadzieja na przylot tych czterech.

— Oby nie zawiodła — powiedział przewodniczący, wy słuchawszy tego sprawozdania.  
— To byłaby zupełna kata strofa...-

Hajduk nie poddał się jego pesymizmowi.

— Przylecą — odrzekł z przekonaniem. — Patrzcie, jaka u nas pogoda!

Istotnie pogoda w Bielsku była wspaniała, a wysoko spiętrzone białe obłoki płynąc z wolna ku północnemu zachodowi zdawały się potwierdzać przepowiednię o poprawie termiki na całym Śląsku.

Publiczności przybyłej na lotnisko też nie zraziły dotychczasowe niepowodzenia. Jeśli tyłu pilotów odpadło po drodze, musiał to być trudny wyścig, bo przecież nie byle kto brał w nim udział. Dość było popatrzeć na tych, którzy

tu przylatywali na holu za samolotami, odczepiali się w górze, krążyli pod chmurami i lądowali z niebywałą precyzją na wprost głównego budynku aeroklubu. O tych, co jeszcze walczyli, ogłaszano co pół godziny meldunki z trasy, a w tłumie każda taka wiadomość budziła natychmiastowy od-dźwięk — współczucia, podziwu, napięcia i ciekawości: kto z nich doleci? Kto będzie pierwszy? Kto zwycięży?

Szary od ośmiu godzin był w powietrzu. W tym czasie czterokrotnie zjeżdżał do dwusłu metrów, a raz nawet do stu, w kolejnych kryzysach, z których każdy wydawał się zagrażać mu ostateczną klęską. Jeśli nie poddawał się, krążąc rozpaczliwie w wątych, zamierających kominach o wznoszeniu rzędu kilkudziesięciu centymetrów na sekundę, to jedynie dlatego, że nie przychodziło mu do głowy, iż dzieli los niemal wszystkich zawodników. Przypuszczał, że ma wyjątkowego pecha, a chwilami tracił wiarę w swe doświadczenie i oskarżał się o błędy, których nie popełnił.

Jeżeli prasnę — myślał — leżymy krzyżem...

Ta możliwość wydała mu się tak okropna, że aż drętwiał wyobrażając sobie wszystkie jej konsekwencje.

Na trasie do Wrocławia dostrzegł wprawdzie kilka szybowców na ziemi, lecz co najmniej tyleż wyprzedziło go od chwili, gdy wszedł na kurs, minąwszy taśmę w Lublinku.

Wyrzucał sobie zbytnią ostrożność w pierwszych godzinach lotu, kiedy warunki były jeszcze nie najgorsze; może trzeba było lecieć z większą prędkością, niżej, nie tracąc czasu na odzyskiwanie bezpiecznej wysokości w słabnących kominach u ich pułapu?

Lecz gdy kolejny kryzys mijał, gdy Meteor w uporczywym krążeniu osiągał wreszcie

kilkaset czy nawet tysiąc metrów, rozsądek nakazywał krążyć nadal, bo w oddali na kursie rozciągały się podmokłe łąki i bagna, a niebo przesłaniały chmury warstwowe nie dające żadnych wznoszeń.

Szary okrążał te pułapki, lub decydował się na skok ponad nimi, trafiał na strefy żywszej termiki, rozpędzał Mc-teora, mijał

tych, którzy go wyprzedzili, a teraz „zebrali” na nikłych prądach dynamicznych u skraju lasów, z bijącym sercem docierał pod jakiś bardziej obiecujący obłok, który upatrzył był sobie z daleka, i nieomylnie centrował jego komin w nadziei, że oto kończą się wszystkie dotychczasowe trudności, że pogoda się poprawia, że teraz można będzie wyrównać opóźnienie. Ale już w kwadrans później dostrzegał na horyzoncie nowy kit, zdawało się nie do prze-bycia..;

Przerzucając się od nadziei do zwątpienia, doleciał do Wrocławia, zameldował się nad punktem kontrolnym i wy-kręciwszy tysiąc pięćset metrów nad miastem położył się na nowy kurs, wzdłuż Odry.

Nad Brzegiem wyprzedził Stojanowa, którego tam przycisnęło bardzo nisko, i wymykając się omdlałym, zacienionym obszarom ciszy, uciekł bardziej na południe, pod czysty błękit nieba. Ten manewr pozwolił mu lecieć przez pewien czas ze średnią prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, lecz na wysokości Opola musiał wrócić ku Odrze, aby nie oddalać się zbyt od trasy.

Widział daleko przed sobą krajobraz skąpany w blasku słońca i przypuszczał, że uda mu się jednym skokiem przebyć przestrzeń cienia, lecz przeszkodził mu w tym wiatr, który zaczął

wiać od wschodu i w którym szybowiec zdawał się grzęznąć jak w smole.

Szary natychmiast zmienił taktykę: zamiast lecieć na wprost, zboczył w stronę nieregularnego kompleksu lasów, aby po wyczerpaniu zapasu wysokości, jaką jeszcze rozporządzał, wyzyskać prąd dynamiczny nad ich nawietrznymi skrajami. Lecz nawet ta słuszna decyzja nie uratowałaby go zapewne lym razem, gdyby nie jego nadzwyczajna pamięć wzrokowa;

Od dziesięciu minut pętał się na granicy lasu, mając zaledwie parę kresek ponad zerem na wariometrze i setkę metrów na wysokościomierzu. Trzymał się tam w powietrzu wyłącznie na słabym prądzie wstępującym, który stwarzał kapryśny wiatr napotykając na swej drodze ów las, oświetlony od zachodu promieniami słońca. Ziemia, ostygła w cieniu chmur, które dopiero teraz z wolna oddalały się ku północy, nie nagrzała się jeszcze i można było zwątpić, czy w ogóle nagrzej się o tej porze dostatecznie, aby na jej powierzchni powstały ogniska termiczne.

Tylko w górze pod ciepłymi obłokami przybywającymi z południowego wschodu panowały jeszcze z pewnością użytkowe wznoszenia. Lecz jak dostać się w ich zasięg?

Rozmyślał nad tym zagadnieniem, defilując tam i z powrotem nad szosą oddzielającą uprawne pola od lasów i błędząc wzrokiem po ich falistej, ciemnozielonej roztoczy. Bolała

go głowa, zdrętwiałe mięśnie raz po raz chwycił kurcz, zmęczone powieki piekły jak zaproszone popiołem.

Był już bliski poddania się. Ten szósty z rzędu kryzys w obliczu zbliżającego się wieczora wyczerpał jego siły. Stanąc na ziemi, wyprostować się, wyciągnąć obolałe ramiona, oto czego pragnął, wbrew wszelkim nakazom ambicji i woli.

Myśl, że do Bielska pozostało mu jeszcze sto kilometrów, budziła w nim odruchową niechęć do wszelkich dalszych wysiłków. Sto kilometrów w tych warunkach oznaczało jeszcze dwie godziny walki przy zmniejszających się szansach zwycięstwa. Za dwie godziny zajdzie słońce, a najdalej za godzinę nastąpi całkowity zanik termiki. Więc po co walczyć nadal, kiedy tak czy owak nie dociągnie się do mety?...

Sto kilometrów... — myślał spoglądając na południowy wschód, gdzie po rozjaśnionym niebie płynęły coraz wspa-nialsze obłoki. — Sto kilometrów w pomyślnej pogodzie... Może by się jednak udało? Tylko gdzie znaleźć przejście na tę górną termikę?

Jego zmęczony wzrok znów objął leśne wzgórza wyrastające na prawo. Teraz, gdy patrzył na nie z tej strony, wydały mu się znajome.

Porównał teren z mapą i obejrzał się w lewo.

Ależ tak! — powiedział głośno.

To, co zobaczył na horyzoncie, ten lekko zamglony kształt, to było przecież urwisko, naci którym ustawiano chwiejnice: Polichna!...

Wszystkie szczegóły wystąpiły nagle w jego pamięci: długi klin lasu wrzynający się w pola u południowej granicy lotniska, ruiny cegielni, małe jeziorko tuż za nią... Natychmiast umiejscowił je w przestrzeni i uświadomił sobie własną pozycję: leciał w kierunku Góry Sw. Anny.

Pośrodku sąsiedniego rewiru leśnego ciągnęła się piaszczysta wydma, nad którą niegdyś rozpoczął pierwszy w życiu lot żaglowy i którą zachował we wspomnieniu chyba na zawsze.

Teraz, w najcięższej chwili, ta pochylona ku słońcu łysina żółtego piasku wydała mu się jedyną przysłowiową deską ratunku. Tylko tam mógł

jeszcze o tej porze spodziewać się jakiego takiego wznoszenia.

Skręcił nad las, poszedł prosto po przekątnej widocznych z góry przesieków. Strzałka wariometru cofnęła się na zero, opadła o parę kresek.

Gąbczaste czuby sosen pędziły coraz bliżej pod skrzydłami Meteora, rdzawe pnie o złocistym połysku zdawały się wspinać na palce, aby konarami dosięgnąć sterów, pochwycić je, zatrzymać.

Lecz las rzedniał, pomiędzy pojedynczymi drzewami już żółcił się piach, a teren lekko skłaniał się w dół, jakby zbiegając ku otwartej przestrzeni, tylko tu i ówdzie porosłej krzakami jałowca.

Wtem łagodne, ciepłe tchnienie podparło skrzydła i Meteor wśliznął się na wierzch gładkiego nurtu. Szary położył się w zakręt, odnalazł środek komina, zaczął krążyć w półtorametrowym wznoszeniu. Gdy osiągnął tysiąc dwieście metrów, dostrzegł

zbliżający się od zachodu szybowiec z czerwonymi pięcioramiennymi gwiazdami na sterach i skrzydłach.

Stój ano w zrównał się z Szarym między Gogolinem a Strzelcami i odtąd oba szybowce leciały niemal skrzydło w skrzydło, prawie na tym samym poziomie. Żaden z pilotów nie przedsięwziął próby ucieczki; lecieli szybko, stosując podobną taktykę. Wykorzystywali pomniejsze strefy wznoszeń z prędkością ekonomiczną i tylko w silnych kominach krążyli jeden za drugim, porzucając je natychmiast po osiągnięciu bezpiecznej wysokości, aby znów razem przeskoczyć piętnaście lub dwadzieścia kilometrów.

Wbrew przewidywaniom Szarego, termika pod cumulusami nie zamierała; przeciwnie: nosiło coraz lepiej, a u podstaw obłoków wariometr wskazywał do czterech metrów na sekundę.

Przedwieczorna pogoda jak gdyby chciała wynagrodzić pilotom wszystkie dotychczasowe trudności. Dzięki tym jej łaskawym względom obaj ze Stojanowem w godzinę przebyli prawie siedemdziesiąt kilometrów i o siedemnastej trzydzieści minęli Rybnik.

Tu Szary po raz pierwszy dał się wyprzedzić. Stojanow wykonał zaledwie trzy zwoje spirali pod dojrzewającym obłokiem i wyprowadziwszy swojego A-12 na kurs oddalał się szybko, podczas gdy Meteor krążył nadal, wszedł w podstawę chmury i natrafiwszy na czterometrowy prąd wyłonił się z niej dopiero na wysokości tysiąca pięciuset metrów.

Szary spojrział przed siebie i uśmiechnął się. Był w tej chwili o czterysta metrów wyżej od radzieckiego pilota. Widział go z góry w odległości dwóch kilometrów i wiedział, że jeśli tylko zechce, prześcignie go w ciągu paru minut, zachowując nad nim przewagę wysokości.

Nie zamierzał zresztą wyprzedzać go teraz. Leciał za nim, nie zbliżając się do niego zbyt, a gdy Stojanow minął Zory i znów zaczął wykręcać wysokość w jakimś kominie, zdecydował

się na dół do mety jednym skokiem i także zaczął krążyć.

Zanim wszedł w podstawę swego obłoku, dostrzegł jeszcze, że tamten wychodzi na kurs z tysiąca metrów. Szybko obliczył, czy mu to wystarczy na przebycie dwudziestopięciokilometrowej odległości od lotniska w Aleksandrowicach i z jaką prędkością mógłby tam dolecieć. Potem, leżąc już w głębokim wirażu pośród matowej bieli otaczającej kabinę, spojrział na wariometr i znów się uśmiechnął. Strzałka zatrzymała się na zastawce poza ostatnią kreską podziałki, a wskazówka wysokościomierza zdecydowanie sunęła w górę mijając kolejne setki powyżej tysiąca; Gdy doszła do tysiąca siedmiuset, wyrównał stery i poszedł

w dół, na kurs, uprzedzając wskazania busoli.

Pęd obudził się za limuzyną, zaszumiał, zasyczał, zagwizdał.

Prędkościomierz wskazał sto, sto dwadzieścia, sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.-

Szary wypatrywał radzieckiego szybowca. Ujrzał go nad Pszczyną, bliżej niż przewidywał.

Nie może lecieć prędzej niż osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt — pomyślał. — Inaczej nie starczy mu wysokości.

Spojrzał dalej na wprost. Skośne promienie słońca zapalały ostre kłujące błyski w oknach ledwie widocznych budynków na aleksandrowskim lotnisku.

Gdy o godzinie osiemnastej podano przez głośniki wiadomość, że Gore mija Dziedzice i za chwilę wyląduje, tłum ludzi jak fala wzbierającej powodzi ruszył ze wszystkich stron ku mecie oznaczonej białą linią na północno-zachodnim skraju lotniska. Dopiero po kilkakrotnych wezwaniach udało się zaprowadzić porządek i skłonić widzów do usunięcia się ze strefy lądowania?

Stali po obu stronach owej linii wyężając wzrok i osłaniając oczy przed słońcem, lecz błękit nieba z płynącymi po nim z rzadka obłokami był zresztą pusty i bezludny.

Ułynęły trzy, cztery minuty, a Gore się nie zjawiał...

Wtem ktoś zawołał:

— Leci!

I kilka głosów naraz:

— Leci nad lasem! Nad samą ziemią!

Teraz go dostrzegli. Junius sunął nisko nad wierzchołkami drzew, tonąc coraz bardziej, w miarę jak się zbliżał. Na skraju lasu, nad niewielkim stokiem uniósł się nieco; podparty przez jakiś zabłąkany powiew, lecz zaraz potem przepadł znowu i zniżał

się ciągle tracąc resztki prędkości.

— Nie dociągnie — powiedział inżynier Hajduk. —Patrzcie...

Junius spłynął w dolinę przed skrajem lotniska, dotknął płożą ziemi, odbił się tępo i osiadł o niespełna dwieście metrów przed metą.

Większość widzów nie zrozumiała tej klęski sympatycznego Węgra. Publiczność, przekonana, że ma przed sobą zwycięzcę, zgotowała mu owacyjne powitanie. On zaś stał obok szybowca oparty o burtę, ze spuszczoną głową, ledwie trzymając się na nogach po tej dziesięciogodzinnej wyczerpującej walce, w której zwycięstwo wymknęło mu się w ostatnich paru sekundach...

Dopiero po chwili podniósł wzrok i rozejrzał się niepewnie, jakby zadając sobie pytanie, co mają oznaczać brawa i nieustające okrzyki „Eljen!", jakimi witano go w jego ojczystym języku.

Kierownik ekipy węgierskiej podbiegł do niego pierwszy i wyjaśniał mu coś, żywo gestykulując, podczas gdy obsługa ściągała już szybowiec na miejsce zaparkowania. Hajduk, kilku komisarzy sportowych i wszyscy dziennikarze ściskali mu dłoń, klepali go po ramieniu, zasypywali go pytaniami i gratulacjami.

Cóż z tego, że nie wygrał? Był mimo to w pierwszej czwórce — jeśli tamci trzej doleczą! Jeżeli nie...

— Jakiś szybowiec mija Dziedzice! — rozległo się z gło śnika. — Za nim, znacznie niżej, leci drugi! Trzeci wykręca wysokość nad Pszczyną! Dotychczas nie zdołano ich rozpoznać z całą pewnością, ale prawdopodobnie pierwszy wpadł nie na metę albo Aleksander Stojanow, albo Bolesław Szary!

W tłumie zaległa cisza; wszystkie głowy zwróciły się w stronę, z której przed dziesięciu minutami nadleciał Gore.

— Pierwszy szybowiec zbliża się do lotniska! — informował dalej podniecony głos. — Tak, to Meteor. Już go widać! Nurkuje ostro ze znacznej wysokości! A więc pierwsze miejsce będzie miał zawodnik polski!

Meteor leciał w dół stromą piką. Wysoki, ostry, wibrujący gwizd rozlegał się w powietrzu, a biała rozkrzyżowana sylwetka rosła w oczach, pędziła jak pocisk wystrzelony spod obłoków w sam środek lasu.

Tłum milczał, ludzie wstrzymywali oddech, serca waliły w piersiach, wzruszenie ścisnęło gardła, lęk przejmował patrzących zimnym dreszczem: spadnie między drzewa! Roztrzaska się o ziemię!...

Już podnosił się krzyk, już kłóć rwał się biec, ratować, gdy wtem szybowiec śmignął nagłym łukiem ponad koronami drzew i skoczył naprzód jak drapieźny pstrąg rzucający się na nieostrożną ważkę nad spokojną powierzchnią wody. Jednocześnie wściekły, przesywający gwizd opadł, przycichł, przeszedł w łagodny szum, który rozpląnął się wśród rosnącego gwaru widzów.

Pilot wyrównał, zamknął hamulce, lecąc metr nad ziemią minął

białą linię mety i długim poślizgiem płozy rozczesał trawę, lądując o sto metrów dalej.

Szupła ciemnowłosa dziewczyna o niebieskich oczach i smagłej cerze wybiegła z grupy dziennikarzy i fotografów śpieszących na jego spotkanie. W chwili gdy pilot otworzył przezroczystą owiewkę kabiny, znalazła się przy nim i nie zważając na tysiące świadków, pochyliła się, aby go ucałować. Trwali przez chwilę w uścisku, podczas gdy dokoła nich szalał huragan oklasków i okrzyków, a wszystkie kamery uwieczniały to powitanie.

Głośniki ryczały, zachłystywały się, nie mogąc przekrzyczeć tłumy.

Nazwisko Szarego grmiało nad falującym ludzkim mrowiem, którego nie mogły powstrzymać teraz żadne napomnienia, wezwania czy ostrzeżenia i rozkazy. Porwano go na ramiona i zaniecono w triumfie przed trybunę sędziowską. Dopiero gdy stanął na podwyższeniu poblady i wzruszony, dziękując gestem ręki za to entuzjastyczne przyjęcie,

publiczność uspokoiła się o tyle, że pewien tęgi, spocony młodzieniec reprezentujący dział, sportowy „Sztandaru Młodych” zdołał wraz z dwiema dzielnie wspierającymi go towarzyszkami dopchać się do łoża prasowej.

—To było szaleństwem — zwrócił się do jasnowłosej. — Jeżeli kiedykolwiek dokonam bohaterskiego czynu, proszę cię, nie całuj mnie publicznie; to grozi rozdeptaniem przez niezupelnie jeszcze uświadomione masy. Ledwie was zdołałem uratować.

—Ty nas? — zdziwiła się ciemnowłosa. — A mnie się zdawało, że to my ciebie ratujemy... Osobiście podbiłam oko jakiemuś poważnemu ojcu rodziny, który wisiał na twoim krawacie, a Ewa połykała się w twojej obronie z całym za-stępem niezupelnie jeszcze uświadomionych twoich kolegów z prasy.

— Barbaro, zdaje się, że po prostu kłamiesz — odrzekł z westchnieniem.

Adolf Jennert wrócił z kawiarni zirytowany i zarazem przygnębiony. Przyczyną tego nastroju była Ewa. Już od pewnego czasu czuł do niej urazę. Zobaczywszy jej bardzo ładne ilustracje do jakiejś historycznej powieści dla młodzieży, w przypływie wielkoduszności zaproponował, aby podczas wakacji zilustrowała także jego „Czarodzieja z Krakowa”, baśń poetycką o Twardowskim, którą jeszcze doszlifo-wywał w rękopisie. Ale odpowiedziała mu wykrętnie, że nie może się tego podjąć, ponieważ taki temat jest dla niej za trudny. Wątpi, czyby mu sprostaa. Zresztą na okres letni ma inne plany, więc niech wuj wybaczy itd.

— Głupia smarkata — powiedział wtedy do Agnieszki, która nie posiadała się z oburzenia. — Nie rozumie, jaką sposobność odrzuca.

Zupelnie jak Maria — dodał w myśli. A oto teraz „ta smarkata” zawiodła go zupelnie. „Sprzeniewierzyła się sztuce”, jak to określał.

— Wiesz, co ona rysuje? — zwrócił się do Agnieszki, która wypoczywała w fotelu po trudach związanych z przeli czeniem bielizny odniesionej przez praczkę.

Agnieszka pomyślała, że to musi być coś potwornego, może aż coś takiego, jak rysunki Berezowskiej; po prostu pornografia!

Wybałuszyła swoje ptasie, okrągłe oczy na męża potrząsającego przed jej nosem zmiętą gazetą, ale nie zdradziła się z tym okropnym przypuszczeniem.

—A mówiłam... — westchnęła tylko na wszelki wypadek.

—Masz, zobacz! — podał jej ów dowód rzeczowy.

Przeczytała nazwę pisma: „Przegląd Sportowy” i wzruszyła ramionami.

—Od kiedy to zajmujesz się sportem?

—Och, nie zajmuję się, moja kochana. Guzowski mi io dał.

Ten nauczyciel, chemik.

—A co on ma wspólnego z Ewą?

Jennerta ogarniała wściekłość na jej tępotę, ale pohamował się.

—Tam jest artykuł o zawodach szybowcowych — wyjaśnił.

— Z rysunkami Ewy. Rozumiesz?

—Ahaa — powiedziała Agnes tonem, z którego przebijała odkrywczą intuicja. — Ona rysuje aeroplany.

Zaczęła czytać z bliska, mrużąc oczy i poruszając głową na prawo i na lewo.

„Wspaniałe zwycięstwo dwóch zawodników z polskiej ekipy reprezentacyjnej... Bolesław Szary na pierwszym miejscu...; Stojanow... Łankowski... Gore... Ciężka walka na czterystukilometrowej trasie...”

—O! To jest Bolek! — wykrzyknęła natrafiwszy wreszcie na pierwszy z szeregu szkiców. — Wcale niepodobny — dodała po namyśle. — A to?

—Stojanow — wyjaśnił cierpko Jennert. — Pod rysunkami są napisy.

Przyglądała się zabawnym szkicom przedstawiającym zawodników i szybowce wśród dramatycznych okoliczności i sytuacji potraktowanych z humorem, którego jednak nie potrafiła zrozumieć i ocenić.

— To rzeczywiście nie jest bardzo udane — powie działa oględnie.

— To jest szmira! — wybuchnął Adolf. — Szmira, moja kochana! To jest... to jest... no, to nie jest sztuka!

— Mówiłam ci — jęknęła Agnieszka, — Mówiłam ci nieraz...

— Mówiłam ci — powiedziała Baśka. — To nie ma sensu.

—Dlaczego? — spytał Szary.

—Bo ja mam przed sobą jeszcze trzy lata studiów. Musisz to zrozumieć, Romeo: chcę być inżynierem, chcę mieć trzy diamenty, chcę zdobyć samodzielność, pracować, wybić się, dojść do czegoś...

—I to koniecznie jako Lachówna? Gdybyś się nazywała Szara, to już wszystko przepadło! — powiedział z ironią.

—Gdybym się nazywała Szara, to kto wie, czy za rok albo za dwa nie stałoby się ze mną to, co z Dudziakową: gospodarstwo, mąż, dzieci... i żegnajcie, szybowce!

—Ależ Dudziakową lata; jest instruktorką! — powiedział

Bolek.

Nie odparła tego argumentu. Wsunęła mu rękę pod ramię i uśmiechnęła się do jakiejś swojej myśli.



—Chodźmy, już późno. Patrz, nigdzie się nie świeci.

—Znów jakieś uszkodzenie w elektrowni — mruknął. — Jest dopiero dziesiąta.

Szli wąską alejką przez sad. instynktownie omijając rozłożyste krzaki porzeczek i niskie gałęzie jabłoni obciążone owocem. W oknach domu Finsego było ciemno, lecz drzwi od sieni stały otworem.

Weszli tam, żeby wyciągnąć motocykl, ale nie mogli po ciemku dać sobie z nim rady; jakaś żelazna sztaba przymocowana do framugi dostała się między szprychy.

Szary sięgnął do kieszeni po zapalniczki, ale ich nie znalazł.

— Pójdę po latarkę — powiedział.

Szukał jej na biurku, a potem we wszystkich szufladach i wreszcie natrafił na nią w ostatniej, gdy za jego plecami cichutko skrzypnęły drzwi. Obejrzał się. W ciemności pod oknem stała Baśka,

Serce zabiło mu mocniej. Podeszedł ku niej porywczo i objął

ją; (mocnym uściskiem.

-

Baśka!

— Pomyślałam, że może ty masz rację — powiedziała szeptem.

Poczuł jej dłoń na swojej. Wyjęła mu z ręki latarkę i upuściła ją na stojący obok fotel.

Zakopane 1955

Spis treści

Rozdział pierwszy

ŻURAWIE NAD POLICHNA .

:

.

:

.

.

.

.

.

7

Rozdział drugi

BIAŁE ŚLADY..... 97

Rozdział trzeci

START .

.

.

.

.

.

.

.

.

.

.

.

.

.

.

165

Rozdział czwarty

DIAMENTY.....283